

POŁĄCZENIE NARCOS Z DIRTY DANCING

#2

S Z M U G L E R Z Y

TROY

Angela Santini

Prószyński i S-ka

Trust

#2

S Z M U G L E R Z Y

TROY

Angela Santini

Angela
Santini

Prószyński i S-ka

KSIĄŻKI AUTORSTWA ANGELI SANTINI

OBSESJE

OBŁĘDY

ODWET

MARINA

Copyright © Angela Santini, 2023

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Zdjęcie na okładce
© Vladimirs Poplavskis | [Dreamstime.com](https://www.dreamstime.com)

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Katarzyna Kusoń
Bożena Hulewicz

ISBN 978-83-8352-505-1

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Tę książkę dedykuję wszystkim,
którym miłość choć raz złamała serce.
Przeżyjmy to jeszcze raz.

El amor verdadero nunca se acaba.

LISTA UTWORÓW MUZYCZNYCH

Kiedy piszę, zawsze towarzyszy mi muzyka, inna w zależności od nastroju i sceny. Dlatego przygotowałam dla Was listę utworów, których słuchałam podczas najbardziej emocjonujących rozdziałów. Postarajcie się sami odgadnąć, która z tych piosenek odzwierciedla emocje bohaterów.

Dreszcze i łzy gwarantowane!

Gangsta Lovin' , Eve feat. Alicia Keys
Shut Up and Listen, Nicholas Bonnin & Angelicca
Escapism, RAYE & 070 Shake
Can We Kiss Forever?, Kina
Forget Me, Lewis Capaldi
Hold Me While You Wait, Lewis Capaldi
Middle Of The Night, Elley Duhè
21 Questions, 50 Cent
Candy Shop, 50 Cent
Still Don't Know My Name, Labrinth
Kiss Me More, Doja Cat feat. SZA
Boys, Britney Spears
No love, Eminem feat. Lil Wayne
Me And My Girlfriend, Makaveli

PS

Rozdział 31

Gangsta's Paradise, Coolio feat. L.V.

ROZDZIAŁ 1

MARINA

Karetka staje. Ciszę w jej wnętrzu wypełnia jedynie bicie mojego serca. *Łup. Łup. Łup.* Jest mi tak niedobrze, że chyba zemdleję na leżąco. Nie analizuję w ogóle tego, co zrobiłam. Nie mogę. Wiem tylko, że zrobiłam coś pod wpływem silnych emocji, które wciąż nie chcą mnie opuścić. Jeśli teraz nas złapią... Co z nami będzie?

Słyszę, że drzwi ambulansu się otwierają. O Boże. Zaciskam mocniej palce na metalowej obręczy łóżka i biorę haust powietrza, by napędnąć skurczone płuca.

– Koniec podróży – słyszę, na co rozszerzam powieki i mocniej zaciskam spocone palce. – Możesz wstać.

Nie chcę.

Nie mogę się ruszyć.

– Marina?

Mrużę oczy i wsłuchuję się w głos, który wypowiada moje imię, a potem siadam i wyostrzam wzrok. W otwartych drzwiach, w półmroku i smugach światła, stoi mężczyzna, dla którego podjęłam najgłępszą życiową decyzję. Możliwe, że będziemy płacić za to wszystkim, co mamy, ale widząc go, zrywam się na równe nogi, bo w tej chwili został mi tylko on.

Wtulam się w niego tak mocno, jakbym chciała się z nim stopić.

– Już dobrze, prawie po wszystkim.

Odrywam policzek od jego spoconej koszulki, by spojrzeć w niebieskie przejrzyste oczy.

– To znaczy? Jesteśmy na miejscu? – Rozglądam się po pustynno-roślinnym terenie i znowu na niego patrzę. – Tak?

Mężczyźni z karetki przeładowują torby z pieniędzmi do jakiegoś wielkiego samochodu. Robią to jak zawodowcy, jakby od urodzenia byli do

tego szkoleni.

– Nie, ale już się nie rozdzielimy. – Troy podaje im rękę i wręcza po trzy pliki banknotów. – Dzięki, będziemy w kontakcie.

Boże, co tu się dzieje?

Co ja tutaj robię?

– Jasna sprawa – mówi jeden z nich. – Szerokiej drogi.

– Możesz ściągnąć kamizelkę. – Troy odrywa ją ze mnie i nakłada mi na głowę bejsbolówkę z logo... wojska. – Za dnia będziemy nosić okulary przeciwsłoneczne.

Za dnia? Jakiego dnia? Gdzie my, do cholery, jesteśmy? I dokąd w ogóle zmierzamy? Nie jechałam zbyt długo, to fakt, ale czy to rozsądne, żeby dalej jechać, kiedy na pewno wszyscy nas ścigają?

Podchodzę do tabliczki, żeby przeczytać napis.

– Jesteśmy w Meksyku – oznajmiam w zasadzie samej sobie. – Przejechałam przez granicę bez żadnej kontroli?

Troy potakuje niemo i chwytą mnie za rękę.

No tak. Czytałam akta. Wiem, jaką ma władzę i możliwości, ale dalej jestem zdumiona. Wiedzieć o czymś a brać w tym udział to dwie różne rzeczy. Czuję się winna. Zdradziłam własnego ojca i uciekłam do Meksyku.

Nie wiem, czy moja miłość do Troya to wystarczające, by mój tata mi wybaczył.

– Jak się czujesz? – pyta mnie po chwili Troy, a ja myślę, że nigdy nie czułam się bardziej podle, nigdy bardziej się nie bałam. Ale z jakiegoś powodu nie chcę teraz o tym mówić. – Przepraszam cię za to. Za to wszystko.

Z trudem przełykam ślinę. Jego poczucie winy, strach, zmęczenie i troska powodują, że nie jestem w stanie powiedzieć prawdy. I chociaż ta tkwi w mojej głowie niczym tykająca bomba, chociaż mam miliony pytań, postanawiam odłożyć to wszystko na kiedyś.

Najpóźniej na jutro.

– Nie wiem, Troy. Czuję się... dziwnie. Dopiero co wysiadłam z karetki pędzącej na łeb na szyję i wciąż słyszę jej wycie, a do tego... – Biorę od niego butelkę z wodą i upijam kilka łyków. – Cholernie się boję.

– Wiem, ale musimy ruszać. Porozmawiamy w drodze.

I to by było na tyle.

Otwiera drzwi do ogromnego, sześćoosobowego czarnego SUV-a, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Wygląda na bardzo bezpieczny, więc bez gadania wspinam się do środka. Kiedy zajmuję miejsce, uderza mnie ekskluzywność jego wnętrza. Są tu przygotowane napoje i przekąski, są nawet tablety. W życiu nie wpadłabym na to, że taki czołg ma w środku podobne bajery.

Kierowca najpierw zerka na mnie we wstecznym lusterku, po czym odwraca się z sympatycznym uśmiechem. Z grzeczności go odwzajemniam, ale najchętniej schowałabym się gdzieś, gdzie mogłabym odzyskać racjonalne myślenie.

– Jak to się włącza? – pytam Troya, bo gdy naciskam przycisk, tablet nie reaguje.

– Nie możemy niczego włączać – odpowiada. – To zbyt ryzykowne.

– Mogę chociaż skontaktować się z mamą?

Patrzę na niego wyczekująco, chociaż sama nie wiem, co miałabym jej powiedzieć. „Cześć, mamusiu, postanowiłam zmienić plany, wyjechać do Meksyku i wbić ci nóż w serce”?

Ale jakaś część mnie potrzebuje się z nią skontaktować. To moja mama i na pewno odchodzi od zmysłów.

– Jest środek nocy, poza tym... – Troy wzdycha i opiera głowę o miękki skórzany zagłówek.

– To zbyt ryzykowne – dokańczam za niego.

– Właśnie.

Odwracam twarz w stronę szyby i zamykam oczy, bo wtedy wszystko wydaje się łatwiejsze, a może nawet nierzeczywiste. Tyle że tak wygląda rzeczywistość. Jestem tutaj, z nim, w ciąży, bez rodziny, środków do życia, pracy, w drodze do miejsca, którego kompletnie nie znam.

Nagle ogarnia mnie poczucie wstydu, nie większe niż winy. Mam kochających rodziców, dlaczego odwdzięczyłam się im w taki sposób? Czy naprawdę aż tak bardzo go kocham? Czy może strach przed wychowaniem tego dziecka bez niego przewyższył wszystko i wszystkich?

Co się ze mną, do diabła, dzieje? Jak mam zamiar wychować to dziecko, skoro właśnie sama zafundowałam sobie życie uciekinierki?

Coś się wymyśli. Na pewno da się to jeszcze jakoś odkręcić.

Tak bardzo chciałabym móc teraz powiedzieć moim rodzicom, że ich przepraszam. Powiedzieć im, że zostanę mamą, więc może dlatego

zdecydowałam się na taki krok. Może to byłoby dla nich wystarczające?

Miałam dobre życie. Byłam szczęśliwym dzieckiem.

Czy moje dziecko będzie równie szczęśliwe? Czy będzie się wychowywało w domu pełnym miłości, a moi rodzice będą przychodzić na jego przedstawienia? I dlaczego właśnie teraz zadaję sobie te pytania? Czy intuicja podpowiada mi, że to droga bez powrotu, a decyzje, które podejmuję, są, najprościej mówiąc... głupie?

– Marina.

Wzdrygam się, uderzając ręką w szybę.

– Co? Co?

– Spokojnie. Musisz coś zjeść, zatrzymaliśmy się w mało widocznym miejscu. Chodź.

Troy wysiada pierwszy i czeka, aż zrobię to samo, ale zajmuje mi to całą wieczność. Przesuwam tyłkiem po siedzeniu i wystawiam najpierw same stopy.

– Bolą mnie nogi. I szyja. I plecy... – jęczę.

– Mogę wziąć cię na rękę.

– Nie. Nie trzeba.

W końcu wysiadam i rozprostowuję sztywne kończyny. Jest świt; mam nadzieję, że przespałam całą podróż, zaraz wezmę orzeźwiająca kąpiel i przebiorę się w coś czystego.

– Zaczekaj.

Zatrzymuję się, bo ton jego głosu brzmi aż nadto poważnie, a on sam pociera palcem wskazującym brodę i chyba układa sobie w głowie „jak by ci to powiedzieć” albo coś w tym stylu.

Wracam, żeby być bliżej niego, a wtedy jego wzrok ląduje na mojej twarzy.

– Tak?

– Chciałem zapytać... jak się czujesz?

O. Nie spodziewałam się takiego pytania, ale prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy w ogóle czegoś się spodziewałam, odkąd – mówiąc rzeczowo – spieprzyłam z kraju.

Pocieram kącik ust, wyczuwając zaschniętą ślinę, i zastanawiam się, co mam odpowiedzieć. Zgodziłam się na to całe szaleństwo i nie chcę, żeby czuł się tak, jak w tej chwili wygląda, że się czuje.

– Weszłam w rolę lepiej niż Janet Leigh w *Psychozie*.

Wymuszam uśmiech, a potem kieruję się w stronę jakiegoś baru. Wygląda jak żywcem wyjęty z horroru, ale jestem tak głodna, że zjem nawet stek z człowieka.

– Kto? – Troy dogania mnie i otwiera mi drzwi. – W czym?

– Janet przez swoją rolę nabawiła się poważnej paranoi podczas brania prysznic, a ja już nigdy więcej nie wsiądę do karetki.

Kąciki jego oczu unoszą się pod wpływem uśmiechu, więc można powiedzieć, że udało mi się go trochę zrelaksować.

– Rozumiem, jeszcze raz przepraszam, ale to było jedyne wyjście, żeby bezpiecznie cię eskortować.

Tak...

Siadamy na skrzypiących krzeselkach i zamawiamy frytki z colą.

– Jak to się stało, że byłeś tam szybciej ode mnie? – pytam Troya.

– Przedostaliśmy się tunelem.

Dobra. Cofam pytanie.

– Gdzie reszta ludzi?

– W drodze.

– Gdzie właściwie jesteśmy?

– Jesteśmy w Nogales, więc najgorsze za nami, ale to nie koniec podróży.

– Kiedy dotrzemy do miejsca docelowego? – Posypuję sflaczałe frytki solą i wkładam trzy naraz do ust.

– Za siedem godzin, ale z twoimi postojami może nam zlecieć cała doba.

– Uśmiecha się, pijąc colę ze szklanej buteleczki.

– Siedem godzin? – Nachyliam się do niego. – Dokąd dokładnie, Troy? Przecież mam prawo wiedzieć.

Poprawia się na krześle i w końcu na mnie patrzy. Nie ukrywam, że zaczyna mnie to irytować. Niech przestanie traktować mnie jak małe dziecko i mówi do mnie prosto z mostu.

– Do Tijuany.

Cofam brodę i podnoszę brwi. Ale w sumie czego się spodziewałam? Że zabiera mnie na wakacje do Tulum? Zrobimy sobie fajne fotki na Instagram, a potem odstawi mnie do domu?

Ja pierdolę.

San Diego graniczy z Tijuaną. To miejsce widziałam również w aktach, więc to naprawdę tam rozgrywa się cała sceneria rodem z filmów o bossach

narkotykowych. I ja, Marina Moore, dziewczyna, która boi się przejechać na czerwonym świetle, mam do nich dołączyć.

Przełykam kawałek frytki, która nagle zrobiła się twarda.

– Co będziemy tam robić?

Pewnie Troy zna jakieś bezpieczne miejsce, bo nie chcę nawet sobie wyobrazić, że miałabym mieszkać w Meksyku z tymi wszystkimi ludźmi, którzy za pieniądze sprzedaliby duszę diabłu. Co ja w ogóle sobie myślałam?

Nie, Marino. Ty nie myślałaś. I w tym rzecz.

Odkąd poznałam Troya, przestałam myśleć.

– Układać życie. Od nowa – odzywa się Troy, więc skupiam na nim całą swoją uwagę.

Wszystkie moje zmysły są z nim niemal połączone, ale mój mózg wciąż nie potrafi się ocknąć.

– Może nie jest to najlepsze miejsce na wychowanie dziecka, ale niczego wam nie zabraknie i będziemy razem. Tylko to się liczy.

Jakaś część mnie – niestety – się z nim zgadza.

– Mhm, tak.

Wkładam kolejną garść frytek do ust i jak najszybciej je połykam, żeby nie czuć ich struktury.

– Który to tydzień? – zwraca się do mnie Troy.

W pierwszej chwili nie wiem, o co pyta. A potem przypominam sobie, że przecież dalej jestem w ciąży. Że oboje będziemy mieli dziecko.

– Siódmy.

– Więc mamy tu dosłowny początek nowego życia. – Uśmiecha się, całując mnie w rękę. – Nie cieszysz się? Wiem, że postawiłem cię w sytuacji...

– Gównianej.

Wzdryga się zaskoczony i od razu żałuję, że to powiedziałam, ale przepelnia mnie tyle sprzecznych emocji, że sama nie wiem, jak na to wszystko reagować.

– Gównianej, ale... – Puszczą moją rękę i przeciera spoconą twarz chusteczką, po czym patrzy na mnie w sposób, którego nie potrafię odczytać. – Chcesz wrócić?

Teraz ja się wzdrygam.

Tak.

Nie.

Nie wiem.

– Nie. Chcę być z tobą. Ale czy będziemy bezpieczni?

– Oddam własne życie, jeśli będzie trzeba, i znam ludzi, którzy oddaliby je za mnie, więc tak, jesteście ze mną bezpieczni. A teraz chodź, przed nami długa podróż. Chcę, żebyś odpoczęła w lepszych warunkach.

Wstaje i podaje mi rękę, więc robię to samo.

– Gdzie Maria? – pytam go.

– W drodze. – Zaciska moją dłoń. – Wszystko jest pod kontrolą.

– W zasadzie to... gdzie będziemy mieszkać? I co z moimi rzeczami, które są porozwalane po dwóch stanach?

– Kupię ci wszystko nowe. Nie mogę ich odzyskać, to zbyt niebezpieczne. Jęczę w duchu.

– Mój bagaż został w El Paso.

– Mam twój paszport, o resztę się nie martw.

– Od teraz będę na twoim utrzymaniu.

Moja praca. Moi pacjenci. Szkoła... Moja przyszłość.

– I niczego ci nie zabraknie. Wiem, że to wszystko dzieje się bardzo szybko i pewnie nie tak to sobie wyobrażałaś, a już tym bardziej nie wyobrażałaś sobie życia z kimś takim jak ja, ale będę cię szanował i zrobię wszystko, żebyś w jak najmniejszym stopniu odczuła zmiany.

Zatrzymuję się w połowie drogi do tego dziwnego samochodu i analizuję jego wcześniejsze słowa. Zanim powiedziałam mu, że jestem w ciąży.

„Weź te pieniądze i ułóż sobie życie, jak na dobrą dziewczynę przystało. Chcę chociaż wiedzieć, że niczego ci nie zabraknie”.

Troy odwraca się w moją stronę.

– Źle się czujesz? – Podchodzi do mnie i badawczo mi się przygląda.

– Gdybym nie była w ciąży, pozwoliłbyś mi odejść?

Chwilę patrzy mi w oczy. Dłuższą chwilę. Później kieruje wzrok na moją szyję, brzuch i tą samą drogą wraca do moich oczu. Jego klatka piersiowa unosi się i powoli opada. Drapie się po czole. Potem patrzy w ziemię i kręci głową.

Strasznie długie szukanie krótkiej odpowiedzi.

– Nie zmuszałbym cię do życia ze mną na siłę.

Czyli nie.

– Rozumiem. – Wymijam go i idę dalej. – Jedźmy. Chciałabym mieć już to wszystko za sobą.

– Nie zmuszałbym cię, ale to nie znaczy, że bym się o ciebie nie starał.

Potakuję do siebie. Bzdura. Jak miałyby się o mnie starać w tamtej chwili? Zegar niemal tykał nam w uszach. Oboje wiemy, że gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy podjąć inne decyzje.

– Pedro i jego ludzie są w gotowości – mówi kierowca i gasi obcasem papierosa.

– Kim jest Pedro i jego ludzie? – pytam.

– Pomogą nam bezpiecznie się dostać do TJ – odpowiada mi Troy.

Unoszę brew.

– TJ?

– Tijuany.

– Jak najszybciej muszę nauczyć się waszego slangu.

Już chcę wsiąść, ale Troy chwyta mnie za ramię i bierze na bok.

– Niczego nie musisz się uczyć, ale musisz coś dla mnie zrobić. I dla siebie.

– Co takiego?

– Nikt nie może się dowiedzieć, kim jest twój ojciec. Nikt. Absolutnie nikt.

– Ale...

– Dopóki czegoś nie wymyślę.

Wsiadam do samochodu, ale nie ukrywam, że mam po dziurki w nosie robienia wiecznych przysług. Rozumiem, że nie jestem wymarzoną kandydatką dla przemytnika, ale bądźmy realistami – w końcu i tak ktoś się dowie. Skoro potrafią przerzucić mnie karetką przez granicę, to zapewne wiedzą już, jakie szkoły skończyłam, ilu miałam facetów i do którego roku życia nosiłam pampersa. A co, jeśli już wiedzą i wezmą mnie za jakąś wtykę? Jeszcze niedawno Troy myślał to samo, grożąc mi pistoletem przystawionym do skroni.

– Myślę, że ci się spodoba – mówi, a ja odwracam głowę, żeby na niego spojrzeć. – Życie w Meksyku.

O Boże.

– Skąd ta myśl? Meksyk jest niebezpieczny i nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby go odwiedzić, a co dopiero tu mieszkać. Widziałeś te bary?

Troy uśmiecha się nieznacznie.

– Nie wszędzie tak jest. Tam, dokąd jedziemy, panuje inne prawo i nie rządzi policja, tylko kartele. Mamy tam swoje własne państwo w państwie.

„Nie rządzi policja”. Więc w razie czego, Marino, nikt ci nie pomoże. Absolutnie nikt.

– Mamy? – Prawie krztuszę się śliną.

– Nie chcę niczego więcej przed tobą ukrywać, staram się być szczery i otwarty, ale jeśli mam zwolnić tempo, to powiedz.

– Nie, może niech zostanie tak, jak jest. Chyba nigdy nie rozmawialiśmy tak długo. – Wzdycham. – I często.

Troy przesuwa się bliżej mnie i zaczyna całować mnie po szyi, po czym wkłada rękę między moje uda.

– Za to będziemy się kochać długo i często – chrypi mi do ucha.

– Troy, przestań. – Odpycham go od siebie.

– W porządku, przepraszam. Wiem, że pewnie nie masz nastroju na czułości, a twoje libido zabiłem w magazynie, ale nie poddam się.

Nie chcę teraz rozmawiać o seksie. Serio.

– Potrzebuję czasu, żeby to wszystko zaakceptować.

– Jasne. Rozumiem. – Opiera się o siedzenie i kładzie rękę na moim kolanie. – Doceniam to.

Wymuszam uśmiech i proszę kierowcę o jakąś muzykę, a on mi mówi, że niestety musi słuchać radia, żeby wiedzieć, gdzie są gringo.

– Czyli obcy, ma na myśli takich jak my – tłumaczy Troy i wzrusza przepaszająco ramionami.

Świetnie. Nie mam telefonu, dostępu do internetu ani muzyki. Powoli zaczynam się czuć jak w średniowieczu.

– Wyglądam bardziej meksykańsko niż ty – bąkam.

– Bo jesteś Meksykanką. Mówiłem ci już.

Marszczę czoło, ale zaraz opieram się wygodniej i ściągam buty, żeby wymasować obolałe stopy. Po chwili Troy przejmuje to zadanie, więc po prostu staram się zrelaksować w ciszy.

Dlaczego moi rodzice mieliby okłamywać mnie przez całe życie? Po co? Moja biologiczna mama umarła przy porodzie, więc i tak nie mam szansy jej poznać, a nawet jeśli, nie przestałabym przez to kochać mojej mamy adopcyjnej. Tęsknię za nią. Tęsknię za moimi rodzicami. Myśl, że zostawiłam moją biedną mamę i zламаłam jej serce, doprowadza mnie do szału.

– Wybrałam pomiędzy własną matką a narkotykami.

Wiem, że ciągle wzbudzam w Troyu poczucie winy, ale tak jest mi łatwiej. A może po prostu wszystko mi już jedno? Jedna gałązka dorzucona do płonącego lasu nie robi zbyt wielkiej różnicy, prawda?

Czuję jego rękę na swojej.

– Wybrałaś pomiędzy mną a swoją mamą.

To boli. Boli jak jasna cholera.

Rzucam mu surowe spojrzenie.

– Dlaczego ty nie wybrałaś pomiędzy mną a narkotykami?

Podnosi brwi, jakbym powiedziała coś absurdalnego, a ja czuję, jak wszystkie narządy w ciele zaczynają mi się gotować.

– Bo to nie jest takie proste – odpowiada miękko, wyłapując mój nastrój.

– Uważasz, że dla mnie było?

– Nie, tylko... gdybym mógł to zrobić, nie wahałbym się ani chwili. – Ściska moją rękę. – Zaufaj mi, proszę.

– Czy to wszystko to nie dowód mojego zaufania do ciebie?

I mojej skończonej głupoty.

Troy przysuwa się bliżej i pociera dwoma palcami swój nos. Po chwili patrzy mi w oczy.

– Posłuchaj, zapytam ostatni raz. Chcesz wrócić? Masz jeszcze szansę. Nie chcę cię do niczego zmuszać, ale wiedz, że jeśli ode mnie odjedziesz, to nigdy już się nie spotkamy.

Nie ukrywam, że chce mi się płakać po tym wyznaniu. To znaczy, że nie próbowałyby mnie zatrzymać i zrezygnowałyby z bycia ojcem naszego dziecka na rzecz narkotyków.

Przełykam gorycz i zabieram spoconą dłoń z jego uścisku. To naprawdę boli. Ile razy jeszcze zamierza mi powtarzać, że mogę odejść?

– Będziesz równie bogata, ale nie będę mógł z wami być – dodaje.

Zaciskam zęby. Mam ochotę strzelić go w pysk, ale niczego nie robię. Moje ciało jest sztywne i nie jestem w stanie się ruszyć, a słowa nie mogą wydostać się z mojego gardła. On naprawdę potrafiłby nas wymienić. Jak w ogóle śmie mówić do mnie takie rzeczy po tym, co właśnie dla niego robię?

Odwracam głowę do szyby, próbując powstrzymać łzy, ale nie dają rady. Myślę o mamie i o tym, że ona zapewne robi teraz to samo i umiera

ze strachu. Myślę o tacie, który nigdy, przenigdy nie przestanie mnie szukać i najpewniej tak szybko mi tego nie wybaczy.

I o tym, że być może Troy Tracker nie zasłużył na takie poświęcenie z mojej strony.

– Więc nigdy nie będziemy ważniejsi – szepczę.

Słyszę jego westchnięcie.

– Ile razy mam ci powtarzać, że to nie jest takie proste? Jeśli będę mógł z tego zrezygnować, zrobię to, ale w tym momencie nie mam wyboru, po prostu.

Po prostu.

Jak dwa dodać dwa równa się cztery.

– Zrozumiałam.

– Mam nadzieję.

Układam głowę między szybą a zagłówkiem i zamykam oczy. Chcę przespać jak najwięcej tej podróży.

ROZDZIAŁ 2

TROY

Nareszcie zasnęła, a ja od dwóch godzin się jej przyglądam i zdaję sobie sprawę, że wpakowaliśmy się nawzajem w niezłe bagno. Marina nigdy nie zaakceptuje tego, czym się zajmuję, a ja nigdy nie będę mógł z tego zrezygnować. Oni nie pozwolą mi odejść.

Chwilami żałuję, że zabrałem ją ze sobą, bo wiem, że już nigdy nie wróci do swojego dawnego życia, a przy tym zupełnie niewinne dziecko od swoich pierwszych dni wejdzie do świata przestępczego.

Wypuszczam długi oddech ustami i kolejny raz staram się zmrużyć oczy, ale to zbyt niebezpieczne, bo muszę być na orienście.

- Kobietę trzeba zrozumieć – odzywa się Pablo, nasz kierowca.
- Jest to w ogóle możliwe?
- Nie, ale zawsze można improwizować.

Uśmiecham się, potakując, i raz jeszcze rzucam okiem na chrapiącą Marinę. Poprawiam jej nogi, żeby mogła się wygodniej ułożyć, a przy okazji muskam palcami jej delikatną oliwkową skórę. Chcę się nimi zaopiekować. Chcę mieć dziecko. Chcę mieć w końcu rodzinę i kogoś, kto kocha mnie bezwarunkowo, nawet jeśli jestem przemytnikiem.

- Masz żonę? – pytam Pabla.
- Mam. Wytrzymałem z nią ponad dwadzieścia lat, więc wiem, co mówię.
On wytrzymał z nią.

Czy znajdę kogoś, kto zrozumiałby mnie w tym momencie lepiej niż Pablo? Wątpię. Facet jest obyty w tych sprawach i chętnie się dowiem, jakim cudem przeżył z jedną kobietą tyle lat.

- I nie przeszkadza jej to, że pomagasz gringo? – ciągnę dalej.
- Praca jak praca. Kobieta musi się nagadać, ale koniec końców i tak stanie po stronie mężczyzny, którego kocha.

– Czyli to minie. – Odczuwam ulgę.

– Nie powiedziałem, że to minie.

Pablo zaczyna się śmiać, więc ja także.

– Rozumiem.

Słyszę, jak wzdycha.

– Już takie są. Ale bez nich życie byłoby nudne. Prześpij się, na razie nie zanoszą się na problemy.

– Spróbuję.

Zsuwam się trochę niżej i zamykam na chwilę oczy, żeby odpocząć, ale myśli nie dają mi spokoju. Sam już nie wiem, czy chodzi o jej ojca, czy o nasz spalony największy magazyn i trzy miliony dolarów, które ja i Travis jesteśmy winni Camino, czy może o to, że wkrótce sam zostanę ojcem. To ostatnie zaczyna mnie przerażać. Nigdy nie chciałem, by moje dziecko wychowywało się w świecie, w jakim mi przyszło dorastać.

– Jak długo jesteście razem? – Pablo wyrywa mnie z zamyślenia.

– Niedługo.

Za krótko. Ale kocham ją tak, jakby była częścią mojego życia od zawsze i na zawsze. To tak, jakby biło w nas jedno serce, i jeśli odejdzie, wiem, że umrze najwspanialsza część mnie.

Ta, która odpowiada za to, że jestem szczęśliwy.

– Więc musicie się dotrzeć. Przed wami długa droga, ale nie obejdzie się bez kompromisów i wojen. – Uśmiecham się pod nosem, gdy nagle wyczuwam szarpnięcie samochodu. A potem słyszę, jak Pablo mówi: – Mamy problem.

Siadam na baczność i wychylam się przez fotele, skupiając wzrok na przedniej szybie. Za ciemno. Na szczęście samochód jest wyposażony w kamery z noktowizorem, więc mamy przewagę. To monumentalny i najbezpieczniejszy SUV świata. Nie da się go zgładzić, zatrzymać ani nas z niego wyciągnąć. Ale nie chcę strzelaniny w pobliżu mojej kobiety.

– To kartel z Tecate – mówię. – Zatrzymaj się.

Pablo odwraca się do mnie przez ramię.

– Wóz jest kuloodporny. Jesteś pewny?

Od jakiegoś czasu niczego nie jestem pewny.

– Nie mogę ryzykować z ciężarną kobietą w środku. Zaczną strzelać, obudzą ją, wystraszą, zaczną panikować...

Knight XV jest stworzony do jazdy po najniebezpieczniejszych zakamarkach Meksyku, ale boję się, że coś się stanie dziecku, dlatego najlepszym wyjściem z sytuacji będzie przedstawienie swojej skromnej osoby w ciszy, tak żeby Marina o niczym się nie dowiedziała. Dzieli nas godzina drogi do TJ, więc decyduję się na powolne otwarcie drzwi i wyciągnięcie ręki, żeby nikt nie zaczął strzelać.

Ale gdy tylko chwytam za klamkę, Pablo robi to samo.

– Stój – mówi. – Ja to załatwię.

– Nie, Pablo. Nie możesz ryzykować.

Zanim zdążę coś dodać, Pablo jest już na zewnątrz i powoli wychodzi przed maskę naszego opancerzonego SUV-a.

Meksykanie zwawo gestykulują, ale Pablo to stuprocentowy facet i nie da sobą pomiatać nawet kosztem własnej głowy. Pokazuje ręką na samochód, a jeden z nich idzie w moją stronę i ostrożnie zagląda do środka.

Opuszczam szybę, żeby się pokazać.

– El Grande? – pyta, a ja potakuję, spocony jak świnia. Koleś ogląda moje tatuaże, po czym zjeżdża wzrokiem na śpiącą Marinę. Przykładam palec do ust na znak, że ma jej nie obudzić, a on marszczy brwi, po czym się uśmiecha. – *Welcome home*.

Zamykam szybę i przecieram spoconą twarz. Do samochodu wsiada Pablo, równie spocony jak ja, i posyła mi szeroki uśmiech.

– Dobrze jest być tobą, przyjacielu.

Spoglądam na mruczącą przez sen Marinę i nachylam się, żeby skraść jej całusa.

– To się okaże.

– Będziesz ojcem.

Wzdycham.

– Tak.

Będę ojcem, chociaż w ogóle nie jestem na to gotowy. Co nie znaczy, że tego nie chcę. Robiłem wiele głupich rzeczy, ryzykując własną dupę, a boję się małego człowieka.

Tym jednak będę martwił się później. Na razie cieszy mnie widok, jaki ukazuje się moim oczom. Trzyhektarowy teren za setki milionów dolarów zawsze sprawia, że czuję się bezpieczny. Ktoś mógłby się popukać w czoło, ale jak już wielokrotnie mówiłem, to mój świat i rządzą nim inne zasady.

Żołnierze sprawdzają nasz samochód i otwierają trzy bramy, jedną po drugiej. Ciekawostką, którą mogę zdradzić, jest to, że zanim ktokolwiek zdołałby je sforsować, byłibyśmy już w drodze do innej kryjówki. A tych Camino ma sporo, i to na całym świecie.

– Witamy w Tijuanie – mówi Pablo, gdy wjeżdża na prywatną ziemię Camino.

– Marina. – Szturcham ją delikatnie, ale dalej śpi jak niemowlę. – Jesteśmy.

Delikatnie prostuje nogi, ręce i siada półprzytomna, by wyrzeć przez otwarte okno. Patrę, jak zaciąga się świeżym powietrzem, i nie mogę uwierzyć, że jest tutaj ze mną. W miejscu, do którego nikt poza nami nie ma dostępu. W miejscu, gdzie wszystko, co widzisz, czego dotykasz i używasz, ktoś opłacił życiem.

– Wow... – mówi z szeroko otwartymi oczami.

Chrząkam, by zmniejszyć suchość w gardle.

– To dom mojego przyjaciela, Ignacia.

– Dom? Chyba całe miasto.

Nie myli się. Jak już wcześniej wspomniałem, to państwo w państwie. Jest tu kino, opera, teatr, sala koncertowa, kasyno, pięć basenów, restauracja, salon spa, klub nocny oraz wszystko to, czego potrzebują faceci. Mam nadzieję, że Marina nie będzie drobiazgowo badała każdego pomieszczenia, bo nie mam ochoty odpowiadać na pytania, czy korzystałem z prywatnych pokoi do rżnięcia.

Przy Camino nawet emiraccy szejkowie to drobni przedsiębiorcy.

– Jesteś tu bezpieczna, nawet jeśli na to nie wygląda – uspokajam ją, gdy zauważa grupę *sicarios* z zarzuconą bronią na ramieniu.

Marina spogląda na mnie o trzy odcienie bledsza.

– Dlaczego wszyscy noszą broń?

– Ze względów bezpieczeństwa.

– Już to gdzieś słyszałam.

Podaję jej dłoń, żeby wysiadła, ale widzę, że ledwo trzyma się na nogach, dlatego podnoszę ją, po czym stawiam na ziemi.

Boi się. To oczywiste. Cały urok tego miejsca przyćmiewa uzbrojona po zęby armia Camino.

– Pamiętaj, o co cię prosiłem – szepczę szybko, bo już widzę podchodzącego do nas Camino.

Ściąga okulary przeciwsłoneczne, a kąciki jego ust wędrują do góry. Wyciąga rękę, żeby przywitać się najpierw z bladą Mariną.

– *Welcome to Tijuana, tequilla, sexo y marihuana* – mówi, śmiejąc się z samego siebie. Kurwa, niezły początek. – Jestem Ignacio.

– Dzień dobry. Nazywam się... – Marina urywa i patrzy na mnie.

Camino obejmuje ją ramieniem.

– Marina. Wiele o tobie słyszałem. Jak minęła podróż?

– Dość nietypowo, ale w porządku.

Ignacio śmieje się po cichu i gestem przywołuje swoją ulubioną gosposię.

– Wejdz do domu, Guadalupe pokaże ci wasz pokój.

Marina wciąż patrzy na mnie, więc ściągam okulary, żeby mogła odnaleźć spokój w moich oczach. Nie mam jednak pewności, czy to na nią działa.

Po chwili przychodzi do nas Guadalupe, starsza pomoc domowa Camino, którą on sam traktuje jak drugą matkę.

– Proszę za mną – mówi do Mariny, uśmiechając się z troską. – Pewnie jest pani głodna i chciałaby się odświeżyć.

Marina również w końcu się uśmiecha. Domyślam się, że zaskakuje ją wszechobecny tu język angielski, ale porządne kartele stawiają na różne języki, a często nawet zatrudniają własnych tłumaczy.

– Jeśli to nie problem – odpowiada skrzepowana.

– Idź, ja porozmawiam z Ignaciem. – Przytulam ją jeszcze i zakładam jej włosy za ucho.

Nie mówi nic, tylko odchodzi, a ja odprowadzam ją wzrokiem, aż znika za równiutko ściętym, gęstym i rażąco zielonym żywopłotem.

Camino odpala papierosa i cyka ustami.

– No, no, Troy. Masz gust. Ile ma lat?

Odwracam głowę w jego stronę, próbując mu nie przyjebać.

– Wystarczająco.

– To Meksykanka. Co robiła w USA?

Kurwa. Mówiłem, że jest coś na rzeczy z jej pochodzeniem.

– Została adoptowana po śmierci biologicznej matki przez dwójkę Amerykanów. – Camino chwilę myśli, a ja się zastanawiam, ile już wie, a ile mogę mu powiedzieć. – Jak sytuacja z moją siostrą i resztą?

Nie jestem w stanie funkcjonować, kiedy nie wiem, co się dzieje z Marią. Pomijam to, że na pewno jest na mnie wkurwiona i czeka mnie

wysłuchiwanie kolejnych babskich lamentów, ale mimo wszystko wolę mieć je obie blisko.

– Czekam na wiadomości od godziny. Ale spokojnie, wysłałem swoich ludzi.

– Od godziny? – Podnoszę głos o trzy oktawy. – Mogą już nie żyć!

Na teren posiadłości Camino podjeżdża knight XV.

– Przyjechał twój przyjaciel ze swoją ciężarną żoną.

Camino daje mi do zrozumienia, że ściągnął wszystkich moich bliskich i zapewnił im dach nad głową oraz bezpieczeństwo. I że zawsze może ich wszystkich zastrzelić, nie fatygując się poza granice Meksyku.

Wyciągam do niego rękę, by wiedział, że mam tego świadomość.

– Doceniam to, Ignacio.

– Wiem.

Oczywiście, że wie.

Mijam go i pędzę do Trávisa i JoAnn, której wyraz twarzy daje mi jasno do zrozumienia, że mam przejebane. Więc na razie mamy tu dwie kobiety, którym to wszystko się nie podoba.

– Troy, bracie. – Travis klepie mnie w bark.

– Jak podróż?

– Na szczęście bez żadnych rewelacji. A wy?

To nie jest dobry moment, żeby się żalić.

– Najważniejsze, że kobiety są bezpieczne – odpowiadam.

JoAnn całuje mnie w policzek i chwilę mi się przygląda.

– Gdzie Marina?

Wskazuję ręką na dom.

– W środku. Pewnie dochodzi do siebie.

– Z Marią? – pyta, a ja kręcę głową. – Jak to? Gdzie jest twoja siostra?

– W drodze. Jest z nią Cade.

W zasadzie to tylko moje pobożne życzenie, ale niepotrzebny nam przedwczesny poród.

Travis, wyczuwając, że coś nie gra, obejmuje JoAnn i zniża się, żeby pocałować jej spory brzuch.

– Idź, Jo. Też powinnaś odpocząć.

– Sama? Nie ma mowy. Wpadłam na plan jakiegoś filmu gangsterskiego czy co? – JoAnn rozgląda się i kładzie rękę na brzuchu. – Rozumiem, że

właściciel tego miejsca cierpi na masę kompleksów? Po co mu tyle przestrzeni? O Boże, jest nawet kort tenisowy!

Uśmiechamy się z Travisem do siebie, ale nie sędzę, żeby cieszyła nas ta sytuacja. Miło, że chociaż jej się podoba, skoro ma tu zamieszkać.

– Mogłabyś zajrzeć do Mariny? Będzie jej trochę różniej – pytam, a ona odpowiada mi skinieniem głowy.

– Marina jest w ciąży, kochanie – zdradza Travis, a ja nie mam możliwości nic więcej dodać, bo z oddali dostrzegam Camino, który przywołuje mnie gestem dłoni.

– W ciąży? – woła JoAnn. – Dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej?

– Idźcie, później pogadamy – rzucam i biegnę w stronę Camino. – Co z moją siostrą?

– Jest mały problem, Troy.

– Jaki?

– El Bonito pojechał wpłacić za nią okup. Tecate nie chcą jej przepuścić.

Zaciskam pięść w powietrzu. Wiedziałem, że nie odpuszczą, ale miałem nadzieję, że Cade zrozumiał moje polecenia i wybrał wyznaczoną trasę. Po raz kolejny zaprezentował mi szczyt swojej głupoty, ale tego, że naraził życie mojej siostry, mu nie podaruję.

– Zabiję skurwysynów... – Sapię jak dzikie zwierzę. – Ile?

– Milion. – Rozluźniam twarz i uspokajam oddech. – Dolarów.

Kolejny milion długu.

Kolejna przysługa.

Jestem skończony.

– Oddam ci co do centa, ale musisz sprowadzić ją do domu. Tylko ty możesz to zrobić.

Camino unosi głowę, by być wyższym, niż jest w rzeczywistości, i mruży oczy.

– Dbam o swoich ludzi, Troy. Nie musisz się o to martwić, nie spadnie jej włos z głowy.

Powinienem odczuć ulgę, ale jego słowo mi nie wystarcza. Zamieniam się w kupę gówna. Wiem, że nie skupię się na kolejnym kroku, póki nie zobaczę pyskatej gęby mojej siostry.

– Tego nie możemy być pewni.

– Ależ możemy, mamy matkę jednego z nich i córkę. – Marszczę brwi. Nie porywamy kobiet i dzieci. – Życie za życie, przyjacielu. Złamali

zasadę, poniosą konsekwencje.

Odchodzę i kieruję się do domu, żeby sprawdzić, jak czuje się Marina. Chcę wiedzieć, jak się czuje, ale nie chcę żadnych skarg i pytań, na które nie znam odpowiedzi. Wchodzę do pokoju i zastaję ją rozczesującą w połowie suche włosy. Gdy mnie widzi, odkłada szczotkę i skupia się na mnie.

– Gdzie Maria?

Zachowaj spokój.

– W drodze. – Całuję ją w czubek głowy i ściągam z siebie przepoconą koszulkę. – Jadłaś coś?

– Troy, przestań mnie zbywać. Przecież widzę, że coś cię martwi. – Podchodzi do mnie i staje za moimi plecami. – Nic jej nie jest, prawda? – A potem staje naprzeciw mnie. – Prawda?

– Nie, nic jej nie jest. Odpocznij.

– Znowu mnie zostawisz?

Chryste, chcę tylko wziąć prysznic.

Nic więcej.

– Nie, nie zostawię cię. – Jej smutne oczy doprowadzą mnie do szaleństwa. – Mam położyć się z tobą?

– Tak.

– A mogę tylko się odświeżyć?

– Tylko szybko.

Oczywiście, panie generale.

Wchodzę pod deszczownicę i niemal jęczę, gdy chłodny strumień wody uderza mnie w twarz. Cudownie. Człowiekowi tak naprawdę niewiele potrzeba do szczęścia. Opieram dłonie o kafle i wsłuchuję się w szum wody.

Wyciszająca chwila.

– Mam wrażenie, że JoAnn nie chce ze mną rozmawiać.

Marina.

Co się z nią dzieje, do cholery? Od kiedy stała się taka natrętna i nie pozwala mi nawet na chwilę samotności? Uchylam szklane drzwi, żeby móc ją lepiej słyszeć. I żeby sprawdzić, co właściwie tutaj robi.

Usiadła na sedes i sika.

Świetnie.

– Jest zmęczona i do tego jest w ciąży – odpowiadam, zbierając w sobie ostatki sił i dobrych manier.

– Może uważa, że to moja wina. Gdybym nie pchała się w związek z tobą, dalej mogłaby pić herbatę w swoim domu.

– Travis zajmuje się tym samym, co ja. Nikt nie może mieć do ciebie pretensji.

Słyszę, jak spuszcza wodę.

– Ale... czy ona wie, kim jest mój o...

Wyskakuję spod prysznic i chwytam za ręcznik.

– Prosiłem cię.

– Przepraszam.

Mijam ją, bo dzwoni mój telefon.

– Muszę odebrać. – Przykładam aparat do ucha. – Mów.

– Troy?

Maria.

Kurwa mać. Nareszcie.

– Nic ci nie jest?

– Jestem cała. Niedługo będę na miejscu, ale nie licz na radosne powitanie. Co ty sobie, do cholery, myślałeś? Wywróciłeś nasze życie...

Dobra, dobra.

– Porozmawiamy na miejscu. Nie odzywaj się do nikogo, rób to, co musisz, i lepiej, żeby Cade zrobił to samo, rozumiesz?

Chwilę milczy.

– Okej.

Rozłączam się i rzucam komórkę na łóżko.

– Wszystko okej? – pyta mnie Marina.

Po raz pierwszy się uśmiecham.

– Tak. Maria niedługo będzie.

– To może teraz położysz się ze mną? – Pokazuje na wielkie łóżko.

Ale nie mogę się położyć. Nie wiem, czy nie zacząłbym się do niej dobierać, a potrzebuję być na oriencie.

– Przepraszam, ale nie mam teraz nastroju. Jestem zmęczony, głodny i nie mogę się na niczym skupić, dopóki nie zobaczę siostry.

Wiem, że być może ją tym ranię, ale nic na to nie poradzę. W każdej chwili może dojść do krwawej jatki i muszę być w gotowości, a nie paradować ze sterczącym fiutem.

– Jasne, rozumiem. Wygłupiłam się.

Na jej policzkach malują się różowe rumieńce.

Marina Moore zawstydzona?

Nieemożliwe.

– Obiecuję ci całego siebie, jak tylko to wszystko się skończy. Zgoda? –
Chwytam za jej drobną buzię i składam pocałunek na jej ustach.

Marina bez słowa siada na krawędzi łóżka, a ja szukam czystych ubrań w nadziei, że Camino zadbał o moją garderobę. I że pamiętał, jaki noszę rozmiar. Wyciągam białą koszulkę i szare spodenki; na szczęście pasują.

– Będziemy tu mieszkać? – pyta mnie Marina. – Z tymi wszystkimi uzbrojonymi ludźmi?

– Tylko przez jakiś czas.

– Jaki dokładnie?

Zaciskam zęby i zastygam w trakcie wciągania spodni.

– Marina, nie wiem. Przestań mnie co chwilę o coś pytać. Jak się dowiem, to ci powiem. To gówniana sytuacja i nie miałem jej zaplanowanej, chociaż dla ciebie może to wyglądać inaczej.

Kurwa, wiem, że przegiąłem.

Kiedy mam zamiar ją przeprosić, ona staje niczym żołnierz, po czym rzuca z łóżka moją koszulkę i skarpetki.

– Wiesz, na co mi to wygląda? Ty niczego nie wiesz! W ogóle nie myślisz o tym, co dalej! O tym, że mamy w drodze dziecko! Liczy się tylko praca dla tego całego Camino!

Ja nie myślę o tym, że będziemy mieli dziecko? Przez ostatnią dobę nie potrafię myśleć o niczym innym!

– Nie wiesz, co mówisz.

– Możliwe. A ty nie wiesz, jak to jest być głową rodziny, i tu mamy prawdziwy problem, Troy.

Idzie do drzwi.

– Dokąd idziesz? Marina!

Nie odpowiada, tylko zatrząskuje je za sobą.

– Kurwa mać! – Uderzam pięścią w stolik i wypuszczam powietrze przez nos. Wszystko się pojebało. Dosłownie wszystko. Zakładam resztę rzeczy i uświadamiam sobie, że nie zadbałem o to, czy Marina ma się w co przebrać. Czy może być gorzej? Jasne, że tak. Zawsze może być gorzej.

Wychodzę z pokoju do rozległego foyer i szukam jej wzrokiem, ale nie ma po niej śladu. Mijam żołnierzy zajętych graniem w karty albo plotkowaniem ze służbą. Tak, płatni zabójcy też mają tradycyjne upodobania.

– Siema, T – woła za mną El Smiley. – Twoja dziewczyna siedzi przy basenie.

– Sama?

– Tu nigdy nie będzie sama. Ale za to bezpieczna. Wiedzą, do kogo należy.

Celuję w niego palcem.

– Nigdy przy niej tego nie mów.

– Przywitałem się z nią. – Mogłem się tego spodziewać. – Zapytała, czy może usiąść przy basenie.

El Smiley szeroko się uśmiecha.

– Co?

– Jeszcze żadna kobieta nie pytała mnie, czy może usiąść przy moim basenie.

Chciałbym mu właśnie zajebać, żeby trochę zmęźniał, ale to zbyt ryzykowne.

– Widocznie żadna z kobiet, które poznałeś, nie wiedziała, co to dobre wychowanie.

– Nie spinaj się tak, Troy. Nie będę próbował ci jej odbić.

Zaczyna rechotać, czym jeszcze bardziej podnosi mi ciśnienie. Gdybym nie pracował dla jego ojca, chętnie uświadomiłbym mu, że dla kobiet takich jak Marina nie liczy się hajs i pozycja. Trzeba mieć jeszcze coś, co sprawi, że zmiękną jej nogi.

A przynajmniej tak to sobie tłumaczę.

– Pogadamy później.

Ruszam w stronę basenu i już za chwilę kucam przy Marinie. Odgarniam jej gęste włosy, pokazując tym samym, że ta słodka dziewczynka należy do mnie.

– Przepraszam. Wybaczysz mi? – Cisza, której się spodziewałem. – Masz rację, nie wiem, jak to jest mieć rodzinę, ale będę się starał. Dla ciebie, dla naszego dziecka. Dla nas.

Całuję ją w przyrumienione i gorące ramię.

– Zaczynij od tego, że rodzina jest najważniejsza.

Rozśmiesza mnie jej buńczuczna postawa. Nigdy wcześniej nie musiałem się starać, by kogoś rozweselić.

– Jesteście dla mnie najważniejsi.

Siadam jak najbliżej niej, żeby trochę ją udobruchać, i obejmuję jej drobne ciało ramieniem. Właśnie tak powinien wyglądać związek. Spacer, kwiatki, czułe słówka i całodobowy seks przy basenie w świetle księżyca. Tak być powinno, ale niestety nie ze mną. Od początku wiedziałem, że nie będę mógł dać jej tego wszystkiego, ale nie potrafiłem z niej zrezygnować, bo jestem pierdolonym egoistą.

Do tego wszystkiego zrobiłem jej dziecko. Zrobiłem dziecko dobrej dziewczynie, która miała do zdobycia cały świat, i zamknąłem ją w złotej klatce.

Tymczasem ona opiera głowę o moje ramię, co znaczy dla mnie więcej, niż jest w stanie sobie wyobrazić. Jest tu ze mną. Nie uciekła. I mam nadzieję, że zdobędę jej serce, tak jak ona zdobyła moje.

– Dlaczego mam wrażenie, że jestem obserwowana? – pyta mnie po długiej chwili.

– Bo pewnie jesteś. To ich praca. Nie są zbyt rozmowni, podobnie jak ja, ale dbają o bezpieczeństwo, więc pozwól im się chociaż napatrzeć.

Osobiście w ogóle mi się to nie podoba, ale co mam jej powiedzieć? Sytuacja jest tak patowa, że sam już nie wiem, jak składać zdania, by miały jakikolwiek sens. To oczywiste, że nie chcę, by ktokolwiek się na nią gapił, ale lista rzeczy, na które nie mam wpływu, robi się coraz dłuższa.

– Chcę zadzwonić do mamy.

Otrząsam się.

– Nie mo... – Urywam, żeby użyć innych słów. – Nie teraz. To zbyt ryzykowne. Telefony na pewno są na podsłuchu, a twój ojciec zrobi wszystko, żeby mnie dopaść.

Unosi na mnie swoje ciemne smutne oczy.

– Czy... czy mojemu ojcu coś grozi?

– Nie. – Stanowczo kręcę głową i z czułością dotykam jej policzka. – Nigdy bym na to nie pozwolił.

Uśmiecha się, więc ja także. A potem proszę gospozię o napoje oraz dużo jedzenia, zaklinając ten parszywy los, by moje słowa miały jakąkolwiek wartość.

ROZDZIAŁ 3

MARINA

Siedzę w ogrodzie i puszczam bańki mydlane z trójką dzieci. Okrążona przez armię zabójców z przewieszoną przez ramię bronią. I zastanawiam się, czy dla tych dzieci to wszystko jest normalne. Właśnie w taki sposób widzą świat i dorosłych? Jeśli tak, jest to również smutne. I w ten sam sposób zaczynam myśleć o swoim życiu i o życiu swojego dziecka.

Jedna z dziewczynek czesze palcami moje włosy, druga gładzi mnie po policzku, a chłopiec puszcza mi bańki prosto w twarz. Chichoczą, przepychają się, żeby być bliżej mnie, ale po raz pierwszy nie mam ochoty na towarzystwo dzieci. Nie chcę, żeby tu były. Powinny bawić się na placu zabaw, otoczone rówieśnikami i pod opieką swoich rodziców.

Moją głowę zaprzęta tyle myśli, że przestałam już je nawet selekcjonować. Myślę o mojej mamie, o moim tacie i o tym, czy już mnie szuka. Czy grozi mi coś za ucieczkę z przemytnikiem? Czy wie, że jestem w Meksyku?

A potem zastanawiam się, po co temu całemu Ignaciowi tylu uzbrojonych ludzi? Przecież nie ma szans, żeby ktoś się tu dostał, chyba że z powietrza, ale to i tak wielkie ryzyko. Mam wrażenie, jakby to wszystko znajdowało się w wielkim kraterze, bo otaczają nas pasma wysokich gór. Jestem pewna, że nie miałabym szansy stąd uciec.

Patrzę, jak podjeżdża opancerzony samochód. To już trzeci, ale wciąż nie wysiada z niego Maria ani Cade.

– Kim jest ta kobieta? – pytam, spijając z ręki sok, który pociekł z kawałka arbuza.

– Nie wiem, nie znam wszystkich kobiet mieszkających w Meksyku – odpowiada Troy.

– Spokojnie, nie podejrzewam cię o to.

– Odniosłem inne wrażenie.

Nie wątpię. Ja natomiast odnoszę wrażenie, że to ściema. Co godzinę pojawia się tu jakaś laska w kusym wdzianku i wiesz się na którymś z ludzi Camino albo jego synach. Sam gospodarz zamknął się w swoim gabinecie i rzadko kiedy raczy nas swoją obecnością, ale... coś mi tu nie gra. Te panie nie przychodzą tu na plotki ani do pracy. Czy ktoś je zaprasza? Czy Troy je wcześniej już widział? Spał z którąś z nich?

Jestem zazdrosna.

Nie jesteśmy ze sobą długo, wstyd powiedzieć, ale tak na dobrą sprawę ledwo się znamy, a spodziewamy się dziecka. Niedługo będę miała wielki brzuch i nie będę dla niego tak atrakcyjna, jak bym chciała. I co wtedy? Zdradzi mnie? Byłby do tego zdolny?

– Jedna ładniejsza od drugiej.

Nie powiedziałam tego na głos, prawda?

– Niczego ci nie brakuje. Wiem, że czujesz się nieswojo, i tutaj też roi się od facetów, ale... – Milknie na sekundę, może trzy. – Ufam ci.

Prycham. Dobre sobie.

– Nawet gdybyś mi nie ufał, nie masz czego się bać. Przecież nikt nie zacznie podrywać kobiety przyjaciela Camino. – Zsuwam okulary na czubek nosa i patrzę na niego ponad rantem oprawek. – Nie jestem taka głupia, Troy.

– To akurat wiem. – Wskazuje brodą na półmisek z jedzeniem. – Jedz, bo coś słabo z twoim apetytem.

Chwytam za kolejny kawałek arbuza.

– A kim jest tamta kobieta?

– To żona Camino.

– Poprzednio mówiłeś to samo.

– Bo to jego druga żona – odpowiada znużonym głosem.

– A, aha.

Mam ochotę zapytać, czy on też będzie poligamistą, ale zamiast tego postanawiam iść do pokoju, żeby odpocząć od parzącego słońca. I od zazdrości, która gotuje mi krew w żyłach.

– Dokąd idziesz? – Troy ciągnie mnie za rękę, więc się zatrzymuję. – I do tego bez słowa?

– Do pokoju. Daj mi znać, kiedy przyjedzie Maria.

– Odprowadzę cię.

Kładę dłoń na jego piersi.

– Nie. Poradzę sobie, chcę побыć trochę sama.

– Jesteś na mnie zła?

Tak.

I nie.

– Nie, jestem po prostu zmęczona.

– W porządku.

Kiwa głową do jednego z żołnierzy, który idzie za mną, pochrząkując co jakiś czas. Mieć za plecami nieznanego uzbrojonego faceta to marne pocieszenie, ale chyba nie pozostało mi nic innego, jak się do tego przyzwyczaić.

Wchodzę do swojego wielkiego pokoju urządzonego w stylu art déco i siadam na krawędzi łóżka, myśląc, jak skontaktować się ze światem zewnętrznym. Postanawiam przeszukać pokój z nadzieją, że znajdę w nim telefon komórkowy – widziałam na własne oczy, że Troy ma ich kilka sztuk. Każdy inny, każdy do czegoś innego i w każdy z nich pakowana jest nowa karta po każdym użyciu.

Po dwudziestu minutach po drugiej stronie drzwi słyszę podniesiony damski głos, więc przybliżam się i nasłuchuję. Po chwili drzwi się otwierają, uderzając mnie centralnie w czoło.

– Ach...

– Nic ci nie jest? – pyta wystraszony Troy, po czym sprawdza moją głowę.

– Nie, tylko następnym razem pukaj.

– Mam pukać do własnego pokoju? Co robiłaś przy drzwiach?

– Podśluchiwałam – odpowiadam bez głębszego zastanowienia. – Z kim rozmawiałaś?

Troy unosi brwi.

– Z Marią.

– Już jest?

– Tak – oznajmia, ale nie wygląda na zadowolonego.

– Pójdę do niej.

– Może poczekaj, aż będzie miała lepszy humor.

– Jest zła na ciebie, nie na mnie.

– Jak chcesz.

Wzrusza ramionami i rzuca się na łóżko. Nie podoba mi się kierunek, w jakim zmierza nasza relacja. Zaczynam myśleć, że jestem mu już obojętna albo co gorsza, że ja i dziecko jesteśmy dla niego ciężarem. Może Maria pomoże mi poczuć się tutaj odrobinę lepiej.

Nie pukając, otwieram lekko uchylone drzwi, zza których dobiega jej głos, po czym rzucam się w jej ramiona.

– Maria! Tak bardzo się o ciebie martwiłam! – Odsuwa się ode mnie, czym mocno, bardzo mocno mnie zaskakuje.

– Czyżby?

Unoszę w zaskoczeniu brwi.

– Nie rozumiem? Oczywiście, że się martwiłam.

– Jak mogłaś być tak głupia?

Mija mnie, żeby nalać sobie wody do szklanki z karafki droższej niż mój ostatni samochód.

Cade też tu jest. Przygląda się nam bez słowa, raz po raz posyłając mi pocieszające spojrzenia.

– Bo?

Mija dobra minuta, zanim Maria staje blisko mnie. W zasadzie jest mi jej żal, a raczej tego, jak wygląda: zmęczona, brudna i smutna.

– Zawsze pieprzysz się bez zabezpieczenia czy tylko z moim bratem?

– Maria. – Upomina ją Cade, bo ja jestem w takim szoku, że w pierwszej chwili nie wiem, co powiedzieć.

– Wpieprzyłaś nas w niezłe bagno tą swoją ciążą.

Moją ciążą?

Nie powiem, zabolęło.

– Ja? Raczej sama sobie nie zrobiłam dziecka. Wiesz, jak dochodzi do zapłodnienia, czy wagarowałaś na biologii?

– Och, przepraszam, pani...

Cade wchodzi między nas i unosi ręce, by powstrzymać awanturę.

– Dziewczyny, dziewczyny! Przestańcie. To nie jest najlepszy moment...

– Właśnie że jest, bo wkrótce wszyscy będziemy martwi – odzywa się Maria.

Jeśli myśli, że może mną pomiatać, bo jest Marią Tracker, to grubo się myli.

– Dlatego że jestem w ciąży?

– Dlatego że usidliłaś mojego brata i teraz będzie musiał jeszcze bardziej niż zwykle oglądać się za siebie. Kobieta i dziecko dla przemytników to same problemy i niezła karta przetargowa dla konkurencji. Jeśli mój brat pójdzie siedzieć, to własnoręcznie was uduszę.

Moment. Ja usidliłam jej brata?

W oczach stają mi łzy.

– Od początku miałaś problem z tym, że Troy może kiedyś doczekać się dziecka, prawda? – Staram się powstrzymać drżenie głosu. – A może jesteś zazdrosna, że już nie będziesz dla niego pępkiem świata i wreszcie zajmie się budowaniem prawdziwej rodziny.

– Prawdziwej rodziny? – Prycha. – Nie bądź śmieszna! Nigdy nie będziecie prawdziwą rodziną. Zgnijesz w Meksyku razem z dzieckiem, a Troy będzie szmugłował tony towaru, aż któregoś dnia zostaniecie sami. To jest twoja przyszłość i radzę ci się z nią oswoić.

– Troy na pewno coś wymyśli i wkrótce wrócimy do USA.

– Tak, z eskortą twojego tatusia prosto do różowej celi z szampanem i truskawką w dupie.

– Jesteś fałszywa.

Brwi Marii podskakują aż po linię włosów.

– Fałszywa? Nie, jestem szczerą. Ale ty chyba masz problem z przyswajaniem prawdy i realną oceną rzeczywistości. Zamieszkałaś w domu największego bossa narkotykowego z jego armią płatnych zabójców, a nasz los jest w jego rękach. Cudem będzie, jeśli pozwolą nam zamieszkać we własnym domu i prowadzić namiastkę normalnego życia.

– Dziewczyny, przestańcie. – Cade ponownie stara się nam przerwać, ale żadna z nas nie zamierza się poddać. – Musimy grać w jednej drużynie, a nie przeciwko sobie.

– Gdybym nie jechała przez pół nocy w bagażniku i nie została przetrzymana przez kartel, to może potrafiłabym grać w jednej drużynie. – Mówi do niego, ale jakby do mnie.

– Nic o tym nie wiedziałam... – Spuszczam z tonu.

– A o tym, że Camino wpłacił za mnie milion dolarów, też nie wiedziałaś?

– Nie, Troy niczego mi nie powiedział.

I zastanawia mnie, co jeszcze przede mną ukrywa.

Robię małe kółko po pokoju, a potem podchodzę do okna, by spojrzeć na tych wszystkich ludzi krzątających się w tę i z powrotem.

– Wiem, co sobie myślisz – odzywa się Maria, a ja odwracam na nią wzrok. – Że milion dolarów dla mojego brata to nic. Ale dług wdzięczności to coś więcej niż forsa. A takich pożyczek Troy zawsze unikał.

Wcale o tym nie pomyślałam.

– Więc to wszystko moja wina? Mam się spakować i wracać do Arizony, bo wszyscy macie ze mną problem?

– Nikt nie ma z tobą problemu, Marina – zapewnia Cade.

– Mów za siebie, Cade.

– Zrezygnowałam z własnej matki dla twojego brata. – Staram się nie rozpłakać, ale nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Mnie też jest ciężko, może nawet bardziej niż im, bo ja zostawiłam w Stanach coś więcej niż luksusowe ubrania, samochody i biżuterię.

– Właśnie, a są tacy, którzy oddaliby wiele, żeby mieć taką matkę. Mogłaś wychować to dziecko w domu pełnym miłości i spokoju, a ty wolałaś wpakować nie tylko siebie i dziecko, ale nas wszystkich, w życie, o jakim nigdy nie chciałam nawet myśleć.

– Z miłości do twojego brata! – Rzucam szklanką w ścianę i pokój wypełnia dźwięk roztrzaskującego się szkła.

A potem wybiegam z jej pokoju na korytarz i biegnę na oślep, byleby znaleźć się jak najdalej od nich wszystkich.

Zatem Maria i JoAnn uważają, że to wszystko moja wina, a ja jestem szczęśliwa, bo porzuciłam własnych rodziców, by zamieszkać w Meksyku u barona narkotykowego?

Pieprzone egoistki! Ja też jestem ofiarą. Przecież nie planowałam tego, nawet nie wiedziałam, w co się tak naprawdę pakuję. Po prostu zaufałam facetowi, do którego poczułam coś więcej niż sympatię.

Znajduję ustronne miejsce i siadam pod ścianą, żeby się wyciszyć. O dziwo, nie płaczę. Nie mam ochoty histeryzować ani walić głową w podłogę, może dlatego, że smutek ustąpił miejsca zdziwieniu, kiedy patrzę na długie korytarze prowadzące nie wiadomo dokąd i na przemykające w oddali chichoczące panienki. Przyjeżdżają tu na seks. To więcej niż pewne. Troy przyprowadził mnie do domu, gdzie odbywają się orgie z przemytnikami, a jeden z nich właśnie staje nade mną – i muszę powiedzieć, że jest mało przyjemny.

– Co tu robisz?

Podnoszę się i poprawiam koszulkę.

– E, ja... nic. W zasadzie to... zgubiłam się.

– Nie wolno ci tu być. – Brzmi tak samo, jak wygląda, ale i tak najgorszy jest jego łamany angielski.

– Rozumiem. Przepraszam.

Wymijam go i ze spuszczoną głową idę przed siebie. Chęć zajrzenia do każdego pomieszczenia jest coraz większa, ale wiem, że mogłabym skończyć w plastikowym worku, więc sobie odpuszczam.

– Marina?

To El Smiley. Nie znam go, ale rozumiem, dlaczego tak się nazywa. Urodził się z uśmiechem przyklejonym do buzi.

– Przepraszam, chciałam po prostu chwilę побыć w samotności.

– Coś nie tak? Potrzebujesz czegoś?

Milknę. Potrzebuję kilku rzeczy, ale nie powinnam wchodzić z nim w takie dyskusje.

– Nie wiem.

– Spacer? – Szturcza mnie łokciem. – Chodź, dobrze ci zrobi. Więc co się dzieje? Mój ojciec nie lubi, kiedy jego goście są smutni. Byłby rozczarowany.

Super, brakuje mi jeszcze rozczarowanego mną bossa narkotykowego.

– Bardzo piękna posiadłość. Mieszkacie tu wszyscy?

– Zależy, co masz na myśli, mówiąc „wszyscy”.

Uśmiecha się tak, że nie sposób tego nie odwzajemnić. To miły chłopak, który lubi markowe ubrania i złote pistolety, ale jakimś cudem nie potrafię się go bać.

Możliwe, że od zawsze byłam stuknięta.

– Przepraszam, nie chciałam być wścibska.

– Zawsze tyle przepraszasz?

– Nie.

Oboje wybuchamy śmiechem.

– Troy wspominał, że wyjątkowa z ciebie dziewczyna. – Nie wiem, co na to odpowiedzieć, więc po prostu kroczę obok niego po tym imponującym terenie. – Zastanawia mnie tylko, jakim cudem znalazłaś się między ludźmi takimi jak my.

Opcje są dwie.

Albo właśnie mnie sprawdza, albo faktycznie się nad tym zastanawia.

– Któregoś dnia zadzwoniła do mnie siostra Troya, bo potrzebowała fizjoterapeutki, więc przyjechałam do ich domu i tak go poznałam, a dalej... sam wiesz. Zbliżyliśmy się do siebie.

– I dlatego schowałaś się w kącie?

To pytanie zbija mnie z tropu. Ale jeśli nie odpowiem, wzbudzę większe podejrzenia niż do tej pory.

– Schowałam się, bo... ta cała sytuacja mnie przytłacza. Mieszkam w obcym kraju i w cudzym domu, gdzie krzątają się co chwila nowe osoby, a przy tym nikt nie chce ze mną rozmawiać.

Słabo, naprawdę słabo, Marino Moore.

El Smiley zatrzymuje się i pokazuje rękoma na siebie.

– Ależ ja chcę. Chętnie z tobą poplotkuję.

Znowu chichoczymy.

– Marina. Co ty tu robisz? – Od razu rzędnie mi mina, bo znam ten głos. – Wszędzie cię szukałem.

Swędzi mnie cała skóra głowy. Odwracam się w stronę Troya, a gdy widzę jego naburmuszoną twarz, od razu poważnieję.

El Smiley za to postanawia wciąż być sobą – klepie Troya po plecach, ale ten nie spuszcza ze mnie rozjuszzonego spojrzenia.

Mam to gdzieś, jak Boga kocham.

– El Grande, bracie. Mniej spiny, mniej zmartwień. Wszystko jest pod kontrolą. Twoja piękna kobieta zgubiła się w moim domu, musiałem wskazać jej drogę.

El Grande?

Kim, do cholery, jest El Grande?

– Dzięki za dotrzymanie towarzystwa mojej kobiecie, ale następnym razem przyprowadź ją do mnie.

El Smiley zaczyna się śmiać, przez co mnie też rozśmiesza, mimo że właśnie dolewam oliwy do ognia. Zaciskam usta, żeby się powstrzymać.

– Zrozumiałem. – Salutuje. – Do zobaczenia później, muszę się trochę rozerwać. – Zaczyna kręcić biodrami. – *Ay arriba y arriba. Por ti seré, por ti seré, por ti seré. La, la. Bamba...*

Gdy znika, a jego śpiew cichnie w oddali, Troy chwyta moją rękę i zaciąga mnie za kolumnę, po czym mnie do niej dociska.

– Zrobiłaś to, żeby mi dokopać? – warczy.

Pięknie. Jeszcze dobrze ze sobą nie zamieszkaliśmy, a on już ma ochotę skopać mi dupę. Cieszy mnie jednak fakt, że jest o mnie zazdrosny, bo ja musiałam gasić to uczucie przez kilka godzin, i nie miał zamiaru mi w tym pomóc.

– Co takiego zrobiłam? Może wypiszcie mi wszystkie moje grzechy na papierze, żebym mogła kolejno prosić was o wybaczenie.

– Maria zawsze mówi to, co myśli.

– W przeciwieństwie do mnie?

– Nie, nie o to mi chodziło. Ma długi język. Przejdzie jej. Szukałem cię, żeby cię za nią przeprosić.

– Lepiej naucz ją w końcu samej to robić. Dobrze, że nie podcierasz jej jeszcze tyłka. Idę spać, może jutro obudzę się martwa.

Przyspieszam kroku i idę do domu, żeby się nie rozkleić i nie brzmieć jak małe dziecko, które nie może się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

– Nie wygaduj bzdur. Marina, zaczekaj! – woła za mną.

Nie ma mowy. Nie chcę tego słuchać. Maria to, Maria tamto. Maria miała ciężkie dzieciństwo. Marii się wszystko należy i może wejść mi na łeb, a ja mam siedzieć cicho.

Wchodzę do pokoju i rzucam się na łóżko, po czym bezgłośnie krzyczę w poduszkę. Po kilku minutach słyszę, że Troy też wchodzi do pokoju, i czuję, jak łóżko ugina się pod jego ciężarem. Oczywiście nic nie mówi, a mnie ta cisza powoli zabija od środka. Męcę się i obawiam, że nie zdamy tej próby.

– Chcę wrócić do domu. Ty wcale mnie tu nie chcesz, nikt mnie tu nie chce. Pewnie myślisz, że jestem żałosna i się nad sobą użalam, ale nie chcę żyć w takiej samotności. – Łkam. – Nie minęły dwa dni, a ja już czuję, że przepaść między nami jest coraz większa.

Troy podnosi mnie, żebym usiadła, i odkleja kosmyki włosów od mojej mokrej twarzy. Już nie ma sensu udawać, że sobie radzę, bo jeszcze nigdy nie czułam się tak zagubiona jak teraz.

– Przepraszam. Nigdy nie chciałem, żebyś tak się czuła. – Przyciąga mnie do siebie i gładzi mnie po plecach. – Masz mnie i zawsze tak będzie.

Kręcę głową.

– To są tylko słowa. Ciągłe jesteś nieobecny i wkurzasz się, gdy tylko o coś cię pytam. Myślisz, że tego nie dostrzegam?

Odsuwa mnie od siebie i patrzy mi głęboko w oczy. Kciukiem zgarnia łyżę z moich policzków, a potem przybliży swoje usta do moich i szepcze:

– Nie zostawiaj mnie.

Nie chcę odpowiadać, że nigdy tego nie zrobię, ani zastanawiać się, czy powinnam to zrobić. Jestem emocjonalnie rozdarta i sama nie wiem, jakie decyzje powinnam podjąć dla dobra siebie i swojego dziecka.

Kładę się po drugiej stronie łóżka i nakrywam kołdrą.

– Porozmawiamy o tym jutro – burczę.

Troy kładzie się za mną i mocno mnie obejmuje.

– Tak naprawdę byłem wystraszony tym wszystkim. Bałem się o ciebie, dziecko i Marię. Ale mam was wszystkich przy sobie i w końcu mogę odetchnąć.

– Twoja siostra twierdzi, że zaszłam w ciążę celowo, żeby cię przy sobie zatrzymać. – Pociągam nosem, czując, jak jego ręka ląduje na moim brzuchu i zaczyna zataczać delikatne kółeczka. – Dlaczego nic nie mówisz? Też tak uważasz?

Wyczuwam jego usta przy swoim uchu i wbrew rozsądkowi dostaję gęsiej skórki. Chwyta mnie za biodro i odwraca mnie na plecy. Powoli kładzie się na mnie, opierając rękami o łóżko. Zaczyna delikatnie całować moją twarz i szyję, żeby za chwilę spojrzeć mi prosto w oczy i uraczyć mnie podstępny uśmiechem.

– A może to ja chciałem zatrzymać ciebie?

ROZDZIAŁ 4

TROY

Po rozmowie z moją siostrą, która wyje, odkąd tylko tu przyjechała, i obwinia mnie i Marinę o zrujnowanie jej życia, mam ochotę wpakować ją do tunelu i wysłać gdzieś do Europy. Niesamowicie wkurza mnie to, że widzi tylko czubek własnego nosa. Wszyscy mamy wywrócone życie. Nie tylko ona.

– Dlaczego nie ubierałeś się tak w San Diego? – pyta mnie Marina, kiedy smaruję przyjaraną gębę jakimś kremem z filtrem; jeszcze trochę i będę potrzebował przeszczepu skóry.

– To ciuchy robocze. Camino rzadko kiedy każe nam ubierać się elegancko, żeby nie przyciągać uwagi, ale stwierdził, że dzisiaj mam nosić się gustownie.

– Rozumiem.

Wiem, że nie. Ale przyjdzie na to czas. Camino codziennie przysyła nam wszystkim nowe ubrania, plik pieniędzy i dobrze wyczyszczone broń, którą sprawdzają nam przyszli młodociani przestępcy. To smutne, ale tak właśnie jest i nie zamierzam niczego ubarwiać.

– Gotowa? – pytam Marinę, która kończy układać włosy. Są piękne. Uwielbiam, gdy spływają jej po plecach. Wygląda tak rozkosznie, że wolałbym zostać z nią cały dzień w łóżku.

– Tak, podziękuj siostrze za ubranie.

Uśmiecham się.

Maria nie miała wyboru. Wie, że przegięła, ale nie pozwoliłem jej jeszcze na rozmowę z Mariną. Gówniara musi nauczyć się szacunku do mojej kobiety, tym bardziej że Marina urodzi moje dziecko.

Biorę ją za rękę i prowadzę do wyjścia, gdzie czeka już na nas flota samochodów, które eskortują nas na prywatne lotnisko Camino.

– To bezpieczne? – niepokoi się moja dziewczynka. – Chodzenie po mieście, kiedy szukają nas całe USA?

Pomagam jej zająć miejsce i zapinam pas.

– To Meksyk, wszyscy są tu przekupieni, włącznie z mieszkańcami i policją. Jeśli pojawi się coś podejrzanego, każdy z nich da nam znać, żebyśmy mogli uciec.

– Boże...

Za szybko, Troy.

Za szybko.

– Nie myśl o tym. To ma być piękny dzień. – Zakładam jej włosy za ucho.

– Zabiorę cię na zakupy, a później wyskoczymy na pyszną kolację przy świecach.

– Brzmi romantycznie, ale byłoby fajniej, gdybyś nie wspominał o kolacji na samym początku. Kobiety lubią niespodzianki i spontaniczność.

Uśmiecha się, ale w jej oczach dostrzegam coraz większy smutek. Wiem, że tęskni za rodzicami.

– Zapamiętam.

Całuję jej drobną dłoń, na której nie ma ani grama biżuterii. Nauczono mnie, że kobieta musi dostać wszystko od swojego mężczyzny. Nikt tutaj nie oszczędza na swoich paniach, ale nie wiem, czy Marinie spodoba się życie, które chcę jej ofiarować. Nie przywiązuje wagi do rzeczy materialnych, a ja chcę dać jej i naszemu dziecku wszystko, co tylko mam.

Gdy udaje nam się bezpiecznie dotrzeć na lotnisko, czuję się już o wiele lepiej. Może dlatego, że w przeciwieństwie do niej uwielbiam latać, patrzeć na świat z góry i mieć pewność, że nikt nie może mnie dopaść.

– Troy, ale... wiesz, że nie lubię latać.

– To tylko odrzutowiec, bezpieczniejszy niż samochód. Zaufaj mi, skarbie.

Chwyta moją rękę, po czym wysiada z SUV-a. Po raz kolejny uświadamia mi, że jestem dla niej ważny, ale wciąż czekam na moment, w którym powie, że mnie kocha.

A może ja powinienem to zrobić?

Jak często powinno się mówić kobiecie, że się ją kocha?

– Czuję się jak jakaś królowa.

– Bo nią jesteś. – Całuję jej rękę. – *Mi Reina.*

Posyła mi pełen ciepła uśmiech. Chciałbym, żeby ta chwila trwała wiecznie. Chciałbym móc spotkać ją wiele lat temu i podjąć inne decyzje. Być godzinę tej dziewczyny. Ale skoro nie mogę tego zrobić, zrobię wszystko, by na nią zasłużyć.

Lot okazuje się dla niej bardziej przyjemny, niż sądziła. Oboje podziwiamy krajobraz Meksyku, pokazujemy sobie palcem ciekawe miejsca, chichocząc jak para nastolatków na nietypowej randce. A kiedy już nudzi nam się wyglądanie przez okno, zaczynamy dyskusję o naszych charakterach. Ona opowiada mi o małej Marinie, a ja jej o małym Troyu. Zastanawiamy się, jakie dziecko stworzyliśmy i czyje geny w większości odziedziczy.

Oboje typujemy, że moje.

– Nie chcę psuć tego dnia, ale kiedy będę mogła skontaktować się z mamą? – pyta w pewnej chwili. – Bardzo się o nią martwię.

Kurwa.

– Wiem. I obiecuję, że coś wymyślę. Ale potrzebuję trochę więcej czasu. Też nie podoba mi się to, że nie macie ze sobą kontaktu, więc zrobię wszystko, żebyście mogły porozmawiać.

Kłamię. Nie ufam jej starym i wiem, że kiedy tylko zadzwoni do matki, ta od razu każe jej się pakować i wracać do Arizony. Ale przecież... Marina żyje inaczej niż ja. Ma rodziców, którzy o nią dbają, matkę, która zasłużyła na informacje o tym, jak się czuje jej córka.

– Masz z dwadzieścia telefonów, naprawdę nie mogę skorzystać z ani jednego? Dosłownie na chwilę.

Ma rację. Jak zawsze zresztą.

– Dobrze. Daj mi dobrą, porozmawiasz z mamą.

Piszczy w rękę, czym mnie rozśmiesza, a potem rzuca się na mnie, obcałowując moją zjaraną twarz.

– Dziękuję! Dziękuję! Dziękuję!

Zrobiłbym dla niej wszystko, ale nie mogę pozwolić, żeby ktokolwiek mi ją odebrał. Dlatego muszę jak najszybciej coś wymyślić, żeby mogła skontaktować się z matką i nie została namierzona. Chociaż to głupie. Mike na pewno wie, że zabrałem jego córkę do Meksyku, i szykuje już odwet. Obaj mamy swoje sposoby na tę walkę, ale na razie to ja rozdaję karty. Tylko jak rozegrać tę partię? Nie mogę zabronić mu rozmowy z córką ani ukrywać jej przed rodziną.

Nie wiem, czy Mike kiedyś odpuści ani czy pogodzi się z tym, że Marina urodzi moje dziecko. Jednego natomiast jestem pewny: Michael Moore nie wjedzie niezauważony do Meksyku i nie zrezygnuje, żeby mi dokopać.

Zabieram Marinę do najlepszych sklepów, które są własnością Camino, ale tylko po to, żeby poprawić jej samopoczucie. Chciałbym zabrać ją odrzutowcem na zakupy do innego kraju, ale to zbyt ryzykowne, więc nawet jej o tym nie wspominam. Na razie przyglądam się, jak przymierza stos ubrań i co chwilę pokazuje mi się w czymś innym, a ja za każdym razem mówię to samo:

– Pięknie, naprawdę ci pasuje, kochanie.

– A ta?

– Piękna. Weź je wszystkie.

Zachwyty nad urodą mojej dziewczyny przerywa mi telefon. Wstaję i odchodzę jakiś metr, żeby dobrze słyszeć.

– Był nalot. – To mały Tommy.

– Gdzie dokładnie?

– Coś się stało? – pyta Marina, a ja gestem nakazuję jej milczenie.

– W każdym z twoich domów w Kalifornii. Jednocześnie. Zabrali wszystko. Forse, samochody, biżuterię...

Robi mi się słabo. Wytężam słuch.

– Dom w San Diego?

– Jeszcze nie.

– Magazyny?

– Trzy. Miami, Coral Spring, Long Beach.

Nabieram powietrza i luzuję pasek w spodniach.

– Dzięki za info.

– Odezwę się wkrótce.

Rozłączam się i opadam na pomarańczowy fotel, żeby ochłonać. Gliny robią to celowo. Za wszelką cenę próbują udowodnić ci, że prędzej czy później cię dopadną, a nalot na twoje mieszkania ma być ostrzeżeniem, że depczą ci po piętach.

– To już wszystko. – Marina wychodzi z przymierzalni z naręczem ubrań.

– Zbladłeś czy mi się wydaje? Może przesadziłam?

Wstaję i próbuję zachować zimną krew. Obiecałem niczego więcej przed nią nie zatajać, ale też nie mogę jej o wszystkim mówić.

Ona i dziecko muszą być bezpieczne; nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś im się stało. Niech żyje ze mną, ale obok całego tego syfu.

– Co? Nie, w żadnym razie. Weź wszystko, co ci się podoba.

– Dziękuję.

Gdyby tylko wiedziała, ile mógłbym dla niej zrobić. Ale to zbyt niebezpieczne. Kurwa. Mogę podcierać sobie dupę studolarowymi banknotami, ale nie mogę wydać ich w najlepszych miejscach na świecie z kobietą moich marzeń.

Kurwa.

Idę za nią do kasy i kładę plik studolarówek na ladę.

– Reszty nie trzeba.

Gdy odchodzimy, Marina całuje mnie w policzek i pokazuje ręką za siebie.

– To było naprawdę urocze.

Posyłam jej skromny uśmiech, bo wolę się nie odzywać. Wszędzie i wszystkim zostawiam sowite napiwki. Jak to mówią, *easy come, easy go*.

Żołnierze zabierają torby, a ja intensywnie myślę, jak jej powiedzieć, że musimy natychmiast się stąd związać. Nic nie przychodzi mi do głowy. Nie teraz, nie kiedy jest tak szczęśliwa.

– Jesteś głodna? – pytam ją.

– Troszeczkę.

– Znam fajne miejsce.

Konieczniamy musimy zmienić chociaż ulicę.

Wsiadamy do samochodu. Po drodze wyrzucam połamaną kartę, a kawałek dalej także telefon i odpalam następny, z następną kartą, czekając na kolejne wieści z USA.

Marina mnie obserwuje, ale nie zadaje pytań. Oddycham z ulgą. Nie chcę się kłócić, a tym bardziej nie chcę jej okłamywać.

– Powiedz mi. Wiem, że coś się stało. – A jednak. – Obiecałeś niczego więcej przede mną nie zatajać, Troy.

Zamykam oczy i zaciskam palce na telefonie. Nie chcę jej okłamywać, ale nie chcę też jej martwić. Jedna zmartwiona głowa wystarczy, ale... Jak inaczej ma mi zaufać?

Dlaczego to wszystko jest tak kurewsko ciężkie?

– Był nalot na kilka moich mieszkań – mówię i zaraz dodaję: – Ale to normalne.

– Nie, to nie jest normalne.

Oczywiście, że nie jest.

– Dobrze, dla mnie to normalne. Tak żyję, odkąd pamiętam. Taki już jestem. Proszę, nie zaczynaj.

– Wiem, że taki jesteś. Ale nie wiedziałam, że twoje słowa nic nie znaczą. Obiecałeś być ze mną szczerzy i chociaż wiem, że nie mówisz mi prawdy z troski o mnie, chcę wiedzieć, co się dzieje.

Przez chwilę analizuję jej słowa.

Chcę powiedzieć, że się z nią zgadzam, i zaproponować nową tożsamość oraz życie gdzieś z dala od tego całego gówna, ale jestem realistą. Stąd nie ma odwrotu.

– Najważniejsze, że nic złego nie dzieje się między nami. Reszta to sprawy zawodowe. Zabrali wszystko, co materialne, a to ma dla mnie mniejsze znaczenie niż to, że jesteś obok mnie. Nie poradziłbym sobie, gdyby ktoś mi ciebie odebrał. – Całuję jej drobną dłoń.

Działa. Może jednak kobiety nie są tak skomplikowane?

W ciszy przebijamy się kilkoma ulicami, żeby zgubić trop, ale wciąż jestem na oriencku i w kontakcie z zaufanymi mieszkańcami w każdej z dzielnic. Kiedy dostaję krótką wiadomość: „Czysto”, mam pewność, że amerykańskie gliny jeszcze nie znalazły sposobu, żeby się tu przedostać. Oczywiście mogłyby, ale wolą działać po cichu, niż ryzykować strzelaninę na całą TJ i utratę swoich ludzi.

– Jak tu pięknie – zachwyca się Marina.

Mam ochotę stwierdzić „A nie mówiłem”, ale zamiast tego razem z nią obserwuję radosnych mieszkańców.

– Są biedni, ale z jakiegoś powodu potrafią cieszyć się życiem – mówię.

– Nie wiedziałam, że stać cię na tak głębokie przemyślenia.

Zaczynam się cicho śmiać.

– Uważasz mnie za jakiegoś wyrzutka, co?

– Nie, to ty siebie tak postrzegasz. A tak naprawdę jesteś miłym gościem.

Miłym gościem?

Mam ochotę wybuchnąć śmiechem, ale druga półkula mózgu podpowiada mi, że to dobrze, że ma o mnie takie zdanie. Czy nie tego właśnie chciałem? Spotkać kobietę, która zobaczy, kim tak naprawdę jestem. Chociaż ja sam nigdy tego nie wiedziałem.

– A w łóżku? Też jestem miły? – pytam, a ona zdecydowanie kręci głową, czym znowu mnie rozśmiesza. – Lubisz mnie takiego?

– Przecież wiesz.

Wyduś to, mała.

Powiedz, że mnie kochasz.

– Kiedy wcześniej wyznawałaś mi miłość, mówiłaś to szczerze? Czy pod wpływem emocji i chwili?

Marina się uśmiecha, przygryzając dolną wargę.

– Pytasz, czy naprawdę cię kocham, czy może tylko tak bardzo lubię się z tobą pieprzyć, że wydaje mi się, że to miłość?

Rozśmiesza mnie tym.

– Kobiety i ich niezawodna pamięć. Ale tak, pytam o to pierwsze.

– A ty?

– Nie znam się na tym. Czuję do ciebie coś silnego, uzależniającego i wiem, że nie poradziłbym sobie, gdybyś odeszła.

– Tak. To na pewno miłość.

Wybucham śmiechem. Wygrała.

– W porządku. Nie będę na ciebie naciskał. Nie jestem dobry w te klocki.

– W te może i nie.

Masuję się po piersi. Mam wrażenie, że po raz pierwszy czuję, że mam serce. To nie jest tak, że nigdy go nie miałem, ale... możliwe, że było zamrożone. Jej ciepłe słowa sprawiają, że każda komórka mojego ciała się budzi. Chciałbym poznać siebie naprawdę. Czy jestem zdolny do okazania takiej miłości, jaką widuje się w filmach? Jakim będę ojcem? Czy bezwzględność dziedziczy się w genach, czy jednak człowiek ma szansę być przeciwieństwem swoich beznadziejnych starych?

Pociesza mnie fakt, że skoro wybrała mnie taka dziewczyna jak Marina, to może mam szansę być kimś lepszym. Jedno wiem na pewno: zrobię dla nich wszystko, chociaż nie mogę obiecać jej powrotu do dawnego życia.

– El Grande! El Grande! – Mieszkańcy kładą się na nasz samochód i opierają ręce o szybę, więc ją opuszczam i podaję im plik pieniędzy, mówiąc, że mają się podzielić.

– Więc to ty jesteś El Grande.

– Tak nazwał mnie Camino – odpowiadam, gdy czuję, że ktoś szarpie mnie za koszulkę. To Pancho. – *Tranquilo*, Pancho. – Podaję mężczyźnie kolejny zwitek banknotów.

– Często rozdajesz biednym pieniądze?

– Tak, większość swoich pieniędzy oddaję. Tak samo jak Camino.

– Dlaczego?

Żeby kupić ich lojalność, bezpieczeństwo i moc utrzymać władzę. Osobiście lubię też się dzielić, bo wiem, co to znaczy głód, ale nie wiem, czy chcę jej o tym mówić.

– Nie ma powodu. – Spuszczam wzrok na swój zegarek, bo nie chcę patrzeć na nią, gdy w głowie przewijają mi się wspomnienia z dzieciństwa.

Marina unosi palcem moją twarz, więc biorę się w garść i spoglądam na jej uśmiechniętą słiczną buzię.

– Myślę, że masz dobre serce, ale wciąż tego nie dostrzegasz.

Mam wrażenie, jakby tymi słowami oderwała głaz z mojej piersi. Czuję się lżej. Inaczej. Przy niej wszystko przestaje mieć znaczenie. Czekam już tylko na moment, w którym poczuję, że kocha mnie tak, jak ja kocham ją. Przysięgam, że niczego więcej nie pragnę oprócz bezgranicznej miłości tej pięknej istoty.

Czasami myślę, że podjęła taką decyzję ze strachu, że po prostu bała się samotnego macierzyństwa. Ciężko mi uwierzyć, że ktoś mógłby kochać mnie tak bardzo, by zrezygnować dla mnie ze swojego słodkiego życia.

I boję się każdego dnia, w którym mogę usłyszeć, że chce wrócić do domu. Już tyle razy zegnałem się ze światem, ale to nic w porównaniu z tym, że mógłbym ją stracić.

Miłość jest szalona i nic się z nią nie równa.

– Dokąd teraz jedziemy? – pyta mnie Marina.

Szkoda, że to zawsze ja muszę spieprzyć miły nastrój.

– Wracamy do domu.

– Nie mamy domu.

Smutek w jej głosie sprawia, że mam ochotę w tej chwili wysiąść z samochodu i zapytać ją, który dom jej kupić. Ale nie mogę. Muszę to omówić z Camino.

– Wracamy do domu Camino, który jest naszym tymczasowym domem.

– Ale myślałam, że...

Wiem, obiecałem jej kolację przy świecach. Ale to teraz zbyt ryzykowne. Muszę odeskortować ją w najbezpieczniejsze miejsce, a takim miejscem jest dom Camino.

Zaciskam mocniej jej rękę schowaną w mojej.

– Obiecuję, że jeszcze będzie normalniej.

– Chcę zobaczyć się z lekarzem.

– Przyjedzie do domu Camino.

– Ginekolog?

– Tak.

– Muszę mieć zrobione USG.

Przyciągam jej usta do swoich, żeby dać jej całusa.

– Będziesz miała.

Rozchyła lekko wargi, a ja mam ochotę wsunąć między nie swój napalony język.

– O. Jasne. USG. W domu.

– Przyzwyczaisz się. – Muskam jej twarz. – Zobaczysz.

– Mam taką nadzieję.

Opiera głowę o moje ramię, a ja z bólem zamykam oczy.

– Proszę. Uwierz we mnie. Daj mi szansę cię uszczęśliwić.

– Wierzę w ciebie, Troy – szepcze. – Potrzebuję tylko trochę więcej czasu.

Dam jej tyle czasu, ile potrzebuje, byleby tylko nie przestała we mnie wierzyć. Jeszcze nigdy nie miałem dla kogo się starać. Nigdy nie przypuszczałem, że będzie mi dane założyć rodzinę, i to z taką kobietą. Nie mogę tego spierdolić.

I ona także.

ROZDZIAŁ 5

MARINA

Minęło prawie osiemdziesiąt godzin, odkąd nie mam kontaktu z rodzicami. Przysięgam, że jeszcze chwila, a skończę na xanaksie. Chcę wiedzieć, że wszystko z nimi dobrze, że nie wyrzekli się mnie, bo zostawiłam ich bez pożegnania, bez ani jednego słowa, bez sensownego wytłumaczenia.

Nigdy nie podejrzewałam się o coś tak podłego. A jednak. Grzeczne dziewczynki też bywają niewdzięcznymi sukami. Może tata miał rację? W kółko powtarzał, że Troy zaimponował mi swoją pozycją, ale ja wiem, co miał na myśli.

Córeczka tatusia chciała liznąć zakazanego owocu i wybrała niegrzecznego chłopca. Typowy materiał na toksyczny romans.

A jednak nie potrafię go zostawić.

Chowam twarz w dłoniach i dławię zawodzenie. Muszę się z tym oswoić, i to jak najszybciej. Ciągłe potrzebuję czasu, mam wręcz wrażenie, że szastam nim, choć wcale go nie mam. Tyle że nic nie mogę na to poradzić. To zły świat ze złymi ludźmi. Nigdy nie chciałam mieć z nimi do czynienia, tymczasem stałam się jedną z nich.

Wstaję i biorę się w garść. I chociaż nie mam najmniejszej ochoty pojawić się dzisiaj na tej kolacji, będę musiała, ponieważ Ignacio Camino osobiście mnie na nią zaprosił. Temu człowiekowi się nie odmawia.

Ktoś puka do drzwi.

– Proszę.

– Przyjechały kolekcje ubrań. – To piętnasta gosposia tego domu, jeśli jestem dobra w obliczeniach. Wszystkie są dla mnie bardzo miłe, więc gdzieś w sercu czuję namiastkę domu.

Od godziny grzebię w swoich nowych rzeczach, żeby jak najlepiej się prezentować. Ubrania są piękne, z metkami z jedwabiu i ręcznym wykończeniem każdego szwu, a w dodatku leżą na mnie, jakby zostały uszyte na miarę. Jak to możliwe, skoro dopiero tu przyjechałam? A może były uszyte dla innej kobiety o tych samych wymiarach?

W każdym opakowaniu jest ręcznie podpisany bilecik. Na przykład taki: „Zdrowia i wielu przespanych nocy”. Siadam i podkurczam nogi, gapiąc się na to, co mnie otacza.

Cholernie to wszystko wyrefinowane, stwierdzam w duchu.

– Nie wiedziałam, że projektanci mody w ogóle wiedzą o moim istnieniu – mówię, nie oczekując odpowiedzi.

– Co mam pani powiedzieć? To tak działa. Im więcej pieniędzy się ma, tym głośniejszym się człowiek staje – odpowiada gospoia.

Coś w tym jest.

– Skąd Troy zna tych wszystkich ludzi? – pytam, bo jestem naprawdę ciekawa. Rozumiem, że jest bogaty i ma kontakty, ale jest też przemytnikiem. Te pieniądze są brudne. Wychodzi na to, że to nie ma znaczenia.

– Wystarczy, że złożył obfite zamówienie i zostawił jeszcze obfitsze podziękowania – mówi gospoia. – Będzie pani pierwsza dostawała katalogi, ale o jedno panią proszę.

Patrzę na nią wyczekująco.

– Tak?

– Proszę, aby nie zamieniła się pani w *Buchonę*.

Marszczę brwi.

Nie rozumiem.

– Kogo? Kim jest *Buchona*?

Kobieta uśmiecha się, jakby mi współczuła.

– Proszę przyjrzeć się dzisiejszym gościom płci żeńskiej.

Odprawiam ją bladym uśmiechem i siadam na łóżku. Zaciskam dłonie na twarzy, żeby się ogarnąć.

Nie chcę tam iść. Nie pasuję do tego miejsca.

Wiem, że dopóki nie porozmawiam z rodzicami, nie będę w stanie normalnie funkcjonować.

Ktoś znowu puka do drzwi. Kolejna gospoia, która już nawet nie czeka na moje „proszę wejść”.

– Pan Troy prosił, żeby to pani przekazać – mówi, pokazując mi małe pudełko.

– Co to jest?

– Zapewne coś błyszczącego. Pomóc?

– Nie, proszę to położyć.

– Oczywiście.

Wychodzi, zostawiając mnie w ułudzie szczęścia. One wszystkie tutaj nie rozumieją mojego nastroju. Bo przecież mam bogatego faceta, który je przy jednym stole z ich chlebodawcą. Który z kolei ma większą władzę niż sam Jezus. Powinnam się cieszyć i być wdzięczna za życie, jakie dostałam, choć nigdy o nie nie prosiłam.

Wątpię jednak, że ma to w tym domu jakiegokolwiek znaczenie.

Minęła kolejna godzina, która niczego nie zmieniła. Nikt, oprócz gosposi, do mnie nie zajrzał. Nawet mój własny chłopak, którego podglądam właśnie przez okno. Jest szczęśliwy, rozgadany i kompletnie niezainteresowany tym, czy żyję.

Są też Maria i JoAnn. Świetnie się razem dogadują, więc tym bardziej nie mam ochoty tam schodzić. Ale gdy dostrzegam te wszystkie piękne panienki kręcące się dookoła posiadłości, zdaję sobie sprawę, że wpadłam nie tylko w sam środek paszczy lwa – weszłam na ring. Nie chcę z nikim konkurować o Troya, ale mój kobiecy instynkt podpowiada mi, że muszę mieć oczy dookoła głowy.

Wzdycham, słysząc ponowne pukanie do drzwi.

– Mogę wejść?

Na dźwięk młodego słodkiego, wręcz melodyjnego głosu gwałtownie się odwracam. W progu stoi piękna (to zaczyna być nudne) Meksykanka obwieszona całym sklepem jubilerskim i ewidentnie zaprzyjaźniona z lekarzem medycyny estetycznej.

– Kim jesteś? – pytam bardziej zaniepokojona, niżbym chciała.

Dziewczyna uśmiecha się życzliwie.

– Spokojnie. Nie miałyśmy okazji się poznać, ale jestem córką Ignacia. Mam na imię Isabela. – Podaje mi dłoń. Bizuteria zdobi każdy jej palec.

Odwzajemniam uścisk i lekko się odprężam.

Córka Ignacia. Pogubiłam się już, serio.

– Marina – mówię, ale nie wygląda mi na taką, którą interesuje, jak mam na imię. Raczej co mam w szafie, na sobie i czy przestrzegam zasad

pielęgnacji twarzy.

– Wszyscy na ciebie czekają – mówi jeszcze ciepłej. Jej aksamitny głos mnie uspokaja. – Potrzebujesz pomocy? Otuchy? Wyglądasz pięknie, ale brakuje ci biżuterii. – Chwyta za czerwone pudełeczko leżące na mojej toalecie, które Troy postanowił przekazać mi przez gosposię. – Mogę? – Podnoszę włosy, żeby założyła mi olśniewający naszyjnik. – Jeszcze kolczyki, pierścionek i bransoletka.

– Nie za dużo tego? – upewniam się.

Isabela odsłania w uśmiechu idealnie równe i idealnie wybielone zęby i grzebie w biżuterii.

– Tu nie ma takiego pojęcia.

– Zauważyłam.

Chichocze, czym trochę mnie rozwesela. Jest miła, a to obecnie w zupełności mi wystarcza. Niesamowicie wkurza mnie fakt, że zamieniam się w Marię. Teraz wiem, dlaczego tak bardzo pragnęła zwykłej rozmowy i obecności miłej koleżanki. Mam tu wszystko, zapewne mogę kupić rzeczy, o których nigdy nie śniłam, a brakuje mi tego, co jest za darmo.

Smutne.

Wychodzimy przed dom, gdzie od razu zostaję zauważona, ale może dlatego, że Isabela trzyma mnie pod rękę. Wszyscy witają się ze mną skinieniem głowy i uśmiechem, chociaż widzimy się pierwszy raz w życiu.

Przytłaczające.

– Poradzisz sobie? – pyta mnie Isabela, a ja potakuję. Przecież nie będę prosiła ją, żeby była moją niańką.

Chociaż bardzo bym tego chciała.

W oddali widzę Troya. On również mnie dostrzega i od razu wrywa się w moją stronę. Jest szczęśliwy. Ja też powinnam się cieszyć. Ale nie potrafię.

– Ślicznie wyglądasz – mówi i całuje mnie w szyję. – Podobają ci się ubrania?

Wolałabym, żeby zapytał o moje samopoczucie i o to, czego rzeczywiście potrzebuję.

– Tak, ale trochę ich za dużo. Zwłaszcza że niedługo nie będę się w nie mieściła.

– Uszyją ci nowe.

Tak. Uszyją mi nowe. Żaden problem, Marino. Przestań w kółko to powtarzać, on ma to gdzieś. Oszczędź sobie.

Troy całuje mnie w policzek i prowadzi do stołu. Oczywiście idę z nim, bo rozum zostawiłam już dawno temu w San Diego.

Stół pomieściłby całe miasto, a na samym jego szczycie siedzi pan i władca tego domu – oraz mojego życia.

– Marino, usiądź przy mnie – mówi Ignacio, wskazując na krzesło po swojej lewej stronie. – Jesteś dla mnie szczególnym gościem. – Troy odsuwa mi krzesło, więc siadam. On zajmuje miejsce również po mojej drugiej stronie. – Jak ci się u nas podoba?

Uhm.

Rozglądam się po gościach, którzy są we mnie wpatrzeni jak w jakąś niespotykaną postać, która ogłosi zaraz ważną nowinę. Stresuje mnie to do tego stopnia, że nie potrafię wymyślić żadnej sensownej i bezpiecznej odpowiedzi. Mimo że istnieje tylko jedna odpowiedź.

– Jestem panu wdzięczna za gościnę.

To tyle, na ile mnie stać. Wymuszam uśmiech i wycieram spocone dłonie w materiał sukienki.

– Mów mi po imieniu.

Jest czymś bardzo podekscytowany. Mam nadzieję, że Troy nie zgodził się mu mnie wypożyczyć na jedną noc w ramach wdzięczności.

– Na co masz ochotę? – pyta mnie mój chłopak, ale to, na co mam teraz ochotę, sprawiłoby, że zginęlibyśmy w ułamku sekundy.

Najchętniej bowiem rozpieprzyłabym cały ten apostolski stół i wbiła złote widelce w tego idealnie wypieczonego indyka.

– Poproszę kawałek piersi indyka – szepczę, układając serwetkę na udach i unikając palących spojrzeń zgromadzonych.

Skupiam uwagę na swoim talerzu, ale w ogóle nie odczuwam przyjemności z jedzenia. Wnioskuje, że jest pyszne, bo Ignacio kocha dobrze zjeść, ma swoich kucharzy i najzdrowsze, wyselekcjonowane produkty.

Potem co jakiś czas śmielej podpatruję gości. Uważam, że są kimś ważnym, widzę nawet Amerykanów z partnerkami. Nie wiem, czy to dobrze, że Ignacio ma takie znajomości, ale bardziej zastanawia mnie teraz mina Marii i to, że ciągle na mnie zerka. Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy

chciała mnie zabić. Może jej przeszło? Liczę na to, bo bardzo mi jej brakuje.

– Prosimy o ciszę – mówi Ignacio, wyciera usta serwetką i rzuca ją obok talerzyka, a potem wstaje. Jest niewiele wyższy niż ten stół.

– ¡*Silencio!*

Gdy nachyla się do mnie z uśmiechem, treść żołądka podchodzi mi do gardła.

Klamka zapadła.

Nie lubię go.

– Marino, wstań, proszę. – Podaje mi dłoń, a ja szybko spoglądam na Troya, który skinieniem głowy daje mi znać, żebym to zrobiła.

Grzecznie wstaję, podaję mu rękę i zastanawiam się, czy Ignacio mnie tutaj o nią nie poprosi. Moje nogi zaczynają się trząść i mam odruch wymiotny, ale wtedy nagle czuję, jak Troy chwyta mnie za lewą dłoń i całuje. A potem postanawia stanąć obok mnie i objąć mnie w pasie. Jednak ten cały rytuał w ogóle nie sprawia, że czuję się lepiej.

Wręcz przeciwnie – w ustach mam metaliczny posmak, a moje ramiona i kolana stają się wiotkie. Jeśli zemdleję, to będzie najlepsze, co mogłoby mi się teraz przytrafić.

– Ta oto piękna i młoda kobieta – zaczyna Ignacio – i mój prawie syn, Troy, spodziewają się nie jednego dziecka. – Wyrzuca przed siebie dwa palce i szeroko się uśmiecha. – Ale dwojga!

Dookoła rozbrzmiewają oklaski, piski i śmiech gości.

– Brawo! Brawo! Brawo!

Kelnerzy z hukiem otwierają szampana i polewają go do kieliszków. Wszyscy wstają, wpatrując się we mnie i Troya, jakbyśmy tworzyli jedną wielką i szczęśliwą rodzinę.

A ja jestem w takim szoku, że muszę przypominać sobie o oddychaniu.

– Wkrótce przywitamy na świecie bliźniaków. Chcę, żeby każdy od tej chwili traktował Marinę jako członka rodziny. Z szacunkiem, miłością i oddaniem. – Ignacio unosi kieliszek. – ¡*Salud!*

Wypija całą zawartość jednym pociągnięciem, a później z uśmiechem i czułością całuje mnie w rękę.

A potem... potem dostaję ogrom gratulacji, które miażdżą mi głowę, ciało od przytulania i policzki od całowania. Kręci mi się w głowie i gdy tylko

znajduję odpowiedni moment, uciekam do pokoju, żeby odsapnąć i przebrać się w drugą sukienkę, bo tak nakazuje Przemytniczy Protokół.

Troy wchodzi do sypialni, zamyka drzwi i naga odwraca mnie do siebie. Odkłada moją sukienkę na łóżko i odgarnia moje włosy do tyłu.

– Porozmawiaj ze mną. Mów do mnie. – Chwyta w dłonie moją twarz. – Nie wiem, co siedzi w twojej głowie, i zaczynam popadać w paranoję.

Mrużę oczy, odzyskując kontrolę nad swoim ciałem i głosem.

– Jak mogłeś? Prosiłam cię, żebyś nikomu nic nie mówił, bo chciałam najpierw przekazać tę wiadomość mamie. Twoje słowa są nic niewarte.

Wyrywam się i wciskam w drugą, lżejszą sukienkę.

– Nie miałem wyboru. Camino wiedział, że miałaś w domu badanie. Co miałem powiedzieć? Tu za kłamstwo dostajesz kulkę. Wybacz, ale nie będę ryzykował. – Upija whisky.

Kurewsko boli mnie jego lekceważąca postawa i czuję, jak pod powiekami wzbierają mi łzy.

– Przysłałeś mi lekarza, który ledwo mógł ustać na nogach – rzucam z wściekłą rozpaczą. – Ze strachu!

Troy wzrusza ramionami, a z moich oczu wylewa się strumień palących łez. Wymaga ode mnie wyrozumiałości, sam niewiele mi jej dając.

Pieprzony hipokryta.

– Nic na to nie poradzę.

– Musiałam go zapewniać, że jest bezpieczny, a tymczasem sama czułam się jak na celowniku!

Siadam i po prostu płaczę, chowając twarz w dłoniach. Słyszeć mnie na pewno na korytarzu, ale nie mogę przestać. Postawa Troya niczego mi nie ułatwia. Nie potrafię zapomnieć widoku trzech lekarzy, którzy nie mogli mnie spokojnie zbadać, byli spoceni, jękali się, aż wreszcie udało nam się załatwić lekarkę. Owszem, byłam w sypialni, ale otoczona trzema zabójcami, a kolejni stali przed drzwiami na korytarzu.

Troy kuca przede mną i odkleja ręce od mojej twarzy. Nie patrzę na niego, bo wiem, że gdy tylko to zrobię, znowu zacznę płakać.

Nigdy nie uważałam się za beksę, ale powoli zmieniam zdanie.

– Ich nie obchodzi to, jak się czujemy – mówi. – Dbają o bezpieczeństwo, za które im płacimy.

To jednak zmusza mnie, by na niego spojrzeć.

– My?

– Jesteś moją kobietą. Wszystko, co mam, należy do ciebie.

Wstaję, wyrywam chusteczkę z pudełeczka i przecieram zapłakaną twarz. Następnie łapię z sykiem powietrze i układam słowa w głowie.

Muszę to z siebie wyrzucić. Po prostu muszę.

– Nie chcę tego. Chcę spokoju. Chcę móc iść korytarzem bez ciągłego obserwowania, czuć trochę prywatności. – Prycham. – Dobrze, że nie pozwalasz im patrzeć, jak się pieprzymy.

Nic. Zero reakcji. Siada na krawędzi łóżka i lustruje mnie od stóp po czubek głowy.

– To pomyśl o tym w taki sposób, że dzięki tym pieniądzą masz władzę.

Władzę? Nigdy nie chciałam jej mieć. Ja nawet nie wiem, co to jest władza ani jak miałabym z niej korzystać.

Opieram dłonie na biodrach i myślę o tym wszystkim, co mi powiedział, a co próbuje mi przez to przekazać, ale to nie ma znaczenia. Nie znam go, a w tym miejscu czuję, że staje się jeszcze bardziej obcy. Nie tego chłopaka pokochałam i nie wiem, czy poradzę sobie z jego podejściem.

– Jak to możliwe, że masz dwie tak różne osobowości, Troy? Jesteś dobrym człowiekiem, wiem to, a mimo to jesteś przemytnikiem najwyższego szczebla. Rozprowadzasz to gówno po naszym kraju, jakby życie ludzkie w ogóle cię nie obchodziło. Nie potrafię tego zrozumieć.

Siadam przy toalecie, ale nie podoba mi się to, co widzę w lustrze. Nie poznaję siebie. Jestem wrakiem człowieka, nie przypominam dziewczyny, którą byłam jeszcze niedawno. Obwieszona jak choinka, w drogich sukniach, które nie są mi do niczego potrzebne.

– Nie miałem wyboru – mówi Troy, po czym wstaje. – Nie miałem takiego startu jak ty. – Staje nade mną i patrzymy na siebie w tym nieszczęsnym lustrzanym odbiciu. – A może to dlatego, że w ogóle nie jestem dobry, tylko ty chcesz mnie takim widzieć. Kto wie? Nikt tego, kurwa, nie wie. Wiem za to, że nie potrzebuję wywodów na temat swojej pracy ani poczucia winy, które próbujesz mi wtłoczyć. Nic tego nie zmieni.

– Celuje w lustro palcem. – Nawet ty. Bo nie mam pierdolonego wyboru. I niech to, kurwa, wreszcie do ciebie dotrze.

Jego słowa są dla mnie jak cierń, a mimo to spokojnie pudruję twarz.

– Kiedy porozmawiam z mamą?

– Wtedy kiedy Camino wyrazi na to zgodę.

Wstaję, żeby stanąć z nim twarzą w twarz.

– Więc teraz to on decyduje o moim życiu?

– Jeśli myślisz, że takie zachowanie coś zmieni na lepsze, to zmień myślenie. Gdybym mógł, ściągnąłbym tu twoją mamę, ale nie mogę. Za to ty dalej możesz wrócić do USA i poszukać sobie faceta, który żyje tak, jak sobie wymarzyłaś, leżąc w swoim cukierkowym łóżku i oglądając gości takich jak ja w filmach sensacyjnych.

Wychodzi, zostawiając mnie gapiącą się w drzwi. Siadam przy toalecie, poprawiam twarz, włosy i biorę się w garść. I tak codziennie. Dzień zaczynam w sumie od tego, by w ogóle móc wstać z łóżka i jakoś przetrwać.

Samotność mnie dobija. Brak komunikacji, a raczej zgody między nami mnie dobija. I brak bliskiej przyjaciółki też.

Kiedy wychodzę z pokoju, a potem sunę po korytarzu, który nie ma końca, spotykam Troya. Podchodzi do mnie, nachyla się do mojego brzucha i całuje go dwa razy. A potem patrzy mi w oczy, zupełnie łagodnie. Ale to nic nie da. Nie będzie do mnie tak mówił, a potem liczył, że zapomnę o wszystkim, bo przypomniał sobie, że jestem w ciąży.

– Porozmawiasz z mamą, tak jak obiecałem – oznajmia, badając moją reakcję.

– Kiedy? Jak sztab ludzi wyrazi na to pisemną zgodę? – warczę przez zęby. – To moja matka, do kurwy nędzy. I wiesz co? W dupie mam wasze zakazy i paranoje. Skorzystam z pierwszego lepszego telefonu.

Troy zaciska szczęki. Mam nadzieję, że na tyle mocno, by z bólu musiał łyknąć dwie tabletki paracetamolu, z którym ja się nie rozstaję.

– Nie możesz tego zrobić.

Unoszę brew.

– Zobaczymy, Troy.

– Troy! Troy! – woła go ktoś. – Chodź na chwilkę.

– Nie ruszaj się stąd – mówi.

A potem znowu mnie zostawia.

Przez chwilę stoję więc jak ten kołek, a potem biorę z tacy od przechodzącego kelnera orzeźwiający sok z kaktusa. Ludzie bawią się w najlepsze, jakby tylko to się liczyło. Wypijają hektolitry alkoholu i wciągają narkotyki. W oddali zauważam przyglądającego mi się białego mężczyznę. Sądząc po jego urodzie, jest Amerykaninem. Odwracam głowę,

by nie pomyślał sobie, że może do mnie podejść i wypytywać mnie o to, kim jestem i co tu robię.

Bo szczerze mówiąc, chuj go to obchodzi.

Ciekawość jednak wygrywa i spoglądam ukradkiem, czy on dalej na mnie patrzy. Szlag, tak. Zbyt intensywnie, więc zaczynam mieć paranoję, ale to oznacza tylko, że mój mózg rozumie już, że jestem jedną z tych ludzi.

Pięknie. Po prostu pięknie.

Po paru minutach staje obok mnie Maria z kieliszkiem szampana w ręku. Nie mówi nic, tylko patrzy w tę samą stronę, co ja. Upija trzy łyki, aż wreszcie nasze spojrzenia się spotykają. Jej wzrok mięknie, więc mój również.

– Przepraszam – mówi. – Wiem, że długo mi to zajęło, ale... trochę mnie znasz... No więc... gratulacje. – Uśmiecha się i patrzy na mój brzuch. – Będę ciocią. – Unosi dwa palce. – Podwójną. – Głos jej się łamie, a usta lekko drżą.

Wiem, że wszystko się porypało i teraz martwi się nie tylko o siebie i brata.

Co mam jej powiedzieć?

– Tęskniłam za tobą. – Przytulam ją, a wtedy ona obejmuje mnie tak mocno, jakby nie chciała mnie już nigdy wypuścić.

– Nic teraz nie mów. Musimy porozmawiać o wielu rzeczach, ale zanim będziemy miały okazję, uważaj na te wszystkie kręcące się laski. – Odsuwa się ode mnie. – Zwłaszcza na Monicę.

Marszczę brwi, rozglądając się dyskretnie.

– Która to?

Maria ustawia mnie bokiem i przybliży głowę do mojej, zasłaniając usta kieliszkiem.

– Ta w złotej sukni, na szyi ma węża ze złota. Wydaje mi się, że ciągle gapi się na ciebie i Troya. To znaczy na pewno to robi, ale mam wrażenie, że czuje do niego miętę.

Dostrzegam ją. Jest tradycyjnie piękna i wygląda mi na kogoś, komu nie należy ufać. I faktycznie co chwilę zerka na pochłoniętego rozmową Troya.

A gdy on idzie w moją stronę, ona przerzuca wzrok na mnie. Patrzymy na siebie, jakbyśmy toczyły jakąś bitwę. Już wiem, że Maria nie przesadziła.

– Wszyscy są tobą oczarowani – mówi Troy, całując mnie w kark.

– Nie obchodzi mnie, kto jest mną oczarowany.

Maria szturcha mnie łokciem, ale nie mogę jej teraz zdać relacji z ostatnich dni. Nie przy jej bracie. Poza tym potrzebujemy na to minimum doby.

Troy nachyla się do mojej twarzy.

– Czy jeśli zadzwonisz do mamy, odzyskam swoją dziewczynę?

W moim brzuchu zaczynają wariować motyle.

– Tak.

Chwyta mnie za rękę.

– Chodź.

– Pogadamy później – rzucam w locie do Marii i pędzę za Troyem.

Mam wrażenie, że frunę. Chce mi się płakać i krzyczeć ze szczęścia, choć do końca nadal nie wierzę, że zaraz zadzwonię do mamy. Usłyszę jej głos. Powiem jej, że ją kocham, i poproszę o wybaczenie, tak bardzo mi potrzebne, bym mogła cieszyć się życiem, które sobie wybrałam.

Gdy tylko wchodzimy do sypialni, Troy wyciąga z pudełka nowy telefon i wkłada do niego kartę. Siadam, bo z emocji nie mogę ustać na nogach. A potem podaje mi komórkę!

– Postaraj się niczego nie zdradzać. I nie rozgaduj się.

Potakuję i drżącymi palcami wybieram numer mamy. Kiedy słyszę sygnał, wstaję i zaczynam chodzić w kółko.

– Mama? – pytam, gdy tylko sygnał połączenia cichnie. – Mamo?

– Marina! – Jej krzyk doprowadza moje serce do szaleństwa. A potem słyszę, jak nabiera powietrza. – Marina, dziecko...

Wiem, że płacze, więc przykładam rękę do ust, żeby nie mogła usłyszeć, że ja też szlocham.

– Mamo, tak bardzo... bardzo cię przepraszam.

Zawodzę bezgłośnie i chociaż wiem, że Troy na mnie patrzy – i na pewno boli go ten widok – muszę wyrzucić z siebie tę rozpacz. Mama zawsze będzie dla mnie kimś wyjątkowym. I pewnie nigdy nie wybaczę sobie tego, co jej zrobiłam.

– Nie płacz, to nic nie da – mówi. – Musisz być silna. Jesteś w ciąży.

Zamykam oczy i próbuję się uspokoić.

– Tak. Czy tata wie?

– Nie. To złamałoby go doszczętnie.

– Czy jest teraz obok ciebie?

– Nie. Jak się czujesz? Co z dzieckiem? Odchodzę tu od zmysłów. – Mama wymusza cichy śmiech. – To pewnie cię zaskoczy, ale bardziej martwię się o dziecko, które nosisz pod sercem.

Uśmiecham się słabo. Dla mojej mamy ciąża to stan naprawdę błogosławiony. Często przez kilka dni nie mogła się pozbierać, gdy słyszała w wiadomościach o kolejnym skatowanym dziecku albo mijała na chodniku niedbającą o siebie ciężarną kobietę. A teraz to ja jestem w ciąży, a ona nie może się o mnie troszczyć. Przeżywać tego stanu razem ze mną. Cieszyć się. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek poczuje radość z tego powodu.

– Wszystko ze mną dobrze – zapewniam i dodaję cicho: – Z dziećmi też.

Troy wyciera mi buzię i posyła pełen empatii uśmiech.

– Jak to... z dziećmi? – słyszę po drugiej stronie.

Uśmiecham się, gdy wreszcie mogę jej to wyznać.

– To bliźniaki, mamó.

Troy prowadzi mnie w stronę łóżka, żebym usiadła.

– O Boże! Marina!

Na chwilę odsuwam telefon od ucha.

– Wiem, mamó. Wiem.

Chyba pierwszy raz podczas tej rozmowy uśmiecham się naprawdę szczerze.

– Co teraz? Co zamierzasz?

– Nie wiem, ale... tęsknię za tobą.

– Ja za tobą też. Dlaczego uciekłaś z kraju?

Czyli wiedzą.

Milczę zbyt długo, a wiem, że każda sekunda jest na wagę złota. Tyle że nie chcę teraz o tym mówić. Nie wiem, czy moja mama to zrozumie.

– Jak bardzo... jest źle? – pytam, zmieniając temat.

– Bardzo.

– Mamó, nie martw się o mnie. Wygląda na to, że jestem tu bezpieczna.

– Tata nie odpuści. A Troy... Nie taka była umowa, nie miałaś uciekać ze Stanów. – Zaciskam oczy. – Gdzie dokładnie jesteś?

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Kocham cię, Marinko, ale kompletnie nie rozumiem twoich decyzji.

Tego się obawiałam.

– Mamó, czy tata... czy on mnie szuka?

– Tak. Ale to nie wszystko.

ROZDZIAŁ 6

TROY

Zbyt długo milczy. Wiem, że Margaret właśnie coś jej uświadamia. Sądząc po wyrazie twarzy Mariny, może to być coś, przez co będzie chciała stąd wyjechać.

Zaciskam dłonie w pięści, starając się uspokoić i nie przyjebać sobie za to, że zgodziłem się na tę rozmowę. Ale czy miałem wybór?

Marina dalej chodzi w kółko, co jakiś czas na mnie zerkając. Oczywiście jest, że stałem się dla niej *persona non grata*.

W końcu się żegna i oddaje mi telefon, który natychmiast wyłączam. Wyciągam z niego kartę, a później z wściekłością ją łamię.

– Usiądź. – Wskazuję ręką na łóżko. Wiem, że zachowuję się jak pieprzony tyran, ale strach, dotąd mi nieznany, nie pozwala mi na sensowne myślenie. – Co powiedziała ci mama? – pytam. – Oprócz tego, że twój ojciec ściga mnie z całą armią USA?

Czekam na to, co powie, jak na wyrok, ale ona wpatruje się gdzieś za mnie i uparcie milczy. Chce zataić przede mną prawdę, okłamać mnie? Nie polecam takich działań, bo doprowadzą do tego, że stracę do niej zaufanie.

A w życiu cenię trzy rzeczy: zaufanie, wierność i szacunek. Spierdolisz pierwsze, stracisz wszystkie trzy.

– Powiedziała, że nie jesteś zwykłym przemytnikiem i gdyby wiedziała, jak wielką i kluczową rolę odegrałeś... odgrywasz na rynku amerykańskim, to... – Przeciera dłońmi twarz. Wiem, że jest już zmęczona pytaniami, które zostały bez odpowiedzi. – Kim jesteś, do cholery, Troy?

Nalewam sobie whisky i piję do dna, ale potrzebuję więcej, by odpowiedzieć na to pytanie. Wychyłam jeszcze dwie kolejki, odstawiam szklankę na komodę i patrzę Marinie prosto w oczy, jakbym chciał ją

zahipnotyzować, sprawić, żeby jutro zapomniała o wszystkim, co zaraz usłyszy.

– Jestem odpowiedzialny za przerzut przez granice setek ton narkotyków i ich dystrybucję na terenie Stanów Zjednoczonych, Kanady, Wielkiej Brytanii i Francji – mówię na jednym wdechu.

A potem już czekam na jej reakcję.

Wydaje się wyłącznie zadowolona. Czyli nic nowego.

– Jakich narkotyków?

– Wszystkich możliwych. Od miękkich po twarde. – Widzę, że nie robi to na niej wrażenia, więc ciągnę: – Do tego dochodzą jeszcze diamenty, pranie brudnych pieniędzy i takie tam.

– Ale... dlaczego akurat ty jesteś dla nich tak cenny? Nie wierzę, że robisz to jako jedyny na całym świecie. Przecież to ten cały Camino jest szefem. Więc dlaczego ty jesteś w centrum uwagi?

Mam ochotę się uśmiechnąć. Może najwyższy czas trochę się przedstawić.

– Robimy to z Travisem od kilku lat. Jesteśmy w tym najlepsi, nie popełniamy błędów. Nasze księgi rachunkowe są tak skomplikowane, że żaden matoł z FBI nie byłby w stanie ich samodzielnie rozszyfrować. Mamy kilkadziesiąt legalnych firm, wynajęte luksusowe wille obok hollywoodzkich gwiazd, do których wzdychasz w kinie. Jesteśmy pierwszymi i obecnie jedynymi Amerykanami, którzy pracują z bossem największego kartelu w Meksyku i jesteśmy pod jego ochroną.

– O mój Boże.

Nie powiem, że nie podoba mi się jej reakcja.

– Nasz miesięczny zysk z samej kokainy na terenie USA to ponad pięćdziesiąt milionów dolarów.

– To tylko świadczy o tym, że miałeś cholerną rację.

Marszczę brwi.

– Z czym?

– Nie mam pojęcia o twoim świecie. W najsmielszych wizjach nie przypuszczałam, że robisz to na taką skalę. Że jesteś pierwszoligowym graczem.

Nie? Szkoda.

– Bo nie daję tego po sobie poznać. Mógłbym wykupić wszystkie domy w Phoenix, ale po co? Mógłbym codziennie jeździć innym samochodem,

ale nie to jest dla mnie najważniejsze.

– Więc co jest? – Przybiera oskarżycielski, wręcz prokuratorski ton. Niedobrze. – Dlaczego nie potrafisz wcisnąć przycisku „stop”?

– Bo chcę żyć. Zwłaszcza teraz.

– Dążyłeś do tego, żeby znaleźć się właśnie w tym miejscu? Żeby robić to na taką skalę? – pyta, a ja podnoszę brwi, bo nie bardzo rozumiem. – Nie udawaj, Troy – prycha. – Doskonale wiesz, o czym mówię.

Wstaje i nalewa sobie wody do szklanki, a potem odwraca się do mnie plecami, żeby ją wypić. Czuję się lekceważony, a po tym, co jej właśnie wyznałem, oczekuję trochę innego traktowania. Jest jedyną kobietą na tej planecie, której powiedziałem o swojej pracy, dzieciństwie i pierdolonej matce; nawet JoAnn nie zna mnie z takiej strony. A ona zachowuje się, jakby to nic dla niej nie znaczyło.

– A czego się spodziewałaś? – rzucam, ale nie odwraca się, dalej patrzy w okno i delectuje się wodą. – Oczywiście, że do tego dążyłem. Byłem sam, byłem smarkaczem, który roznosił dragi po San Diego, i robiłem to świetnie. W wieku piętnastu lat jeździłem samochodem ze złotymi felgami, do tego miałem dopasowany zegarek i broń. Wszystko to przekraczało wartość całego twojego domu. A może nawet życia.

Ściągam koszulę, bo z nerwów zrobiło mi się gorąco, i ponownie nalewam sobie whisky. Uzmysławiam sobie, że moje ostatnie zdanie nie wybrzmiało dobrze, i szukam słów, żeby to wyprostować.

– Nie wierzę, że to powiedziałaś... – mówi łamiącym się głosem.

Świetnie. Brakuje mi tylko jeszcze jej łez i przeproszenia jej od nowa. Logiczne chyba, że nie miałem na myśli wyceniania jej życia, ale rezygnuję z dalszych tłumaczeń, bo to nic nie da. Rozumiem, że w ciąży jest bardziej wrażliwa, ale kurwa mać. Nie może być tak, żebym przeproszał ją pięć razy dziennie bez względu na to, czy jestem winny, czy nie.

– Wiesz, że nie to miałem na myśli. Ale czy umiesz sobie chociaż wyobrazić, jak to jest być głodnym? – Wreszcie odwraca się ode mnie. – To teraz wyobraź sobie, że jesteś sama, a twoje dzieci płaczą z głodu. Wyją. Ich lament wdziera się do każdej komórki twojego ciała. Co robisz? – Czuję, że serce mi wali, a kark jest już mokry od potu. – Siedzisz i czekasz na legalny cud czy robisz wszystko, żeby je nakarmić?

To naprawdę proste. Głód jest nie do zniesienia i aktywuje wszystkie możliwe działania, byle tylko go ugasić. Nie myślisz o tym, czy będziesz

musiał ponieść karę, skoro sam głód jest piekłem rozgrywającym się w twoim ciele.

– Zawsze jest jakieś wyjście, Troy. Przestań mydlić mi oczy.

Znowu się ode mnie odwraca.

Przysięgam, gdybym jej nie kochał, to właśnie bym ją stąd wyjechał. Nie cierpię lekceważenia tego tematu i wydumanych mądrości od ludzi, którzy nie wiedzą, jak to jest nie mieć nic do jedzenia dla siebie i rodzeństwa. Kiedy jesteś smarkaczem i nagle musisz stać się facetem, żeby utrzymać dzieciaka.

– Nie przeżyłabyś w moim świecie pięciu minut, więc to ty przestań. – Celuję w jej plecy palcem. – Gdybyś w tym momencie została tutaj sama, bez rodziców, a do tego w ciąży, gwarantuję ci, że prędzej czy później pobrudziłabyś swoje czyste rączki. – Patrzę, jak zrzuca z siebie ubrania, ignorując mnie i to, co do niej mówię. – Teraz wydaje ci się to niemożliwe, wręcz nieludzkie, ale człowiek nie zna własnych granic, dopóki do nich nie dotrze.

Nie wiem, czy próbuję się wybielić przed nią, czy może przed sobą, ale mam tego dosyć. Cokolwiek powiem, czego nie powiem – wszystko, kurwa, źle. To moja przeszłość, nie mogę jej zmienić, więc dlaczego ona nie może się z tym pogodzić? Miałem pozwolić nam umrzeć z głodu czy iść do pracy, której nikt nie chciał mi dać?

Ściągam spodnie, zostając w samych bokserkach, i szykuję się do wzięcia prysznic, gdy nagle Marina staje za moimi plecami.

– Mogę zapytać cię o coś jeszcze? – pyta, a ja kiwam głową, bo mam już wszystko centralnie w dupie. – Gdzie byli twoi rodzice, kiedy piętnastolatek jeździł z bronią po ulicach, sprzedając narkotyki?

Biorę haust powietrza, tak głęboki, że mało nie rozrywa mi płuc.

– Naprawdę musisz ci to mówić?

– Tak. Usiłuję to zrozumieć tak na sto procent. Czy wymagam zbyt wiele?

Krzywię się z uśmiechem, by trochę rozluźnić atmosferę, bo nie chcę, żeby moje dzieci od samego poczęcia żyły w stresie przez swoich rodziców.

– Trochę.

– Myślałam, że... – Macha ręką, jakby uznała, że nie warto ze mną dalej rozmawiać.

– Dokończ – nalegam.

– Nieważne. – Odwraca się. – Położę się, padam z nóg.

Ściąga szlafrok. Jest teraz naga i kompletnie mnie to rozpięrdala, ale wiem, że jeśli nie udzielę jej odpowiedzi, nie mam co liczyć na seks.

– Wstydzę się tego, przez co musiałem przejść.

Zrzuca z łóżka dekoracyjne poduszki, jedna po drugiej, i poprawia te większe, dalej na mnie nie patrząc. Za to ja nie mogę oderwać od niej oczu.

– Odkryłeś przede mną swój pilnie strzeżony świat. Jak mogłabym oceniać małego chłopca, od którego nic nie zależało? Nie rozumiem twojego postępowania teraz, a jednak tutaj jestem. Z tobą. W Meksyku. W domu jakiegoś... – Słyszę w jej głosie drzenie, jakby chciała się rozplakać, ale z jakiegoś powodu woli tego nie robić. Tym powodem zapewne jestem ja.

– Moja matka wiecznie była na haju. Szczerze mówiąc, tylko raz czy dwa pamiętam ją taką, jaka powinna być.

Zdobyłem jej uwagę, ale sam nie wiem, czy mi się to podoba. Za szybko próbuje mnie odkryć, wkraść się do moich wspomnień i koszmarów, które chciałbym wymazać z pamięci raz na zawsze.

Patrzy na mnie ze smutkiem, ale ja stoję niewzruszony.

– Czy twoja mama... żyje?

Zaciskam usta i kręcę głową.

– Nie. Przedawkowała.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Odczułem ulgę.

– A twój tata?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem.

– Rozumiem. – Wchodzi do łóżka i przykrywa się. – Dziękuję. Dobranoc.

Dobranoc?

Ruszam w jej stronę, ściągam bokserki i energicznie zrzucam z niej kołdrę. Kątem oka dostrzegam cień jej uśmiechu. Wiem, że zrobiła to celowo, żeby mnie sprowokować. I proszę, po raz kolejny jej się udało.

– Pora się pogodzić – mówię.

Przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce, chociaż akurat w tym łóżku miejsca starczyłoby dla pięciu dodatkowych osób. Gdy zawisam tuż nad nią, jej ręce od razu znajdują drogę do mojego fiuta, który nabrzmięwa pod wpływem jej dotyku.

Delikatnie dmucham w jej twarde sutki, a potem przygryzam je ustami, dmucham w nie i ssę. Chciałbym móc robić z nią wszystko jednocześnie.

– Myślisz, że to dobry sposób na zgodę? – pyta mnie, mocniej zaciskając rękę na moim członku.

Potakuję, jęcząc.

– Najlepszy. Jutro coś ci powiem. Myślę, że ci się spodoba. – Całuję ją zawzięcie po szyi i wsuwam dłoń pod jej pupę.

– Dlaczego nie teraz?

– Bo to niespodzianka.

– To po co mówisz mi, że jutro coś mi powiesz? Teraz nie będę mogła zasnąć.

– Żeby poprawić ci humor. – Śmieję się i gryzę ją w naburmuszone usta.

– Dlaczego jesteś taki tajemniczy i nie mówisz nikomu o swoich planach?

Sunę nosem po jej szyi i zatrzymuję się przy uchu.

– Bo kiedy działasz w ciszy, ludzie nie wiedzą, gdzie i co zaatakować.

Wchodzę w nią, przymykając oczy z błogości, która oplata moje ciało, a gdy je otwieram, widzę jej uśmiech.

ROZDZIAŁ 7

MARINA

Troy jest oficjalnie postawiony w stan oskarżenia przez władze federalne. Nikt mu tego nie podaruje i prędzej czy później trafi za kratki. To właśnie powiedziała mi mama. Powiedziała też, niemal szepcząc, że decyzje podejmowane z miłości, wszystkie, zawsze mają taryfę ulgową. W pierwszej chwili poczułam ulgę i przypływ szczęścia, którego tak bardzo mi brakowało, bo uznałam, że rodzice wszystko mi wybaczą. Ale dziś wiem, że miała na myśli federalnych.

Nikt nie będzie oceniał mojej głupoty, bo go kocham.

Moja mama chciałaby, żebym z niego zrezygnowała i wróciła do domu. Spodziewałam się tego. Wiem też, że doskonale zna miejsce mojego pobytu, ponieważ Tijuana gra główną rolę w aktach operacji „Zamieć” (jej nazwa najprawdopodobniej nawiązuje do śniegu, którym w tym wypadku są narkotyki).

Jednak przestały mieć one dla mnie pierwszorzędne znaczenie. Wciąż widzę przed oczyma zdjęcia ofiar oraz wzmiankę na temat Troya i zabójstwa, którego dokonał w tak młodym wieku. I boję się pociągnąć ten temat z wielu powodów. Jednym z nich są pytania, które mógłby mi zadać. Czy mój ojciec pokazywał mi akta? Czy wiedziałam, kim jest Camino, zanim się tu pojawiłam? I czy byłam przynętą dla DEA, skoro wiedziałam, że zaraz będzie nalot?

– Marina, śpisz? – Maria szturcha mnie w ramię, więc ściągam z twarzy ręcznik i siadam, żeby dołączyć do niej i JoAnn, rozmawiających z zapalem.

– Przysnęłam. Co mówiłaś?

– Żebyś wybrała taki dom, w którym będziesz potrafiła wychować dzieci.

– Maria rozgląda się na boki. – I najlepiej jak najdalej od tego...

wszystkiego.

– Nie ufam ani jednej z nich – mówi JoAnn, a potem zwraca się do mnie:

– A ty?

Co mogę powiedzieć?

Kobiety tutaj są piękne, naprawdę piękne. Zawsze zachwyciałam się urodą gwiazd Hollywood, ale teraz wiem, że piękno jest bezwymiarowe. Zawsze może znaleźć się ktoś piękniejszy, co w zasadzie jest potworne, zważywszy na to, że mężczyźni zawsze patrzą na wygląd.

– Ja też nie, ale ufam Troyowi – odpowiadam ze ściśniętym sercem.

– Obie nie musicie się martwić – mówi Maria. – Raz, że oni naprawdę was kochają, a dwa, nosicie ich dzieci. – Gapimy się na nią z Jo, nie do końca rozumiejąc. A może po prostu obie uważamy, że dziecko nie jest żadnym zabezpieczeniem przed zdradą? – To Amerykanie, nie Meksykanie. Nie będziecie musiały się nimi dzielić. To nawet nielegalne.

Na te słowa obie wybuchamy śmiechem. Nielegalne? Ci chłopcy nie znają innego życia, ale może chociaż w miłości pozostaną lojalni.

Na to liczymy.

– Słuchaj, Mina – mówi Jo, która uważa, że obie powinnyśmy posługiwać się skróconą wersją naszych imion. Tyle że JoAnn to już skrót, bo jej pełne imię brzmi Joanna. – Pomyślałam, że powinniśmy zamieszkać wszyscy razem. Wiem, że to dla nikogo nie będzie tak komfortowe, jak byśmy chcieli, ale na pewno bezpieczne. Co ty na to?

– Muszę porozmawiać z Troyem.

Przede wszystkim chcę, żeby Troy powiedział jej prawdę o moim ojcu. Nie zmienię tego, kim jest, i nie wstydzę się, że pracował uczciwie.

– Oczywiście wszystko zostaje, jak było – kontynuuje Jo. – To będzie twój dom, twoje podwórko i ty będziesz o wszystkim decydować. Ale nie chcę siedzieć sama w wielkim domu, gdy Trávisa w nim nie będzie.

– To nigdy nie będzie mój dom, Jo – mówię i dopiero teraz sobie to uświadamiam. – Zwłaszcza że Ignacio chce nam go sfinansować.

Podobno dla tych ludzi kupno mieszkania jest jak dla mnie wyjście do sklepu po nową torebkę. Tyle że oni nie muszą oszczędzać, a ja tak.

Nawet jeśli mowa o torebce.

– Poważnie? – pyta Maria. – Ten stary zbok chce zapłacić za wasz dom?

Wydymam usta, a potem wzruszam ramionami, bo nie ma to dla mnie znaczenia. Nie biorę tego wszystkiego do siebie. Dom w prezencie

cieszyłyby mnie, gdyby był od moich rodziców i stał w moim kraju, a nie gdzieś, gdzie będę żyła odizolowana od wszystkiego za pieniądze z narkotyków.

– Powiedział, że to prezent dla naszych dzieci.

Ignacio kocha dzieci. Wszyscy tak twierdzą. Nie wiem, czy ktoś taki jak on jest zdolny do takich uczuć, ale zauważyłam, że bardzo rozpieszcza własne potomstwo.

Spijam z ręki sok z arbuza, którego mogłabym jeść na okrągło, i zerkam na Marię, usiłując dać jej znać, żeby przestała gapić się na wszystkich dookoła.

– Zastanawiam się, co by się stało, gdyby któremuś niechcący wypaliła broń – mówi. – Albo puściły hamulce i zaczęłyby strzelać do nas jak do kaczek.

Przełykam słodki miąższ, a potem kręcę głową, wyrzucając z niej wizję tej makabry.

– Troy mówił, że to niewykonalne. Wszyscy ci ludzie mają rodziny, które by zginęły. Są werbowani na specjalnych zasadach.

Staram się zachować spokój, chociaż wcale tak się nie czuję. Rozumiem jednak, jak to wszystko działa. To łańcuch, którego nikt od dekad nie jest w stanie przeciąć. Wiele pamiętam z rozmów ze swoim tatą, wiele widziałam w telewizji i wiele podsłuchiłam, będąc tutaj. Większość tych ludzi nie wie, że rozumiem, co do siebie mówią, a ja udaję, żeby kupić sobie dodatkowy czas i coś jeszcze – coś bardzo cennego.

Tata zawsze powtarzał mi, że największą wartością tego świata są informacje.

– Śmiesz mnie ich religijność. – Maria z wściekłością zaciska zęby na jaskrawopomarańczowej słonce i upija pół kieliszka aperolu naraz. – W ogóle śmiesz mnie ten blichtr, dom ze złota, egzotyczne zwierzęta, wyrafinowane dodatki, żarcie i ich sposób bycia. Jego synowie myślą, że są gwiazdami, a córki zachowują się, jakby chodziły po wybiegu u Victoria's Secret.

Chyba nie mogę się z nią nie zgodzić. Mnie również śmiesz ich religijność. W domu Ignacia – a może raczej powinnam powiedzieć: w świecie Ignacia – panuje sztywna zasada modlitwy do Jesúsa Malverde, meksykańskiego Robin Hooda. Wszyscy ci ludzie wierzą, że jest on

patronem handlarzy narkotyków. Nawet jeśli, to zastanawiam się, o co się modlą.

– Co powiecie na masaż? – pyta Jo, a potem z trudem wstaje i rozprostowuje krzyż. – Bolał mnie plecy, poza tym nie będę wiecznie odmawiała sobie przyjemności.

Dziewczyny wstają, więc ja też, ale nie wiem, czy to dobry pomysł, by korzystać z tych wszystkich dobrodziejstw i paradować po posiadłości. Nikomu nie ufam i wiem, że nikt tutaj nie ufa żadnej z nas.

Mijając kolejne pomieszczenia, mam oczy dookoła głowy, sama nie wiem dlaczego. Troy jest tu bardzo szanowany, ja, Jo i Maria także. A jednak ciągle mam się na baczności, jakby zaraz zza któregoś rogu miał wyskoczyć grizzly.

Albo mój ojciec.

Sama nie wiem, co gorsze.

– Zaraz przyjdę, muszę skorzystać z toalety – mówię, czując, jak puls wali mnie w skronie.

Maria odwraca się do mnie przez ramię i marszczy brwi.

– Wszędzie mają toalety.

Dziewczyny wchodzą do spa, które jest *prawdziwym* spa – z tymi wszystkimi kosmetykami, urządzeniami i kobietami – a ja stoję w drzwiach z nadzieją, że ten widok pochłonie je na dłuższą chwilę.

– Wiem, ale się krępuję – kłamię. – Zaraz do was przyjdę.

Wracam korytarzem z oczami niczym kałamarnica olbrzymia. Idę prosto do pokoju, w którym wcześniej mignął mi włączony monitor komputera. Przyspieszam kroku i odsuwam wszystkie mądre myśli, które podsuwa mi mój mózg.

Kurwa mać. Wiem, że ryzykuję życie, możliwe nawet, że życie nas wszystkich, ale muszę skorzystać z internetu, bo nie mogę spać, nie wiedząc, co dzieje się po drugiej stronie granicy. Mama niewiele mi zdradziła, sama nie wiem, dlaczego nie chciała wyjawić mi dalszych kroków mojego ojca. Jeżeli jest po jego stronie, to znaczy, że naprawdę zostałam sama, odcięta od świata, informacji, rodziny, i jedyne, co mi pozostało, to przygotować się na to, co może nastąpić.

Zakradam się bezszelestnie do środka i siadam przy biurku. Ekran jest ciemny. Świetnie. Moja śmierć pójdzie na marne. Wciskam „enter”

i szeroko otwieram usta, próbując nie krzyknąć z radości. Na tapecie jest zdjęcie dziewczyny, którą kojarzę z widzenia.

I nie mogę uwierzyć, że córka takiego człowieka nie zabezpiecza swojego komputera hasłem!

Przez chwilę szukam wzrokiem ikony przeglądarki, a kiedy ją otwieram, wpisuję trzy litery: „DEA”. To pierwsze, co przyszło mi do głowy. A potem jeszcze imię i nazwisko mojego chłopaka.

Na ekranie pojawia się zdjęcie Troya, rysopis i to, że jest MOST WANTED, czyli najbardziej poszukiwanym przestępcą w USA. A więc to prawda. Serce kołacze mi tak mocno, że nie mogę zapanować nad drżącymi palcami. Jest nawet opis kilku jego tatuaży, które zawsze starał się ukrywać przed obcymi. Wychodzi na to, że podał je mój tato.

Następnie wpisuję dane Tralisa. To samo. Obaj są na celowniku, więc krótko mówiąc: ugrzęźliśmy tu na zawsze.

Cała drzę ze zdenerwowania. Wiem, że powinnam zamknąć przeglądarkę, a najlepiej wyczyścić historię wyszukiwania, ale tak dawno nie miałam kontaktu z tamtym światem, że nie umiem się do tego zmusić.

Podskakuję, gdy ktoś wpada do pokoju.

– Marina. Kurwa mać, chcesz nas zabić? – Maria doskakuje do mnie i ciągnie mnie za rękę, ale ja ani drgnę. Dalej myślę o tym, co tak bardzo chciałam sprawdzić. – Wstawaj. Wyłaż. Wychodzimy. – Odsuwa krzesło, podnosi mnie z niego i w panice wykręca szyję w stronę drzwi. – Szybciej. – Chwyta się za głowę. – O Boże, Boże... Szybciej!

Biegnie do drzwi.

– Zaczekaj – wołam za nią cicho. – Muszę zamknąć przeglądarkę.

Kurwa. Ze stresu nie wiem, jak jest po hiszpańsku „wyczyść historię przeglądania”.

I wtedy słyszę kobiecego głos:

– Nie krępujcie się.

A kiedy zbieram w sobie odwagę, by spojrzeć w stronę drzwi, zauważam właścicielkę tej sypialni – i komputera.

Chcę coś powiedzieć, ale Maria pada na kolana i zaczyna wyć.

– My... nie... przepraszamy. Proszę, nie mów nic swojemu ojcu...

Co ona odwala?

W takich chwilach nie okazuje się desperacji ani strachu, bo druga strona może to wykorzystać. Mimiką daję jej znać, że fajnie by było, gdyby

przestała nas ośmieszać, ale z jej oczu leją się najprawdziwsze łzy.

Po chwili córka Camino obdarza Marię ciepłym uśmiechem i podaje jej rękę.

– Wstań, głuptasie. Wystarczyło zapytać, nie musicie się zakradać. Nie jesteście przecież w więzieniu.

Maria gapi się na mnie, ja na nią, a potem obie wpatrujemy się w tę dobrą dziewczynę. Wreszcie wstaje i otrzepuje kolana.

– O.

– Chciałam sprawdzić, jak bardzo mój chłopak ma przerąbane – rzucam z udawaną obojętnością. – Wybacz.

Dziewczyna, której imienia nie mogę sobie przypomnieć, siada na swoim gigantycznym łóżu i wzdycha.

– Wiem, o czym mówisz. Mój chłopak został wydany do USA rok temu. I nie sądzę, czy kiedyś jeszcze się zobaczymy. – Na te słowa obie z Marią posyłamy jej pełne współczucia spojrzenie. – Sprawdziłaś to, co chciałaś?

– Nie – odpowiadam bez zastanowienia, a Maria szturcha mnie łokciem tak mocno, że robię krok w tył.

Dziewczyna zaczyna się śmiać.

– Śmiało. – Wskazuje ręką na swój komputer. – Możesz dokończyć to, co zaczęłaś.

Maria kręci do mnie głową, gdy tylko nasza nowa znajoma kładzie się na plecy, podkurcza nogi i wbija wzrok w sufit.

– To zajmie chwilkę – szepczę do Marii. – Muszę wiedzieć, co się dzieje po drugiej stronie.

Nie tracąc czasu, siadam przed komputerem, przysuwam krzesło jak najbliżej biurka i staram się skupić. Jednak stojąca za moimi plecami Maria nie ułatwia sprawy.

– Możesz się pospieszyć? – ponagla. – Możemy już iść? Masz pięć minut, Marina.

– Zostaw ją – mówi dziewczyna. – Lepiej wskakuj do łóżka, pogadamy. Ile masz lat?

Wciąż nie mogę się skupić, bo nie mam podzielnej uwagi. Bardzo interesuje mnie to, o czym będą rozmawiać, ale to również moja jedyna szansa, żeby zdobyć jak najwięcej informacji.

– Dziewiętnaście, a ty?

– Dwadzieścia cztery.

Nuda.

Otwieram przeglądarkę, gdy Maria pyta:

– Ile masz siostr?

Też chciałabym to wiedzieć. Z iloma kobietami muszę się przyjaźnić, które mogą olać, a które są nietykalne. Mam wrażenie, że przez ten dom przewinęło się już z dziesięcioro dzieci Camino.

– Straciłam rachubę – odpowiada dziewczyna. – Mój ojciec każdej żonie zrobił przynajmniej z trójkę, a o kolejnych pewnie nie wiem.

– Czy to jest dla ciebie normalne?

Zerkam na Marię. Ona na mnie. Jednak nie widzę, żeby żałowała swojego pytania. Może to i dobrze. Dlaczego mamy udawać, że to wszystko jest dla nas normalne?

– Co dokładnie?

– No, tyle żon...

Dalej nie słucham. Nie chcę tego wiedzieć. Nie chcę wiedzieć, że w kręgach Camino każdy facet musi mieć kilka żon, bo tak nakazuje przemytniczy protokół.

Dobra, jeszcze raz wpisuję w okno wyszukiwarki imię i nazwisko Troya. Nie widzę żadnej innej informacji prócz tej w DEA. Klikam w grafikę, ale jest tylko jeden wynik. Nigdy nie pomyślałabym, że ten mężczyzna ze zdjęcia ma takie konszachty. Ani że zostanie ojcem moich dzieci.

Moje oczy raz po raz czytają ten nieszczęsny nagłówek „Najbardziej poszukiwany uciekinier”. I dalej: „Następujące domniemane naruszenia przepisów federalnych dotyczących narkotyków: 1) 18 USC Sec 1962, Spisek w celu importu substancji kontrolowanej, Spisek w celu prania pieniędzy; 5) 18 USC 2 i 924 (o), Angażowanie się w trwające przedsięwzięcie przestępcze w celu wspierania handlu narkotykami; 13) 18 USC 956...”.

Lista nie ma końca. Świetnie. Możliwe, że kiedy go złapią, nigdy nie wyjdzie na wolność. Śmiem twierdzić, że w następnym życiu dalej będzie musiał odsiadywać wyrok.

– To moja siostra, Ximena – mówi tymczasem właścicielka komputera i pokazuje Marii jakieś zdjęcie.

– Piękna. Myślałam, że to koniec bitwy o koronę najpiękniejszej córki Camino.

– To fakt, Ximena jest z nas wszystkich najładniejsza, ale jej charakter jest, krótko mówiąc... najgorszy.

Zastanawiam się, jak mogłabym wykorzystać wiedzę, którą dysponuję. Czy powinnam powiedzieć o tym Troyowi? Wścieknie się? Zrozumie?

Jezu, co robić...

Zerkam na krawędź biurka, gdzie leżą małe karteczki i złoty długopis. Nic nie przychodzi mi do głowy. Chyba że... zapiszę najważniejsze numery z FBI, ludzi, których pamiętam i którzy spędzali u nas wiele świąt, jadali z nami kolacje i byli na moich meczach tenisa. Bawiłam się z ich dziećmi, do cholery! Ktoś musi mi pomóc.

Wchodzę na stronę FBI i szukam numeru telefonu do człowieka, którego znam bardzo dobrze i który ma potężną władzę. Ale córka Camino właśnie wstaje z łóżka i idzie w moją stronę.

– To ci nic nie da, kochana. – Chwyta z biurka paczkę papierosów i zapalniczkę. – Zamęczysz się. – Odpala i wypuszcza z ust kłębek dymu. – Oni nigdy nie przestaną go szukać.

Jestem ostatnią osobą, która miałaby nadzieję, że DEA i FBI przestaną kogoś szukać. Ale nie mogę jej tego powiedzieć, bo nie jest potrzebna jej podejrzliwość. A tym bardziej kolejna przemowa mojego chłopaka na temat naszego bezpieczeństwa.

– Więc jakie jest wyjście? – pytam ją. – Jak udaje wam się żyć w taki sposób i ciągle być na wolności?

Naprawdę tego nie rozumiem. Żyją, mając wszystko. Dosłownie wszystko. Popełnili wszelkie możliwe przestępstwa, od przemytu narkotyków przez wymuszenia i porwania po zabójstwa. Nie są na innej planecie, tylko po drugiej stronie granicy. Jak to możliwe, że nikt nie może ich złapać?

Skoro tak się da, niewykluczone, że ja i Troy będziemy musieli wychowywać nasze dzieci tutaj, żeby być razem.

– W jaki sposób? – W jej głosie brzmi ironia, ale myślę, że ona naprawdę nie rozumie swojego położenia i tego, w jakim bagnie przyszło jej się taplać.

Żyje jak księżniczka, jest piękna, bogata, nie musi pracować, więc dlaczego miałaby w ogóle się zastanawiać, skąd pochodzą te pieniądze?

– Nieważne. – Uśmiecham się, żeby przestała przewiercać mnie wzrokiem i z zemsty nie zakablowała ojcu, że zakradłam się do jej sypialni.

– Zastanawia mnie tylko, dlaczego możesz korzystać z internetu?

Wzrusza ramionami.

– Mamy zmieniające się adresy IP. Nikt nas nie namierzy.

Opuszczam wzrok na klawiaturę, prosząc Boga, żeby sobie poszła i dała mi możliwość zapisania tych numerów, ale ona dalej stoi po drugiej stronie biurka i się na mnie gapi. A potem nagle się nachyla, opierając dłoń o blat.

Niepewnie unoszę na nią wzrok. Chce mnie sprawdzić? To była podpucha? Dała mi kij, żeby teraz mi nim przywalić? A co, jeśli wejdzie w historię wyszukiwania i zacznie mi zadawać niewygodne pytania?

– Posłuchaj – mówi – wiem, że to dla ciebie trudne, naprawdę to widać, ale teraz żyjesz w moim świecie. Nie lubię takich pytań. To życie, które znam, odkąd się urodziłam, nie wybrałam go sobie. I nie mam na nie wpływu. Nikt z nas, rodząc się w takiej rodzinie, nie ma na nic wpływu. Rozumiesz?

Oczywiście, że rozumiem. Sama jestem teraz częścią tej „rodziny” i zdaję sobie sprawę, że nawet jeśli zapiszę sobie telefon do Świętego Mikołaja, nic mi to nie da. Całe Stany Zjednoczone nie są w stanie zniszczyć tego świata, więc dwudziestodwuletnia Marina Moore raczej niczego nie zmieni.

– Tak – odpowiadam szeptem.

– Nie musicie się nas bać. To, co przedstawiają wam amerykańskie media, jest dość mocno sfabrykowane.

Otóż nie zgadzam się z nią. To właśnie one żyją oderwane od rzeczywistości, podczas gdy ich ojcowie, wujkowie, bracia, kuzyni i faceci zalewają mój kraj tym gównem. Giną niewinni ludzie – czy ona w ogóle zdaje sobie z tego sprawę?

Wątpię.

– Nie czujemy się bezpiecznie, szczerze mówiąc – wypalam. – Wszędzie są ludzie z karabinami...

– Oni mają nas chronić, a nie zabić. To dzięki nim możecie spać spokojnie. Są wyszkoleni niczym żołnierze. Mój ojciec wydaje setki milionów dolarów na ochronę, broń i szkolenia.

Na łapówki, wymuszenia, płatnych zabójców dla tych, którzy nie chcą współpracować...

– Dobrze mówisz po angielsku – ciągnę.

– To również zasługa ojca. Wszyscy tutaj muszą znać ten język.

– Marina, skończyłaś? – odzywa się Maria.

Ignoruję ją, uciekając spojrzeniem w monitor.

– Tak, pomyślałam tylko, że mogłabym zapisać numery kilku klinik w Meridzie, żeby umówić się na badania. – Spoglądam na dziewczynę, która wyciąga z paczki kolejnego papierosa. – Mogę?

– Jasne.

Wreszcie mnie zostawia i wraca do Marii. Odrywam jedną karteczkę i czym prędzej zapisuję te nieszczęsne numery, a także dwa adresy mejlowe, w razie gdybym nie mogła nigdzie w spokoju porozmawiać. Muszę zdobyć swojego laptopa, ze zmieniającym się IP, a to oznacza, że będę musiała przyznać się do wszystkiego Troyowi.

Kiedy kończę, usuwam z historii kilka stron, których odkrycie mogłoby mi zagrażać, ale zostawiam informacje o poszukiwaniu Troya i Trávisa oraz wykaz najlepszych klinik i lekarzy w Meridzie. A potem wstaję, chowam karteczkę w stanik i uśmiecham się do dziewczyn najnaturalniej, jak potrafię.

Maria natychmiast odkłada jakieś zdjęcia i zrywa się z łóżka.

– Dzięki za udostępnienie mi komputera – mówię, zмирzając w stronę drzwi.

– Nie ma sprawy.

We dwie wychodzimy z sypialni i przyspieszonym krokiem zмирzamy w jakieś w miarę ustronne miejsce.

– I co znalazłaś? – pyta cicho Maria.

Rozglądam się, ale fakt, że kręcą się tu sami pracownicy, wcale mnie nie uspokaja. Wiem, że każdy tu jest przekupiony i za kilka dolców zrobiłby wszystko.

– Nie chcesz wiedzieć.

– Jest bardzo źle? Co mu grozi?

– Prawie wszystko.

Jej błękitne oczy ciemnieją, a na twarzy maluje się strach.

– Nigdy się stąd nie wydostaniemy, prawda? – Chcę powiedzieć jej, że coś wymyślę, ale nie mogę karmić ją taką nadzieją. – Wiedziałam, że to się tak skończy.

– Przepraszam.

To jedyne, co mogę jej teraz powiedzieć. Zaczynam myśleć, że to wszystko jest wyłącznie moją winą. Próbowала przemówić mi do rozumu,

wkurzała mnie wywodami na temat zabezpieczenia podczas seksu, a ja uniosłam się dumą, nie zamierzałam słuchać dziewczynki, która nie skończyła porządnej szkoły ani nie przepracowała godziny w swoim życiu. Tymczasem we wszystkim miała rację.

– Nie, nie chcę się kłócić. Mam tylko ciebie.

Przytulałam ją do siebie, odczuwając nieopisaną ulgę. Musimy trzymać się razem, żeby jakoś to przetrwać. Zwłaszcza że Troy dalej nie zwalnia tempa – fakt, że nie może przekroczyć granicy, nie skłonił go do zaprzestania działalności.

– Gdzie Jo? – pytam Marię.

– Poszła na drzemkę. – Otwiera drzwi do swojego pokoju. – Co dalej? Masz jakiś plan? Cokolwiek?

Siada na łóżku, patrząc na mnie wyczekująco.

– Mam numery telefonów przyjaciół mojego ojca w... – Siadam z rezygnacją obok niej. – Ale nie wiem jeszcze, czy je wykorzystam. Powinnam powiedzieć o wszystkim Troyowi.

– Nie rób tego. Mój brat siedzi w tym emocjonalnie zbyt głęboko. On widzi tylko jeden sposób, żeby się stąd wydostać. – Patrzymy na siebie jednoznacznie. – W plastikowym worku.

Padam na plecy.

– Jeżeli dowiedzą się o mnie... o moim ojcu... nie wiem, co robić. Nie chcę tu mieszkać, nie czuję się bezpieczna, a to, co ona mówi, to jakiś stek bzdur, którymi jest faszerowana, odkąd tylko zaczęła mówić. To zły świat, rozumiesz?

Maria potakuje szybko.

– Tak. Teraz widzę jak bardzo. Może tak właśnie miało być? Kto wie.

Tak miało być...

Maria kładzie się obok mnie. Obie gapimy się w sufit, każda pogrążona w swoich myślach, ale jestem pewna, że są one niemal identyczne.

– O czym rozmawiałaś z tą... – Urywam, żeby przypomnieć sobie imię córki Camino, która użyczyła mi dostępu do komputera.

– Mią.

– Mią.

– Opowiadała o swoim rodzeństwie. Są ze sobą bardzo zżyci poza jedną z nich. Ximena, jeśli dobrze pamiętam. – Maria kręci głową. – Mia mówiła, że Camino wysłał ją na odwyk, bo ćpała jak odkurzacz. Do tego nie

przebiera w słowach i nikt nie chce z nią rozmawiać. Jest wredna, fałszywa, ma popęd seksualny większy niż jej obrzydliwy ojciec i w sumie jest jego damską wersją, tyle że kurewsko piękną.

Zaczynam się już do tego przyzwyczajać, ale nigdy nie będę czuła się bezpiecznie i komfortowo przy tych wszystkich kręcących się tu kobietach. Całymi dniami paradują w drogich sukienkach, eksponując jędrny biust wylewający się zza głębokich dekolców. Wysokimi szpilkami podkreślają swoje chude nogi i kształtne pośladki. Każda ma piękne, lśniące włosy, nienaganny makijaż, zrobione usta, nos i policzki. Z metra czuć ich drogie perfumy, a błysk kosztowności aż razi w oczy.

Tak, na pewno nigdy nie będę czuła się tu komfortowo. Nie mówię, że jestem brzydka czy coś, ale przestaję być tak pewna siebie jak kiedyś. Ciężarna nadąsana dziewczyna raczej nie jest atrakcyjna dla swojego partnera.

– Dlaczego ci to wszystko powiedziała? – pytam Marię, żeby przestać się nad sobą znęcać.

– Nie wiem. Podobno tamta zabiła swojego poprzedniego partnera, bo miała podejrzenia, że pieprzy się z inną, podczas gdy ona robi dokładnie to samo.

Odsuwam myśli, które podsuwają mi obraz Troya, jakby miał z nią coś wspólnego, ignorując to, że laska *zabiła swojego poprzedniego partnera*.

Jest ze mną źle, bardzo źle.

– Gdzie teraz jest ta Ximena? Dalej na odwyku?

Maria nie odpowiada, więc odwracam głowę w jej stronę.

– Wprowadza się jutro... tutaj.

We dwie siadamy prosto i jednogłośnie stwierdzamy:

– Ostrzegła nas.

ROZDZIAŁ 8

TROY

Miłość nie jest ślepa. Miłość zaślepia i sprawia, że jesteś głuchy. A przynajmniej w moim wypadku. Nagle mój umysł stał się cichy, pozbawiony tych wszystkich paranoicznych myśli, które gnębią mnie, odkąd tylko pamiętam. Cieszyło mnie to, nie ukrywam, i pewnie byłoby tak do dziś, gdyby nie zatrzymano jednego z naszych kurierów, który się wysypał.

Chodzę w kółko, łącząc wydarzenia, które miały miejsce w ostatnim czasie, ale to na nic. Za dużo ludzi, ukrytych magazynów, narkotyków i forsy. Do tego nie ma mnie fizycznie w San Diego, więc nie mam możliwości być na bieżąco ani pilnować pracowników. Jak widać, moi bracia nie potrafią zachować takiej kontroli jak ja.

Pociągam ostatni raz papierosa i gaszę go butem, a potem dalej gapię się w ten sam martwy punkt. Na myśl, że mam kolejny dług u Camino, przewraca mi się w żołądku. Owszem, gotówka, którą obracam z Travisem, przewyższa dług, ale nie o to tu chodzi. Długi, których od zawsze unikam, to te z wdzięczności. One przeważnie nigdy nie są możliwe do spłacenia – i nigdy nie ulegają przedawnieniu.

Puentując, czuję się jak chodzący trup.

– To ryzyko naszej pracy, T – mówi Travis, podając mi torbę.

Staram się nie odzywać, bo wiem, że gdy tylko wejdę z nim w dyskusję, zaczniemy się kłócić. To zaś nie byłoby rozsądne teraz, gdy jesteśmy na nowym szlaku w Sierra Ciprés prowadzącym do LA i musimy zachować dyskrecję.

Jednak gdy widzę głupi, lekceważący wyraz jego twarzy, nie mogę się powstrzymać.

– Ich również. – Patrzę na niego znacząco, ale on dalej nie chwyta mojego nastawienia. – Dobrze wiesz, że wchodząc do tego świata, porzucasz swoje morale i zmieniasz całkowicie front. Gliny są twoim wrogiem. W razie problemów dzwonisz do takich jak my, więc on też musi za to zapłacić. To kodeks ulicy – przypominam mu.

– Nie mamy pewności, kim jest informator.

Nie wierzę, że Travis nagle stracił pamięć i zapomniał, dla kogo pracujemy. To kwestia czasu. Myślę, że maksymalnie do jutra informatora i całą jego rodzinę przywita grad kul od żołnierzy Camino, których ten ma wszędzie.

– Straciliśmy miliony. – Gdybym miał wystraszająco dużo włosów, chyba właśnie bym je sobie wyrwał. – To kolejny dług u Camino. Kurwa!

– Odzyskamy tę forszę – uspokaja mnie Travis, ale niestety nie mam pięciu lat i jestem realistą.

– Twój niesłabnący optymizm sprawia, że mam ochotę wsadzić cię do tego tunelu i wysłać razem z towarem do LA.

– Camino da nam więcej towaru na kredyt.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

– A wiesz, dlaczego kartele to robią? Bo wiedzą, że odzyskają swoje pieniądze.

Wrzucam kolejną torbę na wózek i patrzę, jak odjeżdża. Nie wierzę, że po raz pierwszy w życiu straciłem zapał do pracy, ale naprawdę nie mam ochoty dalej babrać się w tym gównie.

– Troy, panika to ostatnie, czego nam w tej chwili trzeba. Musimy ruszać do La Cuesta, wysłać kolejną kontrabandę.

Tym razem będą to diamenty dla pewnego ministra i jego żony. Przejadą nowym szlakiem pod granicą Cross Border Xpress, prosto do dziupli w Otay Mesa w San Diego.

– Jedziemy tam sami? – pytam Trávisa.

– Nie, tam nie. Żołnierze są w drodze.

– Miejscowa policja?

– Przekupiona.

Wsiadamy do SUV-a, wciskam gaz, a potem przycisk w pilocie, żeby wysadzić tunel. Od jakiegoś czasu pozbywamy się większości ich, żeby dać znać glinom, że to my wciąż trzymamy rękę na pulsie.

– JoAnn chce wracać do San Diego – mówi po chwili Travis. – A najbardziej chciałyby wyjechać do Europy. Namawia mnie, żebym się ze wszystkiego wycofał.

Wiedziałem, że to kiedyś nastąpi. Sądziłem, że gdy tylko Jo dowie się o ciąży, będzie nalegała na normalne życie, ale pewnie nigdy nie przypuszczała, że zamieszka w Meksyku, w domu kokainowego króla. Jak to mówią? Zawsze może być gorzej?

– I co? Szykujesz wypowiedzenie dla Camino?

Uśmiecham się do siebie. Jestem ciekaw, co chodzi Travisowi po głowie. Może będę brutalny, ale cieszy mnie to, co usłyszałem. To on namawiał nas na odbiór forsy na pustyni. To on nie miał nic przeciwko wstąpieniu do Alarico. I teraz on powinien dźwigać ten krzyż razem ze mną, wliczając w to narzekającą żonę.

– Raczej własny pochówek.

– Przejdzie jej – mówię z nadzieją, że mojej kobiecie również kiedyś przejdzie. – Zaraz rodzi, zaczyna świrować. Zamieszkacie obok nas, dziewczyny będą miały swoje towarzystwo.

Słyszę, jak Travis wzdycha.

– Jo chce, żebyśmy mieszkali wszyscy razem.

Jestem zaskoczony. Zamieszkać wszyscy razem? Z trójką małych dzieci? Kręcę głową. Nie ja podejmuję decyzje dotyczące życia rodzinnego.

– Muszę to omówić z Mariną. To jej dom, nie chcę robić niczego, co wkurzy ją jeszcze bardziej. – Nagle dociera do mnie, że nie mogę jej o to prosić. – A poza tym... to chyba nie jest dobry pomysł.

Skręcam na wyboistą drogę, żeby jak najszybciej dotrzeć do celu.

– Rozumiem. Wystarczy, że od zawsze musisz mieszkać z siostrą. – Travis wymusza śmiech.

– Nie jesteśmy w San Diego. Jeśli zamieszkamy razem, to konkurencja, ewentualny wróg będzie miał nas wszystkich pod jednym dachem. Wiesz, co myśli o tym Camino. Nie zgadzam się z wieloma jego decyzjami i punktami widzenia, ale tu ma rację. On sam nie ma oficjalnego adresu. Każda z jego żon ma osobny dom, a on nie mieszka z żadną z nich. To zbyt duże ryzyko. Ktoś mógłby oberwać rykoszetem.

To jeden z powodów, dla których mieszkanie razem nie jest dobrym pomysłem. Poza tym nie chcę, żeby Marina czuła się jak w domu otwartym,

bez swobody, współdzieląc każdą przestrzeń z tak naprawdę obcymi ludźmi. Rezydencja Camino wystarczająco odbiera jej prywatność.

– Czyli co? Rozstajesz się z siostrą? Nie wierzę.

Obu nas to rozśmiesza.

– Wierz mi, będę najszczęśliwszy na świecie, kiedy wreszcie zamieszkam sam z kobietą inną niż moja siostra.

Szczerze mówiąc, myślałem, że już zawsze tak będzie. Że do końca swoich dni będę musiał znosić porąbany charakter Marii i być za nią odpowiedzialny. Niech teraz Cade przejmie tę rolę; jeszcze mu za to dopłacę.

– A jak się czujesz w roli podwójnego ojca? – zmienia temat Travis. – Poszczyściło ci się, brachu. – Klepie mnie w ramię i wybucha śmiechem na widok mojego panoramicznego uśmiechu.

Niestety mój uśmiech szybko znika, kiedy zostajemy zablokowani przez wojsko i celuje w nas pięć karabinów.

Razem z Travisem wartko odwracamy głowy, nie rozumiejąc, co się dzieje. Czy to pułapka? W końcu to w naszej pracy nic nowego. Czy raczej ktoś nas wykiwał. A może jedno i drugie.

Po minucie zdaję sobie sprawę, że żołnierze nie przyjadą i zostaliśmy wykiwani. Chcę wycofać, ale z tyłu podjeżdża kolejny samochód, więc Travis przeładowuje swój karabin i poprawia kamizelkę kuloodporną.

– Nie chcą nas przepuścić – warczę, rzucając wzrokiem na wszystkie strony i zaciskając kciuki na kierownicy.

Travis wychyla się przez okno.

– Jakiś problem, *amigos*?

– Stać, panowie – mówi jeden z nich. – Chcemy zobaczyć papiery przewozowe.

Prycham wkurwiony. Ktoś zapłacił tym gnojom więcej, dlatego udają porządnym stróżów prawa. Ale nie ze mną te numery.

Otwieram drzwi i wysiadam, przeładowując AK-47. Mam w nim trzydzieści naboju, strzelam celnie, a kiedy to robię, wiem dokładnie, kogo zabijam.

– Co, do kurwy... Chcesz papiery przewozowe, skurwysynie! – Cofam się, biorę papiery i wciskam je jednemu z nich w naprężoną klatę. – Proszę bardzo!

Facet ślizga po nich wzrokiem i oddaje mi je.

– Są fałszywe.

Potakuję, kompletnie już tracąc kontrolę. Ale nie byłbym sobą, gdybym się po prostu wycofał. Za plecami zawsze czuję oddech Camino, zostałem wybrany do wąskiego grona jego zaufanych ludzi i nie mogę dać się spławić, nawet gdybym chciał.

Wyostrzam wzrok na dwóch z nich i zdaję sobie sprawę, że ich znam.

– Pozdrów swojego syna, Bracato – mówię. – A ty swoją piękną żonę, pułkownika.

To wystarczy, żeby przekazać im ostrzeżenie od Camino, co będzie, jeśli nas nie przepuszczą.

Obaj patrzą na siebie jednoznacznie. Załapali. Cieszy mnie to.

– Puścić ich.

Podaję mu rękę, którą musi uścisnąć.

– Interesy z panem to czysta przyjemność.

Wsiadam do samochodu i ruszam, zostawiając za sobą kłęby piachu spod opon.

– Było gorąco – mówi Travis, jakbym o tym nie wiedział. – Kto ich przekupił?

Kręcę głową.

– Nie wiem. Ktoś chce nas wygryźć.

Lista naszych wrogów nie ma końca. Lista moich grzechów również. Myślę, że nie ma takiej świątyni, w której mógłbym dostać rozgrzeszenie. Karmię się tylko nadzieją, że będę dobrym mężem i ojcem, chociaż nie mam pojęcia, co to właściwie znaczy.

Po przerwaniu diamentów, odebraniu toreb z pieniędzmi i przekupieniu miejscowej policji przy granicy z San Diego wstępujemy z Travisem do pobliskiego baru. Nie czuję się pewnie, będąc tak blisko swojego kraju, ale głód zagłusza strach przed zagrożeniem.

Czekając na zamówioną jagnięcinę, wybieram numer Cade'a i proszę, żeby przekazał telefon Marinie. Dopiero po dobrych kilku minutach znajduje ją przy basenie w towarzystwie Marii i JoAnn.

– Halo? – Kiedy tylko słyszę jej głos, od razu mam ochotę teleportować się do domu, położyć z nią do łóżka i zapomnieć na chwilę, kim jestem.

– Cześć, skarbie – mówię stęskniony. – Wszystko w porządku?

– Byłoby, gdybym miała swój własny telefon.

– Pogadamy o tym w domu. A tak poza tym?

– Kiedy będziesz?

– Zaraz ruszamy. Zatrzymaliśmy się, żeby coś zjeść. A ty? Jadłaś coś? – Kelnerka kładzie przede mną talerz z jedzeniem. – *Gracias*. Nakarmiłaś moje dzieci?

– Tak, ale niewiele. Nie mam apetytu.

Martwi mnie to. JoAnn je za dziesięciu, przytyła z dwadzieścia kilogramów i widać, że faktycznie jest w ciąży. Moja kobieta albo śpi, albo nie może zasnąć, nie je, chudnie w oczach i robi się coraz słabsza. Potrzebne mi jeszcze problemy z jej zdrowiem, na które nie będę miał wpływu.

– Zabiorę cię do lekarza.

– Nie wymyślili jeszcze lekarstwa na ciążę.

Staram się nie roześmiać.

– A na bycie zmiją?

– Spadaj. I wracaj. Czekam na ciebie.

– Co się mówi, kiedy się żegna ze swoim ukochanym? – Przygryzam wargę z uśmiechem. – Jakie są dwa magiczne słowa?

Czekam na to, co powie, jak dzieciak na świąteczny prezent.

– Do zobaczenia.

Parskam śmiechem, kręcąc głową, i odkładam telefon na stolik. A potem biorę się do jedzenia, żeby jak najszybciej znaleźć się w domu. Myślę o tym, co wciąż robię nie tak, że moja własna ciężarna dziewczyna nie chce wyznać mi miłości. Wydawało mi się, że to oczywiste, bo tak właśnie zachowują się JoAnn i Travis. Uwielbiają się i nie żałują sobie czułych słówek, nawet przy mnie.

– Usłyszałem kiedyś o piramidzie Masłowa – odzywa się Travis.

– Co to takiego?

– Piramida ludzkich potrzeb. Jeżeli nie są zaspokojone w odpowiedniej kolejności, człowiek nie może myśleć o niczym ponad to.

Robię kółko widelcem, przeżuwając jedzenie.

– Rozwiń myśl.

Travis dopija swoją colę, a kiedy kończy, chwilę jeszcze zwleka z odpowiedzią. Po co zaczyna temat, skoro nie wie, czy chce go ciągnąć?

– Marina nie czuje się bezpieczna – stwierdza wreszcie, czym od razu podnosi mi ciśnienie. – Nie ma swojego kąta, żyje w obcym kraju, otoczona

armią żołnierzy, a do tego jest w ciąży. To wszystko jest dla niej nowe, a w dodatku się boi. Nie pomaga jej też fakt, że cię przy niej nie ma.

Jestem pełen podziwu dla jego analitycznego umysłu. Naprawdę.

– Okej, a co z tą piramidą?

Gdzieś musi być haczyk, coś głębszego, bo jeśli nie, przysięgam, że znowu mu przyjebię.

– Nie wyzna ci miłości, kiedy boi się o to, co przyniesie kolejny dzień.

– Zawsze podsłuchujesz cudze rozmowy? – warczę, rzucając widelec na talerz z niedokończonym jedzeniem.

Travis ucina temat, machając mi ręką przed nosem.

– Tobie nic nie można powiedzieć.

– Nie wkurzaj mnie. Piramida ludzkich potrzeb – pryham. – Słucham, opowiedz mi o jej potrzebach, żebym mógł je zaspokoić.

Travis wstrzymuje śmiech.

– Czyli jednak jesteś ciekaw – mówi, a ja unoszę wzrok do sufitu i wzdycham. – Więc tak, podobno jest pięć głównych potrzeb ludzkich. Na samym dole, czyli najważniejsze, to potrzeby, wiadomo, fizjologiczne, czyli jedzenie, powietrze, woda, odzież i seks...

– To ma zaspokojone. Serio nie wiem, w czym widzisz problem.

Travis unosi brwi, chwilę się waha, ale w końcu kontynuuje:

– Drugie to bezpieczeństwo. Każdego rodzaju, w tym psychiczne i emocjonalne.

Kręcę głową.

– Nic jej nie grozi.

– Nie chodzi o to, co ty czujesz, tylko co czuje Marina. Ty się nie boisz, ale ona ma prawo się bać. – Przecież wiem, że ma do tego prawo. Chodzi o to, że nie chcę, żeby ktoś mi o tym przypominał. – Trzecia potrzeba to miłość. Ludzie potrzebują czuć się kochani, akceptowani, nawet ty tego potrzebujesz. – Wzdrygam się, ale gdy celuje we mnie palcem, mam wrażenie, że traktuje mnie jak jakiegoś smarkacza. – Jeśli w dzieciństwie...

– Nie mówimy o mnie. Ale skoro nalegasz, wiedz, że moje dolne powieki są napięte, usta mam ułożone, jakbym chciał wrzeszczeć, a moja szczęka przesuwa się z boku na bok. Zgodnie z teorią Paula Ekmana jestem teraz totalnie wkurwiony. – Patrzę, jak Travis opuszcza dolną szczękę, uchylając lekko usta. – Natomiast ty wyglądasz na zaskoczonego tym, że wiem, kim jest Paul Ekman.

- Nie, po prostu nie sądziłem, że interesujesz się ekspresją twarzy.
- Pomaga mi ona w kontaktach międzyludzkich.
- W porządku. Mam mówić dalej?
- Przejdź do meritum.

– Zmierzam do tego, że... – Ton jego głosu jest miękki, mniej protekcjonalny, niż kiedy zaczął swój wykład. – Jeśli nie są zaspokojone potrzeby najważniejsze, człowiek nie jest w stanie myśleć o innych rzeczach. – Potakuję, zgadzając się z nim. – Człowiek bezdomny nie będzie myślał o założeniu rodziny, karierze zawodowej ani seksie, tylko o tym, żeby zdobyć dach nad głową.

Analizuję to dłuższą chwilę, gapiąc się w pustą przestrzeń za jego plecami.

– Zastanawia mnie tylko, dlaczego seks jest na tej samej pozycji, co głód. Obie rzeczy nie mają ze sobą nic wspólnego, bracie. I powinieneś o tym pamiętać, zanim wyskoczysz mi z czymś takim.

Popęd seksualny możesz zaspokoić, chowając się pod kołdrą, ale głód jest największym skurwysynem wśród skurwysynów. Nie ma sobie równych.

Nagle podchodzi do mnie kelnerka i komunikuje mi, że jakiś facet czeka na mnie na linii.

– Może ktoś od Camino – mówi Travis.

Wstaję i idę do telefonu. Niepewnie podnoszę słuchawkę, bo wiem, że aparat zawsze może wybuchnąć i rozpieprzyć mi głowę. Odwracam się, żeby sprawdzić, czy do lokalu wszedł ktoś podejrzany. Nic mi to nie daje, bo tu każdy może być podejrzany.

Przykładam słuchawkę do ucha. Słyszę ciszę. Ktoś ze mną pogrywa. Czekam jeszcze parę sekund i kiedy chcę ją odłożyć, po drugiej stronie słyszę ciężki oddech.

– Dorwę cię, Troy.

Kilka sekund zajmuje mi przypomnienie sobie, do kogo należy ten głos.

Michael Moore.

– Będę cię ścigał do śmierci, a gdy umrę, będą cię ścigać następni. Słyszysz? Twoje dni są policzone.

Pot spływa mi po karku, serce napierdala jak szalone, a moje kości straciły gęstość. Rozłączam się i wyciągam broń, z którą sunę przez środek sali w stronę Trvisa.

Kumpel na mój widok od razu wstaje.

– Co jest?

– Wychodzimy.

– Co się dzieje?

Wsiadamy do samochodu, a ja wrzucam bieg, gwałtownie wycofuję i wciskam gaz do dechy.

– Michael Moore wie, gdzie jesteśmy – mówię, wciąż spanikowany.

– To było do przewidzenia.

– Wie, że jestem w tym barze, idioto!

Walę ręką w kierownicę. Jak udało mu się dostać niezauważonym do Meksyku? Owszem, nie mam pewności, czy już tu jest, ale nie mam również pewności, że go tu nie ma.

Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Co powiem Marinie? Co powiem Camino? Skąd wiedział, że jestem w tym jebanym barze?

– O kurwa – sapie Travis. – Jaki jest plan?

– Na razie spierdalamy. Nie mogę dopuścić do starcia, bo moglibyśmy się pozabijać.

– Myślisz, że jest w Meksyku?

– Myślę, że jest bardzo, bardzo blisko.

– Co ci powiedział?

– Że będzie mnie ścigał nawet po swojej śmierci.

– Dobra, ale co zamierzasz?

– Muszę się spotkać z Camino.

Podejrzewam, że przekupione wojsko i żołnierze to sprawa mojego przyszłego teścia, a to oznacza, że Camino zaraz się o nim dowie. Zakładam najgorsze scenariusze, włącznie z tym, że Michael Moore może zginąć. Przeze mnie.

Całą drogę myślę o tym, jak uniknąć jatki i załatwić to polubownie. Jedno jest pewne: nie oddam mu córki ani moich dzieci. Obaj będziemy walczyć o ludzi, których kochamy, i obaj mamy do dyspozycji wojsko, wszelkie możliwe uzbrojenie i własne taktyki. Ostatecznie jego córka może zdecydować, jak to wszystko się rozstrzygnie. I to mnie, kurwa, rozpierdala.

Wjeżdżamy na teren posiadłości, gdzie szwendają się pracownicy, kochanki i dzieci Camino. Wszyscy żyjący w stworzonej przez niego iluzji. Włącznie ze mną.

Zdaję broń, chociaż tego nie chcę, i pukam do drzwi. Słyszę głos zapraszający mnie do środka. Wchodzę. Camino siedzi na swoim skórzanym wielkim fotelu z cygarem w ustach. Na biurku stoi szklanka z solidnego szkła wypełniona whisky. Jest też zapalniczka. I butelka wódki. W razie czego wiem, jak to ze sobą połączyć. Pozostaje mi jeszcze dwóch *sicarios* przed drzwiami, które nie są zamknięte na klucz.

– Co się dzieje, Troy? Słyszałem o problemach z dostarczeniem kontrabandy.

Siadam po drugiej stronie jego biurka, biorę od niego papierosa, odpalam i pociągam głęboko, żeby się rozluźnić.

– Ktoś ich przekupił i zostaliśmy wykiwani przez żołnierzy.

– Zajmę się tym.

– Mam swoje podejrzenia. – Camino patrzy na mnie, czekając, aż rozwinę myśl. Nie wiem, czy wie o ojcu Mariny, ale sytuacja się zaognia, a ja mam zbyt wiele do stracenia, żeby bawić się w strażaka. – Muszę panu o czymś powiedzieć. – Życie nauczyło mnie, że jeśli chcesz coś powiedzieć, mówisz to prosto z mostu. Ewentualne tłumaczenie zostawiasz na końcu. Bez sensu zaczynać od wprowadzenia, jeśli za chwilę możesz być martwy. Więc mówię: – Marina jest córką emerytowanego agenta FBI.

Camino blednie. Powoli wypuszcza z ust kółeczko dymu i przygląda mi się badawczo. Mam wrażenie, że właśnie wwierca mi się do mózgu.

– Jest informatorką?

Kręcę głową, szybko i stanowczo.

– Nie, nie, absolutnie. Uciekła ze mną z kraju, ale jej ojciec mnie ściga. Myślę, że to on przekupił wojsko i pana pracowników.

Camino przerzuca wzrok ze mnie na okno. O czymś myśli, ale skoro jeszcze mnie nie zabił, to szanse, że przeżyjemy, rosną. Wiem, że jestem dla niego cenny, on wie, że oddam za Marinę życie. Obaj musimy to jakoś rozwiązać.

– Co chcesz, żebym z nim zrobił? – pyta w końcu, nie patrząc na mnie.

– Nic. Michael Moore jest nie do tknięcia.

– Jaką masz pewność, że Marina jest czysta?

– Absolutną.

W naszym świecie to bardzo poważne wyznanie. Nigdy nie zaryzykowałbym takich słów, gdyby chodziło o kogoś innego, ale Marina jest dla mnie wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłem. Ufam jej, Kocham

ją i wiem, że miała milion szans, żeby mnie wsypać, a jednak uciekła ze mną do Meksyku.

Camino odwraca się do mnie i unosi brew, jakby do końca mi nie wierzył. Jakby szukał potwierdzenia tego, że kobiecie można zaufać.

– Ręczysz za to głową swojej siostry?

Czuję, jakbym dostał z pięści w brzuch.

Potakuję, spocony i zdesperowany. Właśnie wyraziłem zgodę na to, że jeśli Marina Moore sygnie, moja siostra zapłaci za to głową.

– Troy, wiesz, że jesteś dla mnie jak syn. Dopóki ojciec twojej kobiety nie zagraża naszym interesom, nie ma czym się martwić. – Camino nalewa nam whisky. – Taka praca: my przerzucamy do nich narkotyki, a oni chcą nas za to dopaść.

– Michael Moore nie odpuści.

– Tak jak powiedziałem, Troy, póki nie przekroczy pewnej linii, nic mu nie grozi. Natomiast jeśli Marina wyniesie stąd jakieś informacje, będziesz musiał za to zapłacić.

Przełykam ciężko ślinę i wstaję.

– Oczywiście.

– Daj jej telefon, niech ma kontakt z rodziną. Nie jest więźniem. W ten sposób pokazujesz jej ojcu, że się go boisz.

– Zabroniłem jej kontaktu z rodzicami ze względu na konflikt naszych interesów.

Camino lekko się uśmiecha, a potem odpala kolejne cygaro i celuje we mnie palcem.

– Jesteś lojalnym pracownikiem, Troy. Doceniam to. Pokładam w tobie wielkie nadzieje.

– Dziękuję.

Zmierzam w stronę drzwi, kiedy woła za mną:

– Dlaczego nie przyznałeś się wcześniej?

Gorąco. Gorąco. Gorąco.

Odwracam się i robię minę osła.

– Zrobiłbym to.

Camino wypuszcza z gardła krótki śmiech.

– Widzisz, Troy, strach ma wielkie oczy. Ale gdy się do niego zbliżysz, zobaczysz, że to tylko kwestia punktu, w którym się znajdujesz. Mamy do dyspozycji samoloty, wyrzutnie rakietowe, łodzie podwodne i niezliczone

rzesze ludzi, którym zapewniam godne życie. Jakie życie zapewnia DEA swoim obywatelom?

Chodzi mu o to, że niepotrzebnie się boję, bo zajmuję w tej walce naprawdę wysoką lokatę. Jestem gotowy. Tyle że Michael Moore nie może być w tym starciu ani wygranym, ani przegranym. Camino ma to w dupie, liczy się tylko on i jego forsa. Stracił już dwie żony i trzech synów, więc jego empatia jest równa zeru.

Pozostało mi milczeć.

– Dziękuję, *Señor*. – Chcę wyjść, ale coś mi się przypomina. – Co z informatorem? Wiemy już, kto nim jest?

– Tak.

– Mogę wiedzieć?

– Christian Dante, pseudonim Cruz.

Właśnie cała krew odpływa mi z głowy.

– Czy mamy pewność?

– Absolutną.

Wracam do biurka i wypijam whisky do dna. To musi być pomyłka. Czuję się tak rozjebany, że zaraz chyba zemdleję.

– Troy, wiesz, jakie są zasady. Informator przestaje być człowiekiem.

„Informator przestaje być człowiekiem. Staje się szczurem. Każdego czeka śmierć. Nieważne, jak daleko ucieknie, jak głęboko się schowa, dopadniecie go. Wyślecie go w kawałkach jego matce, żonie albo kochance. Przekażecie w ten sposób wiadomość dla innych. Nie wynosicie informacji, jeśli nie wybieracie się na tamten świat”...

Szumi mi w uszach, ledwie udaje mi się wyjść z gabinetu. Ciało zaczyna odmawiać mi posłuszeństwa, stres zabija mnie od środka.

Zdradził mnie jeden z moich braci.

ROZDZIAŁ 9

MARINA

Troy wczoraj wrócił odmieniony. Cichszy, jakby smutniejszy. Zasnął od razu, gdy tylko wszedł do łóżka. Wtulił się we mnie jak mały chłopiec, który potrzebuje wiedzieć, że nie jest sam. Nie pytałam o nic. Myślę, że wczorajszej nocy Troy Tracker potrzebował tylko mojej obecności.

A dzisiaj od rana zachowuje się jeszcze inaczej. Nie opuszcza mnie na krok – obudził mnie pięknym bukietem kwiatów, śniadaniem do łóżka i... wręczył mi mój własny telefon! Sto razy upewniałam się, czy mogę z niego korzystać, ale nie spodziewałam się usłyszeć, że mogę zadzwonić nawet do swoich rodziców.

Jakby tego było mało, Ignacio wie, kim jest mój ojciec, a to oznacza, że odtąd żyjemy w jeszcze większym zagrożeniu. I że ten telefon jest na podsłuchu, czego akurat dwa razy nie trzeba mi powtarzać. Moje rozmowy muszą być neutralne, jeśli chcemy dożyć narodzin naszych dzieci.

Nie spieszę się z zadzwonieniem do rodziców, bo wiem, że będą mi zadawać miliony pytań. Wiem też, że ten telefon wcale nie jest dla mnie. Jest dla Ignacia. Chce mieć pewność, że nie jestem informatorką.

– Chciałbym, żebyś czuła się w tym domu szczęśliwa – mówi Troy, wiążąc krawat.

Dzisiaj cały dzień spędziliśmy w mieście. Szukaliśmy wymarzonego domu, ale szczerze mówiąc, każdy z nich był tak piękny, że mogłabym wybrać z zamkniętymi oczami.

– Wiem, skarbie. – Posyłam mu uśmiech i wracam do garderoby wybrać sukienkę na dzisiejszą kolację.

– I chciałbym, żebyś powiedziała mi o swoich potrzebach.

Od rana o nie pyta. Czego mi trzeba? Czy jest coś, co mógłby dla mnie zrobić? Czy przeprowadzka do nowego domu da mi namiastkę normalności

i bezpieczeństwa? Troy rzadko porusza ten temat, jakby bał się usłyszeć, że czegoś się boję.

– Potrzebuję spokoju i odrobiny prywatności – mówię, żeby go trochę uspokoić.

Troy staje za moimi plecami i całuje mnie w szyję.

– A mnie?

– To oczywiste, że cię potrzebuję.

Odwracam się i całuję go w usta, a potem wracam do wertowania wieszaków. To podobno ważna kolacja, ale nie dla mnie. Nie należę do tego świata, nie emocjonalnie. Jestem tu tylko ciałem. Zwisa mi, kto z kim prowadzi interesy, kto bierze ślub, a komu urodzi się kolejne nieślubne dziecko. Ale uczestniczę w tym wszystkim dla Troya.

– Słyszałem, że poznałaś już Mię.

Nie odwracam się. Nogi mam jak z waty. Wciąż nie powiedziałam mu o tym, co znalazłam na stronie DEA, bo nie chcę go martwić.

– Tak, byłam u niej z Marią – odpowiadam jakby nigdy nic.

– Mówiła o tobie same dobre rzeczy.

O.

– Co dokładnie?

Wybieram długą suknię od paryskiego projektanta w kolorze gumy balonowej, która doda mi trochę blasku.

– Że jesteś skromna. I że mam dobry gust.

Słyszę, że Troy się śmieje, ale nie dzielam jego nastroju. Po prostu czuję, że okłamywanie go w którymś momencie przekreśli naszą wspólną przyszłość.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Odwracam się, a wtedy zauważa surowy wyraz mojej twarzy. Na jego maluje się strach. – Byłam u niej, żeby skorzystać z komputera.

Spuszcza wzrok, jakby nie mógł dłużej patrzeć mi w oczy.

– Do czego był ci potrzebny komputer Mii?

– Chciałam znaleźć informacje i przygotować się na to, co może nastąpić.

Milczy, przeglądając się w moim lustrze. Ręką gładzi się po ledwie widocznym zaroście. Potem podchodzi do mnie, przechylając lekko głowę, i dotyka mojego policzka.

– W życiu nie można być na nic przygotowanym na sto procent. A poza tym kupiłbym ci laptopa, gdybyś tylko o niego poprosiła. Nie musiałaś...

– Więc proszę, żebyś kupił mi laptopa i dał mi dostęp do internetu.

Troy unosi wysoko brwi, choć nie wygląda na zaskoczonego.

– Żebyś mogła jeszcze bardziej świrować?

Nie wytrzymam dłużej tego, jak lekceważy naszą sytuację.

– Troy, ty i Travis jesteście oficjalnie postawieni w stan oskarżenia za tak wiele rzeczy, że...

Wykrzywia twarz z irytacją.

– Mam od tego adwokata. A poza tym wiedziałem, że kiedyś to nastąpi.

W oczach pojawiają mi się pierwsze łzy, gdy się ode mnie odwraca, jakby kompletnie nie interesowało go to, co czuję.

– Nigdy nie wrócimy do Stanów, prawda? – niemal szepczę, żeby się nie rozpłakać.

Nie patrzy na mnie. Udaje, że szuka czegoś w swoich rzeczach, chociaż jest już gotowy do wyjścia.

– Póki Meksyk jest bezpieczny, tu jest nasz dom.

Prycham.

– Jak możesz mówić, że Meksyk jest bezpieczny? Dla kogo? – Czuję, jak gniew rozpęda mi puls. – Czy z całą odpowiedzialnością możesz mnie zapewnić, że czujesz się tu bezpiecznie?

Obserwuję jego sylwetkę, ale ani drgnie. Może faktycznie ma wszystko gdzieś. Albo jest tak dobrym aktorem.

Wyciągam z szafki szkatułkę, a potem trzaskam drzwiczkami, żeby wiedział, jak bardzo jestem wkurzona. Oboje stoimy do siebie plecami, ponieważ on boi się konfrontacji, a ja nie mam ochoty tolerować jego zachowania.

– Czy twój ojciec pokazywał ci moje akta?

Moje dłonie zastygają, gdy zapinam naszyjnik. Serce zaczyna walić mi w piersi. Na czoło występują kropelki potu. Nie wiem, skąd to pytanie, dlaczego akurat teraz, ale nie mogę nie odpowiedzieć.

Postanawiam się do niego odwrócić i zagrać w otwarte karty.

– Tak.

Troy kiwa głową, jakby moje słowa były tylko potwierdzeniem tego, co przypuszczał.

– A akta Camino?

– Tak.

Zamyśla się, patrząc na swoje buty, a potem robi dwa kroki w moją stronę. Oplatam się ramionami, bo nagle robi mi się zimno.

– Więc kiedy przyleciałaś do El Paso, do magazynu, wiedziałaś, jak wygląda sytuacja. Dlaczego wtedy się nie bałaś?

Unosi na mnie intensywne spojrzenie.

– Boję się od samego początku.

– A jednak zdecydowałaś się ze mną uciec. Zdecydowałaś się uciec z przemytnikiem, który w wieku trzynastu lat zabił człowieka.

Myślałam, że miłość jest odpowiedzią na wszystkie nasze decyzje, ale w porządku. Ma rację. Wyparłam to z pamięci, jakbym nigdy się o tym nie dowiedziała.

– Chyba to jeszcze do mnie nie dotarło. – Uciekam wzrokiem na podłogę.

– Po prostu.

– A gdybym powiedział ci, że to był pedofil?

Marszczę brwi, spoglądając na niego.

– Nie było tego w aktach.

– A jak myślisz, dlaczego? Dlaczego FBI miałyby chcieć zatuszować tę wzmiankę? Czy wiesz, że wystarczy wejść w archiwum i to udowodnić?

Chce sprawdzić, czy mu wierzę? Wkurza mnie ta gra, której zasad nawet nie znam.

– Do czego zmierzasz, Troy?

– Zaczynasz gadać jak twój ojciec, który od zawsze wmawia ci, że Departament Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych jest sprawiedliwy i możesz powierzyć im własne życie. A prawda jest taka, że na dzisiejszej kolacji zasiądą z nami ludzie z DEA, FBI, skorumpowani gliniarze, którzy strzegą naszej granicy...

Unoszę dłonie, żeby się zamknął, a potem przecieram nimi twarz.

– Chyba sobie ze mnie żartujesz?

– Nikomu nigdy nie możesz ufać, rozumiesz? Obojętnie, jaką ma odznakę i jak długą listę dobrych uczynków na koncie. Każdy może cię zdradzić, gdy będzie musiał ratować swoją dupę. Właśnie tego powinnaś nauczyć się od swojego ojca, który zapomniał – Troy podnosi głos – że te zasady dotyczą nas wszystkich!

Siadam na krześle i patrzę w swoje odbicie w lustrze. Ciągłe się zastanawiam, kim są ludzie, którzy mnie otaczają, ale nigdy się nie zastanawiałam, kim jestem ja sama.

– Ciężko mi przywyknąć do nowej rzeczywistości, kiedy zawsze uczono mnie czegoś odwrotnego. Nie możesz mieć do mnie o to pretensji.

Spotykamy się wzrokiem w lustrze.

– Co czułaś, kiedy przeczytałaś akta?

Wzruszam wiotkimi ramionami.

– Targały mną różne emocje.

– Jakie dokładnie?

Chryste.

– Smutek, niedowierzanie, strach...

Troy gwałtownie się nade mną nachyla, więc podnoszę głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Nienawiść?

– Nie, nigdy nie czułam do ciebie nienawiści.

Jednym mocnym ruchem ręki odsuwa moje krzesło, muszę się przytrzymać toaletki, żeby z niego nie spaść, i kuca.

– Zapytam wprost: czy twój ojciec wiedział, że lecisz do El Paso?

Nie możesz mu powiedzieć. Nie teraz.

Co będzie, jeśli skłamię? Co będzie, jeśli powiem prawdę? Która z tych odpowiedzi będzie lepsza i czy w ogóle któraś? Czy kłamstwo ze strachu może być jakkolwiek wymówką dla drugiej osoby? Czy faktycznie w miłości i na wojnie wszystkie chwytły dozwolone?

– Odpowiedz – nalega.

Błądzi wzrokiem po mojej twarzy, jakby sam nie był pewny tego, co zaraz powiem. A ja... nie mogę. Nie potrafię go więcej okłamywać. Tyle się między nami wydarzyło. Będziemy mieli dzieci, utknęliśmy w tym paskudnym miejscu i mamy tylko siebie. Nie mogę okłamać jedyne go człowieka, któremu oddałam serce. Nie mogę okazać się dziewczyną, co do której tak bardzo się pomylił.

Ale nie muszę nic mówić, bo z oczu wylewają mi się łzy, które potwierdzają jego wątpliwości. Chwilę przygląda się, jak spływają po mojej twarzy, a potem wstaje, żeby więcej na mnie nie patrzeć.

Bezszelestnie urywam kawałek chusteczki i przyciskam do wewnętrznych kącików oczu. Nie chcę brać go na współczucie.

– Byłaś przynętą. – W głosie Troya słyszę zawód i pretensję, co dobija mnie jeszcze bardziej. Zaciskam powieki, spod których dalej sączą się łzy. – Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Chcę powiedzieć, że dlatego, że go Kocham, ale czy w tej sytuacji to będzie wystarczające? Czy nie kochałam go, kiedy postanowiłam zostać przynętą? To w żaden sposób mnie nie usprawiedliwi.

– Nie potrafiłabym tego zrobić, ale zrozumieć, jeśli przestaniesz mi ufać.

– Oddałem ci wszystko, co miałem.

Z bólu wykrzywiam usta. Pragnę zniknąć.

– Wiem. Przepraszam, że cię zawiodłam. – Łkam, niemal wciskając chusteczkę do oka.

A potem, gdy na niego zerkam, szokuje mnie spojrzenie, którym mnie obdarza. Nie widzę w nim nienawiści ani urazy. Widzę smutek i żal, choć nie potrafię stwierdzić, czy tylko ja jestem ich adresatką.

– Nie zawiodłaś mnie – szepcze. – To nie twoja wina, że chłopak, którego wybrałaś, okazał się najgorszą inwestycją.

Wstaję, kręcąc głową.

Nie chcę, żeby tak o sobie myślał.

– Proszę, nie mów tak.

Ujmuję w dłonie jego twarz i znów płaczę, bo nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść myśli, że on wciąż nie rozumie, że jestem w nim zakochana i choćby cały świat wieszał na nim psy, ja widzę go inaczej.

Zupełnie inaczej.

– Kochać kogoś – mówi, wpatrując się we mnie – to jak dać komuś naładowaną broń i liczyć, że nie pociągnie za spust.

Tak. To boli. Boli jak cholera.

– Nigdy nie pociągnę za spust, Troy. Nie w twoją stronę.

Owszem, miałam w ręku broń, byłam w jego magazynie i mogłam postąpić inaczej. Mogłam wpakować mu metaforyczną kulkę prosto w serce, wysyłając go do więzienia, ale nie zrobiłam tego.

Troy potakuje, ale bez przekonania, a potem mnie przytula.

– Czy mówiłaś ojcu o mnie? O tym, co robię? O której wstaję, co jem, czym jeżdżę i tak dalej?

Jezu.

– Nie.

Czuję, jak dociska mnie mocniej.

– Nie wspomniałaś o żadnym z moich braci?

– Nie, na pewno nie.

Tuli mnie mocno, jakby się bał, że zaraz rozpląnę się w powietrzu. Nie wiem, dokąd zaprowadzi nas ta rozmowa, i nie znam jego podejścia do kłamstw. Wiem natomiast, że mnie kocha, jestem z nim w ciąży i powinnam mieć jakąś taryfę ulgową.

Prawda?

– W porządku. – Odsuwa mnie od siebie i wyciera moją zapłakaną twarz.
– Nie płacz. Nie chcę, żebyś się denerwowała.

Idę przemyć buzię wodą, żeby się schłodzić i zmniejszyć obrzęk. A potem wracam i po prostu kładę się do łóżka w wieczorowej sukni. Nie mogę przecież iść do tych wszystkich ludzi i udawać, że nic się nie wydarzyło. Jestem zakłopotana, rozżalona i cholernie się wstydzę spojrzeć Troyowi w oczy.

– Nie chcę iść na tę kolację. – Nakrywam się poduszką, ale odsłaniam usta, żeby mnie słyszał. – Nie lubię z nimi jadać, nie ma tam dla mnie miejsca, nie mam o czym z nimi rozmawiać i to wszystko jest dla mnie za bardzo wyrafinowane.

– Ta kolacja jest dla ciebie – mówi Troy.

To mnie zaciekawia. Na tyle, że odsuwam poduszkę i unoszę głowę, żeby jednak na niego spojrzeć.

– Dla mnie?

Zapina złoty zegarek, a potem powoli idzie w moją stronę. Nachyla się nade mną i znów przygląda mojej twarzy, jakby coś nie dawało mu spokoju. Błagam, nie chcę kolejnej serii pytań na temat mojej lojalności, bo oboje już wiemy, że nie przeszłam tej próby.

– Zrezygnowałaś ze swojego słodkiego życia, żeby uciec z przemytnikiem i urodzić mu dzieci. Dlaczego to zrobiłaś, Marino Moore?

Jego usta są zaledwie milimetr od moich, ale szybko skupiam się na jego pytaniu. Nie wiem, co odpowiedzieć, więc decyduję się na jedyną szczerą, choć pewnie mało przekonującą odpowiedź.

– Z miłości.

Troy wbija dłonie w materac po obu moich stronach z taką siłą, że niemal się w nim zatapiam.

– Więc, kurwa mać, jakie są dwa magiczne słowa, na które czekam każdego dnia?

Ujmuję jego policzki, skrywając uśmiech.

– Kocham cię.

Przyciągam jego twarz, żeby go pocałować, a on z czułością patrzy mi w oczy. Nie sądziłam, że codziennie czeka na to, aż wyznam mu miłość. Wydawało mi się, że wszystko, co robię, to dowód mojej miłości do niego.

Bezgranicznej, szalonej i bezinteresownej.

– Ja też cię kocham, panno Moore. – Obcałowuje moją twarz. – Kocham cię bezgranicznie. – Podrywa mnie z łóżka i okręca mnie dookoła. – Jak to szło? „Weź mnie za rękę. Weź też całe moje życie. Bo nie mogę się powstrzymać od zakochania się w tobie”...

Tuli mnie w tanecznym uścisku, sprawiając, że cały smutek ze mnie uchodzi.

– Co to za piosenka? – pytam.

– Elvis Presley, *Can't Help Falling in Love*.

– Nie wiedziałam, że jesteś taki romantyczny.

– Ja też tego nie wiedziałem. – Wskazuje na moje bose stopy. – Zbieraj się.

Szlag. Miałam nadzieję, że ten dobry nastrój zaprowadzi nas jednak do łóżka.

Idę do garderoby po jakieś szpilki.

– Powiedziałaś, że ta kolacja jest dla mnie. Z jakiej okazji? Nie znamy przecież jeszcze płci naszych dzieci.

Mieliśmy nadzieję, że dzisiejsza wizyta w klinice przyniesie nam wyczekiwaną wiadomość, ale niestety dzieci ułożyły się tak, że lekarz nie był w stanie nic zobaczyć. Marzy nam się parka, żeby każde z nas miało swoją kopię, a poza tym byłoby cudownie za jednym razem mieć córkę i syna.

– Bo są złośliwe i nie chciały się pokazać – mówi Troy, a potem dodaje ze śmiechem: – Ciekawe po kim...

– Złe geny dziedziczy się po ojcu.

– Kto tak twierdzi?

– Wszystkie matki.

Oboje wybuchamy śmiechem. Chętnie zostałabym w sypialni i spędziła ten wieczór zupełnie inaczej. Wciąż się zastanawiam, z jakiej okazji jest ta kolacja. Może z żadnej? Może tu tak właśnie jest? Wyprawiasz kolację wielkości wesela, żeby porozmawiać o rzeczach, które nie mają znaczenia, założyć najdroższe suknie i garnitury i obsypać się biżuterią. Może to swego rodzaju demonstracja wyższości każdego nad każdym.

Nie wiem.

– Jak wyglądam? – pytam po chwili, choć znam odpowiedź.

– Pięknie, słodko, tak że bym cię schrupał.

– Chodźmy. Chcę mieć to już za sobą.

Idę do drzwi, ale Troy mnie w nich zatrzymuje. Kuca, żeby zwyczajowo pocałować mnie w brzuch, zanim wyjdziemy, a potem wstaje i wpatruje się w moje oczy.

Nachyla się bliżej mojej twarzy, więc szykuję się na namiętny pocałunek, on jednak chrypi:

– Wyjdź za mnie.

Z otwartą buzią celuję kciukiem za swoje ramię.

– Na kolację? – pytam idiotycznie.

– Zostań moją żoną, Marino Moore.

Szerzej otwieram usta, a wtedy Troy wślizguje w nie język, przyciągając mnie do siebie. Kiedy odrywa się ode mnie po długim, namiętym pocałunku, wciąż mam rozwarłe usta. Próbuję zrozumieć to, co przed chwilą usłyszałam. Czy on właśnie poprosił mnie o rękę? I na Boga, dlaczego właśnie w tej chwili?

Drapię się po czole.

– Ale... tak teraz?

Uśmiecha się słodko i muska palcem moje nabrzmiące od pocałunku wargi.

– A kiedy?

Ale... czekaj, wróć.

– Czy ta kolacja jest właśnie po to, żebyś mi się oświadczył? – pytam, a Troy pomału potakuje. – Więc dlaczego postanowiłeś zapytać mnie teraz?

Myślałam, że go to rozbawi, bo przecież sam nierzadko powtarza, że nie zna się na tych wszystkich romantycznych pierdołach, ale zamiast tego on patrzy na mnie z jeszcze większą powagą.

– Bo chciałem, żeby ta jedna rzecz była tylko nasza.

Jezu.

Nie chcę znowu płakać, ale widząc i słysząc go tak dojrzałego, kiedy się przede mną otwiera, nie mogę się nie wzruszyć.

Postanawiam ciągnąć ten temat w zabawnym kierunku.

– Żeby w razie czego uniknąć publicznej odmowy?

Troy stanowczo kręci głową.

– Nie, ale czy zamierzasz odmówić?

Teraz ja kręcę głową.

– Nie.

– Więc zostaniesz moją żoną?

– Tak.

Właśnie zgodziłam się zostać jego żoną, bez namysłu, bez jakichkolwiek wątpliwości.

– Boże, jakie to wszystko jest trudne. – Troy unosi na chwilę wzrok do sufitu, a potem znów patrzy na mnie.

Rozśmiesza mnie to, że nie wie, jak się zachować. A przecież to bardzo proste. My, kobiety, jesteśmy proste w tej całej swojej skomplikowanej otoczce.

Zbliża się do moich ust, ale mnie nie całuje. Gwałtownie chwytą się za kieszeń w spodniach.

– Z tego wszystkiego zapomniałem, że mam dla ciebie pierścionek.

Nie. Teraz naprawdę muszę zdusić śmiech.

Wyciąga małe białe pudełeczko, otwiera je i demonstruje mi najbardziej błyszczący kamień, jaki widziałam. Unoszę dłoń, żeby pomóc mu w tej jakże romantycznej chwili, a on wsuwa na mój palec pierścionek. Oglądam dłoń, która nagle nabrała niezwykłego szyku.

– Piękny, idealny. – Całuję go w usta. – Dziękuję.

– To ja dziękuję.

Mruga do mnie, uśmiechając się z czułością.

Wreszcie wychodzimy na korytarz. Jeszcze pięć minut temu płakałam ze strachu, że mnie porzuci, że zawiodłam go na dobre, a teraz jestem jego narzeczoną. Takie życie może mi zapewnić tylko Troy Tracker.

– To pewnie najgorsze oświadczyzny w historii, ale wiedz, że zawsze działałam instynktownie – mówi Troy po drodze. – Wiesz, przez chwilę poczułem się tak, jakbyś miała już nigdy do mnie nie wrócić.

Wiedziłam, że w głębi serca jest mocno poturbowanym wrażliwym człowiekiem. Gdybym mogła, powiedziałabym to mojemu tacie i wszystkim ludziom, którzy widzą tylko ciemną stronę Troya.

Wyprzedzam go i chwytam za ręce, żeby go zatrzymać.

– Czy kiedy już zostanę twoją żoną, zrozumiesz wreszcie, że jestem z tobą na dobre i na złe?

Widzę, że go to rozczula, co znowu mnie wzrusza. Wiedziałam, że w ciąży jest się bardziej wrażliwym, ale nie sądziłam, że będzie mnie wzruszać każde jego słowo. To cholernie głupie i nie mogę nad tym zapanować.

– Całkiem możliwe, ale niczego nie mogę ci obiecać, *mi cielo*.

Ściska moją rękę mocniej i prowadzi mnie na kolację. Kiedy wychodzimy do ogrodu, gdzie przy stole siedzi z trzydzieści osób, Troy unosi moją rękę, żeby zaprezentować wszystkim pierścionek. Cieszy mnie, że oświadczył się bez ich udziału. Nie są naszą rodziną, a ja nie mogłabym cieszyć się tym, wiedząc, że w tak szczególnej chwili nie było przy mnie rodziców.

Ignacio gwizdże, kręcąc głową.

– Troy, wszystko schrzaniłeś!

– Klęknął chociaż? – pyta mnie Travis, który odsuwa mi krzesło.

– Nie.

Troy nachyla się do mojego ucha.

– Kompletnie o tym zapomniałem. Wybacz, skarbie. – Całuje mnie w policzek. – Klęknę, jak wrócimy do sypialni, kiedy będę zsuwał z ciebie majteczki.

Rumienię się. Na sto procent.

Siadam przy stole, udając, że nie widzę palącego spojrzenia jednej z kobiet. Czuję dziwne gorąco w żołądku, ale może to być również spowodowane tym, że większości tych ludzi nie znam, a dookoła nas kręcą się mężczyźni z karabinami.

Zerkam na Marię siedzącą po drugiej stronie stołu. Rysuje palcem kreskę spod oka, a potem bezdźwięcznie pyta:

– Płakałaś?

Kręcę głową, a wtedy ona w ten sam sposób mówi:

– Ona tu jest. – Pokazuje mi oczami na dziewczynę, która się na mnie gapi. – Ximena.

Zerkam w tamtą stronę. Niech mnie szlag, ale jest piękna! Najpiękniejsza z nich wszystkich, a do tego podobno najgorsza. Zagraża mi? Dlaczego tak na mnie patrzy i dlaczego nikt mi jej nie przedstawia? Chociaż nie wygląda na taką, której zależałoby na zawieraniu przyjaźni. To dobrze, bo mi też nie zależy.

Nagle dziewczyna posyła mi uśmiech i unosi kieliszek z szampanem w moim kierunku, a potem upija łyk. Unoszę swój kieliszek i robię to samo.

Może to jakiś znak pokoju. Przestaję się na nią gapić i skupiam uwagę na trajkoczącym mi obok ucha Ignaciu. Wciąż nie rozumiem, dlaczego to ja muszę przy nim siedzieć, ale chyba lepiej będzie, jeśli zacznę to doceniać.

– Zobaczcie, dzisiaj dostałem tyle listów od mieszkańców – mówi, pokazując plik kopert. A potem kolejno rzuca je na stół. – Ktoś prosi mnie, żebym wyciągnął porwanego syna, płacąc za niego okup. Ktoś inny chce na operację dziecka. – Pokazuje mi jeden z listów. – Tu kobieta prosi o dom. – I kolejny. – A tu na pomoc w spłacie kredytów.

– Ile z tych próśb pan spełnił? – pytam go, autentycznie zaciekawiona.

– Od jakiegoś czasu mam dobry humor, więc większość. – Puszczą do mnie oczko. – *¡Salud!*

Moja twarz traci gęstość. Jestem zdruzgotana jego władzą. Chcę się uśmiechnąć, ale nie bardzo mi to wychodzi, bo mimo że pomaga ludziom, wiem też, że nie miałyby skrupułów, żeby ich wszystkich zabić. Obserwuję gości, którzy patrzą na niego jak na Boga, kogoś, kto trzyma ich wszystkich w garści, i zastanawiam się, czy rządzi tym tylko strach, pieniądze, czy może coś więcej.

I wtedy nagle łączę kropki. Połowa z nich jest biała. Mogę zaryzykować stwierdzenie, że są Amerykanami, a to oznacza, że spełniają jakąś ważną rolę w Meksyku. Skoro siedzą przy stole narkotykowego barona, to znaczy, że są przekupieni. Czy pracują dla DEA? Jeden z nich wygląda jak typowy agent, mój ojciec gościł takich jak on w naszym domu. Wywęzam słuch, żeby skupić się na ich akcencie. Tak, to Amerykanie, ale świetnie mówią po hiszpańsku. Nie wierzę, że Ignacio zaprosił zwykłych ludzi na wspólną kolację, więc wychodzi na to, że Troy znowu miał rację. Nikomu nie można ufać. Nieważne, co robisz, kim jesteś, zawsze możesz zrobić coś złego. Tyle że to zbyt duży cios dla skromnej dziewczyny jak ja, która żyła pod gładem.

– Dlaczego nic nie jesz? – pyta mnie Troy.

– Chciałabym wrócić do pokoju – szepczę.

– Czy ktoś tu sprawił ci przykrość? – pyta mnie gospodarz z tym swoim ostrym akcentem, a ja kręcę głową. – Czy kogoś nie lubisz? – Ponownie kręcę głową. – Czy kogoś mam wyprosić?

Spinam się. Jezu. Nie.

– Nie, po prostu źle się poczułam.

Ignacio przykrywa moją dłoń swoją, niewiele większą od mojej, i kiwa głową do Troya, który automatycznie wstaje i chwytą mnie za drugą rękę.

Mam nadzieję, że nie zrobiłam niczego złego ani że nikogo nie uraziłam. Zawsze mogę zwalić wszystko na ciężę. Niech Bóg mi wybaczy, ale często tak robię.

– Pójdę z Mariną, ale wy kontynuujcie zabawę na mój koszt. W końcu to nasze zaręczyny – mówi Troy.

– W moim domu panują moje zasady – mówi Ignacio, a potem patrzy na mnie z ekscentrycznym uśmiechem. – A te nie są łamane nawet w imię miłości.

Cokolwiek miał na myśli, czuję się zagrożona.

– Chodźmy, połóżysz się i zrobię ci masaż.

Przyspieszam kroku, żeby nadążyć za Troyem, nie mogąc się doczekać, aż zostaniemy sami. W kółko analizuję, co Ignacio chciał mi przekazać. Obstawiam jedno: nie ma takiej rzeczy, która zostanie mi wybaczona, nawet w imię miłości. Muszę trzymać się zasad, niczym królowa angielska, bez względu na to, jakie straty moralne poniosę po drodze.

Kiedy tylko wchodzimy do sypialni, zrzucam szpilki, nalewam sobie wody do szklanki i wypijam na jednym wdechu.

– Tam był agent DEA, prawda? – pytam Troya, zsuwając z siebie suknię. Rozbiera się, potakując.

– Była też policja miejscowa oraz ta, która ma bronić obu granic. Camino ma wtyki wszędzie, w miejscach, o których nie wiem nawet ja.

– To straszne. To znaczy, że jest nietykalny. – Ściągam tę cholerną biżuterię, całą oprócz pierścionka zaręczynowego. – Czy nikt nie może tutaj wjechać i zrobić porządku?

Troy gwałtownie do mnie podchodzi i przykłada mi palec do ust.

– Ciszej – szepcze. – Nie wolno ci mówić o takich rzeczach w tym domu. Wszędzie może być podsłuch.

Wskazuję ręką na łóżko i oboje się kładziemy, po czym nakrywamy kołdrą, jak para nastolatków, która chowa się przed rodzicami.

– Przeraża mnie jego władza – mówię cicho. – Jest większa, niż ma FBI.

– DEA, FBI, US Marshals i Departament Bezpieczeństwa Krajowego mają swoje biura w Meksyku, ale nie mają jurysdykcji, żeby cokolwiek zrobić bez zgody tego kraju.

– Który jest wszechstronnie skorumpowany – dodaję, tracąc oddech.

Troy nie odpowiada, nie musi. Zdążyłam już się tego wszystkiego nauczyć. Nauczyłam się łączyć te pieprzone kropki, które zaczynają

tworzyć mocno krwawy obrazek.

– Chcę się stąd wyprowadzić, i to jak najszybciej – jęczę. – Zwłaszcza że wprowadza się Ximena. – Spoglądam na niego. – Dlaczego nic nie mówisz? – Cisza. – Słyszałam o niej.

Widzę, jak jego jabłko Adama bez pośpiechu opada.

– Co słyszałaś?

Boi się. W jego głosie słyszę strach, może nawet panikę. A więc coś jest na rzeczy.

– Że jej uroda jest przeciwieństwem jej charakteru.

Troy przysuwa się bliżej i całuje mnie w czoło, a potem gładzi po twarzy.

– Nie porównuj się do nich, niczego ci nie brakuje – mówi. – To, że jesteś w ciąży, dodaje ci tylko uroku i prawdę mówiąc, chciałbym, żebyś była w niej jak najdłużej. Chociaż jednocześnie chciałbym już mieć nasze dzieci.

Gładzi mnie najczulej, jak potrafi. A potem całuje mnie po szyi i zsuwa swoją dłoń na moje udo.

– Spałeś z nią? – pytam.

ROZDZIAŁ 10

TROY

Co miałem odpowiedzieć? Musiałem skłamać. Nie mogłem powiedzieć mojej narzeczonej, że pieprzyłem się z córką Camino, kiedy tylko nadarzyła się okazja. Ximena nie zawsze mieszkała w Tijuanie, poznałem ją w klubie w Miami, po załatwieniu interesów. Spotykaliśmy się jakiś rok, wyłącznie na seks, i było nam dobrze. Dopóki Ximena nie zaczęła się staczać, a potem zniknęła. I choć nigdy nic do niej nie czułem, wątpię, żeby Marina to łyknęła.

Poza tym uważam, że ta informacja nie wniesie nic dobrego do naszego związku. Nie chcę jej ranić. Przeszłość nie ma znaczenia, a każda kobieta, z którą spałem, była dorosła i wiedziała, że nie piszę się na żadne poważne relacje. Skupiam się bardziej na tym, kiedy Marina zamierzała przyznać się do spisku ze swoim ojcem.

Nigdy?

Kręcę głową, żeby oczyścić zagracony umysł. To również jest bez znaczenia. Jest młoda, z dobrego domu, cokolwiek zobaczyła w aktach, miała prawo się wystraszyć. Poza tym Michael Moore ma na nią silny wpływ, więc to właśnie jego obwiniam o to, że ryzykował głowę własnej córki i puścił ją do El Paso. Czy nie widzi w tym sprzeczności? Jestem tak bardzo zły i zepsuty, a jednak nie miał z tym problemu.

Pieprzyć to wszystko.

Wracam z kluczami do nowego domu w San Luis, który ma zapoczątkować nasze wspólne życie. Camino nie zgodził się, abym mieszkał w Meridzie, ponieważ dotarcie do Tijuany zajęłoby mi wieczność, a nasze sprawy wymagają, żebym był dostępny na cito. Najlepiej przez całą dobę. Jednak dom, który wybraliśmy z Mariną, w niczym nie przypomina miejsca, które jest jednym z najniebezpieczniejszych. To my, kartel Alarico,

rządzą tym wszystkim, panują tu nasze zasady, i to dzięki nam i naszej brudnej forsie to miasto może w ogóle funkcjonować, a ludzie przetrwać.

Zerkam raz jeszcze na teczkę z papierami potwierdzającymi, że mamy swój pierwszy wspólny dom. Dom, w którym wreszcie będziemy tworzyć prawdziwą rodzinę. Na samą myśl, że zaraz wręczone te klucze Marinie, ściska mnie w sercu z ekscytacji. Nic i nikt nie może nam tego spierdolić – wliczając w to nas samych.

Odbieram połączenie od El Chino.

– Masz coś dla mnie? – pytam bez zbędnych wstępów.

– Chodzą plotki o jakiejś starej chorej kobiecie, która oddała córkę do adopcji. Dziecko było małe, ale nie pamiętają daty.

– A adres? Coś więcej?

Zapłaciłem mu dziesięć patyków, więc chyba rozumie, że to żadne informacje.

– La Esperanza, 22298, to tyle, co udało mi się ustalić. Szukaj niejakiej Alejandry, dziewczyna sprzedaje kwiaty na targu. I potrzebuje forsy.

Czyli mogę kupić od niej informacje. Biorę kawałek kartki i długopis ze schowka.

– Alejandra jaka?

– Mendez. Podobno fajna laska, ale jeśli to nie ona, daj znać. Będę szukał dalej.

Alejandra Podobno Fajna Laska Mendez.

– Dzięki – mówię i się rozłączam.

La Esperanza to oczywiście biedna i niebezpieczna dzielnica, po której biegają ludzie Camino. Wrzucam wsteczny i zakręcam, żeby obrać jak najszybszą trasę, ale to i tak prawie pół godziny jazdy w jedną stronę. Zastanawiam się, co powiem Marinie, skoro obiecałem jej, że zaraz będę w domu i zjemy razem lunch. Przecież nie powiem jej, że wynająłem człowieka, żeby trzepał cały Meksyk w poszukiwaniu jej rodziny, bo jestem niemal pewny, że nie jest córką żadnej Hiszpanki, która umarła przy porodzie.

A skoro tak, dlaczego nic nie wie o swoim pochodzeniu? Jakim cudem dwójka Amerykanów adoptowała hiszpańskie dziecko? I dlaczego akurat hiszpańskie? Naprawdę moja narzeczona nigdy nie zadała swoim rodzicom tych pytań? A przynajmniej sobie? Może jestem jakimś fanatykiem prawdy, nie mówię, że wszystko ze mną w porządku, ale nie zaszkodzi sprawdzić.

Poza tym znam Meksyk jak własną kieszeń, więc znam również jego mieszkańców.

Jeśli w żyłach Mariny Moore płynie meksykańska krew, to oznacza, że ktoś tu coś ukrywa.

Po prawie czterdziestu minutach jestem na miejscu. W międzyczasie zadzwoniłem do Mariny, żeby ją przeprosić za nieplanowane spotkanie. Czuję się jak pieprzony hipokryta, ale może bycie w związku nie zawsze oznacza spowiadanie się sobie z każdego kroku. Zwłaszcza jeśli te kroki mogą przynieść drugiej stronie cierpienie.

Zatrzymuję się na środku ulicy i gapię na dziewczynę, która sprzedaje kwiaty. Od razu wiem, że to Alejandra Podobno Fajna Laska Mendez. Jest wychudzona, ma długie błyszczące czarne włosy i wielkie czarne oczy, które zajmują połowę jej twarzy.

Dookoła mnie pobrzmiwają klaksony, więc zjeżdżam w bezpieczne miejsce i wysiadam z samochodu, żeby się jej przyjrzeć. Z każdym krokiem ogarnia mnie dziwny strach – jakbym robił coś złego, wręcz jakbym zdradzał Marinę, ale nie jestem w stanie już się wycofać.

– *Americano* – mówi dziewczyna, gdy tylko się do niej zbliżam. – Czego chcesz?

Myślę szybko.

– Kupić kwiaty.

– Które?

Pokazuję na różne kolory, bo przecież, kurwa, nie znam nazw, nie odrywając od niej wzroku. Na pewno jest biedna, wkurzona i nie lubi Amerykanów. No i można wykreślić „podobno”, bo dziewczyna naprawdę jest śliczna. To jednak nie wystarczy, żeby łączyły ją jakieś więzy z Mariną Moore.

– Dla mojej narzeczonej – mówię, uśmiechając się nieznacznie.

Jej twarz łagodnieje. Punkt dla mnie.

– Jest stąd? – pyta.

– Wychowała się w USA – mówię, a wtedy ona opuszcza wzrok i się zamyśla. – Jak idzie interes? – zmieniam temat.

Zerka na mnie, dość zalotnie, jeśli się nie mylę, i lekko się uśmiecha.

– Nie każdy kupuje narzeczonej kwiaty.

Fakt. Trochę smutny, ale co mogę na to poradzić. Ja też nigdy wcześniej nie kupowałem kobiecie kwiatów. Zerkam na jej buzię, kiedy

ze starannością układa bukiet.

Albo są do siebie podobne, albo mam urojenia.

– Jak masz na imię?

– Alejandra.

Podaje mi kwiaty, a ja wręczam jej kilka banknotów plus napiwek.

– Gdzie mogę cię znaleźć, Alejandro?

Dziewczyna lekko rozchyła usta i marszczy ciemne brwi. Jasne, że nie rozumie pytania ani tego, dlaczego miałyby mi na nie odpowiedzieć, ale nie mam czasu na wyjaśnienia, naprawdę.

– Mam podać ci adres? Masz narzeczoną, kupiłeś jej właśnie kwiaty. Nie podam ci swojego adresu.

Wyciągam z kieszeni plik banknotów studolarowych i przybliżam go do jej twarzy.

– Dam ci to wszystko, jeśli powiesz mi chociaż, jak nazywa się twoja matka.

– *Bien, bien.* – Kręci głową w zakłopotaniu. – Graciela.

Szybkim ruchem zabiera ode mnie zwitek banknotów, czym mnie trochę rozśmiesza.

– Graciela jaka?

– Czego chcesz od mojej *mamá*?

– Spokojnie, wiem, że jest chora i chcę zapłacić jej za informacje.

– Nie podam ci adresu, *güero*.

– Potrzebuję tylko jej nazwiska, nic więcej. – Widzę, że dziewczyna dalej się waha, więc moje szanse maleją. Staram się wyglądać na miłego i godnego zaufania człowieka, ale rzadko mi to wychodzi. – Proszę.

Dziewczyna wzdycha.

– Mendez.

Uśmiecham się w podziękowaniu i podaję jej bukiet.

– Dla ciebie.

– Ale... *¡Oye!*

Biegnę do samochodu, zerkając na kartkę z imieniem i nazwiskiem. Pozostało mi teraz odnaleźć Gracielę Mendez i dowiedzieć się, czy coś ją łączy z Mariną. Z moich wnikliwych obserwacji wynika, że Alejandra i Marina są do siebie podobne. Mógłbym zapytać ją, czy ma siostrę – albo czy kiedyś miała – ale to za duże ryzyko. Chcę się spotkać z Gracielą Mendez, która może znać odpowiedzi na moje pytania.

Po piętnastu minutach i wydaniu kilkuset dolarów docieram przed dom wdowy Mendez. Udało mi się ustalić, że kobieta mieszka sama z córką Alejandrą, którą miałem przyjemność poznać, i że klepią niezłą biedę. Jej męża zabito, gdy próbował oszukać kartel i podał fałszywe informacje. Nie wiem, jakim cudem oszczędzili jego córkę i żonę.

Pukam do jej drzwi, aż słyszę, że zaprasza mnie do środka pomiędzy jednym a drugim kasznięciem. Wchodzę. Kobieta leży na łóżku, w ciemnym rogu pokoju, a gdy mnie dostrzega – białego faceta w ciuchach, których wartość przekracza wartość całego jej dobytku – na jej twarzy pojawia się panika.

– Proszę się nie bać – mówię po hiszpańsku. – Jestem przyjacielem Alejandry.

– Czy coś... coś jej się stało?

– Nie. – Wskazuję na krzesło, które stoi przy jej łóżku. – Mogę?

– *Claro que sí*. Czy chce pan coś do picia albo jedzenia?

Urzeka mnie troska okazana białemu facetowi, który bez uprzedzenia naszedł ją w domu. Podejrzewam, że ma niewiele do jedzenia. To zawsze ujmuje mnie w biednych ludziach. Dlaczego chcą się dzielić czymś, czego nie mają?

– Nie, przyszedłem tylko na chwilę. – Siadam przy niej. – Chciałem zapytać o bardzo ważną dla mnie sprawę i liczę na pani pomoc.

Kładę plik pieniędzy obok jej nieruchomej ręki. Nie wiem, ile tam jest, ale na moje oko powinno wystarczyć na leki, jedzenie i opłaty.

Kobieta patrzy na nie i szerzej otwiera oczy otoczone siatką zmarszczek.

– Jakie informacje są dla pana tak cenne?

Chrząkam, kompletnie nie wiedząc, jak zacząć.

– Czy ma pani więcej dzieci albo kiedykolwiek miała?

To pytanie może wydawać się neutralne, ale nie w Meksyku. Kobieta może zacząć się bać, że chcę zemsty na jej dzieciach, a te pieniądze wyda na ich pochówek. Meksykanie nie ufają *gringo*, ale wiedzą też, że solidnie płacimy za ich pomoc.

– Syna, Juana. Ale go zastrzelili.

– A jakąś inną córkę oprócz Alejandry? – Kręci głową. Jednak ma w sobie coś, co nie pozwala mi się poddać. – Ma pani siostrę? – pytam, a gdy potakuje, z trudem utrzymując ze mną kontakt wzrokowy, dodaje: – Czy

któraś z pani sióstr oddała kiedyś córkę do adopcji albo straciła córkę wskutek porwania?

– Elena. Moja bliźniaczka.

Widzę, jak usta jej drżą.

– A nazwisko? – Nachyliam się do niej i delikatnie szturcham jej ramię. – Nazwisko?

– Pérez. Elena Pérez. – Czekam, aż minie jej napad kaszlu, który wdziera mi się w uszy. – Miała córkę, ale nie mogła jej wychować. Była biedna, to dziecko było z grzechu.

Podaję kobiecie szklankę z wodą.

– W którym roku ją urodziła?

– Ze dwadzieścia lat temu.

– A dokładniej?

– Mam gdzieś akt urodzenia, ale nie mogę chodzić... A poza tym to bez znaczenia.

– Gdzie mogę znaleźć Elenę Pérez?

– Rok temu zmarła, niby na zawał, ale ja swoje wiem. Zabiła ją tęsknota i wyrzuty sumienia.

– Jak nazywała się jej córka?

– Mówiliśmy na nią Niña. Była taka piękna... – Kobieta uśmiecha się do swoich wspomnień. Chciałbym móc teraz widzieć to samo, co ona. – Urodzona w bólach, jakby nie chciała wyjść na ten świat. I tak rzadko płakała... – Ze smutkiem patrzy w moje oczy. – Jak gdyby bała się dawać znać o swoim istnieniu.

– A jak miała na imię? Chodzi mi o jej prawdziwe, pełne imię.

Czekam na odpowiedź jak na jakiś wyrok, ale kobieta dalej myśli. Może ma luki w pamięci, choć imienia dziecka chyba nie da się zapomnieć.

Musi pamiętać.

– Marina – mówi w końcu. – Marina Pérez.

Mam wrażenie, że serce właśnie pękło mi w piersi. Nie byłem przygotowany na dźwięk tego imienia. Wstaję, żeby się ogarnąć. To jeszcze niczego nie przesądza. Wiem o tym. Potrzebuję dowodu. Niezbitego dowodu.

Rozglądam się po chacie.

– Czy ma pani jakieś zdjęcia?

– Wszystko gdzieś jest, ale moja pamięć... nie jest dobra. Moje nogi... jestem już taka stara.

Kurwa, nie mogę zmusić chorej kobiety, żeby wstała, ale nie mogę też sam zacząć szperać w jej domu. Potrzebuję jej pomocy, bo czuję, że wie więcej, niż mi mówi. Może dlatego, że nie chce, a może dlatego, że nie pamięta. Nieważne. Jestem gotów załatwić jej amerykańskie obywatelstwo, byleby pomogła mi poskładać to wszystko w całość.

Nagle drzwi domu się otwierają i staje w nich Alejandra. Gdy mnie rozpoznaje, rzuca torebkę i kwiaty na stolik i wbiega do pokoju, jakby chciała mnie staranować.

– Co ty tu robisz? Dlaczego nachodzisz moją matkę? Wynoś się! *¡Fuera! ¡Fuera!*

Unoszę ręce w obronnym geście.

– Już wychodzę – mówię i zbliżam się do niej powoli. – To dla mnie ważne. Chodzi mi o matkę Mariny Pérez. Potrzebuję adresu jej spoczynku i dokumentów, które potwierdzą, że miała córkę. Potrzebuję daty urodzenia tej dziewczynki.

Chyba nigdy nie zdarzyło mi się wypowiedzieć tylu słów naraz, ale jestem zdesperowany. Muszę odkryć prawdę. Chcę móc spojrzeć Marinie w oczy i powiedzieć jej, że wiem, kim jest, i że znalazłem jej biologiczną matkę. Każdy ma prawo wiedzieć, gdzie się urodził, skąd pochodzi i dlaczego został oddany do adopcji.

Dziewczyna mięknie, widzę to w jej spojrzeniu, i też się zamyśla. Wnioskuje, że oddanie tego dziecka przysporzyło wielu osobom cierpień, więc... dlaczego na to pozwoliły?

– Lustrzana data. Nie sposób jej nie pamiętać.

Lustrzana data? Co to, kurwa, znaczy? Mój hiszpański jest zaawansowany, ale może o czymś nie wiem.

– Dobrze, a konkretniej?

– Jesteś *loco*.

Jest bardzo spostrzegawcza, to fakt.

– Podaj mi tę datę – nalegam zniecierpliwiony.

Dziewczyna zerka na kaszlącą matkę z udręczonym wyrazem twarzy. W końcu podchodzi do szafki, z której wyciąga kilka opakowań leków. Potrząsa buteleczką i wysypuje na rękę dwie ostatnie tabletki.

– Dwudziestego lutego dwa tysiące drugiego roku. – Pomaga matce się podnieść i podaje jej leki. Podchodzę, żeby przytrzymać kobiecie głowę, kiedy połyka jakieś dwanaście tabletek. – Mówią, że osoby urodzone z samymi dwójkami to anielskie dzieci.

Powtarzam tę datę w myślach, jakbym sam chciał sobie to uzmysłwić.

Zgadzą się:

Imię.

Data urodzenia.

Rysy twarzy.

Kobieta, która oddała córkę Amerykanom.

Siostry bliźniaczki, a my spodziewamy się bliźniaków.

To musi być jej rodzina. Brakuje tylko dokumentów, które to potwierdzą i pokażą, jak do tego doszło. Nie chce mi się wierzyć, że Michael Moore przyjechał do Tijuany i wybrał to dziecko na swoją córkę.

Podchodzę do szafki i przyglądam się pustym opakowaniom po lekach. Czytam nazwy. Pramlintyd, humulin, teofilina... za dużo tego jak na jedną kruchą kobietę.

– Rak? – pytam dziewczynę, kiedy nakłada matce maskę z tlenem.

– Cukrzyca, rozedma płuc i przewlekłe zapalenie oskrzeli.

Nie wiem, co powiedzieć. Tyle nieszczęść potrafi spotkać tylko biednych ludzi i dzieci. W obu przypadkach masz związane ręce i nie możesz walczyć.

– Przykro mi.

– Dlaczego o nią wypytujesz? Znasz ją? – Dziewczyna staje naprzeciwko mnie. – Znasz? – Uderza mnie ręką w tors. – Powiedz coś!

– Nie mogę nic powiedzieć, póki tego nie sprawdzę.

– A czy kiedy to sprawdzisz, powiesz mi, gdzie jest? Czy miała dobre życie? Czy żyje? Moja ciotka czekała na nią do śmierci.

Z wielkich oczu dziewczyny leją się łzy, więc szybko odwracam wzrok, żeby nie dać się w to wciągnąć. Nie mam pewności, czy chodzi o Marinę Moore, a jeśli jej biologiczna matka faktycznie nie żyje, nie wiem, czy jest sens jej o tym wszystkim mówić.

– Przykro mi. Czy możesz poszukać wszystkich dokumentów, które mogą mi pomóc?

Wierzchem dłoni ociera policzki i biegnie do szafki, z której wyciąga jakąś żółtą teczkę. Podaje mi ją.

– To wszystko, co zostało po cioci Elenie.

Wyciągam kolejny plik forsy, którą zawsze ze sobą wożę na sytuacje takie jak ta. Handel informacjami bywa bardzo kosztowny.

Kładę pieniądze na stół.

– Zabierz matkę do lekarza, zrób remont, kup jakieś leki i jedzenie. Co tydzień będę przysyłał mojego człowieka, żeby pomógł wam stanąć na nogi. – Zapisuję numer i kładę obok pieniędzy. – W razie problemów zadzwoń do El Chino. Tylko nikomu nie mów, że tutaj byłem.

Idę do drzwi.

– Ale dlaczego nam pomagasz? – słyszę za sobą.

– Muszę nadrobić dobre uczynki. – Wskazuję palcem na jej matkę. – Dbaj o nią i nie wracaj na targ.

– Powiedz chociaż, jak masz na imię!

Zamykam za sobą drzwi i wsiadam do samochodu, w którym od razu otwieram teczkę. Nie ma w niej zbyt wiele, ale są zdjęcia noworodka i kilka zdjęć Eleny. Wlepiam w nią spojrzenie.

To dwie krople wody.

Opieram głowę o zagłówek i oddycham głęboko, żeby uspokoić skołatane serce. Pozostaje mi tylko sprawdzić akt urodzenia oraz dowód na to, że została oddana państwu Moore. Przeszukuję każdą kartkę, czytam po kilka razy każde słowo, ale oprócz informacji przekazanych mi przez Alejandrę i jej matkę nie ma tu nic więcej.

Wysiadam, żeby zadać ostateczne pytania, na które najpewniej nigdy nie znajdę odpowiedzi. Pukam do drzwi, które otwiera mi Alejandra.

– Mam jeszcze kilka pytań. – Opieram rękę o framugę nad jej głową. – Dlaczego to dziecko adoptowali Amerykanie?

Dziewczyna zaczyna się dziwnie zachowywać. Wycofuje się.

– Nie wiem. Ciotka dostała za nią dużo pieniędzy.

– Czy jest coś, co może to potwierdzić?

– Nie.

– Ale skąd ci Amerykanie... Jak to się stało, że trafili tu, do Tijuany? – pytam, a dziewczyna blednie. Boi się. Coś wie. I zaczyna mnie wkurwiać. Chwytam ją za ramiona i potrząsam. – Zapłacę ci tyle, że nie wydasz tego do końca życia, ale musisz powiedzieć mi wszystko, co wiesz.

Zaciska oczy ze strachu.

– Zabiją mnie, jeśli ci powiem.

– Kto? Kto ci grozi? Wiesz, kim jestem? Pracuję dla Camino. – Świetnie. Mam wrażenie, że zaraz zemdleje i chuja się dowiem. – Jestem jego prawą ręką. Wiesz, co ci grozi za tuszowanie informacji?

Dziewczyna zaczyna wyć jak zwierzę prowadzone na rzeź. Kurwa, nie mogę się teraz wycofać. Czuję, że to ma cholernie głębokie dno i może mi pomóc.

– Moja ciotka pracowała jako wtyczka dla jakiegoś oficera. Kogoś, kto rozpracowywał kartel w Tijuanie. To nie mogło się wydać, bo... mieli romans.

R o m a n s.

Muszę złapać oddech.

Przez głowę przebiega mi stado myśli.

– Czy ten oficer był Amerykaninem? – dopytuję, a wtedy ona się wyrywa.

– ¡Sí! Powiedziała ci już wszystko! Chcę zapłaty. Nie mogę zostać tu z chorą matką...

Robię krok do tyłu, gapiąc się w jej buty.

– Dostaniesz wszystko.

– Kiedy?

Unoszę na nią wzrok.

– Dzisiaj. Przyjedzie do ciebie mój człowiek z walizką pieniędzy, zawiezie cię tam, gdzie będziesz chciała.

– Moja matka umiera. Potrzebuje opieki lekarzy, najlepiej w Meridzie.

– Więc zawiezie was do Meridy.

– Przysięgnij.

Unoszę brew. Co?

– Przysięgnij – naciska z żalem w oczach.

– Przysięgam.

Zostawiam ją w drzwiach i wpadam do samochodu. Odsłuchuję nagranie. Oddycham z ulgą, kiedy słyszę, że wszystko się zarejestrowało. Wciskam gaz i jadąc pod prąd, dzwonię do rodziców Mariny. Odbiera jej matka. Podaję swój numer telefonu, adres i godzinę, o której chcę się widzieć z jej mężem. A potem się rozłączam i dzwonię do moich ludzi, żeby wywieźli Alejandrę i jej matkę w bezpieczne miejsce oraz dali im obiecane pieniądze.

Kiedy mam już pewność, że kobiet nie ma w domu i ślad po nich zaginął, jadę na spotkanie z ojcem Mariny. Nie wybrałem żadnego hotelu ani

restauracji, tylko otwartą przestrzeń na rogu jednej z ulic. Moi ludzie muszą mieć czysty cel, w razie gdyby komuś przyszło do głowy mnie zabić albo porwać.

Podjeżdżam na miejsce i sprawdzam przez krótkofalówkę, czy wszyscy są na swoich pozycjach. Wiem, że ryzykuję niezłą jatkę, ale właśnie znalazłem niezłego haka na człowieka, który chce mi się dobrać do tyłka i odebrać kobietę z moimi dziećmi.

Po dziesięciu minutach podjeżdża wojskowy samochód, z którego wysiada Michael Moore. Moi ludzie czyszczą go z broni i wskazują na wóz, do którego ma wsiąść. Posłusznie wykonuje polecenia i siada na miejscu pasażera.

Z trzaskiem zamyka drzwi.

– Czego chcesz? – warczy.

– Mam dla ciebie coś, co może być bardziej cenne ode mnie.

– Chcę rozmowy z moją córką.

– To do niej należy decyzja. Ma swój telefon i może z niego korzystać.

– Daj mi numer.

– Wszystko po kolei, Mike. Najpierw chcę, żebyś coś przeczytał. – Kładę mu teczkę na kolanach. – Lubisz się taplać w cudzych brudach, to pewnie cię zainteresuje.

– Nie bawię się w te gierki, Troy.

– A szkoda, bo według tego, co tu jest... – Otwieram teczkę i wyciągam akt urodzenia. – Kojarzysz to nazwisko? – Pokazuję mu zdjęcie Eleny. – Kojarzysz tę kobietę, Mike? – Wyciągam spluwę i wciskam mu ją w skroń, ale facet jest niewzruszony. – Odpowiadaj, bo wpakuje w ciebie cały magazynek!

Mike kręci głową.

– Nie masz na nic dowodów, Troy.

Opieram się o fotel, żeby się uspokoić.

– Ale połączyłem wszystko w całość. Miałeś romans z biologiczną matką Mariny, kiedy pełniłeś służbę w Tijuanie. Była twoją informatorką. Dziecko i romans nie były ci na rękę, ale nie wyobrażałeś sobie też, że możesz ją porzucić. Przekupiłeś tę kobietę i odebrałeś jej córkę. – Totalnie mnie ignoruje, czym tylko podnosi mi ciśnienie. – Jak myślisz, Mike? Czy jest to do wybaczenia? – Przybliżam się do niego. – Czy Marina Pérez wybaczy ci tak wielką zdradę?

Widzę, jak powoli przełyka ślinę.

– To tylko twoje paranoje.

Będzie brnął w swoje kłamstwa do śmierci, wiem o tym. Michael Moore nigdy nie przyzna się do czegoś takiego. Całe życie wmawia swojej córce, że jest praworządnym i sprawiedliwym człowiekiem, a tu proszę.

– Wiem, dlatego udowodnię swoje przypuszczenia badaniem DNA. Jeśli jesteś ojcem Mariny, badanie to potwierdzi.

Wyciągam ze schowka foliową torebkę i zastanawiam się, co będzie lepsze. Jego ślina? A może włosy?

Nagle on w panice otwiera drzwi i próbuje uciec. Wybiegam za nim, mierząc do niego z broni, ale, kurwa, przecież nie mogę wystrzelić.

Kiedy jest już przy swoich ludziach, ci są gotowi do oddania strzałów, więc moi ludzie również.

Po prostu pięknie.

– I co, Mike? – pytam. – Co zamierzasz zrobić? Zabić mnie?

– Jeżeli tylko przekroczysz granicę, Troy, wszyscy mają rozkaz cię zatrzymać. Ale jeżeli stawicie opór, wiesz, gdzie będzie celował snajper. – Rozglądam się po budynkach. Jebany Michael Moore. Nieźle się przygotował. Macham ręką do snajpera na przywitanie. – Poddaj się, Troy. Zapewnię ci bezpieczny transport, masz moje słowo.

Biegnę za hammera, kucam i biorę od swojego człowieka karabin maszynowy, a potem się wychylam, żeby dokończyć rozmowę z przyszłym teściem.

– Słowa nie mają dla mnie żadnej wartości, Mike! Powinieneś o tym wiedzieć!

– Pudło! Od zawsze uczyłem córkę, żeby miała oczy szeroko otwarte, ale uszy to piękny i niedoceniany instrument. – Wiem, o czym mówi, ale nie mogę mu uświadomić, że wystawił mi swoją córkę jako łatwy cel, bo są tu moi ludzie. – Nie jest tak, Troy? Mało mówisz, bo wolisz słuchać innych i analizować ich osobowość? Myślisz, że tego nie dostrzegłem?

– Świetnie! – Daję sygnał żołnierzowi, żeby przetoczył się do następnego samochodu. – Powiedz mi jeszcze, że jesteśmy do siebie podobni!

– Mógłbyś być moim synem, dzieciaku.

– Gdybym tylko umiał, chybabym się rozpłakał.

– Masz jeszcze szansę.

– Na co? Na to, żeby się rozpłakać, czy na dożywocie? Nie, dzięki. Nie skorzystam z żadnej z tych opcji.

– Zamierzasz pakować moją córkę i swoje dziecko w takie życie?

– Zamierzam się nimi zająć, ale dziękuję za troskę. – Wstaję i celuję w niego lufą. Jeden z jego ludzi robi to samo. Są coraz bliżej. – Ani kroku. Każ swoim ludziom się wycofać, ja zrobię to samo.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

– Oczywiście, że możesz.

I nie ma prawa mnie nawet zatrzymać.

– Szuka cię cały kraj, wkrótce nie będę mógł ci pomóc.

Zaczynam się śmiać.

– W jaki sposób chcesz mi pomóc, Mike? Odebrać mi kobietę i dziecko?

Mógłbym mu powiedzieć, że spodziewamy się bliźniaków, ale to raczej nie jest odpowiednia pora.

– Nie są przy tobie bezpieczni, jesteś egoistą – mówi Mike.

Potakuję.

– Jestem.

Nagle otacza nas pięć samochodów z innego kartelu. Robi się zamieszanie i widzę wycelowane w nas spluwy, więc chowam się za maskę samochodu. Mam nadzieję, że Mike zrobił to samo. Po chwili słyszę karabiny, które wyrzucają naboje bez zacięcia. Wychylam się, żeby oddać kilka strzałów, i trafiam jednego w głowę.

To kartel Tecate, ten sam, który porwał moją siostrę. Czego chcą, do kurwy nędzy? Toczę się po ziemi, żeby nie oberwać, i sprawdzam, jak trzyma się Mike. Pokazuję mu ręką, żeby schował się pod furgonetkę i że będę go osłaniał.

– Troy!

Tak bardzo skupiam się na nim, że ktoś trafia mnie w brzuch.

– Kurwa!

Mike podbiega do mnie.

– Trafili cię. – Rozrywa mi kamizelkę, która musiała się zsunąć. – Uciskaj ranę.

– Weź mój karabin – mówię.

Nie wiem, ile to trwa, ale wiem, że właśnie się wykrwawiam. Podbiega mój żołnierz i oddając strzały, osłania mnie przed kolejną kulką. Mike zaciąga mnie za samochód.

- Bierzcie go! Musi jechać do szpitala! Szybciej, kurwa!
- Nie dożyje podróży. Tam jest dom! – słyszę głos teścia.

Czuję, jak frunę nad ziemią. Patrzę w piękne, bezchmurne niebo. Ile już razy otarłem się o śmierć?

Na pewno kilka.

- Otwierać! Przesuń się!

Wpakowują mnie do jakiegoś domu.

- Połóż go na stole.

– Przynieście mi wódkę – słyszę Mike’a – ręcznik i coś, czym będę mógł wyciągnąć nabój.

- Uciekaj, Mike. – Uciskam ranę. – Moja kulka nie może iść na marne.

- Zagryź. – Wkłada mi między zęby zawinięty w rulon ręcznik.

Wykonuję polecenie, bo wiem, na jaki ból muszę się przygotować.

- Traci dużo krwi.

- Kurwa! – wrzeszczę, zwijając się z bólu.

- Leż, leż... Leż, do kurwy nędzy, leż!

Ktoś siłą dociska mnie do stołu, ale po chwili cały ból ze mnie uchodzi.

Zostawia mnie.

Czuję błogość.

- Stracił przytomność.

- Marina...

Odpływam w otchłań. Słyszę jej głos pod wodą. Widzę nas w Cabo, gdzie spędziliśmy razem cudowny czas. Widzę twarz dziecka, które zostaje odłączone od matki. A potem widzę siebie. W ciemnym kącie czekam na lanie za rozlane mleko. „Ty jebany mały durniu! Żebyś zdechł! Nie potrafisz nawet odłożyć kubka na stół!”. Mam chyba trzy latka i trzęsę się ze strachu. Zalewa mnie fala gorąca, gdy pasek przecina mi skórę. Zakazano mi płakać, więc staram się tego nie robić, ale nie umiem. To tak bardzo boli. Matka leje mnie wszędzie, z oczu płyną mi łzy. Płacę bezgłośnie. Jednak gdzieś w tym moim małym rozumku pojawia się myśl, że dzięki temu, co ona mi robi, nie czuję głodu.

ROZDZIAŁ 11

MARINA

Nie mogę uwierzyć w to, co wczoraj zobaczyłam. Nie mogę uwierzyć, że kandydat na mojego męża zamiast z kluczami do naszego nowego domu przyjedzie z raną postrzałową. Mógł umrzeć. Mogłam go stracić. Mogłam stracić nasze dzieci. To koniec, nie mogę tak dłużej żyć.

Ale nie mogę też stąd wyjechać, bo nie potrafię go zostawić.

Zerkam w stronę drzwi, w których stoi Troy. Ledwie stoi, bo rana, choć go nie zabiła, okazała się na tyle głęboka, że nie mógł się wyprostować.

– Przyjechał lekarz – mówi, opierając się o drzwi i udając, że nic mu nie jest, co uparcie od wczoraj powtarza.

– Do mnie? To nie ja oberwałam kulkę „przez pomyłkę”.

Kładę głowę z powrotem na poduszkę i gapię się w sufit. Oczywiście, że mi go żal, ale równie mocno jestem na niego wściekła. Jak może mi wmawiać, że postrzelono go przez przypadek? Uważa, że jestem tak mało inteligentna i nie potrafię łączyć wydarzeń? Pojechał po pieprzone klucze, a zajęło mu to cały dzień i nagle przestał się ze mną kontaktować. Co takiego robił, że nie miał czasu, a w dodatku wrócił cały we krwi? W sumie to ma wielkie szczęście. Gdyby nie ta kulka, uznałabym, że mnie zdradza. Mój strzał na pewno nie byłby przypadkowy – i celowałabym prosto w jaja.

Troy siada przy mnie i odgarnia mi z twarzy włosy. Posklejane od wczorajszej hysterii.

– Mnie nic nie jest, ale ty jesteś w ciąży i doświadczyłaś ogromnego stresu. – Kładzie rękę na moim brzuchu, który jest coraz krągłszy. – Chcę wiedzieć, że wszystko z nimi w porządku.

– Gdybyś przestał co rusz pakować się w kłopoty, nie musiałabym się stresować – mówi Maria, która od wczoraj mnie pociesza i dba o to,

żebyśmy oboje mogli się pozbierać. Wyła razem ze mną i pocieszała mnie, chociaż wiedziałam, że cierpi równie mocno.

– Twoi ludzie mają stąd odejść – mówię, a kiedy nie słyszę odpowiedzi, podnoszę głowę i patrzę na dwóch facetów, którzy non stop stoją przy drzwiach. – No już! Wypieprzać!

Troy wstaje i człapie w ich stronę. Coś do nich mówi i tamci wychodzą. Świetnie, mnie nikt nie słucha. Nikogo nie obchodzi to, że nie chcę przy sobie żadnej broni i widowni. Czy tak trudno to pojąć?

Koniec, kurwa, kropka.

– Nie krzycz. – Maria pomaga mi się nieco podnieść. Poprawia mi poduszki, a potem włosy z taką czułością, jaką chyba nigdy wcześniej mnie nie obdarzyła. – Postaraj się uspokoić. Okej? One to słyszą. – Delikatnie przykładła dłoń do mojego brzucha.

Potakuję i zamykam oczy, kiedy Troy wpuszcza do sypialni lekarza z torbą medyczną. Ten siada przy mnie i prosi o zdjęcie piżamy, więc z pomocą Marii to robię. Troy niemal wisi na lekarzu, opierając się tułowiem o łóżko, bylebym nie zauważyła, jak męczy go ta pozycja. A jednak zauważam.

– Proszę wszystko sprawdzić. Chcę wiedzieć, że moim dzieciom nic nie jest – mówi do lekarza po hiszpańsku. Naprawdę postarał się nauczyć tego języka jak własnego.

– Będę musiał zbadać pańską żonę dwuręcznie.

– Co to znaczy? – pyta Troy.

Nieruchomieję, bo znam już to badanie. Zastanawiam się, czy naprawdę nie ma innych metod.

– Wsunę dwa palce w pochwę, a drugą ręką będę uciskał podbrzusze. To pozwoli mi na ocenę rozmiarów i ruchomości macicy oraz przydatków.

Troy chwilę się zastanawia, aż wreszcie mówi:

– Proszę robić, co pan musi.

Rozszerzam nogi, a kiedy lekarz nakłada rękawiczki i smaruje dłonie jakimś żelem, zamykam oczy. Maria trzyma mnie za rękę, ale wiem, że jej też jest słabo. Na Troyu nie robi to żadnego wrażenia – pewnie poza tym, że obcy facet właśnie wsuwa mi do pochwy palce. Wbija je tak mocno, że krzywię się z bólu.

– Przepraszam – mówi – ale to konieczne.

– Mhm... – Jęczę, zaciskając powieki i usta. Staram się rozluźnić, ale nie mogę.

Odliczam tylko czas do końca tych tortur. Przy badaniu mojego brzucha stetoskopem ze stresu niemal słyszę bicie własnego serca. Tak bardzo się bałam. Wczoraj wylałam ocean łez i darłam się na pół miasta, żeby wezwano karetkę. Dopiero kiedy Troy dostał profesjonalną pomoc, zasnęłam, choć nadal chlipiąc. A przecież takie sytuacje nie są obojętne dla płodów.

– Nie wykryłem niczego niepokojącego, ale proszę o siebie dbać – mówi w końcu lekarz. – Cięża jest ogromnym wysiłkiem dla pani organizmu.

Troy wyciera mnie najczulej, jak potrafi, po czym składa pocałunek na moich naburmuszonych ustach.

– Dziękuję – mówię po hiszpańsku i gramolę się z łóżka, żeby rozprostować kończyny.

– Maria, zostaw nas samych – mówi mój narzeczonny, gdy tylko lekarz wychodzi, a gdy Maria całuje mnie w policzek i znika, zwraca się do mnie:

– Nie możesz odsyłać żołnierzy. Są tu po to, żeby nas chronić.

– Mogę. I będę to robić. Poza tym, jak widać, nie są aż takimi dobrymi obrońcami, skoro *przypadkowo* dostałeś kulkę.

– Nikt nie był na to przygotowany. – Troy jęczy, chwytając się za brzuch.

– Jezu, bardziej męczy mnie powtarzanie tego niż ta dziura.

Pieprzone wyrzuty sumienia.

– Bardzo cię boli?

– Tak, jeśli to sprawi, że będziesz dla mnie miłsza.

Pomagam mu dojść do łóżka.

– Połóż się, musisz odpoczywać. Nie chcę męża, który nie może się ruszać i mnie zaspokoić.

Troy zaczyna się śmiać.

– Nie rozśmieszaj mnie.

Nalewam wody do szklanki, a potem biorę tabletki z szafki nocnej. Podaję mu to wszystko.

– Weź leki i się prześpij.

– Dobrze, panie generale.

Połyka wszystko, po czym ponownie kładzie się na boku. Nakrywam go kołdrą i składam pocałunek na jego ustach. Mruczy z zadowolenia, a po pięciu minutach zaczyna chrapać.

Okej. Muszę działać.

Nie mogę żyć w takim strachu i pluć sobie kiedyś w brodę, że nie zrobiłam niczego, żeby zapobiec takim sytuacjom. Biorę telefon i wykręcam numer jedynej osoby, która na pewno mi pomoże.

Do mojego taty.

Gdy słyszę jego głos, mam ochotę się rozpłakać. Nie wiem, czy wciąż nie dorosłam do wyprowadzki od rodziców, czy to wina tego, że jestem z nimi tak mocno związana, ale nagle chcę się znaleźć w jego ramionach, żeby chociaż na chwilę przestać się bać. Proszę go o jak najszybsze spotkanie w jakimś bezpiecznym miejscu. Tata od razu podaje nazwę hotelu.

– Spotkajmy się za godzinę – mówi.

Z emocji aż muszę usiąść.

– Jak to za godzinę?

– Bądź sama. Postaraj się, żeby nikt cię nie śledził.

– Tato, ale... – Nie, nie mogę go o nic pytać. – Ty też bądź sam.

– Będę.

To cholernie niebezpieczne, bo Ignacio wie, że mój ojciec jest byłym agentem, ale... to mój ojciec. Mam prawo się z nim spotkać. Nie wiem tylko, czy powinnam uprzedzić o tym kogokolwiek. Ale w tej chwili się nad tym nie zastanawiam. Korzystając z tego, że Troy śpi mocno po lekach, po prostu pędzę do wyjścia. Muszę prosić któregoś z żołnierzy, żeby podrzucił mnie, dokądkolwiek sobie życzę, ale nie mogę ryzykować bezpieczeństwa mojego taty i muszę podać inny adres.

Tyle że nie znam okolicy.

– Marina! – woła za mną Maria. – Dokąd idziesz? – Kurwa mać. Tylko nie ona. Błagam. Nie zatrzymuję się z nadzieją, że się przesłyszałam. – Halo?

Dogania mnie i szarpie za rękę, tak że muszę się odwrócić.

– Na... – Szukam słów. – Miasto.

Uśmiecham się jak kretyńka.

– Sama? Gdzie Troy?

– Śpi.

Po wyrazie jej twarzy wiem, że dałam jej do myślenia.

– Co ty kombinujesz?

Wypuszczam z płuc długi oddech. Poddaję się.

– Potrzebuję pomocy. Chcę się spotkać z tatą, ale nie mam pojęcia, jak to rozegrać.

Maria od razu ciągnie mnie w kąt.

– Oszalałaś? Mało ci, że Troy dostał kulkę? Boże, jesteście tak nieodpowiedzialni, że aż się boję o te dzieci. Jak zamierzasz to zrobić? Ignacio nas zabije, jeśli się dowie, że potajemnie spotkałaś się z ojcem.

Kiwam głową, bo zgadzam się z nią w stu procentach, ale nie zmienia to mojej decyzji.

– Dlatego potrzebuję twojej pomocy. Pojedziemy do spa.

– Tutaj mają spa. Mają wszystko, czego dusza zapagnie.

– Ale nie mają dziecięcych ubranek.

Maria unosi brwi, a potem przeciera ręką twarz.

– To w końcu spa czy sklep z ubrankami? – pyta, a ja wzruszam ramionami. – Kiepska z ciebie kłamczucha.

Chwytam ją za rękę.

– Pomóż mi. Chcę prosić ojca o wsparcie. I powiedzieć mu, że nie zrezygnuję z Troya.

– Możesz mu to powiedzieć przez telefon.

– Wszędzie może być podsłuch, a poza tym... chcę go zobaczyć. – Widzę, że mięknie. – Pomożesz mi czy nie?

Wyprzedza mnie, trochę sfochana, ale ważne, że mi pomoże. Wiem, że w głębi serca sama liczy na to, że jakoś nas z tego wyciągnę. Kto miałby mi w tym pomóc, jeśli nie mój tato? Zna wszystkich, jest szanowany i na wiele spraw ma więcej wpływu niż niejeden agent. Dzięki swojej rzetelnej i długoletniej pracy zyskał grono zaufanych ludzi, którzy zawsze służą mu pomocą.

Udaje nam się wymyślić bajkę o zakupach, ale że żadna z nas nie ma pojęcia, gdzie znajdują się jakiegokolwiek sklepy, ostatecznie prosimy o podwiezienie nas pod hotel, który wskazał mi tata.

Wiem, bezdennie głupi pomysł, ale lepsze to niż niezdarne okłamywanie uzbrojonych ludzi. Kierowca łyka przynętę, zachwalając hotel, w którym mają ponoć świetną strefę masażu, a także restaurację. Z radością wysiadam z samochodu i odsyłam kierowcę, który niechętnie na to przystaje.

– Będę się kręcił w pobliżu – mówi. – Nie wolno mi was zostawiać.

– W porządku. Zadzwoń – odpowiadam i obie z Marią kierujemy się do środka.

– Nikt nas nie śledzi. Będę siedziała tutaj – mówi Maria, wskazując na stoliki. – Zamówię drinka, sok i dwa posiłki, w razie gdyby ktoś zachciało się zweryfikować naszą prawdomówność. Jak coś, byłaś w łazience.

– Dziękuję. – Całuję ją w policzek i chcę odejść, ale ona przytrzymuje mnie za rękę.

– Liczę, że coś wymyślicie.

– Ja też na to liczę.

Idę do windy i wciskam guzik oznaczony szóstką. Z emocji nie mogę wystać w miejscu, a kiedy drzwi się otwierają, pędzę prosto do pokoju sto osiem.

Pukam szybko trzy razy, a potem jeszcze raz.

– Tato?

Drzwi się otwierają i staje w nich mój tata. Od razu padam w jego ramiona.

– Marina, dziecko!

– Tato... – Kurczowo zaciskam palce na jego granatowym miękkim swetrze. Pachnie domem.

Pachnie moją mamą.

– Tęskniłam za tobą. – Unoszę ku niemu szkliste oczy. – Co u mamy?

Tata wzdycha i siada w fotelu przy oknie. Zauważam, że wszystkie szyby są tu szczelnie zasłonięte.

Snajperzy.

No tak, dla niego to żadna nowość, wie, jak się przygotować.

– Radzi sobie – mówi tata. – Słyszałem o... – Przeciera brodę. – Jesteś w ciąży.

Odruchowo kładę rękę na brzuchu.

– Tak. To bliźniaki.

Nie uśmiecham się. On też tego nie robi.

– Powinienem się cieszyć, ale w tej sytuacji... sama rozumiesz.

Odwraca głowę w bok, więc przysiadam na krawędzi łóżka, żeby wyrzucić z siebie wszystko, co tłumię, odkąd uciekłam z kraju. Jestem mu to winna.

– Wiem, tato, ale przyszedłam ci powiedzieć, że nie zrezygnuję z Troja. Nie mogę.

Patrzy na mnie i wiem, że nie rozumie moich słów. Może to dlatego, że jest twardym mężczyzną i miłość nie ma dla niego takiego znaczenia jak dla mnie.

– A co z dziećmi?

Teraz to ja nie rozumiem.

– Nic. Będą miały oboje rodziców.

– Tutaj?

Ale czego ode mnie oczekuje? Że je usunę? Oddam? Do czego zmierza? Bo przyznam szczerze, że zaczynam się bać. A przyjechałam tu zaznać odrobiny wytchnienia. Potrzebuję jego wsparcia, ale on... nie sprawia wrażenia, jakby chciał mi go udzielić.

– Pomóż mi go z tego wyciągnąć – mówię błagalnie, wstając z łóżka. – Użyj swoich kontaktów, proszę, zrób to dla mnie. A jeśli nie możesz dla mnie, zrób to dla swoich wnuków.

Kucam przy jego nogach i kładę mu dłonie na kolanach. Ani drgnie. W duchu zaczynam panikować. Nie znam taty z tej strony. Jest obojętny na to, co mówię, a przecież moja sytuacja jest tak tragiczna, że powinien zrobić wszystko, by mi pomóc. Zawsze to robił.

– Właśnie dla nich muszę go dorwać – mówi w końcu. W jego głosie wyczuwam nienawiść, więc zrywam się na równe nogi. – Żeby mogły żyć w bezpiecznym kraju, z dala od tego przestępczego świata. Jak zamierzasz je chronić? Jak zamierzacie je wychować?

Nie chcę tego słuchać, ale dobrze – skoro nie ma zamiaru mi pomóc, musi znać całą prawdę, która, mam nadzieję, uświadomi mu, że nie zrezygnuję z Troya. Skoro mój ojciec widzi w nim wroga, musi wiedzieć, że ma go również we mnie.

– Wychodzę za Troya – oznajmiam najchłodniej, jak potrafię.

Tata automatycznie wstaje z fotela.

– Słucham?

– Zostanę jego żoną. Na dobre i na złe. – Pękam, gdy patrzy na mnie zawiedziony. Po policzkach płyną mi pierwsze łzy. – Możesz mnie chociaż w tym wesprzeć.

Tata kręci głową.

– Przykro mi.

– Przyjdźcie na mój ślub. Nikt wam nie może zabronić.

Odchodzi, żeby nalać sobie z karafki jakiegoś alkoholu.

– Przykro mi, Marino. Każda decyzja ciągnie za sobą konsekwencje.

Wychyła szklankę do dna. Jest dla mnie tak chłodny, że autentycznie mnie mrozi.

– Dlaczego mi to robisz, tato...? – Ryczę jak małe dziecko. Chcę, żeby był przy mnie i wspierał mnie niezależnie od decyzji, jakie podejmę. Dlaczego nagle jest dla mnie obcy? To, że zakochałam się w Troyu, nie zmienia przecież faktu, że jestem jego córką.

– Cokolwiek w życiu wybierzesz – mówi w końcu i chwyta mnie za wiotkie ramiona – ja zawsze będę cię kochał. Ale Troy i tak trafi za kratki. To jedno, co ci mogę obiecać.

Zaciskam powieki.

– Proszę cię tylko, żebyś poprowadził mnie do ołtarza.

Tata ponownie kręci głową, choć widzę, że sprawia mu to ból.

– Życzę ci szczęścia, dziecko. Będiesz go potrzebowała.

– Troy został postrzelony, następnym razem może nie mieć tyle szczęścia.

Proszę, proszę, okaż mu trochę empatii! Wymyśl coś! Teleportuj nas na inną planetę, cokolwiek, byleby móc uciec z tego kraju i zapomnieć o tym zepsutym świecie.

– To, że przyjął za mnie kulkę, nie oznacza, że wymaże całe zło, które wyrządził. Jestem mu wdzięczny, dlatego proponuję mu współpracę i lepsze traktowanie...

Unoszę dłoń.

– Czekaj. Jak to... Troy przyjął za ciebie kulkę? O czym ty mówisz, tato?

Tata wzdycha, jakby męczyła go ta rozmowa, co, delikatnie mówiąc, zaczyna mnie już wkurzać. Troy jest moim narzeczonym, jest ojcem moich dzieci i choćby z tego powodu należy mu się szacunek.

– Spotkaliśmy się wczoraj. Jakiś kartel zaczął nas ostrzeliwać, Troy mnie osłaniał i... wyszło, jak wyszło.

Wyszło, jak wyszło?

Mógł umrzeć!

– I mówisz o tym tak spokojnie? O czym rozmawialiście?

Wzrusza ramionami.

– Zapytaj swojego przyszłego męża. Nie wtrącam się w wasz związek.

– Czyżby?

– Zależy mi tylko na twoim bezpieczeństwie. Nigdy nie miałem zamiaru wybierać ci męża, choć fakt, nie sądziłem, że wybierzesz najgorszą partię,

jaka istnieje.

Raptownie unoszę pięści.

– Dość! Nie chcę tego słuchać. Wiedz, że cokolwiek powiesz, niczego to nie zmieni. Kocham go i musisz się z tym pogodzić.

Zbieram się do wyjścia, chociaż wcale tego nie chcę.

– Wcześniej chciałaś go wydać w nasze ręce, pamiętasz? Dlaczego zmieniłaś zdanie?

Boże, jakie to słabe.

Jestem tak wyzuta z uczuć, że pozostaje mi tylko wzruszenie ramionami.

– Nie wiem. Może dlatego, że dowiedziałam się o ciąży? A może dlatego, że kiedy go zobaczyłam, odzyskałam jasność umysłu? A może właśnie wtedy straciłam rozum? – Wałę torebką w ścianę. – Nie mam pojęcia! Ale jeśli myślisz, że Troy o niczym nie wie, to się mylisz, tato! – Ocieram twarz wierzchem dłoni. – Powiedziałam mu prawdę.

– O tym, że chciałaś posłać go do więzienia, też?

Przemykam na chwilę oczy, a gdy je otwieram, nie widzę już człowieka, którego uważałam za swojego przyjaciela.

– Powiedz mamie, że ją kocham.

– Sama powinnaś to zrobić.

– Żegnaj, tato.

Zamykam za sobą drzwi. Dopiero w windzie wybucham płaczem.

ROZDZIAŁ 12

TROY

Czekam przed hotelem otoczonym przez moich ludzi. Każdy jest przygotowany do oddania tylu strzałów, ile będzie trzeba. Nie wiemy, czego możemy się spodziewać, kiedy Michael Moore opuści budynek, więc musiałem się przygotować. O tym, że Marina postanowiła spotkać się ze swoim ojcem za moimi plecami, nie chcę teraz myśleć.

Widzę ją, jak wychodzi w objęciach mojej siostry. Wiem, że płacze, ale nie zmniejsza to mojego wkurwienia.

Wysiadam z samochodu i idę w jej stronę. Gdy widzi nas wszystkich, od razu przestaje płakać i wpada w panikę.

– Spotkałam się tylko z moim ojcem...

Otwieram im drzwi do samochodu. Jak mogła nie wpaść na to, że o wszystkim się dowiem? A gdyby dowiedział się o tym Camino?

Bylibyśmy już martwi.

– Po prostu wsiądź i się nie odzywaj – warczę.

Obie wsiadają bez słowa, ale to Marina trzaska mi drzwiami przed nosem.

– Obie jesteście pozbawione rozumu. I obie od dzisiaj dostajecie całodobową ochronę.

– Troy! – Maria uderza ręką w siedzenie. – Ja tylko...

– Nie można spuścić was z oczu na pięć minut. Dosłownie jak dzieci.

– Nie potrzebuję niańki – mówi Marina. – Potrzebuję normalnego życia.

Brzmi pretensjonalnie, czyli jak zawsze, kiedy chce mi dowalić, przypominając o tym, ile dla mnie poświęciła. Mógłbym odwdziżyć się jej tym samym, zapytać, czy odstawić ją ojcu i kupić bilety powrotne do Arizony, ale gryzę się w język.

W drodze do domu Camino żadne z nas już się nie odzywa, ale co jakiś czas zerkam na Marinę w lusterku. Jest mi jej cholernie żal. Nigdy nie

powinna musieć wybierać pomiędzy rodzicami a facetem. Czasami myślę nawet o tym, żeby po prostu kazać jej wracać do domu, ale blokuje mnie to, że urodzi moje dzieci. Poza tym ją kocham. Kocham ją najmocniej na świecie i zrobię wszystko, żeby jej to udowodnić. Czy mam jakąś szansę? Czy mi się uda? Czy będę wiedział, kiedy powinienem się wycofać i przestać myśleć egoistycznie? Gdzie jest granica, której nawet miłość nie może przekroczyć?

Wchodzimy do naszej sypialni, w której ostatnio wieje chłodem. Nie kochamy się tak często jak wcześniej – czyli codziennie, nie okazujemy sobie tylu uczuć, co na początku. Może to zrozumiałe, bo żyjemy w ciągłym strachu, ale nie chcę, żeby nasz związek umarł.

– Dlaczego spotkałeś się z ojcem bez mojej wiedzy? – pytam ją od razu, żeby mieć to za sobą.

Marina odwraca się do mnie i krzyżuje ramiona na swoich pełnych piersiach.

– Dlaczego ty spotkałeś się z moim ojcem bez mojej wiedzy?

Szach-mat, Troy.

– Okej, okej. Zasadnicza różnica jest taka, że ryzykowałeś życie swoje i naszych dzieci, a ja...

Przerywa mi, celując palcem w mój brzuch.

– A ty wróciłeś z kulką w brzuchu. Ryzykowałeś nie tylko swoje życie, ale i to, że nasze dzieci będą się wychowywać bez ojca. Faktycznie zasadnicza różnica.

Wiem, że ma rację, ale cały mój świat to ryzyko. I fart. Dopiero przy niej zaznałem szczęścia i miłości, co nie znaczy, że wiem, jak się z tym obchodzić. Czasami zapominam o tym, że gdyby coś mi się stało, ktoś inny oprócz mojej siostry wylałby za mną łzy.

Marina siada przy toalecie i zaczyna rozczesywać swoje długie lśniące włosy. Staję za jej plecami i patrzę na jej piękną twarz w lustrze. Chciałbym zakończyć już ten temat i zająć się czymś przyjemniejszym.

– Powiesz mi czy nie? – pytam ponownie.

– Chciałam go prosić o pomoc. I zaprosiłam go na nasz ślub.

Nie jestem zaskoczony. Ale jestem ciekaw, czy Michael Moore przyjął zaproszenie.

– I co?

– Odmówił. W obu wypadkach.

– Powiedz mu, że dam mu ochronę.

Odchodzę od niej, żeby się rozebrać i zmienić przemoczony krwią opatrunek.

– Nie zrezygnował ze strachu. Nie chce brać w tym udziału, bo nie chce, żebym za ciebie wyszła. Boi się o przyszłość moją i naszych dzieci.

Obserwuję ją, gdy wstaje i zaczyna chodzić po pokoju, przestawiając jakieś bibeloty z miejsca na miejsce. To dla mnie żadne zaskoczenie. Nie czuję się również urażony. Co więcej, rozumiem Mike’a.

– O jaką pomoc go prosiłaś?

– Jakąkolwiek.

– To znaczy?

Odwraca się do mnie i chwyta za głowę.

– Jezu, o to, żeby przestali cię szukać, o cokolwiek, co kupi nam trochę czasu i spokoju.

Odklejam zakrwawiony opatrunek, krzywiąc się z bólu.

– Co odpowiedział? – pytam z wyczuwalną ironią. – Że pójdzie z ciastem do DEA i poprosi ich o wymazanie mnie z systemu, bo zostanę jego zięciem?

Nie wierzę, że Marina Moore nagle straciła rozum. Poważnie myślała, że jej ojciec cokolwiek dla mnie robi? Michael Moore chce za wszelką cenę wpakować moją dupę za kratki i wychowywać moje dzieci wedle własnych zasad. Nie obchodzi go moje życie i ona powinna wreszcie zdać sobie z tego sprawę.

– Oczywiście, że nie. Ale chwytam się wszystkiego, żeby cię z tego wyciągnąć. A co ty właściwie robisz, żeby polepszyć naszą sytuację?

Mógłbym od ręki wyrecytować jej listę, ale znów gryzę się w język. Nie chcę sprawiać jej przykrości ani przypominać, że związanie się z nią również kosztowało mnie poświęcenie. Zburzyłem pewną fasadę, która chroniła mnie, moją siostrę, JoAnn i Trávisa. Nikt z nas nie marzył o zamieszkaniu w Meksyku i byciu pod ciągłym ostrzałem.

Ale czy mogę winić ją za to, że tego nie dostrzega?

Nie.

– Naszej sytuacji nie da się poprawić, ale można ją przeciągnąć – odpowiadam. – Dlatego właśnie mieszkamy w Meksyku, bo nikt nie może mnie tu dopaść.

Marina podchodzi do mnie i kuca na wysokości mojego brzucha. Następnie bierze antyseptyk i odkaża mi ranę. Jest delikatna i co chwilę się upewnia, że na mojej twarzy nie widać grymasu bólu. Uśmiecham się, widząc jej skupienie i oddanie. W końcu nakłada mi świeży opatrunek.

I to właśnie jest miłość. Możesz być na kogoś wściekły, ale dalej martwisz się o jego los. Nie mogę jej stracić. Nie po tym, jak pokazała mi, czym naprawdę jest miłość.

– Rozumiem to, naprawdę, co nie znaczy, że przestaję się bać.

Chciałbym westchnąć, ale się powstrzymuję. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, żeby czuła się lepiej. Wkurza mnie również to, że nie czuje się przy mnie komfortowo i bezpiecznie. Czy nie wie, że nigdy nie pozwolę, żeby coś jej się stało?

– Przerażają cię ludzie, którzy się tu kręcą? Czego dokładnie się boisz?

Unosi na mnie swoje ciemne oczy.

– Tego, że cię zastrzelą, a potem przyjdą po mnie.

Zabolało bardziej niż jątrząca się rana. Faktycznie, nie pomyślałem o tym, że ona nie boi się tylko o siebie. Boi się o nasze dzieci. I o mnie.

Bo mnie kocha.

– Poproszę Camino o inne zajęcie. I tak nie mogę wyjeżdżać poza Meksyk, więc może da mi coś lejszego.

Oczywiście kłamię, ale w sumie mogę jakiś czas pracować zdalnie i zajmować się logistyką.

– Chcę się wyprowadzić.

Otwieram szufladę przy łóżku i wyciągam pęk kluczy.

– Proszę. Jutro możemy się wprowadzić do naszego domu. Travis z JoAnn i moja siostra z Cade'em będą mieszkać obok nas, tak jak obiecałem. W domu są sejfy, nie mam innego miejsca, żeby schować pieniądze. Musi też być broń, oczywiście zabezpieczona. Nasze dzieci nie będą miały do niej dostępu, ale...

Marina wstaje, więc się zamykam.

– Nie kończ. To mnie przerasta.

– Musisz pogodzić się z tym, że zawsze będziesz miała cień w postaci żołnierzy. – Jak chce się czuć bezpieczna, skoro odmawia ochrony?

– Nie są prawdziwymi żołnierzami. Są zabójcami, i to płatnymi. Równie dobrze ktoś może zapłacić im więcej i mnie zastrzelą.

Problem w związaniu się z taką kobietą jak ona polega na tym, że jest mądra, co jednocześnie tym problemem nie jest.

– Płacimy im wystarczająco, żeby byli lojalni.

Wstaję, żeby ją do siebie przytulić.

– I trzymacie na muszce ich rodziny – stwierdza, nie pyta, ale i tak kiwam głową.

– Tak.

– W porządku, postaram się przyjąć to do wiadomości i pogodzić się z tym. Ale nie chcę, żebyś zniknął i nie odzywał się do mnie cały dzień, a potem wracał...

Uciszam ją głębokim i długim pocałunkiem.

– Wiem, wiem.

– Prawie umarłam z rozpaczy.

Przyciągam ją do siebie za pośladki, które aż wołają o to, żebym się nimi zajął.

– Przepraszam.

– Pożegnałam się z ojcem – mówi, całując mnie z czułością. – Teraz mam tylko ciebie.

Muskam palcem jej miękkie słodkie usta. Nie chcę dłużej rozmawiać o jej ojcu, zwłaszcza teraz, gdy jestem na nią tak napalony, ale nawet w tym momencie nie chcę lekceważyć jej uczuć.

– Wiesz, że nigdy nie kazałbym ci tego zrobić. Jeśli chcesz wrócić do domu...

Kręci głową, a ja oddycham z ulgą. Wciąż boję się dnia, w którym przytaknie i zmieni moje życie w piekło.

– Chcę być z tobą – mówi. – Chcę zostać twoją żoną i przestać się bać.

Uśmiecham się, a potem popycham ją w stronę łóżka. Kładę ją powoli, patrząc na jej śliczną buzię, z której odgarniam kosmyki włosów.

– Musisz mnie bardzo kochać, Marino Moore.

Ona też się uśmiecha i przyciąga mnie do siebie za szyję. Ignoruję palący ból brzucha i kładę się na niej, rozsuwając kolanem jej uda. Uwalniam jej pełne piersi i językiem pieścę sutki. Jęczy i wygina się w łuk, więc wkładam rękę pod jej plecy, a drugą wyciągam swojego twardego członka.

– Kochaj się ze mną – mówi.

– Przecież właśnie to robię, skarbie.

– Mocno.

Zerkam na nią.

– Aż tak?

Potakuje szybko, czym mnie rozśmiesza.

ROZDZIAŁ 13

MARINA

Jakiś czas później...

Życie żony przemytniczej szychy polega głównie na tym, żeby dobrze się prezentować, być wypoczętą, zdrowo się odżywiać i codziennie uprawiać seks. Najlepiej po kilka razy. Dodałam do tego swoje własne obowiązki jak gotowanie, które mnie odpręża, i sprzątanie, które w sumie polubiłam. Codziennie spędzam czas na plotkowaniu z Marią i JoAnn oraz wydawaniu brudnych pieniędzy na nasze dzieci i dom. Raz w tygodniu odwiedzamy z Troyem mieszkańców i rozdajemy im pieniądze, odzież, leki, zabawki i jedzenie.

To ostatnie sprawiło, że zaczęłam traktować Meksyk jak nasz nowy dom.

– Postaw to tutaj – mówię do El Smiley, który jako jedyny potrafił wzbudzić we mnie sympatię.

– Gotujesz? – pyta, a gdy potakuję, uśmiecha się jeszcze szerzej. – Sama?

Wybucham śmiechem. Rozśmiesza mnie to, że to dla niego taka abstrakcja, jakbyśmy rozmawiali o rozbijaniu bomby.

– Potrafię nawet obrać ziemniaki. I pokroić bardzo szybko cebulę.

El Smiley zerka za mnie i marszczy brwi.

– Masz gości.

Odwracam się przez ramię i szeroko otwieram usta.

– O.

Do domu wchodzi banda *sicarios* ubranych w stroje wojskowe z bronią najwyższego kalibru. Odruchowo się cofam, upuszczając na podłogę koszyk z owocami. Uspokajam się, dopiero gdy za nimi do domu wchodzi roześmiany Troy, a tuż za nim Travis i Cade.

– Pochwaliłem się im, że świetnie gotujesz – tłumaczy Troy, całując mnie w policzek.

Chwilę mi zajmuje, żeby ochłonąć i przestać się trząść.

– Gotuję... – dukam, obserwując, jak siadają, gdzie to tylko możliwe, rozrzucając rzeczy, jakby właśnie wpadli do swojego domu na przerwę.

Troy przytula mnie i nachyla do mojego ucha, więc wytężam słuch.

– Skarbie, mówiłem ci, są po to, żeby nas chronić. I są głodni. – Odgarnia moje włosy. – Masz tyle jedzenia, żeby nas nakarmić? JoAnn i Maria ci pomogą.

To nic, że Jo ledwie się rusza, a Maria nie potrafi gotować. Zrobię obiad dla... liczę każdego z nich; osiemnastu płatnych zabójców i naszej szóstki. Prawdę mówiąc, to, że zamieszkaliśmy osobno, niczego nie zmieniło. W naszym domu ciągle ktoś się kręci – i zawsze jest głodny.

Sprawdzam zapasy. Starczą nam na ewentualną wojnę albo zagładę, więc nie ma mowy, żebym wykręciła się brakiem jedzenia. Troy oczywiście o tym wie, ale ja wiem, że lubi się mną chwalić, więc zakładam fartuszek i wiążę włosy w wysoki kucyk. Może jak ich nakarmię, chociaż trochę mnie polubią i nie zastrzelą.

Przez przypadek.

– Co robimy? – pyta mnie Maria.

– Myślałam o tacos z krewetkami, chili i limonką w sosie z mango i salsą, burrito z szarpaną wieprzowiną, którą mogę jeść na okrągło, i sałatce.

Maria unosi brwi.

– Ile nam to zajmie?

– Maksymalnie godzinę, ale tylko dlatego, że mam sporo wieprzowiny z wczoraj.

Teraz wydyma usta z aprobatą.

– Sprytnie. W takim razie do dzieła.

Podczas gotowania staram się nie myśleć o tym, co mnie otacza, ale ku własnemu zaskoczeniu nie słyszę żadnych podejrzanych rozmów. Wręcz przeciwnie – chłopaki dyskutują o polityce, meczach i hazardzie. Troy obstawił pół miliona dolarów na zwycięstwo jakiejś drużyny, ale nie mogę tego skomentować. Z tego, co zdążyłam zauważyć w domu Ignacia, kobiety tutaj nie wypowiadają się na tematy dotyczące ich facetów, a tym bardziej nie komentują ich decyzji. My mamy tylko ich wspierać, ponieważ zapewnijają nam bajeczne życie.

Z pomocą dziewczyn stawiam jedzenie na stół, który sama zaprojektowałam. Jest wielki, dzięki czemu wszyscy mogą się pomieścić.

– Jesteś cudowna – mówi Troy, a ja oczywiście się rumienię.

– I takiej żony musimy szukać! – woła jeden z żołnierzy.

Nie potrafię przyjąć tego jako komplementu. Po prostu wciąż nie jestem w stanie przekonać się do pracy tych ludzi.

Siadam obok Troya i skupiam się na jedzeniu, nie angażując w rozmowę, ale El Smiley mnie nie zaniedbuje – raz po raz rzuca we mnie kolejnym żartem, żeby mnie rozśmieszyć.

– Wiecie, jakie mam zdanie o narodzinach dziecka? – pyta w pewnym momencie.

– Masz jakieś zdanie? – dziwi się Troy.

Nie podoba mi się to, bo wiem, do czego zmierza. El Smiley nie ma nic do powiedzenia, bo jest traktowany przez swojego ojca jak wyrzutek. Jak głupek, który tylko się wydurnia, więc w oczach Ignacia nie zasługuje, by zostać jego następcą. A szkoda, bo to jedyny fajny gość w całej posiadłości narkotykowego króla.

– Każde dziecko przy narodzinach powinno dostać milion dolców na start.

– Na start? – dopytuję. – Hojny jesteś.

– Wiesz, ile ty dasz swoim dzieciom na start? – El Smiley wyszczerza zęby w uśmiechu, zerkając na Troya. – Powiedz jej!

– Dużo – mówi Troy, ale zachowuje się skromnie, co bardzo mi się w nim podoba. – Na pewno więcej niż milion na start.

– To musi być fajne uczucie urodzić się milionerem, do tego nietykalnym – mówi Maria.

Troy chwyta moją rękę i składa na niej pocałunek.

– Nasze dzieci dadzą nam nieźle popalić – kwituje, a ja wykrzywiam usta, zgadzając się z jego podejrzeniami.

Wiemy, że będziemy je rozpieszczać i damy im wszystko, czego tylko zapragną. Wiemy też, że oboje mamy mocne charaktery, więc nie liczymy na to, że nasze dzieci urodzą się uległe.

Atmosfera coraz bardziej się rozluźnia, a w tle niemal bez przerwy wybrzmiewa nasz śmiech. Donoszę więcej jedzenia, a potem siadam na kolanach swojego męża i przysłuchuję się rozmowie. Każdy zdradza o sobie coś więcej. Ci ludzie również mają rodziny, żony, dzieci. Mają

prawdziwe życie. Rany, miałam ich za jakieś roboty bez uczuć, bez wspomnień i poczucia humoru, a tu proszę. To prawdziwi ludzie, którzy wykonują niebezpieczną pracę, żeby opłacić rachunki, kupić jedzenie i wysłać swoje pociechy do najlepszych szkół.

Kiedy rozpływam się w tym błogostanie, za którym tak tęskniłam, ktoś nagle wpada do domu.

– Zbliżają się obce samochody! – krzyczy. – To nie są nasi!

Wszyscy mężczyźni wstają, więc ja i dziewczyny idziemy ich śladem, nie wiedząc, co to właściwie oznacza. Widzę wszystko jak we śnie, obrazy mi się marzą, mózg nagle nie potrafi połączyć kropek. Ktoś krzyczy, ktoś ładuje broń, ktoś inny szykuje granaty.

W moim domu są granaty.

Rozglądam się na wszystkie strony, nie mogąc wykonać żadnego ruchu. Myślę tylko o tym, że ten dom tak naprawdę nie jest moim domem. To wszystko było iluzją. Nic się nie zmieniło.

– Troy, co się dzieje? – Słyszę własny głos, jakby dobiegał spod wody.

Kiedy chce mi odpowiedzieć, pomiędzy ładowaniem broni i zakładaniem kamizelki kuloodpornej, rękawiczek i okularów, które Bóg wie do czego mają służyć, wielka szyba w moim salonie rozlatuje się w drobny mak.

– Padnijcie!

Wszyscy padamy na podłogę, ale instynkt nakazuje mi schowanie się pod stół. Wczołguję się pod niego na kolanach i robię miejsce dla dziewczyn. Usiłuję wstrzymać napływające do oczu łzy, żeby bardziej ich nie przestraszyć. We trzy obserwujemy szybko przemieszczające się nogi chłopaków i zaciskamy powieki, gdy padają głośne nieprzerwane strzały.

Ostrzeliwują. Nasz. Dom.

Przełykam łzy, uświadamiając to sobie.

– Pieprzony Meksyk – mówi Jo.

– Co robimy? – pyta Maria. – Nie możemy tu zostać.

– ¡Rápido, rápido!

Wszyscy krzyczą, jest tak głośno, że w najlepszym wypadku wyjdziemy z tego ze stresem pourazowym. Troy rozmawiał ze mną na temat ewentualnego starcia, ale emocjonalnie w ogóle nie byłam na nie gotowa. Boję się robić to, do czego mnie przygotował kilka dni po naszym ślubie.

– Wychodźcie – mówi teraz, podając mi rękę. – Szybko! Szybko!

We trzy wyczołgujemy się spod stołu. Pomagam Jo i biegniemy do pokoju, w którym od razu przytulam się do męża.

– Nie mogę iść bez ciebie – zawodzę, chociaż wiem, że Troy nie zmieni planu.

– Musisz trzymać się planu, skarbie. Okej? – Chwyta mnie oburącz za twarz. – Okej? – Potakuję. – Uważajcie na siebie. Spotkamy się na miejscu.

Daje mi ostatniego całusa w usta, a potem w brzuch i zamyka za sobą drzwi.

– Na jakim miejscu? – pyta Maria, ale nie mam czasu na wyjaśnienia. Szybko odblokowuję kod, żeby pełne książek regały się rozsunęły.

– Pomóż mi, Maria! – We dwie popychamy drzwi, żeby znaleźć się jak najszybciej w środku. – Trzymajcie się mnie i bądźcie cicho.

– O Boże...

Odwracam się do spanikowanej Jo i ujmuję w dłonie jej policzki, starając się zachować spokój, choć w ogóle go nie czuję. Ale co mam robić? Mam tu kobietę w zaawansowanej ciąży i strzelaninę za ścianą. Możliwe, że już nigdy nie zobaczymy naszych mężów, a jednak napędza mnie instynkt przetrwania.

– Jo, przestań – mówię. – Panika to ostatnie, co nam teraz trzeba. Musisz być dzielna, rozumiesz? Jestem tu z tobą. Zaufaj mi.

Pociąga nosem i potakuje szybko.

– Ufam ci.

– Idziemy.

Wiem, że musimy przejść tunelem do innego domu, ale nie chcę teraz im tego mówić. To dlatego nie mogliśmy zamieszkać w Meridzie. Nasz dom został zaprojektowany specjalnie dla przestępców, którzy w każdej chwili mogą zginąć. Ma chronić ich rodziny i dzieci. W schronie można przeczekać kilka tygodni z zapasami jedzenia, wody i leków. Zanim dojdziemy do drugiego domu, możemy w nim odpocząć i znajduje się piętnaście minut od wejścia. Potem jesteśmy zdane już tylko na siebie.

– Boli mnie brzuch – mówi Jo.

Wiem dokładnie, jak się czuje. Stres zawsze powoduje, że mój brzuch robi się twardy jak skała i nie mogę się ruszyć.

– Jo, jeszcze chwila, proszę, wytrzymaj...

Proszę. Proszę. Proszę.

Jeszcze kilka minut i będziemy bezpieczne.

– Nie mogę. Naprawdę nie mogę.

Jo siada i opiera się o ścianę. Wygląda kiepsko i zaczynam panikować. Nie możemy zawrócić. To droga tylko w jedną stronę. Jedyne Troy może w tej chwili otworzyć drzwi z drugiej strony, bo nikt poza nami nie zna kodu.

– Weźmy ją na ręce – mówię do Marii.

Ale ona stanowczo kręci głową.

– Marina, nie możesz. Sama jesteś w ciąży.

– Nie możemy jej zostawić!

Maria ze strachem patrzy na Jo, która gapi się na swój brzuch jak w jakimś transie. Kurwa, nie chcę nawet słyszeć, że coś stało się dziecku.

– Jo? – Maria nachyla się do niej.

– Odeszły mi... – JoAnn oddycha szybko – wody...

Jest mi tak słabo, że muszę oprzeć się o ścianę. Patrzę na Marię, która trzyma się za głowę, a potem zaczyna w nią tłuc rękami.

– Ja pierdolę. Ja pierdolę. Ja pierdolę!

– Co ile masz skurcze? – pytam Jo, ledwie dysząc.

– Nie wiem, ale kurewsko boli... – jęczy. – Nie dam rady dalej iść. Poczekam tutaj.

Ustawiam stoper w swoim telefonie.

– Wykluczone. – Podchodzę do niej i pomagam jej się podnieść. – Wstawaj.

– Ile zajmie nam droga na miejsce? – pyta mnie Maria.

– Musimy przejść czterdzieści minut, żeby znaleźć się w drugim domu, ale za jakieś trzynaście minut jest schron. Tam się zatrzymamy, żeby Jo mogła odpocząć.

– W drugim domu? Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? Ile masz jeszcze tajemnic?

– Nie mogłam, Troy ma coraz większe paranoje. Idziemy.

Zarzucając sobie z Marią ramiona Jo na szyje i powoli ruszamy przed siebie. Prowadzi nas tylko przygaszone światło, w tle słychać kapanie wody. To wszystko wygląda jak z horroru. Dyszymy głośno, aż wreszcie Maria parska śmiechem. Potem Jo, a na końcu ja.

To sytuacja tak patowa, że pozostało nam tylko płakać albo się śmiać.

– Wyobrażacie sobie, jak żałośnie musimy wyglądać w tych drogich szmatach i klejnotach? – pyta nas Jo.

– Dobrze, że jesteśmy małe – mówi Maria. – Przynajmniej możemy się siebie trzymać.

Razem z Jo zgodnie potakujemy. Jesteśmy tak ściśnięte, że powoli nie mamy czym oddychać.

– Ach... czekajcie... mam skurcz.

Jo zgina się wóół, więc ja i Maria musimy niemal wcisnąć się w ściany tunelu.

Zerkam szybko na telefon.

– Masz skurcze, co... pięć minut.

– To dobrze czy źle? – pyta mnie Maria.

– Nie wiem.

– Chodzi o regularność – mówi Jo, a ja notuję w głowie tę istotną informację.

Nie mam odwagi zapytać, czy to oznacza, że zaraz będzie rodzić i któraś z nas będzie musiała odebrać ten poród. Nie mam też odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Na pewno padnie na mnie.

Kiedy Jo coraz głośnie jęczy, wbija w nas swoje paznokcie i drze się na cały tunel, zauważam, że jej skurcze są częstsze i chyba silniejsze.

– Co trzy minuty... – mówię spanikowana.

– Nie mogę dalej iść, zaraz umrę.

– Jeszcze dwie minuty, Jo, dasz radę.

Jo się zatrzymuje i kręci głową. Zaraz sama nie wytrzymam tego ciśnienia.

– Boże, ona rodzi! – wrzeszczy Maria. – W tunelu! Ja pierdołę!

Ciągnę Jo, używając ostatnich rezerw energii.

– Uspokój się. To ona rodzi, nie ty!

Jeszcze chwilka. Dosłownie chwilka i będziemy w schronie. Zauważam zakręt, który Troy pokazywał mi na specjalnym projekcie domu, ale wtedy za cholerę nie potrafiłam go sobie wyobrazić. Szczerze mówiąc, nie bardzo mnie to nawet interesowało, za to teraz... oddałabym wszystko, żeby mieć jakiś drogowskaz, mimo że tunel prowadzi tylko w jedną stronę. Do przodu. Nie można się w nim zgubić, a mimo to mam wrażenie, że nie wiem, dokąd nas prowadzę.

Maria wyrywa się do przodu, żeby zerknąć, co znajduje się za zakrętem. Po chwili energicznie wyciąga przed siebie rękę.

– Tu coś jest!

– To schron. – Ściągam ze swojej szyi rękę Jo i opieram się o ścianę, żeby odsapnąć. Wszystko mnie boli. Nie wiem, jak długo jeszcze dam radę udawać, że jestem terminatorem. Ale gdy spoglądam na zapłakaną, wystraszoną – i rodzącą – Jo napełnia mnie nowa siła.

Otwieramy drzwi i wpadamy do środka, uszczęśliwione tym, co zastają nasze oczy. Prawdziwy schron. Jest tu wszystko, czego człowiek *faktycznie* potrzebuje do przeżycia.

Jo kładzie się na podłodze i zaczyna przeklinać Trávisa na czym świat stoi, stąd wiem, że to wszystko zaraz się urzeczywistni. Będę musiała odebrać poród w warunkach, na jakie nie zasługuje ani ona, ani jej dziecko. Rozglądam się w poszukiwaniu jakichś kołder, ręczników czy czegoś podobnego, ale Jo tak bardzo trzęsie się z zimna, że szkoda mi czasu na sprawdzenie każdego kąta.

– Ściągnij bluzę – mówię do zahipnotyzowanej Marii. – No już!

W popłochu wykonuje polecenie.

– Okej, ściagam. Ściągnęłam. – Podaje mi ją. – Co dalej?

Nakładam Jo bluzę i rozmasowuję jej ramiona, żeby trochę ją rozgrzać.

– Jo, musisz urodzić, tutaj, teraz – mówię. – Nie możemy ryzykować. Oddychaj. Jesteśmy przy tobie. Wszystko będzie dobrze.

Płacze i jęczy, zostawiając mnie bez odpowiedzi.

– Jest łóżko! – Maria celuje palcem w ciemny kąt na coś, co rzeczywiście przypomina łóżko. Możemy położyć Jo na czymś wygodniejszym niż podłoga.

– Świetnie. – Uśmiecham się do Jo, mimo że ona dalej płacze. – Prawie jak w domu.

Z pomocą Marii zrywam folię z pościeli, a potem znajdujemy koce. Wszystko tu jest nowe, więc dziecko będzie mogło zaznać chociaż odrobiny luksusu w pierwszych minutach swojego życia. Potem we dwie, ostatkiem sił, podnosimy Jo i kładziemy ją na przygotowane posłanie.

– Musimy ściągnąć jej majtki – mówi Maria.

Tak. Majtki. Po tym wszystkim przejdziemy na najwyższy etap przyjaźni.

– Robiłaś to już kiedyś? – pyta mnie Jo, gdy uginam jej nogi i rozchylam uda.

– Odbierałam poród psa, jeśli to cię pocieszy.

Jo szybko kiwa głową, czym mnie rozśmiesza.

– Pociesza.

Znajduję zapasy wody i mydła, po czym myję ręce aż po łokcie, jak chirurg przed operacją. Chcę, żeby ta mała dziewczynka przyszła na świat w jak najlepszych warunkach, z zachowaniem pełnej higieny. Nic więcej nie mogę dla niej zrobić.

– Wszystko będzie dobrze, niedługo poznamy twoją córeczkę. – Gładzę Jo po nogach, wpatrując się w jej waginę. – Robimy to dla niej, okej?

– Okej, okej, co mam robić?

– W zasadzie... nic. Będiesz przec, kiedy ci powiem. To bardzo ważne.

– Kurwa, tak bardzo chciałam znieczulenie. I chciałam rodzić w najlepszym szpitalu z tymi wszystkimi bajerami...

Razem z Marią zaczynamy chichotać.

– Zawsze możesz zejść w kolejną ciążę. – Puszczam oko do Jo.

– Nie mów mi o ciąży!

– Oddychaj, jesteś bezpieczna – mówię najspokojniej, jak to tylko możliwe.

A potem widzę... widzę, że coś *tam* się dzieje, i zaczyna mi się kręcić w głowie. Jest mi słabo. Muszę napić się wody, ale to nic nie daje. Po czole spływa mi pot, który pali moją skórę. Jest mi gorąco i zimno jednocześnie, mam skurcze podbrzusza i zadyszkę.

– Proszę, nie pozwól jej umrzeć. Proszę...

Słowa Jo stawiają mnie do pionu. Podkładam nowy ręcznik. Stoper oznajmia mi, że skurcze są już niemal bez przerwy.

O mamó, mamusiu, matulu.

Ona naprawdę mi to robi.

– Wszystko będzie dobrze, musisz nam zaufać. Możesz to dla mnie zrobić?

– Mogę. – Jęczy, a potem wbija paznokcie w ręce bladej jak ściana Marii.

– Mogę! Mogę!

I prze, i prze, i prze... A ja dalej nie widzę dziecka i nie wiem, co mam robić.

ROZDZIAŁ 14

TROY

Siadam ledwo żywy pod ścianą i oszacowuję straty. Zabito pięciu naszych żołnierzy, więc czeka mnie sprawozdanie dla Camino i opracowanie planu zemsty. Kartel Tecate ma problem ze zrozumieniem, że nie zgodzę się z nimi współpracować. To oznacza, że kartel Alarico będzie musiał przypuścić odwet i zyskamy jeszcze więcej wrogów – oraz stracimy bardzo dużo ludzi.

Wyglądam przez ramię, żeby się upewnić, że zabiliśmy wszystkich, a ci, którzy uciekli, nie wrócili.

– Czysto – mówi Cade i podaje mi rękę, żebym wstał.

Spisał się naprawdę nieźle, czym zyskał sobie mój szacunek. Mógł schować się w szafie i przeczekać całą jatkę, a jednak postanowił nam pomóc. Po tym, jak zdradził mnie Cruz, nie umiem odgonić od siebie podobnych myśli.

– Dobra robota, Cade – mówię. – Będą z ciebie ludzie.

– Jeden za wszystkich, wszystkich za jednego, Troy.

Chowam kolejną broń za pasek, tak na wszelki wypadek, i wypijam duszkiem butelkę wody. Mimowolnie spoglądam na salon i kuchnię, o którą tak bardzo dbała moja żona. Podobnie jak o sypialnię naszych dzieci, które udekorowała z największą troską i miłością. Wszystko zostało zniszczone. Naprawdę nie wiem, jak jej to powiem.

– Muszę wiedzieć, że Jo nic nie jest – mówi zestresowany Travis.

– Powinny być w drugim domu albo w schronie – uspokajam go.

– A co, jeśli nie dotarli? Co, jeśli ktoś im w tym przeszkodził, Troy?

Biorę haust powietrza, żeby okiełznać emocje.

– To niemożliwe. Byłem na to przygotowany. Camino celowo kupił nam ten dom i nie pozwolił na przeprowadzkę do Meridy.

Widzę, że go to uspokaja.

– Kto tu wcześniej mieszkał?

– Jego dobry pracownik z całą rodziną. To właśnie on przygotował ten schron. Uznałem, że to będzie dla nas najlepsze miejsce.

– Okej, chodźmy.

Wbijam kod, a gdy ściana z biblioteczką rozsuwa się przed nami, wchodzimy do tunelu. Idziemy dobre kilka minut, kiedy słyszymy... płacz dziecka. Travis w panice mnie wyprzedza i biegnie za jego głosem.

– Co... co się dzieje? – pyta po chwili. – Skąd macie dziecko?

Ja i Cade biegniemy za nim do schronu. Po chwili naszym oczom ukazuje się JoAnn z maleńkim dzieckiem przytulonym do piersi. W innej sytuacji byłby to dla mnie zbyt intymny obrazek, ale teraz nie mogę przestać się gapić.

Dziecko jest tak małe, że boję się je dotknąć.

– To nasza córka, kochanie – mówi Jo. – Spójrz na nią.

– Ale... co się stało? – Travis gapi się na mnie, ale skąd mam wiedzieć?

– Urodziłam.

– Ale... jak?

We trzech wodzimy wzrokiem po twarzach dziewczyn, próbując uzyskać jakąś odpowiedź. Wydawało mi się, że poród może odebrać tylko lekarz – i że trwa to o wiele dłużej.

Chociaż Jo od tygodnia mówiła, że zaraz urodzi.

Ale jednak...

Jak?

– Marina odebrała poród – mówi Jo, ocierając łzy. – Gdyby nie ona... nie dałabym rady.

M a r i n a?

Siadam przy swojej żonie i unoszę jej głowę za podbródek. Wygląda tak krucho, że boję się zapytać, jak się czuje. Dlatego bez słowa gładzę jej twarz, wiedząc, że jestem jej winien wyjaśnienia i przeprosiny. Chociaż najpewniej niczego one nie zmienią.

– Musimy jechać do szpitala. – Marina wstaje, więc ja również. Instynktownie przytrzymuję ją za talię, żeby mieć pewność, że może sama chodzić. – Dziecko musi dostać tlen, nie mamy czasu.

– Odebrałaś poród? – pytam, wciąż nie mogąc wyjść z podziwu.

– A co miałam zrobić?

Wyczuwam jej rezerwę, więc się wycofuję. Dziecko zaczyna płakać tak głośno, że odruchowo chcę je wziąć na ręce, ale wyręcza mnie Travis. Owija małą w koc, wpatrzony w jej pomarszczoną i czerwoną twarzyczkę.

Martwi mnie droga, którą musimy pokonać z noworodkiem. Tunel nie należy do sterylnych miejsc, a przed nami jakieś czterdzieści minut marszu w ciemnościach. Biorę latarkę, zapas wody i ręcznik, w razie gdyby mała postanowiła załatwić się na swojego ojca. A potem czekam, aż Marina pomoże JoAnn wstać.

– Marina... ty krwawisz – mówi nagle moja siostra, pokazując na nogi Mariny.

Natychmiast podbiegam, żeby to sprawdzić.

– To pewnie krew małej albo Jo – mówi moja żona.

– Nie gap się, tylko coś rób – mówię do siostry. – Pomóż JoAnn, ja wezmę Marinę.

– Ja pomogę JoAnn – mówi Cade, ale Travis od razu ścina go wzrokiem. Wiem, że przed chwilą urodziła i to intymna chwila, ale nie w naszej sytuacji.

– Cade z Marią pomogą JoAnn, Travis będzie szedł z małą, a ja z Mariną – rozkazuję.

Czekamy, aż JoAnn się pozbiera, ale czarno to wszystko widzę, naprawdę. Mamy tu noworodka, kobietę, która właśnie urodziła, i kobietę, która jest w ciąży, a na dodatek krwawi. Chciałbym się mylić, ale intuicja mi mówi, że to jej krew i potrzebuje natychmiastowej pomocy.

– Jedziemy do szpitala. – Wskazuję na drzwi. – Wychodźcie.

Schylam się, żeby podnieść Marinę, ale ona robi krok w tył.

– Poradzę sobie.

– Nie ma mowy, wezmę cię na ręce.

Przytulam ją do siebie na siłę, wyczuwając, że jej ciało się rozluźnia. Wiem, że właśnie tego teraz potrzebuje. Bliskości, miłości i spokoju. Szkoda, że nie potrafię zapewnić jej rzeczy, które są za darmo.

– Pójdę pierwszy – mówi Travis.

– Nie ma mowy – protestuje JoAnn. – Ja idę pierwsza, a za mną moje dziecko. Szybko.

Uderza mnie sposób, w jaki się zachowuje. Nie znam tego. Niesamowite, jak silna więź połączyła ją z dzieckiem, a przecież nawet się jeszcze nie

znają. Czy ja też będę tak miał? Owszem, chcę chronić swoje dzieci, chociaż jeszcze ich nie ma na świecie, ale czy będę zdolny do takich uczuć?

Codziennie o tym myślę.

I teraz, gdy kroczę ze swoją żoną przez ciemności tunelu, co jakiś czas słysząc kwilenie tej małej dziewczynki, wiem, że jeśli moim dzieciom coś się stanie, wystrzelam wszystkich, którzy wpadli do mojego domu. A także wszystkich, których kochają, bez względu na to, czy są winni, czy nie.

Z Boską pomocą udało nam się przejść tunelem do drugiego domu i zadzwonić po karetkę, która zabrała kobiety i dziecko do najbliższego szpitala. Reszta z nas dotarła do niego równocześnie z nimi. Teraz chodzę w kółko, poddając się frustracji, bo wciąż nie mamy żadnych wieści.

Wreszcie pojawia się lekarz. Informuje nas, że Jo, dziecko i Marina są w stanie stabilnym. Oddychamy z ulgą, ale dalej nie wiem, co z *moimi* dziećmi. Travis idzie do Jo i małej, ja też chcę jak najszybciej zobaczyć Marinę, gdy moja siostra pyta:

– Mogę iść z tobą?

– Zaczekajmy, Marina na pewno potrzebuje teraz spokoju – powstrzymuje ją Cade.

W podzięcie rzucam mu wymuszony uśmiech, a potem biorę się w garść.

Wchodzę do pokoju, gdzie Marina z zamkniętymi oczami leży pod kroplówką. Siadam przy niej i gładzę ją po włosach, przez co unosi powieki.

– Śpij, skarbie.

– Co z JoAnn i małą? – pyta słabo.

– Ich stan jest stabilny. Nie martw się.

Wiem, że muszę zadać to pytanie, ale przeszkadza mi lekarka, która wparowuje do sali z uśmiechem od ucha do ucha i zakłada lateksowe rękawiczki.

– Pani Marino, tak jak uprzedzałam, zrobię pani USG. Proszę się rozluźnić, zaraz sprawdzimy, co słyhać u maluszków.

Oddycham, kurwa, z taką ulgą, że mała nie rozwała mi płuc.

Chwytam Marinę za rękę, nie odrywając wzroku od monitora, i czekam na dobre wieści. Ale lekarka w pełnym skupieniu rysuje jakieś linie, coś

klika, chyba robi zdjęcia, aż nagle dostrzegam... ruchy.

– Czy to są... dzieci? – pytam, pokazując palcem na ekran.

– Tak. – Lekarka się śmieje. – To jedno, a to drugie. Tu jest brzusek, a tu nóżki i rączki. Posłuchamy teraz, jak biją ich serduszka.

Wszyscy milkniemy. Oboje z Mariną zamykamy oczy, żeby wsłuchać się w tę magiczną melodię. Dowód życia. Owoce naszej miłości. Połączyły nas te dwie żywe istoty, a ja jestem za nie odpowiedzialny.

– Są takie małe – mówi Marina, gdy znowu patrzy na monitor.

Całuję ją w czoło, usiłując się nie rozkleić.

– Czy chcą państwo poznać płeć dzieci?

– Tak – odpowiadam bez wahania.

Lekarka skupia się z powrotem na monitorze.

– To chłopiec i... – zawiesza głos, a ja czekam, czekam w pełnym skupieniu, nie oddychając – ...chłopiec. – Unoszę brwi w niedowierzaniu. – Dwóch chłopców, którzy całkiem nieźle przybierają na wadze, jak na bliźniaki.

Będę miał dwóch synów.

Ta informacja dociera do mnie jak w zwolnionym tempie i chociaż chciałbym teraz wydrzeć się ze szczęścia na całe gardło, nie mogę.

Kiedy lekarka wychodzi, Marina natychmiast przestaje się uśmiechać.

– Co z naszym domem? – pyta.

– Został zniszczony, ale zamieszkamy...

– Nie wyjdę ze szpitala, dopóki nie kupisz domu.

– Mamy dom.

– Domu, za który sam zapłacisz. Nie chcę niczego za pieniądze Camino.

Niestety od lat żyję za pieniądze od Camino, ale nie będę jej teraz tego uświadamiał. Ma rację. Nie mogę wiecznie pytać go o zgodę. Mam rodzinę i muszę zacząć stawiać ją na pierwszym miejscu.

– Dobrze. – Odgarniam jej z czoła kosmyki włosów. – Gdzie chciałabyś zamieszkać?

– Gdzieś, gdzie jest bezpieczniej i spokojniej. W domu z oknami z pancernego szkła i wielką bramą, przez którą nie można się przedostać. Chcę więcej ludzi, którzy będą tam stać dzień i noc. Dzień i noc, rozumiesz? I chcę, żebyś zapłacił im jak najwięcej. Chcę monitoring, najlepiej obejmujący kilometry dookoła domu. – Patrzy na mnie z bólem, który łamie mi serce. – Chcę się czuć bezpieczna, Troy.

Potakuję.

– Dobrze. Zrobię wszystko, żeby ten dom był fortecą.

Kładzie się na bok i przytula policzek do mojej ręki. Chciałbym jej obiecać, że już nic podobnego się nie wydarzy, ale wiem, że to dopiero początek problemów. Nie mogę się wycofać. Najechali na mój dom, złamali jedną z najważniejszych zasad w naszym świecie. Gdybym nie zaprosił wtedy *sicarios*, bylibyśmy po tamtej stronie. I ta myśl nie daje mi spokoju.

Mogłem ich stracić.

– Będziemy mieli dwóch synów, Troy – szepcze Marina, zapadając w półsen.

Uśmiecham się, gładząc ją po policzku.

– Wiem, jestem przerażony i szczęśliwy. Nigdy nie będę w stanie ci się odwdzięczyć.

Zaciska powieki.

– Muszę ich chronić.

– Od tego masz mnie. Obiecuję, że z tego wyjdziemy, ale muszę spłacić Camino. Daj mi trochę więcej czasu, proszę.

Obcałowuję jej twarz, wyczuwając słone łzy.

– Udawanie silnej kosztowało mnie niemal utratę dzieci. Dali mi leki na podtrzymanie ciąży.

Czuję, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Zaciskam zęby i pięść.

– Przysięgam, że wyciągnę nas z tego.

– Wyszłam za ciebie nie tylko dla dobrych chwil, ale obiecałeś mnie chronić. – Patrzy na mnie, a spod jej powiek spływają wielkie krople łez. – A ja w ogóle nie czuję się bezpieczna.

Przytulam twarz do jej policzka, bo tylko tyle mogę teraz zrobić. Bezsilność mnie dobija. Czuję się słaby. Jakbym nie miał nad niczym kontroli. Jakbym zawiódł kobietę, za którą bez wahania oddałbym życie.

– Przepraszam, tak bardzo cię przepraszam.

Jestem zdruzgotany.

Kiedy już mam pewność, że zasnęła, idę do toalety, odkręcam wodę na ful i walę pięścią w ścianę. Ryczę na całe gardło i to mnie uspokaja. Potem patrzę na swoje odbicie w lustrze i poprzysięgam zemstę na wszystkich, którzy mieli odwagę zaburzyć spokój mojej rodziny.

Ja, Troy Tracker, wypowiadam im wojnę.

ROZDZIAŁ 15

MARINA

Podczas mojego trzytygodniowego pobytu w szpitalu zrozumiałam, że nieważne, gdzie będę, w jakim bunkrze się schowam, wszędzie będę czuła się zagrożona. Każdy lekarz wydawał mi się podejrzany, nawet psycholog, który mnie odwiedzał, budził we mnie strach. Z tego powodu nie potrafiłam się przed nim otworzyć, więc i on nie potrafił mi pomóc. Przez trzy tygodnie jedyną osobą, która trzymała mnie przy życiu pomimo fizycznej nieobecności, była moja mama. Oczywiście nie powiedziałam jej, że nasz dom ostrzelano, że odebrałam poród koleżanki pod ziemią ani że sama niemal straciłam dzieci, ale przyznałam się, że stres spowodował, że muszę mieć podtrzymywaną ciążę.

Nasze rozmowy były neutralne, a mama nie pytała, gdzie jestem, dlaczego tam jestem i czy ktoś mi zagraża. Doskonale zdaje sobie sprawę, że tak jest. Każdego dnia jestem na celowniku. Wszyscy o tym wiemy, chociaż Troy za wszelką cenę stara się wmówić sobie, że *teraz* będzie inaczej.

Nasz nowy dom jak na razie spełnia moje wymagania. Wątpię, żeby można było się do niego dostać bez oberwania od żołnierzy, których Troy rozstawił dosłownie wszędzie. Poprosiłam też o własny pistolet, który noszę przy sobie, dokądkolwiek się wybieram. Chyba właśnie to sprawia, że nie boję się zrobić kroku.

Smutne.

– Marina – mówi Jo. – Chciałabym, żebyś została matką chrzestną mojej Miny.

Tak, JoAnn wybrała dla tej małej dziewczynki to samo imię, jakie nadała mnie. Jak sama twierdzi, chciałaby, żeby jej córka była tak odważna jak ja.

To akurat jest miłe.

– Naprawdę? – Uśmiecham się, wyciągając ręce po małą Minę. – To byłby dla mnie zaszczyt.

Przytulam dziewczynkę, patrząc na nią z czułością. Lubię spędzać z nią czas, bo ma w sobie coś, co mnie uspokaja. A może wszystkie dzieci rodzą się z tym darem?

Bóg jeden wie.

– Żyje dzięki tobie...

JoAnn wstrzymuje łzy, więc szybko kręcę głową, skupiając się na małej. Nie chcę do tego wracać, nie chcę myśleć o tym, że gdyby mnie tam nie było, Maria raczej nie dałaby sobie rady.

– Nakarmię ją, a ty weź kąpiel – mówię, starając się opanować drżenie głosu.

JoAnn podaje mi butelkę z odciągniętym mlekiem z piersi, a potem z radością ucieka do łazienki. Gdy zaczynam karmić małą, Maria przysuwa się bliżej mnie i gładzi palcem buźkę Miny.

Jest taka słodka.

– Szczęściara – mówi.

– Mogłaś odebrać poród.

– Nie, dziękuję. Do dzisiaj nie wiem, jak udało ci się zachować zimną krew.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Wiesz co? Ja też tego nie wiem. Ale spójrz tylko, jaka ona jest piękna.

Moja szwagierka potakuje.

– To prawda. – Wpatrujemy się w dziewczynkę, jakbyśmy nigdy wcześniej nie widziały dziecka. – Mogę ci zadać pytanie?

– Jasne.

– Dlaczego napadli na wasz dom? Czy Troy dalej ukrywa przed tobą, co się dzieje?

Oblewa mnie fala ciepła, gdy tylko pomyślę o tamtym domu, ale nie chcę, by to widziała.

– Nie, powiedział mi.

– I?

Kładę sobie Minę na piersi i masuję ją po plecach, żeby się jej odbiło, a potem myślę nad odpowiedzią. Muszę powiedzieć Marii prawdę. Sama wiem, że prawda, nawet najgorsza, jest o wiele lepsza niż kłamstwa czy

niedopowiedzenia. Prędzej czy później i tak wypłynie. Nie chcę, żeby Maria całe życie była trzymana pod lichym kloszem.

– Napadli na nasz dom, bo... Troy odmówił współpracy z kartelem Tecate. Tym, który cię porwał.

Maria zaciska usta w wąską linię.

– Skurwysyny. I myślą, że tym sposobem go przekonają?

Kręcę głową, a potem wzruszam ramieniem.

– Nie wiem. To pewnie zemsta. Nie mogą znieść, że dzięki Troyowi i Travisowi Camino zyskuje jeszcze większą władzę. I pieniądze. Troy mówi, że w grę wchodzi setki milionów dolarów.

– Skonfiskowali nasze mieszkania w Stanach. Byli tak małostkowi, że ściągnęli nawet telewizory ze ścian.

Boże, o czym jeszcze nie wiem?

– Robi się coraz goręcej.

– Czy mój brat ma jakiś plan, gdy... gdy tu zrobi się na tyle gorąco, że możemy spłonąć, i to żywcem? Nie chcę cię straszyć, ale Troy na pewno szykuje odwet.

Oczywiście mam tego świadomość, ale nie chcę z nią o tym rozmawiać. Nie chcę w ogóle o tym myśleć. Muszę pamiętać, że moja ciąża wciąż jest zagrożona i nie powinnam się stresować. Co w gruncie rzeczy idzie mi marnie.

– Tak, ale nie wolno mi o tym mówić – próbuję ją zbyć.

– To napisz mi na kartce – proponuje Maria, ale kręcę głową, szukając smoczka. – W porządku. Pogadamy gdzie indziej.

Odkładam śpiącą Minę do łóżeczka i gwałtownie odwracam się w stronę drzwi, nagle wyczuwając czyjąś obecność. W sekundzie jestem zlane zimnym potem.

Boże, to tylko Troy.

Oddycham z ulgą.

– Już jestem. – Podchodzi i całuje mnie w usta. – Gotowa?

– Prawie.

– Dokąd jedziecie? – pyta Maria.

– Troy chce złożyć kwiaty na grobie jakiejś kobiety – odpowiadam za niego.

Biorę torebkę i przeglądam się w lustrze. Troy nalega, żebym nosiła sukienki, które podkreślą mój brzusek. Przekonał mnie tym, że czas

biegnie nieubłaganie i zaraz urodzę dzieci, czyli stracę połowę uroku, którego obecnie mi dodają. W sumie uznałam to za komplement, ale też mało subtelną aluzję, że w kwestii potomstwa nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

– Jakiej kobiety? – dopytuje Maria.

Tym razem nie mogę odpowiedzieć, bo maluję usta czerwoną szminką, więc wyręcza mnie Troy.

– Stara znajoma, pomagałam jej rodzinie finansowo.

Staje za moimi plecami i obejmuje mnie w talii. To znaczy w miejscu, gdzie kiedyś miałam talię.

– O. Mogę pojechać z wami?

Zerkam na męża w odbiciu lustra i wstrzymuję śmiech. Jego oczy szybują w górę, a z piersi wyrywa się westchnienie.

– Zostań z małą i pomóż Jo – mówi. – Wiesz, że nie czuje się najlepiej.

– Ma męża.

Wrzucam szminkę do torebki i odwracam się do napastującego mnie wzrokiem Troya.

– Właśnie, gdzie on jest? – pytam.

– I gdzie jest Cade? Ciągle go nie ma.

– Pojechali razem. Niedługo będą. Wracają okrężną drogą.

No tak. Cade pewnie pojechał coś załatwić w zastępstwie Troya. Zresztą Travis również stara się odwdzińczyć mi za to, co zrobiłam dla jego żony, i wziął na siebie więcej obowiązków, ale nie czuję się z tym dobrze. Dopiero co został ojcem i chciałabym, żeby mógł się cieszyć Miną.

Wychodzimy z domu i wsiadamy do zaparkowanego na podjeździe samochodu. Zerkam jeszcze, czy wszyscy żołnierze są na swoim miejscu. Postanowiłam zaproponować Marii, JoAnn i chłopakom zamieszkanie razem, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Oczywiście nikt nie miał nic przeciwko.

– Fajny masz ten brzusek – mówi Troy, łaskocząc mnie. – Jak się czujesz?

– Dobrze, naprawdę nie musisz mnie o to pytać co godzinę.

Zaczyna się śmiać.

– Postaram się.

Gdy kierowca włącza się do ruchu, postanawiam powiedzieć mężowi, co mnie trapi – i zmusić go do odpowiedzi. W zasadzie nie wiem, dlaczego

wyciągam od niego informacje, przez które zaczynam wariować.

– Rozmawiałam z Marią. Powiedziałam jej, dlaczego był... stało się to, co się stało.

Jego twarz poważnieje. Żeby to przede mną ukryć, Troy całuje mnie w rękę odrobinę za długo.

– I co?

– Twierdzi, że musisz się zemścić. Czy to prawda?

Nie odrywa wzroku od mojej dłoni.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Powiedz tylko, czy to prawda?

Nie odpuszczę i on dobrze o tym wie.

– Na pewno nie mogę im tego podarować. Wtargnęli do mojego domu, narażając życie moich najbliższych, więc muszą ponieść konsekwencje.

Dobrze, rozumiem, że są to jakieś zasady, ale to nie zakończy wojny, która rujnuje moje zdrowie.

Kiwam głową, żeby dać mu do zrozumienia, że wiem, o czym mówi, jednak cóż, nie podzielam tego podejścia.

– Ale jeśli się zemścisz, jaką masz pewność, że oni nie będą chcieli zrobić tego samego?

– Zrobię tak, żeby nie przyszło im to więcej do głowy.

Otwieram usta, ale nic nie mówię. Nie chcę sobie nawet wyobrazić, co ma na myśli. Liczę tylko, że nikogo nie zabije i że oszczędzi ich rodziny. Nie chcę, żeby niewinne osoby płaciły za błędy swoich mężów, ojców czy synów. Sama do nich należę. Nie uznaję zasady „oko za oko”. Ale co ja tam wiem.

Na miejscu jesteśmy po trzydziestu minutach, które w większości przespałam. To ogromny plus bycia w ciąży: zasypiasz wszędzie, gdzie tylko możesz. Minus: nieważne, ile śpisz, budzisz się dalej zmęczona.

Kierowca otwiera mi drzwi, rozglądając się czujnie, ale udaję, że tego nie widzę. A nawet jeśli widzę, nie wiem, dlaczego to robi. Wsiadam. Nogi trzęsą mi się jak galareta.

– Hej, zaczekaj! – Troy, który wysiada po drugiej stronie samochodu, biegnie do mnie.

– Tak?

Nie panikuj.

Nie panikuj.

Nie p a n i k u j.

– Kocham cię – mówi czule i przytula mnie do siebie. Moje serce bije tak mocno, że jeszcze chwila i wyskoczy mi z piersi.

– Ja ciebie też. – Uśmiecham się, tuszując panikę na twarzy. – Co przeskrobałeś?

Ze śmiechem chwyta mnie za rękę.

– Nie mogę po prostu wyznać swojej żonie, że ją kocham?

Czy nie jest słodki?

– Możesz, a nawet powinieneś.

Dobrze.

Czas pomyśleć o jakiejś terapii, może online u amerykańskiego psychiatry. Po roboczej autodiagnozie wiem, że nie jest ze mną najlepiej. Chyba popadam w paranoję.

Wstępujemy jeszcze do kwaciarni przed cmentarzem.

– Wybierz jakiś bukiet od siebie – mówi Troy, czym mnie zaskakuje. – Taki od serca.

– Kim była dla ciebie ta kobieta?

– Kimś ważnym. Polubiłabyś ją, może nawet pokochała.

Kurczę. Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej o niej nie wspomniał. Skoro była dla niego ważna, powinien mi o niej opowiedzieć. Chyba że nie chce? A może to... jego matka? O rany, jeśli tak, to oznacza, że była Meksykanką?

Spoglądam na jego twarz. Nic na niej nie wskazuje, że jest Meksykaninem, ale może odziedziczył większość genów ojca? Nie mam odwagi teraz o to pytać. Może chce mi powiedzieć, kiedy będziemy na miejscu, a może nigdy.

Proszę sprzedawczynię o najpiękniejszy bukiet, jaki potrafi wyczarować, a gdy go układa, wybieram lampiony. Czuję się dziwnie. Idę na grób kobiety, której nigdy nie poznałam i o której nic nie wiem.

Ale idę. I patrzę. Patrzę na te wszystkie zakończone istnienia i nachodzą mnie różne refleksje. Pierwsza z nich: dlaczego te groby są tak kolorowe? Niebieskie, różowe, zielone. Niesamowite, jak Meksykanie chowają swoich najbliższych. Nie mówię, że to złe, nie, nie, wręcz przeciwnie, bardzo mi się to podoba. To pewnie dlatego czczą Santa Muertę, którą Troy ma wytatuowaną na ciele.

Kolejne moje myśli są mniej przyjazne. Zastanawiam się, jak kruche może okazać się moje życie. I gdzie zostanę pochowana, gdy przyjdzie mi pożegnać się z tym światem. Boże, dlaczego wciąż myślę o śmierci? Czy to normalne? Czy wyjdę z tego? Czy uda nam się stąd kiedyś wydostać i spotkam się jeszcze z rodzicami?

Po dwudziestu minutach krążenia siadam na przypadkowej ławeczce i stwierdzam, że Troy nie wie, gdzie leży ta kobieta. To wszystko robi się coraz bardziej dziwne. Może nawet upiorne. Ściemnia się. Nie mam ochoty po nocy zwiedzać cmentarza.

– Zgubiliśmy się – stwierdzam.

– Nie. – Troy czyta coś na karteczce. – Jeszcze kawałek. To musi być niedaleko. Chodź.

Podaje mi rękę, więc wstaję i idziemy dalej. Wciąż uważam, że to wszystko jest dziwaczne, ale wiem też, że pewnych rzeczy po prostu nie wypada mówić. Tyle że moja głowa sama ciągle podsuwa mi różne odpowiedzi. Może ta kobieta była mu bliska, gdy odwiedzał Meksyk, bo pomagał jej finansowo? Może traktował ją jak swoją matkę?

– To tutaj – mówi w końcu, wskazując na skromny niebieski nagrobek. – Wymienię jej płytę na bardziej solidną.

Potakuję bez słowa i przyglądam się ledwie widocznym literom wyrytym w kamieniu.

Elena Louisa Pérez.

Zmarła rok temu.

– Na co zmarła? – pytam Troya, który sprząta liście dookoła nagrobka.

– Zawał serca.

I tyle?

– Była ci bardzo bliska, bo pomagałeś jej finansowo?

Przecież to jakaś bzdura. Powinna najpierw stać się mu z jakiegoś powodu bliska, a potem – *z tego właśnie powodu* – pomagał jej finansowo.

– Można tak rzec.

Dalej sprząta, nie patrząc na mnie.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi prawdy?

– Czasami ludzie są ci bliscy, bo po prostu są. Nie znam lepszego wytłumaczenia.

Aha, no okej.

Zapalam znicz i stawiam go na płycie, odmawiając w myślach modlitwę. A potem, gdy cały nagrobek skąpany jest już w pięknych kwiatach i blasku świec, stoimy w ciszy, przytuleni i pogrążeni w myślach.

– Chyba nikt jej nie odwiedzał – mówię w końcu. – Nie miała nawet jednego znicza. To przykre, że kiedy umierasz, tak naprawdę zostajesz sam, a twoi najbliżsi wymazują cię, jakbyś nigdy nie istniał.

Troy ściska mnie mocniej, więc unoszę głowę, by na niego spojrzeć.

– Troy? – Próbuję ściągnąć mu okulary przeciwsłoneczne, które mimo zbliżającej się nocy wciąż ma na twarzy, ale on odchyła głowę, żeby mi to uniemożliwić. – Ty... płaczesz? – Przyciągam go do siebie. – Hej... – Wtulam się w niego i gładzę go po plecach. Wyczuwam, że drży. Musi to bardzo przeżywać.

– Wzruszyłem się – mówi, ocierając policzki. – To, co powiedziałaś, uderzyło we mnie zbyt mocno.

Wreszcie ściągam mu okulary i chowam je do torebki, a potem przyglądam się jego twarzy. Jego smutnym oczom, które tak rzadko się przede mną otwierają.

– Troy, czy ona... czy ta kobieta była twoją matką?

Marszczy brwi, a potem otwiera usta i wciąga ze świstem powietrze.

– Nie, ona... – I wtedy jego telefon zaczyna wibrować, więc się odsuwam, żeby mógł go wyciągnąć z kieszeni spodni. – Przepraszam, muszę odebrać.

Odchodzę kawałek dalej i kucam przy grobie tej nieznanym i tajemniczej kobiety, przez którą mój mąż uronił łzy.

Kim dla niego byłaś, Eleno? Kochałaś go? Byłaś mu jak matka? Jeśli tak, musiałaś być bardzo dobrą kobietą, na pewno lepszą niż ta, która go urodziła.

Odwracam głowę, gdy słyszę, że Troy zaczyna przeklinać. Chodzi w kółko, a potem chwyta się za głowę.

– Co się dzieje? – pytam go, gdy kończy rozmawiać i wbija we mnie nieobecny wzrok. – Troy? Mów do mnie! – wrzeszczę ile sił, bo nie zniosę dłużej zatajania przede mną tego, co go trapi.

Podchodzę do niego, staję na palcach i potrząsam jego bladą twarzą.

– Porwali ich – mówi, jakby sam nie do końca w to wierzył.

Panika, która mnie ogarnia, sprawia, że czuję mdłości. Z trudem wstrzymuję odruch wymiotny i chwytam się jego kurtki, żeby nie upaść.

– Kogo? – pytam tak cicho, jakbym wcale nie chciała usłyszeć odpowiedzi. – Kogo porwali? – Uderzam go w tors. – Troy!

Wciska we mnie wzrok pełen napięcia i strachu.

Nie jest dobrze. Nie jest dobrze.

– Travis. Travis i Cade zostali porwani.

ROZDZIAŁ 16

TROY

Wsiadamy do samochodu i od razu instruuje kierowcę, żeby jechał tak, jakby jego własnej matce groziło niebezpieczeństwo. Liczy się każda minuta. Muszę odstawić Marinę do domu i przekazać JoAnn oraz mojej siostrze, że chłopaki zostali porwani przez kartel Tecate. Nie spodziewałem się, że będą atakować raz za razem. Jak widać zaczynam tracić czujność i nie potrafię zapewnić najbliższemu bezpieczeństwu. Już nawet nie próbuję pocieszać swojej żony ani mówić jej, że coś wymyślę, bo najchętniej sam sobie wpakowałbym kulkę w łeb.

Miałem nadzieję, że spędzimy dzisiejszy wieczór inaczej, zaplanowałem nawet pobyt w hotelu z pięknym widokiem oraz poranne zakupy w sklepach dziecięcych, które Marina tak uwielbia. Chciałem zapewnić jej namiastkę normalności i chociaż trochę przybliżyć ją do jej biologicznej matki, bo całkiem możliwe, że nigdy nie wyznam jej prawdy. Chyba nie ma idealnego wyjścia z tej sytuacji. Czasami lepiej jest nie wiedzieć, jeśli nic dobrego z tego nie wyniknie.

Po dwudziestu minutach jesteśmy na miejscu i muszę zmierzyć się z rzeczywistością. Kiedy oznajmiam kobietom, że doszło do porwania, w domu zaczyna się jedna wielka histeria, ale nie mam teraz czasu na pocieszenie. Muszę zebrać ludzi oraz broń i przygotować się na każdy możliwy scenariusz.

Zakładam strój wojskowy, który noszą wszyscy żołnierze Camino, żebyśmy w razie starcia mogli się szybko rozpoznać, i chowam krótką broń oraz granaty w kieszonki. Na końcu buty i kamizelka, która nie raz uratowała mi moją nędzną dupę.

– Wiedziałam, że coś się stało! – wrzeszczy JoAnn, waląc rękami we wszystko, w co tylko trafi. – Wiedziałam!

Zamykam oczy, kiedy słyszę jej wycie. Chyba bardziej winny nie mogę się czuć.

– Pieprzony Meksyk! – Do Jo dołącza moja siostra, chociaż nie łączy jej z Cade'em żadna głębsza relacja niż te, jakie łączyły mnie z większością napotkanych kobiet.

Zaczynam pieprzyć, byleby zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Idę do Mariny, która próbuje uspokoić dziecko. Mina się rozpląkała, wystraszona tymi krzykami.

– Kocham cię – mówię, przykładając dłoń do policzka swojej żony. – Jeśli coś mi...

Zamyka oczy, spod których od razu wypływają łzy.

– Proszę... Po prostu wróćcie wszyscy bezpiecznie.

Całuję ją w usta, jakbym miał to robić ostatni raz, i wybiegam z domu. Wiem, że muszę ratować chłopaków, ale zostawiając swoją żonę, do tego w zagrożonej ciąży, czuję, że nie mam prawa do dalszego życia. Nie powinna dłużej przez to wszystko przechodzić, ale nie jestem w stanie z niej zrezygnować. Być może dopiero moja śmierć ją uwolni.

Pod domem czeka na mnie karawana opancerzonych samochodów i quadów, a w nich, jeśli Camino dotrzymał słowa, pięćdziesięciu *sicarios* gotowych poświęcić głowy dla tej wojny. Każdy z nas liczy na rozejm bez rozlewu krwi, więc to ja będę negocjował warunki z kartelem Tecate. Wprawdzie mam ochotę ich wszystkich rozpieprzyć, ale jestem odpowiedzialny za wszystkich tych ludzi. Do strzelaniny dojdzie tylko w ostateczności.

Wsiadam do hammera i zakładam czapkę typu snapback z logo wojska.

– Jedziemy!

Na mój znak wszyscy ruszają. Kiedy my jedziemy do Tecate, ktoś inny właśnie porywa najbliższych ludzi odpowiedzialnych za wypowiedzenie wojny, napad na mój dom i porwanie moich ludzi.

W połowie drogi zatrzymują nas żołnierze kartelu Tecate. Wsiadam, żeby poznać warunki – i dać im ostatnią szansę na przeżycie.

– Chcę rozmawiać z waszym szefem, który porwał moich ludzi – mówię.

– To my zostaliśmy wyznaczeni do rozmowy z tobą.

– A co? – Śmieję się. – Boss nie ma jaj?

– Chce, żebyś dla niego pracował.

Wydymam usta, kręcąc głową.

- Nie ma szans.
- Więc nici z wypuszczenia zakładników.
- Ich śmierć rozpocznie największą wojnę od czasów El Chapo.

Czy oni rozumieją, jaka jest skala tego przedsięwzięcia? Camino nigdy nie odda swojego człowieka, prędzej ściągnie tu całą Armię Zbawienia, niż pójdzie na jakieś układy.

- Tak jak powiedziałem, Troy. Szef chce...

Uciszam go gestem dłoni.

- Dobra, dobra. Wykorzystałeś już swoją szansę.
- Szansę na co?

Odwracam się w stronę moich ludzi i złączam kciuki z najmniejszymi palcami, wyprostowując pozostałe, dając sygnał, że mamy do zabicia sześć osób, żeby przejechać dalej. Następnie wsiadam na tył samochodu i odpalam karabin maszynowy M240B, który jest zasilany taśmowo i wystrzeliwuje pociski kalibru ponad siedmiu milimetrów. Zawsze ceniłem amerykańską broń. Do tego dochodzi karabin M16 z granatnikiem M203 i karabin snajperski dalekiego zasięgu M107 do ponad 6500 stóp. Myślę, że w kilka minut będziemy mieć czysty teren.

Sytuacja zaczyna się zaogniać, kiedy tamci wystrzeliwiają w nas pierwsi. Daję werbalny sygnał swoim ludziom, że pora na odbicie ataku. Mają się nie wycofywać, dopóki nie wydam rozkazu. Używamy najcięższych dział, dzięki czemu trzech pada po kilku minutach. Reszta walczy do samego końca, ale nie mają z nami szans. Rozpieprzyliśmy wszystko w drobny mak, zostawiając za sobą martwe ciała i zużytą amunicję.

Dawno tak się nie czułem. Napędza mnie adrenalina i chęć zemsty. Chcę, żeby wszyscy zapłacili za to, że moja żona nie może w spokoju donosić moich dzieci.

Potem idzie już gorzej, chociaż pozwalają nam się zbliżyć do samej paszczy lwa, ale i tak uważam, że kartel Tecate może nam naskoczyć. Wygrywają wyłącznie tym, że mają za zakładników moich ludzi. W innej sytuacji zakończylibyśmy tę wojnę maksymalnie w godzinę.

– Stać, kurwa! – Jeden z nich w panice celuje do nas z bezodrzutowego karabinu M3 Carl Gustaf.

Pokazuję swoim ludziom, że mają wstrzymać ogień, bo to za duże ryzyko. Karabin, który trzyma nasz wróg, może strzelać różnymi pociskami odłamkowo-burzącymi do różnych celów, w tym pojazdów opancerzonych.

– Chcę się zobaczyć z Diego – żądam.

Diego Ortiz, czyli mój nowy wróg numer jeden.

– Czuj się zaproszony.

Nie spodziewałem się takiego obrotu spraw, a przynajmniej nie tak szybko. Otwierają bramę, żeby wpuścić mnie na jego posiadłość. Muszę iść sam, nie mogę ryzykować swoich ludzi.

– Idę sam – mówię do nich. – Jeśli nie wrócę w ciągu pół godziny, wiecie, co macie robić.

Wszyscy wymierzają lufy w stronę wroga.

– Troy! Nie rób tego!

– Zajeberniemy was, skurwysyny!

Unoszę szybko ręce.

– Wstrzymać ogień! Róbcie, co mówię!

Wiem, że to żołnierze z krwi i kości, chociaż nie każdy to rozumie, wliczając w to moją żonę. Wiem, że oddadzą życie, jeśli będą musieli kogoś z nas uratować. Ale nie o to w tym chodzi. Najważniejsze jest wyciągnięcie chłopaków i dogadanie się z Tecate, którym steruje Diego.

Mam wątpliwą przyjemność właśnie patrzeć na jego zadowoloną gębę. Dookoła mnie stoją jego żołnierze, uzbrojeni po zęby tak jak my, ale ja zostałem właśnie pozbawiony wszystkiego, czym mógłbym zakończyć jego żywot. Włącznie z kamizelką, paskiem i kurtką.

– Przejdę do rzeczy – mówię. – Nie ma mowy, żebyś dla mnie pracował, więc musisz zmienić żądania.

Diego posyła mi szeroki uśmiech.

– Albo co?

– Wyciągnę swoich ludzi siłą.

– Wtedy wszyscy zginiemy.

Cieszy mnie, że ma tego świadomość, choć szkoda, że wpadł na to dopiero teraz.

– Podaj cenę – mówię.

Opiera się o stół, na którym leżą noże, broń i amunicja. Cyka ustami, a potem wskazuje na mnie brodą.

– Sto milionów dolarów.

Parskam śmiechem.

– Chyba pesos?

Diego podchodzi do mnie i wcelowuje broń w moją brodę. Wciska ją tak mocno, że muszę unieść głowę.

– Nie pogrywaj ze mną, Troy. Nie wystawiaj mojej dobroci na próbę. Żyją, bo ja tak chcę, ale w każdej chwili mogę stracić dobry humor. – Dociska metal jeszcze mocniej. – Jasne?

Zaciskam zęby, wypuszczając powietrze przez nos.

– Jasne.

Opuszcza broń, więc cofam się o krok i skanuję wzrokiem pomieszczenie. Lipa. Nie mam żadnych szans. Jest tu dziesięciu żołnierzy, a także nieskończony arsenał broni i amunicji.

– Czas leci, a ja nie lubię go marnować – mówi Diego. – Ktoś musi oberwać, Troy. Właśnie w taki sposób zdobywamy tutaj władzę.

Kiwa do jednego ze swoich ludzi. Nie mogę dopuścić, żeby któryś z chłopaków zginął, więc pozostaje mi chwilowa kapitulacja.

Robię krok w jego stronę i unoszę rękę.

– Wymienię się.

Diego odwraca się do mnie przez ramię. Jest zaskoczony, ale i zadowolony.

– Co zrobisz? – upewnia się.

– Wymienię się. Wypuścisz ich w zamian za mnie.

Z dumą poprawia pasek i kamizelkę, a ja po raz kolejny zduszam chęć sprowokowania go do walki.

– Zaczyna postawa. Ale pójdziemy na kompromis. Wymienię tego głupszego na ciebie. Ten drugi jest cenniejszy, a razem stworzycie maszynkę do zarabiania pieniędzy.

Kurwa, nie.

Zaczynam sapać i zaciskam zęby, niemal je krusząc. Nie mogę znieść myśli, że muszę łaskotać jego ego, gdy jestem w tej grze na samym szczycie. Doszedłem wszędzie tam, gdzie innym zabrakło do tego jaj, więc, kurwa, logiczne jest to, że mam ochotę wpackować w niego całą amunicję.

– Zadzwoń do żony i pozdrów ją ode mnie – rzucam wściekle. Musiałem to zrobić. Kutas nie może myśleć, że wszystko rozejdzie się po kościach.

Uderza mnie kolbą w twarz, ale udaje mi się nie stracić czujności. Bierze telefon i wybiera jakiś numer, milczy, rozłącza się, a potem patrzy na mnie i zaczyna rechotać.

– Wystraszyłeś mnie – rechocze dalej, mierząc do mnie z broni. – Niezłe zagranie.

Ja też zaczynam się śmiać.

– Powiedziałem tylko, żebyś ją ode mnie pozdrowił.

Wie, że mam plan. Wie, że zrobię, co będę musiał, żeby wyciągnąć chłopaków, i wie, że zemszczę się za nalot na mój dom. Nie wie tylko, w jaki sposób, i właśnie to go rozpierała. A to, że śmieję się dalej, doprowadza go do kurwicy.

– Wyprowadźcie blondyna – rozkazuje swoim ludziom.

– A co z Travisem? – pytam, ale on oczywiście ma to w dupie i wychodzi.

Zabierają mnie do jakiegoś pomieszczenia, gdzie dostrzegam Trávisa. Wisi bez życia przykuty za ręce do sufitu, jego głowa bezładnie opada. Nogi również ma związane.

Skurwysyny.

– Travis!

Ledwie unosi na mnie wzrok. Ma całą poharataną twarz. Uderzam faceta, który mnie prowadzi, z główki w nos, ale drugi kopie mnie w żebra i padam na kolana.

– Troy!

– Zamknąć ryje!

Podnoszą mnie, żeby przykuć w taki sam sposób jak Trávisa do sufitu. Szarpię się, próbuję do tego nie dopuścić, ale to nie jest film. Sam niewiele mogę zrobić.

– Spokojnie, bracie – mówię do przyjaciela. – Wyjdziemy z tego.

Dostaję z pięści w brzuch.

– Chyba w plastikowych workach.

Ich śmiech doprowadza mnie do stanu, o jakim nie chcę nawet myśleć. Gdybym miał możliwość, najpewniej odciąłbym im teraz głowy i nadział nimi świątecznego indyka w prezencie dla ich rodzin.

Do pomieszczenia wchodzi Diego. Siada na krześle, które mu podsuwają, i podwija rękawy, czym mnie rozśmiesza.

Myśli, że się go boję?

– Dobrze, panowie, fajnie było, ale się skończyło.

– Pierdol się – rzuca Travis i spluwa na podłogę, przez co dostaję z pięści w brzuch i krztusi się wymiocinami.

– Nie dotykaj go, skurwysynie! – Wrzeszczę i rzucam się, żeby odwrócić ich uwagę od Trávisa.

Nie wiem, ile już tak wisi, i nie wiem, jak mocno oberwał, ale nie wygląda najlepiej. Muszę odciągnąć ich uwagę, żeby mógł wyjść z tego cało.

– Na początek – odzywa się Diego – adresy magazynów z towarem.

Ja i Travis wybuchamy śmiechem, co oczywiście skutkuje tym, że dostajemy metalowymi rurami po nogach. Czuję, że z bólu oczy wychodzą mi z orbit, ale uparcie milczę.

Trzeba czegoś więcej, żeby mnie złamać.

– Adresy, Troy. – Diego zakłada kasetę i przybliża się do mojej twarzy.

– Pierwszy adres to... – mówię. – W Mojej Dupie, a drugi...

Dostaję cios za ciosem. Cios za ciosem.

W twarz, brzuch, nogi, plecy. Krwawi mi chyba całe ciało. Tracę ostrość widzenia, wszystko wokół wiruje.

– Zostawcie go, do kurwy nędzy! Troy! Obudź się! Troy! Kurwa!

Potrząsam głową i unoszę ją, żeby nie stracić przytomności.

– Dobrze – słyszę. – Travis, pobawimy się w inną grę. Zobaczymy, jak cenne jest dla ciebie życie twojego przyjaciela.

Travis zaczyna wariować, więc kręcę głową, żeby przestał. Musi zachować siły na później. Łańcuch wrzyna mu się w zakrwawione nadgarstki, ale on się nie poddaje.

– Travis, przestań! – krzyczę resztką energii.

– Adresy magazynów z towarem, Travis, to... ? – pyta go Diego.

Znow kręcę głową, a mój brat z bezradności wykrzywia usta. Obaj wiemy, jak to się skończy, ale nie możemy się ugiąć przed kimś takim jak Diego.

Wala mnie wszędzie, wciąż zadając te same pytania Travisowi. „Magazyny, adresy magazynów! Forsa, gdzie jest forsa? Nazwiska! Podaj nazwiska!”. Słyszę ryk Trávisa, który z każdym uderzeniem cichnie w moją głowę.

– Zostawcie go, do chuja!

Jeb, jeb, jeb.

Już nawet nie wiem, gdzie dostaję. Widzę tylko krew ciekącą mi z twarzy do kałuży pod moimi nogami. Jeśli nie ściągną mi łańcuchów z rąk, zaraz chyba odpadną mi kończyny. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyję,

bo przestałem czuć ból. Moje ciało odmówiło mi posłuszeństwa. Jestem manekinem.

To już chyba koniec.

Marino Tracker, chciałbym ci teraz tyle powiedzieć. Chciałbym umrzeć z pewnością, że potrafiłem okazać ci miłość, na jaką było mnie stać. Zajmij się moimi dziećmi. Kochaj je, bo każde dziecko zasługuje na miłość. I pamiętaj o mnie. Mów im o mnie. Ułóż sobie życie, którego ja nie mogłem ci dać...

I nagle widzę jej twarz. Jest taka piękna. Ma na sobie suknię ślubną, która podkreśla jej anielską urodę. Mówi coś, ale jej nie rozumiem. Muszę się wsłuchać. Obiecuje trwać przy mnie na dobre i na złe, w zdrowiu i chorobie, w bogactwie i w biedzie...

Uśmiecham się poruszony i obiecuję jej to samo. Obiecuję kochać ją do śmierci i nigdy jej nie opuścić. Czuję jej usta na swoich. Słyszę, że jest moją żoną. Ukrywam łzy, które stają mi w oczach. Nigdy nie sądziłem, że spotka mnie tak wielkie szczęście.

– Jestem twoją żoną i kocham cię do bólu – mówi, gdy wsuwa mi na palec obrączkę.

Nie rozumiem, dlaczego oddała mi całą siebie. Nie rozumiem, co we mnie widzi, ale chłonę wraz z nią każdą minutę, jakby miała być tą ostatnią.

– Marina, skarbie...

– Troy, jej tu nie ma...

Unoszę głowę i uśmiecham się.

– Chodź do mnie, kochanie.

– Troy! Kurwa mać! Skup się! Nie odpływaj! Mariny tu nie ma! Zostaliśmy porwani, mocno oberwałeś w głowę... Trzymaj się, bracie.

– Marina...

– Przepraszam, stary. To moja wina.

– Moje dzieci... Mam dzieci... żonę...

– Troy! Obudź się! Słyszysz?! Kurwa! Zajebię was! Zapierdolę was wszystkich! Jesteście już martwi! Słyszycie, skurwysyny?! Wasze żony, matki i dzieci! Zajebię wam nawet psy! Jesteście martwi! Kurwa! Zajebię was bez mrugnięcia powieką!

ROZDZIAŁ 17

MARINA

Osuwam się na podłogę, słysząc dźwięk tłuczonego szkła. To szklanka, którą trzymałam w ręku, kiedy jeszcze potrafiłam zapanować nad swoim ciałem. I kiedy wszystko układa się w mojej głowie niczym puzzle, kawałek do kawałka, zaczynam wrzeszczeć ile sił w płucach. Czuję, jakbym po raz pierwszy w życiu płakała sercem. To wychodzi ze mnie, z mojego wnętrza, bez mojego udziału. Z gardła dobywają się jakieś słowa, których mój umysł nie rozróżnia. Mam wrażenie, że stoję obok i przyglądam się, jak tonę w rozpacz.

– Porwali go... – wyduszam głosem, który nie należy do mnie. – Porwali...

– Marina, proszę – słyszę szept Marii, a potem czuję na swoich włosach jej dygoczącą rękę. – Proszę, przestań.

Chciałabym przestać, ale nie potrafię. Zmęczona, przekręcam głowę, żeby na nią spojrzeć. Widok wodospadu łez tryskającego z jej oczu potwierdza, że niczego sobie nie ubzdurałam. Ale może...

– Porwali mojego męża.

Nie odpowiada. Nie mówi, że to był koszmar i właśnie się z niego obudziłam. We dwie po prostu na siebie patrzymy, płacząc. Jedna współczująca drugiej. Porwali mężczyznę, którego obie kochamy.

El Smiley nachyla się i kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Zrobimy wszystko, żeby go odbić. Obiecuję.

Nie chcę więcej obietnic bez pokrycia. Ile już razy to słyszałam? Nie zliczę. Za każdym razem jakaś część mnie wierzyła w to, że będzie lepiej, normalniej, bezpieczniej. A teraz porwano mi męża i nie mam nawet pewności, czy on żyje.

– Niech wezmą mnie. – Chwytam El Smiley za koszulkę i podciągam się do jego twarzy. – Niech wezmą mnie!

– Nie wygaduj bzdur, Marina – mówi, odsuwając mnie delikatnie i zmuszając, żebym usiadła. Odkleja mi włosy z twarzy, a ja mrużę obolałe i spuchnięte powieki, ale nie mogę przestać płakać. – Nikt się na to nie zgodzi, tym bardziej Troy. – Na dźwięk jego imienia ponownie kulę się na podłodze. – Podnieście ją. Dajcie jej jakieś leki na uspokojenie. Jej ciąża jest zagrożona.

Kładę rękę na brzuchu, żeby dodać moim dzieciom otuchy, ale myśl, że mogą nigdy nie poznać swojego taty, od nowa doprowadza mnie do hysterii.

– Myślisz, że tego nie wiemy? – pyta Maria. – Myślisz, że to takie proste?

– Któraś z was musi się trzymać dla pozostałych. Wychodzi na to, że ty.

– Ja? Porwali mojego brata! – wrzeszczy. – A wy stoicie i wydajecie jakieś rozkazy! Róbcie coś, do kurwy nędzy!

Z oddali słyszę przeraźliwy płacz dziecka. Dopiero on mnie ocuca.

– Mina, Mina płacze...

Unoszę się na tyle, na ile jestem w stanie.

– Zajmę się nią – mówi Maria. – Ale musisz wstać i chociaż położyć się do łóżka, proszę. Proszę, zrób to dla mnie.

– Nie mogę.

Nie mogę wstać i położyć się do łóżka, nie wiedząc, czy mój mąż cierpi. Nie wiedząc, czy żyje. Chcę zostać na tej podłodze, bez jedzenia, snu i wygód, tak długo, aż usłyszę, że nic mu nie jest i wraca do domu.

– Musisz, kochanie. Musisz żyć, bo mój brat właśnie tego by pragnął. Słyszysz?

Zaciskam z bólu powieki, wyczuwając ruchy dzieci pod swoim sercem.

– Chcę umrzeć.

ROZDZIAŁ 18

MARIA

Patrzę na nią, w jej najbardziej kruchej odsłonie, i wiem, że mówi w tej chwili poważnie. Jest zdruzgotana nie mniej niż ja, ale mam świadomość, że mój brat jest dla niej wszystkim. Przecież to dla niego rzuciła kochających rodziców, pracę i naukę. Ja nigdy bym tego nie zrobiła, ale mnie nigdy nie było dane – i nie będzie – zaznać takiej miłości.

Zostawiam ją, bo ktoś musi zająć się dzieckiem. Uspokajam Minę, karmiąc ją mlekiem w proszku, bo JoAnn straciła pokarm. Staram się zachować zimną krew, bo jeśli dołączę do hysterii dziewczyn, dziecko zostanie bez opieki. Nie wierzę, że przyszło mi się zmierzyć z taką odpowiedzialnością. Nawet nie wiem, czy lubię dzieci, ale w tej chwili to nie ma znaczenia, bo zostałyśmy z Miną same.

– Nie płacz, maleńka. – Tulę ją do piersi. – Jestem przy tobie.

Tak bardzo cieszy mnie w tej chwili, że nie jestem niczyją żoną ani matką. Może to dlatego trzymam się lepiej od nich? Chociaż na samą myśl, że Troy, mój brat, mój kochany, wkurwiający brat, który opiekuje się mną całe życie, miałby już do nas nie wrócić...

Potrząsam głową, wstaję i delikatnie odkładam małą do kołyski. A potem idę do sypialni Mariny poszukać leków na uspokojenie, które przepisał jej lekarz. Ma mnóstwo różnych tabletek, więc trochę zajmuje mi znalezienie tych właściwych.

Po drodze sprawdzam, co u JoAnn, ale jest w takim samym stanie jak Marina, tyle że leży na kanapie z nieobecny wzrokiem wbitym w podłogę.

W końcu ponownie nachylam się nad chlipiącą i zwiniętą w kulkę szwagierką.

– Marina, weź to. – Podaję jej tabletkę i butelkę z wodą, ale nie czekam, aż je weźmie, tylko wracam do JoAnn i robię to samo. – Jo, ty też.

Na szczęście JoAnn siada, połyka tabletkę i zaczyna się uspokajać.

– Co z Miną? – pyta po chwili.

– Śpi. Nic jej nie jest.

– Są jakieś wiadomości?

Kręcę głową i odwracam się w stronę Mariny.

– Biedaczka wariuje – mówi Jo. – Martwię się o jej dzieci. Martwię się o wszystkich, ale nie potrafię nikogo pocieszyć. Co ze mnie za przyjaciółka? Co ze mnie za matka?

Dotykam jej zimnej ręki.

– To nie tak, Jo. Nikt nie był przygotowany na taki cios.

Podaję jej chusteczkę, żeby wytarła twarz.

– Jak ty się trzymasz? – pyta mnie.

Wzruszam ramionami. Nie wiem, jak się trzymam.

– Staram się. Za nas wszystkie.

– Czy myślisz, że... oni... Co czujesz?

Nic. A zarazem wszystko.

– Dopóki nie dostałyśmy informacji, że nie żyją, nie wolno nam ich zegnać w myślach. Nadzieja to jedyne, co teraz mamy.

Jo wstaje i razem idziemy do Mariny, która jednak kompletnie nie reaguje na nasze prośby. Płacze bez przerwy, co jakiś czas tylko ciszej, bo opada z sił. Te biedne dzieci dostają już na starcie wodospad łez i górę stresu od swojej mamy. Ale nikt jej nie ocenia. Każdy z nas stara się zrobić wszystko, żeby dać jej nadzieję, że jej mąż żyje.

Chociaż pewnie nie każdy w to wierzy.

– Marina, wstań. – Jo ciągnie ją za rękę, ale to na nic. – Pęka nam serce. Chodź, proszę, chodź...

Marina kuli się jeszcze mocniej.

– Nie chcę. Błagam, zostawcie mnie.

– Musimy podać jej leki, wtedy się uspokoi. – Jo siada przy Marinie i wsuwa rękę pod jej plecy. – Pomóż mi.

W końcu udaje nam się ją posadzić. Trzymam jej głowę na swoich piersiach i głaszczę ją z największą troską, na jaką mnie stać. Jo wkłada jej tabletkę do ust i podstawia wodę. Na szczęście Marina przełyka

bezwiednie, po czym opada na moje kolana, więc dalej głaszczę ją po włosach i czekam, aż lek zacznie działać.

– Zaraz będzie ci lepiej. – Kołyszę się razem z nią, masując jej ciążowy brzusek. – O, kopnęły!

Uśmiecham się do JoAnn, która od razu przykłada rękę w to samo miejsce.

– Faktycznie! – woła, ale po chwili jej uśmiech gaśnie. – Są niespokojne. Niech ten lek zacznie już działać, bo umieram ze strachu.

Nie wiem, jak długo siedzimy, ale w końcu Marina usypia. Jest spokojna. Mogę odetchnąć i przez jakiś czas się o nią nie martwić. Wracam pamięcią do dnia, kiedy ją poznałam. Znalazłam ją przez ogłoszenie i wiedziałam, że spodoba się mojemu bratu, ale Bóg mi świadkiem, nie sądziłam, że oboje stracą przez siebie rozum.

Często się zastanawiam, jak to jest być tak kochaną przez mężczyznę. Co czuje Marina, mając świadomość, że Troy oddałby za nią życie? Strach? A może radość? Jak to jest, kiedy ktoś patrzy na ciebie za każdym razem z większym pożądaniem? Myślę, że to musi być najpiękniejsze uczucie – mieć pewność, że znalazło się swoją bratnią duszę.

Nie wiem, czy Cade nią jest, bo nie potrafię okazywać emocji tak, jak bym tego chciała. Jezu, nie potrafię nawet powiedzieć własnemu facetowi, że dobrze wygląda, nie mówiąc już o wyznaniu głębszych uczuć. Ale to nie znaczy, że nie cierpię. To nie znaczy, że nic nie czuję. Każda godzina bez niego sprawia, że osuwam się w otchłań, z której wkrótce może nie będę chciała wrócić.

– Troy... – Głos Mariny tnie moje uszy. Ma zdarte struny, czerwony nos i spękane usta.

Gładzę ją po przemoczonych włosach, żeby dodać jej otuchy. Cokolwiek się stanie, musimy się wspierać, a w ostateczności – uciekać.

Razem z Jo bierzemy ją na ręce i zanosimy do jej sypialni. Mogłyśmy poprosić o pomoc któregoś z facetów, ale nie chcę, żeby ktoś jej dotykał. Całkiem możliwe, że powoli przejmuję rolę swojego brata. Nie, szybko odsuwam tę myśl.

Wykorzystuję wolną chwilę, żeby przeanalizować, co można zrobić albo od kogo uzyskać jakieś informacje, ale El Smiley niewiele mówi. Sam wygląda, jakby ledwo to wszystko znosił. Przystaję w rogu pokoju i przyglądam się temu wszystkiemu. Ludziom, którzy nerwowo maszerują

w tę i z powrotem z krótkofalówkami. Rzucają coś po hiszpańsku, są nerwowi. Bardzo nerwowi. Wydaje się, że przeżywają to razem z nami.

Może faktycznie ci wszyscy niegrzeczni faceci traktują się nawzajem jak rodzina? Może tak właśnie jest w tym brudnym świecie. Dbasz o tych, którzy są przy tobie do samego końca. Wiele rodzin, które łączą więzy krwi, nie potrafi nawet do siebie zadzwonić.

Idę do Jo, żeby sprawdzić, czy zasnęła po lekach, które w nią wpakowałam. Leży prawie nieprzytomna, spuchnięta, ale oddycha spokojnie. Zamykam drzwi, żeby ona i mała miały ciszę, bo nie zniosę dłużej ich płaczu, jeśli się obudzą. Ten dom zamienił się w ocean kobiecych łez, który długo nie wyschnie.

– Jak Marina? – pyta mnie El Smiley.

Jestem tak zmęczona i zdruzgotana, że nie mam ochoty na żadne pytania.

– Dlaczego interesuje cię tylko żona mojego brata? Jesteśmy tu we trzy i we trzy cierpimy.

– Bo mam do niej słabość.

Przepraszam, kurwa, co?

– To znaczy?

Lepiej, żeby nie sugerował, że jeśli mój brat nie wróci, chętnie zajmie jego miejsce.

– Jest inna niż wszystkie kobiety. Ma w sobie coś, co każdego do niej przyciąga. A przede wszystkim nikogo z góry nie ocenia.

O rany, jakie to przesłodzone.

Mijam go, rzucając mu pogardliwe spojrzenie.

– To pierwsza kobieta, która cię polubiła, co? – Zerkam na niego przelotnie.

– Bingo – obrusza się. – Jaką nagrodę wybierasz?

– Chcę, żeby mój brat wrócił do domu. Żywy.

Odkręcam butelkę z colą i nalewam trochę do szklanki. „Mam do niej słabość”. Dobrze sobie. Mój brat na pewno się ucieszy.

– Na razie naciesz się swoim chłopakiem...

Co?

Gwałtownie odwracam się w stronę drzwi, w których staje męska postać. To Cade. To Cade! Jest tutaj! Naprawdę jest! Cały. Żywy. On żyje!

Ruszam w jego stronę i rzucam mu się w ramiona, w których natychmiast mnie zamyka. I płaczę. Wreszcie mogę się rozpląkać i pozwolić sobie na

ból, który tak długo dusiłam.

– Cade, jesteś... Jesteś cały!

Oglądam go z góry na dół, ale on chwyta mnie za ramiona i pochyla się, żeby spojrzeć mi w oczy. Nie podoba mi się wyraz jego twarzy. Jego obce, błędne spojrzenie.

Jeśli zaraz mi powie, że mój brat...

Nie.

Kładę rękę na swoim szalejącym sercu.

– Muszę wrócić. Oni tam zostali. Nie mogę tu zostać.

Kręcę głową i chwytam go za twarz. Nie wie, co mówi. Jest w szoku.

– Zabiją cię, jeśli tam wrócisz. Połóż się. Opatrzę...

Ciągnę go za rękę, ale on się wyrywa.

– Nic mi nie jest, Maria! Twój brat jest tam katowany z Travisem!

Cade chwyta się za głowę i zaczyna chodzić w kółko.

Stoję i wpatruję się w podłogę. To nieprawda. Nie chcę tego słuchać. Mój brat nie dałby się skatować. Znam go. To *mój* brat. Troy Tracker, człowiek, który przeżyłby wszystkie kataklizmy razem wzięte.

– Proszę, nie mów tak. Jesteś w szoku...

Cade podchodzi do mnie i chwyta mnie za twarz. W jego oczach pojawiają się łzy.

Cade nigdy nie płakał.

– Nie jest dobrze, Mario. Są torturowani. W mieście jest strzelanina. Wybuchają samochody. Giną niewinni ludzie.

Po policzkach spływa mi strumień łez. Nie chcę tego słuchać. Nie obchodzą mnie żadni ludzie, jakkolwiek to brzmi. Chcę mojego brata. Chcę zobaczyć jego wkurzającą gębę i wiedzieć, że dalej będzie mnie kontrolował i doprowadzał tym do szaleństwa.

Chcę znowu mieć poczucie bezpieczeństwa i właśnie zdałam sobie sprawę, że tylko Troy potrafił mi je zapewnić. Większość powie, że jestem świrnięta, ale ja nie znam innego życia. Mam tylko brata, który dba o mnie, odkąd pamiętam.

– Czy ktoś w ogóle próbuje go ratować? – Zasłaniam usta ręką, żeby uciszyć płacz, bo nie chcę obudzić dziewczyn. Ich histeria nie jest mi teraz potrzebna.

– Próbuje? – Cade unosi brwi, jakby niedowierzał. – Tecate zamieniło się w pole bitwy. Rozumiesz, co do ciebie mówię? – Potrząsa mną jak jakąś

kukłą. – Camino wysłał tam armię zabójców, wyciągną ich siłą. Ale to nigdy nie kończy się dobrze. Nigdy.

Jeśli wyciągną ich siłą, to jaką mamy pewność, że ktokolwiek wyjdzie z tego cało?

– Cade, a co, a co... – łapię szybko oddech – jeśli oni już nie żyją?

– Trzeba być dobrej myśli. Ale ja muszę tam wrócić. Troy zrobiłby dla nas to samo.

Mój brat zawsze dbał o swoich.

Zawsze.

– Ale dlaczego ciebie wypuścili?

Cade siada na krześle i wsuwa palce we włosy, a potem patrzy na mnie ze łzami w oczach.

– Twój brat się za mnie wymienił.

Padam w jego ramiona i płaczę, ale tym razem wyłącznie za Troyem.

– Kocham cię, Cade – mówię pomiędzy kolejnymi drżącymi oddechami – ale kocham też swojego brata. Musicie go uratować, bo umrę, jeśli coś mu się stanie.

– Musisz pozwolić mi tam wrócić – mówi Cade, a ja potakuję, choć wcale się z nim nie zgadzam. – I pamiętać, że cokolwiek się wydarzy, kocham cię. Kochałem cię od dawna.

Uśmiecha się, całuje mnie w usta i wybiega, a ja... ja zamieniam się w taką samą szmacianą lalkę jak Marina. Na podłodze. W kałuży swoich łez. Są niczym zapłata. Płacimy za błędy naszych mężczyzn, ale żadna z nas nie wie, ile wynosi dług.

*A kiedy przyjdzie po mnie śmierć
I powie mi, że mogłem żyć
Czy wybaczy mi mój na jawie sen?
Czekam już na zakończenie
Ile jeszcze mogę znieść?
Może śmierć to ostateczne przebudzenie?*

ROZDZIAŁ 19

TROY

Miałem kiedyś kumpla, który leżał w śpiączce kilka miesięcy, ale lekarze nie dawali mu szans. Kiedy się obudził, udowadniając nauce, że nie jest nieomylna, odniosłem wrażenie, że ktoś go podmienił. Pieprzył same farmazony i nie bardzo potrafiłem go zrozumieć. Nie był tym samym chłopakiem co wcześniej, zanim dostał kulkę w głowę. Mówił coś o duszy, która wyszła z jego ciała, i że przyglądał się sobie z góry. Nie wierzyłem w to, bo zwyczajnie nie wierzę w nic, czego nie mogę zobaczyć, dotknąć, posmakować, a przynajmniej poczuć.

Jednak jego zmiana autentycznie mnie zaciekała, bo była stała. Ku mojemu zaskoczeniu nie wrócił do dawnego życia. Stał się nowym człowiekiem, który postanowił podążać inną ścieżką niż do tej pory. Niż my, chłopaki z San Diego. Chciał być blisko Boga, więc został księdzem. Chłopak, który mordował za kasę, nagle udzielał rozgrzeszenia komuś, kto zdradził żonę albo ukradł ze sklepu flaszkę wódki.

Ale zmierzam do tego, że są ludzie, którzy się nawracają. Jak sami uważają, stają się lepsi, bo nie mogą dłużej znieść bólu, który towarzyszy im na drodze, jaką obrali. Złej drodze.

Ale są też tacy, którzy stają się jeszcze gorsi, bo ból wypłukuje z nich resztki empatii.

Drzwi do mojego gabinetu się otwierają. To Ramon i Armando, dwóch moich zaufanych żołnierzy od najbrudniejszej roboty.

– Przyszliśmy zdać raport – mówi Ramon.

– Mówcie. – Wyciągam z szuflady paczkę fajek, które palę w tajemnicy przed żoną.

– Misja zakończona sukcesem.

Podpalam papierosa, potakując. Wiedziałem, że mogę na nich liczyć.

– Ciesz się tym.

Prezentuję im swój szczery uśmiech, który mam zarezerwowany na okazje takie jak ta, a potem częstuję ich najlepszą whisky, jaką mam. Wypijają bez słowa.

Chyba wyczuwam gęstniejącą atmosferę albo znowu mam paranoję. Unoszę brwi, czekając na pełny raport, ale jeden patrzy na drugiego, jakby przyszli na dywanik. Jeśli powiedzą mi, że się nawrócili, to chyba pęknę ze śmiechu.

– Ale... – zaczyna wreszcie Ramon, który jest bardziej rozmowny od swojego przyjaciela. – Nie wykonaliśmy rozkazu porwania żony.

Mrugam kilkakrotnie, zaciskając zęby, a potem nachylam się nad biurkiem, mimo bólu pleców, i sapię. Muszę odczekać kilka sekund, żeby nie wyciągnąć gnata i nie zacząć strzelać, gdzie tylko poniesie mnie fantazja.

– Nie wykonaliście mojego rozkazu? – pytam, zionąc ogniem. A potem celuję w nich do połowy spaloną fajką. – Za to wam, kurwa, płacę!

Ramon siada po przeciwnej stronie biurka, ale nie mam ochoty na dalsze tłumaczenia. Nie jestem gotowy na takie akcje, nie po tym, przez co musiałem przejść. I nie mówię o sobie. Nie chodzi o mnie, przysięgam. Pewnie dlatego kiepsko sobie z tym radzę i muszę rozpierdolić wszystko, co mam pod ręką.

– Troy, nie działamy w ten sposób – mówi Ramon, ale sposób, w jaki kiedyś działaliśmy, przestał mnie już obchodzić. – Nie porwano ci żony, nie możemy ryzykować, porywając cudzą.

Prycham i siadam z powrotem na fotel, bo nie mogę ustać na nogach.

– Napadli na mój dom, w którym była moja *niewinna* ciężarna żona. Jakie, kurwa, to ma znaczenie, że jej nie porwali? – Ich brak odpowiedzi i tego, że zlekceważyli mój rozkaz, doprowadza mnie od nowa do szału. – Gdybym nie miał schronu, najpewniej by nie żyła! – Uderzam ledwie ozdrowiałą ręką w blat biurka. – Zapłaciłaby za nasze brudne interesy!

Ta myśl prześladowuje mnie za każdym razem, gdy na nią patrzę. Na jej niezbrukaną twarz, z której otarłem niezliczone łzy. Oddałbym wszystko, żeby wymazać z pamięci to, czego się dowiedziałem od mojej siostry, gdy mnie porwano.

Odpalam kolejnego papierosa; z nerwów wypada mi z ręki i ląduje na podłodze. Wkurwiony, gaszę go butem i przecieram twarz.

– Troy, nie myślisz racjonalnie. Skup się. Nie porywamy kobiet, dzieci i starych. Takie mamy zasady.

Biorę kolejnego papierosa. Tym razem udaje mi się zaciągnąć dymem. Uspokajam się nieco i wbijam wzrok w ścianę. Zastanawiam się, czy mogę przyznać mu rację.

Nie.

– Te zasady przestały obowiązywać, gdy tamci przekroczyli próg mojego domu.

Słyszę, jak Ramon wzdycha, i kątem oka dostrzegam, że odwraca się do kolegi.

– Zapłacili za to życiem – mówi. – Jak bardziej chcesz ich ukarać? Ich już tu nie ma.

Potakuję.

– Nie wykonaliście pełnego rozkazu. – Wskazuję palcem na drzwi. – Wypierdalać.

– Znaleźliśmy Diego – mówi Ramon, więc od razu koncentruję na nim całą swoją uwagę.

– I co? Daliście mu koszyczek z jedzeniem i wygnaliście go z miasta?

Ramon na moment przymyka powieki, a potem mówi:

– Poderżnęliśmy mu gardło. Dorwaliśmy go w górach Silanoa.

Tłumię euforię, która rozpędza się w moich żyłach.

– Chcę dowód, że ten skurwysyn już nie oddycha.

Armando kładzie na moim biurku kopertę.

– Proszę.

Otwieram ją z taką samą ekscytacją, z jaką dziecko otwiera prezent, licząc, że to ten wymarzony. I jest. Oto dowód tego, że ta menda nie stąpa już po ziemi. Czuję się o wiele lepiej, choć nie tak, jak przypuszczałem. Możliwe, że zemsta wcale nie przynosi satysfakcji. Ale fakt, że zapłacił za to głową, mimo wszystko mnie uspokaja.

– Możecie już iść – mówię, wyciągając z szuflady koperty z plikiem pieniędzy. – To wasza zapłata. – Kładę kolejne dwa pliki i uśmiecham się ironicznie. – A tu bonus od firmy.

– To nie wszystko – mówi Ramon i wyciąga coś z kieszeni marynarki. Kładzie na blacie chabrowy woreczek i wyrzuca z niego zawartość.

Od razu przysuwam się bliżej i chwytam to w rękę. Oglądam z każdej strony, niemal dostając orgazmu.

– Wiemy, ile dla ciebie znaczy – mówi Armando.

Oczywiście, że wiedzą. Każdy chciałby być teraz na moim miejscu.

– Przymknę oko na jego żonę – mówię, nie odrywając wzroku od prezentu. – Jesteście usprawiedliwieni, chłopcy.

Wstaję i podaję im rękę, zauważając ulgę malującą się na ich twarzach. Pewnie i tak bym ich nie zabił, ale po co mają o tym wiedzieć.

– W razie potrzeby jesteśmy do dyspozycji.

W progu mijają się z moją cudowną żoną, która od razu wparowuje do środka. Rozgląda się na wszystkie strony, ale ja nie mogę oderwać wzroku od jej zarysowanego brzucha i pełnych piersi. Wiem już, że mógłbym zapładniać ją na okrągło.

– Troy, paliłeś. Prosiłam cię, żebyś rzucił.

Otwiera okno, stając do mnie tyłem.

– Wiem, przepraszam. – Ciągnę ją za materiał sukienki tuż pod pupą. – Chodź do mnie.

Sadzam ją na swoje kolana i mocno przytulam, wdychając zapach jej włosów. Wanilia, na pewno czuję wanilię.

– Jak się macie? – Kładę rękę na jej brzuchu, wyczekując kopniaków. – Czy moja żona jest gotowa na nocną wartę?

Uśmiecham się, gdy maluchy zaczynają wariować.

– Martwię się o ciebie – mówi Marina, gładząc mnie po twarzy. – Prawie nie wychodzisz z gabinetu, nie rozmawiasz ze mną, masz zmienne nastroje. Boję się, że to zespół stresu pourazowego.

Całuję ją we wnętrze dłoni. Nie mówię, że nie mam żadnych problemów umysłowych, a jedynym lekarstwem na wszystko, co mnie spotkało, jest moja piękna żona.

– Przebadano mnie wzdłuż i wszerz, skarbie. Jestem pieprzonym robotem.

– Śmieję się, sunąc palcem po jej cudnej buzi. – Nie chcę, żebyś się o mnie martwiła, bo to mnie martwi.

– Kocham cię – szepcze, a pod wpływem jej pocałunku przymykam oczy.

– Może pójdziemy do kościoła?

Czar pryska.

Nie chcę znowu tam iść. Nie czuję się tam dobrze i nie mam ochoty modlić się do kogoś, kto porzucił mnie dawno temu.

– Później.

Całuję ją w szyję, wytyczając ustami szlak aż do odkrytych piersi.

– Zjesz z nami w ogrodzie? – pyta mnie.

– Oczywiście. Jak twoje skurcze?

– Wciąż nieregularne. Jak tylko zacznę rodzić, dowiesz się – mówi ze śmiechem. – Obiecuję.

– Zamknij oczy.

Gdy spełnia prośbę, wyciągam z szuflady łańcuszek z niebieskim diamentem i zapinam go na jej szyi. To najdroższy i najrzadszy kamień na świecie. Jego wartość to prawie cztery miliony dolarów za karat. Ale dla mnie znaczy o wiele więcej niż pieniądze.

– O... rany – mówi, gdy unosi powieki i dostrzega, co błyszczy na jej dekolcie. – Troy, skąd go masz?

Całuję ją w policzek.

– Jest w kolorze moich oczu.

– Dlatego jest tak piękny. – Przekręca głowę, żeby mnie pocałować. – Dziękuję.

– Dziś w nocy chcę widzieć cię tylko w tym – mrużę jej do ucha.

– Och, wreszcie. Bo już zapomniałam, dlaczego za ciebie wyszłam.

Chichocze, a potem się rumieni. Przygryzam wargę niemal do krwi, gdy tylko pomyślę o tym, co będę z nią robił dzisiejszej nocy. Mam wrażenie, że przez to, co mi zafundowano, nie kochaliśmy się od lat. Moja kochana żona bała się mnie dotykać, a to właśnie tego było mi trzeba, żeby wrócić do normalności.

– Rozmawiałam z rodzicami – mówi, gdy kierujemy się do ogrodu. – Pytali o ciebie.

Wymuszam uśmiech.

– To miło z ich strony. Co u nich?

– Bez zmian, a w zasadzie to... martwią się również o ciebie.

Nie wiem, czy to prawda, ale nie zależy mi na ich trosce. Nigdy nie zaakceptują mnie jako zięcia, a ja nie pcham się tam, gdzie mnie nie chcą. Mają mój szacunek, bo są rodzicami kobiety, którą kocham, i dziadkami moich dzieci. To wszystko.

W ogrodzie czekają już na nas Maria z Cade'em, JoAnn z Travisem i mała Mina, która skradła moje serce. Podchodzę, żeby dać jej całusa w pulchny policzek.

– Cześć, księżniczko – mówię, gładząc jej śliczną buźkę.

– Cześć, wujku – odpowiada za nią Jo. – Dobrze wyglądasz.

Posyłam jej uśmiech.

– Dzięki mojej żonie.

– Wiemy, wiemy.

Odsuwam Marinie krzesło.

– Usiądź, kochanie. Ja zajmę się resztą.

– Jaki śliczny kamień! – woła moja siostra, gdy tylko zauważyła łańcuszek. Obraca go w palcach, co natychmiast przyciąga uwagę JoAnn. – Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Dostałam w prezencie od mojego męża – mówi Marina, uroczo się rumieniając.

Travis i Cade patrzą na mnie w oszołomieniu. Wiedzą już, że Diego Ortiz nie żyje. Ten kamień był najcenniejszą rzeczą, jaką kartel Tecate zdobył w całym swoim przemytniczym dorobku. Był przechowywany z pokolenia na pokolenie ze strony matki tego śmiecia. To niemalże królewskie trofeum.

A dziś należy do mojej żony.

– Uczcijmy to – mówi Travis.

Już za chwilę wszyscy zamaczamy usta w szampanie, oczywiście oprócz mojej żony, która przez całą ciążę pije wyłącznie wodę i sok z arbuza. W pewnym sensie będzie mi brakowało tego, co przeżyliśmy przez ostatnie miesiące. Jej nocnych zachcianek, po które biegłem do kuchni w pocie czoła. Łez, które wylewała w najdziwniejszych momentach, na przykład w oczekiwaniu na frytki. Uśmiecham się na tamto wspomnienie. Tak *bardzo* chciała tych frytek.

– Jak twój sen? – pyta ją JoAnn.

Wszyscy bierzemy prochy, ale ja w gratisie dostałem również morfinę, z której ciężko mi całkowicie zrezygnować. Myślę, że już nigdy nie będziemy tacy jak wcześniej, więc moja zemsta jest jak najbardziej uzasadniona.

– Dobrze, chociaż kiedy ja zasypiam, dzieci urządzają sobie imprezę – mówi Marina.

Uśmiecham się do niej. Oboje uwielbiamy chwile, gdy leżąc w łóżku, patrzymy na te małe ruszające się pod jej skórą wypukłości. Nasi chłopcy już biją się o więcej przestrzeni.

– Mina robiła to samo – mówi Jo. – Masz już bardzo nisko brzuch, niedługo urodzisz.

– Ma jeszcze czas – wtrącam. – Cesarka zaplanowana jest za trzy tygodnie.

Dziewczyny zaczynają chichotać.

– Cięża i plany!

I tak jestem zszokowany, że udało jej się donosić nasze dzieci. Byłem niemal pewien, że kiedy dowie się o moim porwaniu i torturach, z miejsca zacznie rodzić, a chłopcy tego nie przeżyją. Jednak dzięki opanowaniu mojej siostry, która na zmianę z JoAnn podawała jej środki na uspokojenie, moja żona poradziła sobie ze stresem.

W kieszeni zaczyna wibrować mój telefon, który łączy mnie z ludźmi w San Diego.

– Przepraszam – mówię, wstając. – Muszę odebrać.

Marina ciągnie mnie za rękę, więc schylam się, żeby pocałować ją w czoło. Za każdym razem drży, że coś zaburzy nasz spokój.

– Nie możesz oddzwonić później?

– Zaraz wrócę, obiecuję.

Idę do domu, żeby móc w spokoju porozmawiać.

– Troy, co jest? – pyta mnie jeszcze Travis.

– Wszystko gra, to Duży Tommy.

– Pozdrów go od nas.

Postanawiam schować się w swoim gabinecie, żeby Marina nie podsłuchiwała. Dla niej każda moja rozmowa z pracownikami oznacza, że jeszcze z tym nie skończyłem, chociaż obiecałem jej, że to zrobię. Problem polega na tym, że stąd nie ma prostego odwrotu. Nie wiem nawet, czy chcę ryzykować kolejną wojnę z własnym kartelem.

Siadam przy biurku i odbieram telefon, kierując wzrok za okno.

– Siema, Tommy. Co słychać?

– Nie jest dobrze, Troy.

Moje ciało od razu się spina. Czuję palący ból od czubka głowy po końce palców.

– Mów.

– Skonfiskowali magazyn w LA.

– Federalni?

– Tak, ale ktoś nas wsypał. Podejrzewam Simone'a. Do tego chodzą słuchy, że wyznaczono za was trzech trzy miliony dolarów.

Pięknie.

– Milion za każdego?

– Nie, za ciebie dwa. Są tacy, którzy chcą cię dopaść, musisz na siebie uważać. Nie wiem, czy jesteście bezpieczni w Meksyku. Te dwa miliony skuszą kogoś bardziej tam, gdzie jesteś w zasięgu ręki.

Rzadko zgadzam się z kimś w stu procentach.

– Coś wymyślę.

– Robi się gorąco, bracie. Gangi walczą o nasze terytorium. Mówią, że jesteś chodzącym trupem.

Stres paraliżuje mnie do tego stopnia, że gdy chcę wstać z fotela, z powrotem na niego opadam. Martwi mnie to, że zostawiłem swoich braci samych, inni kapują na mnie federalnym, a jeszcze inni zmieniają front, bo uważają, że moja pozycja zaraz osłabnie.

Zdrada kurewsko boli.

– Słuchaj, Tommy. Wycofaj się na jakiś czas, weź forszę z magazynu w Kalifornii i ukryj się wraz z rodziną. Wyjedźcie gdzieś.

– A co z interesami?

– Rodzina jest najważniejsza.

– Miło to słyszeć, bracie. Brakuje nam tu ciebie. Jak żona?

Nie chcę poruszać teraz tematu mojej żony. Staram się skupić tylko na tym, że muszę zmienić plany.

– Niedługo rodzi – mówię – więc kończy mi się czas.

– Musisz ich chronić. Wystarczająco dużo gówna się już przez nas wylało. Kobiety nie mogą ciągle za to płacić.

Słyszę pukanie i zaraz ktoś zagląda do gabinetu. To El Smiley. Gestem zapraszam go do środka.

– Jesteśmy w kontakcie, dzięki za wszystko – mówię jeszcze, zanim się rozłączam.

Kładę telefon na biurko i przeciągam się, żeby rozprostować sztywne kończyny.

– Straciliśmy kupę forsy – mówi El Smiley. – Wiesz już o tym?

– Tak. Co na to twój ojciec?

Któremu wiszę tyle hajsu, że będę musiał najprawdopodobniej się sklonować.

– Mówi, że trudno. Jeszcze nie raz nas okradną. Jak się trzymasz?

– Z każdej strony ktoś się na mnie czai. Wyznaczono za mnie dwa miliony dolarów. Jeśli ludzie w Meksyku dowiedzą się o tym, to sam

rozumiesz.

El Smiley ze świstem wciąga powietrze. Od czasu mojego porwania nie śmieje się już tak często.

A szkoda. Lubiałem go takiego.

– Pogadam z ojcem – mówi. – Musisz na jakiś czas zniknąć z ulic i przeczekać.

Następnie bez pukania wchodzi Marina. Na pewno wszystko słyszała, ale udaje, że jest zaskoczona obecnością El Smiley.

– Troy, co się dzieje? – pyta od razu.

– Pogadamy później.

El Smiley mija ją bez słowa, ale widzę, że moja żona zerka na niego, żeby wyczytać coś z jego twarzy. Pozostało mi już tylko wyjście awaryjne.

– Chodźmy do sypialni – mówię i puszczam ją, żeby szła pierwsza.

Zanim wyjdę, wyciągam jeszcze z szuflady biurka kopertę. Układam w głowie, jak zacząć to, co muszę jej powiedzieć.

– Kochanie, posłuchaj mnie i nie panikuj. – Gdy zamykamy za sobą drzwi sypialni, chwytam Marinę za ramiona i biorę głęboki oddech.

– Za późno. Już panikuję.

Unoszę kopertę, ale słowa nie chcą wyjść z mojego gardła. Zaciskam powieki i biorę się w garść. Muszę ją chronić. Musi wiedzieć, co zrobić, gdy zostanie sama w kraju, w którym wszyscy będą chcieli ją dopaść.

– To plan na wypadek mojej śmierci.

Otwieram oczy dopiero pod wpływem uderzenia w tors, ale dalej nie mam odwagi na nią spojrzeć. Patrzę więc na swoje buty.

– Troy, o czym ty, do diabła, mówisz!

Drze kopertę i z wściekłością rozrzuca kawałki papieru po sypialni. Chce mi pokazać, że kompletnie nie jest zainteresowana jej zawartością.

Rozumiem to, a jednak muszę mieć pewność, że wszystko jej przekazałem.

– Nie wolno ci kontaktować się z nikim prócz swojego ojca – mówię.

Marina staje naprzeciwko i zmusza mnie, żebym spojrzał jej w oczy. Robię to, choć nie jestem w stanie znieść widoku jej zdruzgotanej twarzy.

– Ale dlaczego... – Zaczyna płakać, a gdy chcę ją objąć, wrywa się. – Nie, Troy, nie! Boże, to się nigdy nie skończy!

– Wiem, że to nie jest łatwe, ale musisz znać plan, na wypadek... – Urywam, bo nie mam serca tego powtarzać.

Zaczyna chodzić po pokoju, dysząc i trzymając się jedną ręką za brzuch, a drugą za krzyż.

A potem podchodzi do mnie i ze łzami w oczach chwyta mnie za twarz.

– Masz zespół stresu pourazowego, kochanie. Musisz...

Zaciskam powieki i oddycham przez nos.

– Marina, nie słuchasz mnie. Musisz wiedzieć, co robić, kiedy coś mi się stanie. – Dotykam jej policzka. – Nie mówię, że tak będzie, ale chcę, żebyś była bezpieczna. Ty i nasze dzieci. W tej kopercie jest plan ucieczki.

Patrzy na mnie, jakby była w hipnozie, ale to rozumiała. Musi to sobie poukładać.

– Rodzę.

Marszczę brwi.

– Co?

– Odeszły mi wody.

Chwytam ją w pasie, żeby zaprowadzić ją do łóżka, ale ona znów się wyrywa.

– Troy, ja rodzę!

– Jak to rodzisz? – upewniam się. – Teraz?

– Kurwa mać! Rodzę!

Spoglądam na podłogę, gdzie zauważam kałużę.

Ja pierdolę.

Ona rodzi.

Co miałem robić?

– Spokojnie... – mówię, robiąc piruet dookoła własnej osi. – Gdzie jest ta jebana torba! – Biegam jak poparzony, nagle przypominając sobie, że leży obok naszego łóżka, po mojej stronie. Chwytam ją i biegnę do żony. – Mam, mam, skarbie!

Całuję ją w usta.

– Przestań panikować.

– Nie panikuję. – Biorę ją na ręce i pędzę do drzwi. – Moja żona rodzi! Jedziemy do szpitala!

– Nie możesz dźwigać, Troy, postaw mnie.

Nie słucham. Mknę korytarzem, z Mariną na rękach i torbą na ramieniu, mijając ludzi, którzy pracują w naszym domu. Po drodze rzuca ochronie torbę.

– Najwyżej położę się z tobą na łóżku.

Udaje mi się ją rozśmieszyć.

I to był ostatni raz, gdy słyszałem jej śmiech.

W szpitalu jest już tylko gorzej. Kurwa, nie wiem, co robić, jak się zachować i jak mogę uśmierzyć jej ból. Krzyczy, płacze i wygina się tak mocno, że mam wrażenie, że zaraz się połamię. Jestem zdumiony, że kobieta w ciąży jest tak elastyczna.

Lekarze szykują się do cesarki, biegają w popłochu, stresując mnie jeszcze bardziej.

– Boję się – mówi Marina.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie. Jesteś dzielna.

Ktoś mocuje na wysokości brzucha Mariny pionową zasłonę, żebyśmy nie widzieli tego, co będzie się działo podczas operacji. Żadne z nas nie ma nic przeciwko temu.

– A co, jeśli nie będę dobrą mamą?

Uśmiecham się, gładząc ją po buzi.

– Nie mogłem wybrać lepszej mamy dla swoich dzieci, wierz mi.

Nie mogę uwierzyć w to, że siedzę na sali porodowej z kobietą, którą kocham, a zaraz będę świadkiem narodzin dwójki naszych dzieci. Wiem, że na to nie zasługuję, ale może w życiu nie na wszystko trzeba zasłużyć. Może dostajemy to, z czym musimy się zmierzyć.

– Nie czuję... nie czuję nic – mówi po chwili Marina. – To takie dziwne.

– Wszystko jest pod kontrolą. – Uspokajam ją, składając na jej suchych ustach całusa.

Jednak nie jest mi łatwo. Narzędzia chirurgiczne wydają dziwne metaliczne odgłosy. W moje nozdrza wdziera się woń spalenizny, wnioskuję, że to jej skóra, a potem słyszę dźwięk odsysania. Wiem, że lekarze robią wszystko, żeby operacja przebiegła bez komplikacji, ale i tak martwi mnie, że poród zaczął się przed czasem. Nie wiem, czy nasze dzieci są już gotowe, żeby przyjść na świat.

– Coś mnie tak dziwnie szarpie, strasznie ciągnie... – jęczy Marina. – Niedobrze mi.

Spoglądam na anestezjologa, który stoi tuż za jej głową i przez cały czas kontroluje sytuację.

– Zaraz będzie po wszystkim – uspokaja. – Czy czujesz ból?

– Nie.

Słyszę, że lekarze za zasłoną poruszają się coraz szybciej, coś klika, coś skrzypi, coś trzeszczy. Zerkam na Marinę, w jej wielkie wystraszone oczy.

– Musimy jeszcze tylko zszyć – oznajmia lekarz. – Ale w tym czasie możecie mieć już dzieci przy sobie. Nacieszcie się tą chwilą.

Teraz i ja mam wielkie oczy. Wstaję, a adrenalina dosłownie rozpieprza mi żyły.

– Gratulacje.

Lekarz podaje mi dziecko. Moje dziecko. Nasze dziecko. Nie mogę oderwać od niego wzroku. Jest chyba najmniejszym dzieckiem, jakie widziałem. Powoli pokazuję je Marinie, która od razu wybucha płaczem.

– O Boże...

– Cześć, mamusiu – mówię zajarany i zbliżam do niej synka, żeby mogła dać mu całusa.

– Kochany, mój kochany...

– I jeszcze jeden – mówi lekarz, podchodząc do nas.

Z pomocą pielęgniarki delikatnie układam pierwszego noworodka przy głowie Mariny i biorę następnego.

Ten od razu płacze. Jest głośniejszy niż starszy brat.

– Pewnie się irytuje, że był drugi. – Lekarz się śmieje, a my mu wtórujemy.

– Troy, spójrz na nich... – Marina chlipie, próbując całować ich naprzemiennie. – Są... idealni.

– Po mamie. – Całuję w czoło najpierw ją, a potem naszych chłopców.

– Udało nam się.

Rozśmiesza mnie to stwierdzenie, ale przede wszystkim jestem poruszony i wpatrzony w te dwa małe cuda. Skłamałbym, mówiąc, że czułem się tak samo, głaszcząc brzuch ich mamy czy podglądając ich na USG. Ta chwila jest niesamowita. Czuję, że nie mógłbym już bez nich żyć, chciałbym nigdy nie wypuszczać ich z ramion.

– Jak ich nazwiemy? – pyta mnie Marina. Przez całą ciążę przewinęło się ze sto imion, ale wciąż nie podjęliśmy decyzji. – Podoba mi się Timothy, ale zanim będzie za duży na moje całusy, będę mówić do niego Timmy. Zgadzasz się?

Kiwam głową.

– Podoba mi się. – Odkrywam starszego o kilka minut synka. – A tego nazwiemy Toby.

– Toby. – Marina patrzy na niego, a potem na mnie. – Masz na myśli...
Oy.

Wybuchamy stłumionym śmiechem, przypominając sobie dzień, w którym pilnowała synka koleżanki. Już wtedy, w moim ogrodzie, wiedziałem, że jeśli będziemy mieli syna, nazwę go na jego cześć.

Nachylam się, żeby znowu ją pocałować. Mam ochotę całować ją na okrągło naprzemiennie z naszymi dziećmi. Ich skóra jest miękka niczym jedwab, mają bujne czarne włoski i ciemne oczy. Wyglądają jak małe pluszowe misie.

– Dziękuję ci... – mówię wzruszony. – Wiem, że nie było łatwo.

Marina patrzy na mnie przez łzy. Wzrokiem pełnym miłości, szczęścia i autentycznej wdzięczności. A przecież nie ma tu żadnej mojej zasługi.

– Nie, ale było warto.

Słyszając to, po tym wszystkim, przez co musiała przejść z mojej winy, mam ochotę paść przed nią na kolana i płakać jak dziecko.

ROZDZIAŁ 20

MARINA

Jak co dzień siadam z synkami w ich sypialni, na łóżku, które wstawiliśmy tu, żebym mogła ich karmić czy po prostu z nimi poleżeć, i dzwonię do rodziców. Po chwili na ekranie laptopa pojawia się uśmiechnięta twarz mojej mamy.

– Cześć, babciu – mówię, żeby jeszcze bardziej ją wzruszyć. – O, cześć, dziadku!

Tato nachyla się nad mamą i macha do kamery. Wiem, że wciąż ma do mnie żal, ale kiedy widzi mnie z chłopcami, wszystko inne przestaje się liczyć.

– To najpiękniejsze dzieci, jakie przyszły na tę planetę. Prawda, Mike?

Mama powtarza to każdego dnia, ale przymykam na to oko, w końcu jest babcią. Babcie mogą mówić i robić wszystko.

– Oczywiście, że tak – odpowiada mój dumny tato.

– Pokaż mi ich!

Obniżam klawpkę laptopa, żeby mogli widzieć chłopców aż po ich małe stopki, i kładę się jeszcze bliżej nich, nie przestając ich całować. To uzależniające. Całuję ich dosłownie non stop. Biedni, już po kilku minutach mają mnie dosyć i zaczynają grymasić.

– Już dobrze, już dobrze... – Chichoczę. A potem całuję jeszcze raz i spoglądam na rodziców. – Szkoda, że was tu nie ma.

Mama automatycznie smutnieje. Przykro mi, że wciąż nie widziała wnuków na żywo, nie może ich rozpieszczać i opowiadać im bajek, jak mnie, kiedy byłam mała. Wiem, że moje dzieci potrzebują dziadków, bo to zupełnie inny wymiar miłości.

– Może wreszcie się spotkamy – mówi mama. – Może przyjedziesz z dziećmi nas odwiedzić?

Moja twarz pochmurnieje. Rozmawiałam już o tym z Troyem. Odkąd chłopcy przyszli na świat, nie wyszedł z domu, pracuje zdalnie i ma jeszcze większą paranoję na punkcie bezpieczeństwa.

– Troy nie puści mnie samej z chłopcami – mówię wreszcie. Nie chcę robić rodzicom nadziei. Troy nie może z nami pojechać i nie ma mowy, żebym zrobiła to sama.

Mama przez chwilę milczy. A potem pyta ostrożnie:

– A jak tam między wami?

Czuję uderzenie szczęścia. Mogłabym się chwalić swoim mężem bez końca, ale wiem, że pyta tylko ze względu na mnie. I muszę dozować informacje, żeby jej nie przytłoczyć.

– Pęka z dumy i dba, żeby niczego nam nie brakowało. Wstaje w nocy i podaje mi chłopców do karmienia, przewija ich i robi mi na śniadanie kanapki w kształcie serduszek.

Chichoczę, a mama uśmiecha się szeroko. Wiem, że to akurat ją cieszy. Ja i dzieci mamy opiekę, o jakiej niejedna kobieta może tylko pomarzyć. Nawet Travis nie zajmuje się JoAnn i ich córeczką z taką starannością i oddaniem jak mój mąż...

Który właśnie wchodzi do sypialni i nachyla się do laptopa, żeby się przywitać. Podoba mi się w naszej czwórce to, że potrafimy się zachować dla dobra dzieci.

Modłę się, żebyśmy kiedyś darzyli się również wzajemną miłością i traktowali jak rodzinę, której nikt nie będzie w stanie zniszczyć.

– Dzień dobry – mówi Troy.

– Dzień dobry, Troy – odpowiada mama; tata zdobywa się tylko na skinienie głową i zostawia nas samych. – Słyszałam, że dbasz o moje dzieci.

Troy zerka na mnie z uśmiechem.

– Staram się, jak mogę. Jak twoje samopoczucie, Margaret?

Mama z nerwów zaczyna wykręcać palce i poprawia się w fotelu. Wiem już, o co chce go zapytać, więc również zaczynam się denerwować.

– Chciałabym ich zobaczyć, ale nie przez kamerkę. Chłopcy rosną jak na drożdżach, zaraz zaczną biegać, a ja wciąż nie trzymałam ich w ramionach.

– Nasz dom jest zawsze dla was otwarty.

Mam ochotę zamknąć oczy, ale się powstrzymuję.

– Pomyślałam raczej, że może Marina mogłaby przyjechać z chłopcami do nas? Wiem, że są bardzo mali, ale minęły już prawie dwa miesiące i... sam rozumiesz.

Troy nabiera powietrza w płuca, ale nie odpowiada. Potem patrzy na chłopców, którzy wyszarpują sobie pieluszkę i naprzemiennie wkładają ją do buzi. Gdy tylko chce im ją zabrać, Timmy zaczyna płakać, więc Troy bierze go na rękę.

– Musimy najpierw wyrobić im paszporty – mówi, ale całą uwagę skupia na płaczącym dziecku.

– Rozumiem. – Mama macha do mnie, bo mały zawodzi już tak głośno, że prawie nic poza tym nie słyhać. – Zajmijcie się nimi, dzwoniemy się później.

– Kochamy cię, mamó. – Zawsze, gdy to mówię, wyrażam się również w imieniu swojego męża.

– Ja was też, dzieci.

Zamykam laptopa i wstaję z łóżka, żeby uspokoić synka. Ta pieluszka była najwidoczniej całym jego światem, chociaż mamy w zanadrzu ze sto takich samych sztuk. Musi być ta. Koniec kropka. Biorę ją i przekładam sobie przez ramię, a potem wyciągam rękę do Troya.

– Daj mi mojego synka.

Gdy mały się uspokaja, Troy kręci głową i bierze na rękę Toby'ego.

– Zrobiłaś z niego bekse – mówi. – Toby prawie nigdy nie płacze.

Oj tam, oj tam.

– Bo jest szefem, a szef nie może okazywać uczuć. Brzmi znajomo?

Troy zaczyna się śmiać, potakując.

Timmy jest wrażliwszy, więc skupiam na nim więcej uwagi. Natomiast Toby zawsze jest szczęśliwy i spokojny. No, chyba że jest głodny. Wtedy stawia na nogi cały dom.

– Ubierz chłopców – mówi Troy. – Zjemy lunch w ogrodzie.

– Sami? – pytam, a gdy potakuje, na moją twarz wypływa szeroki uśmiech. – Nareszcie!

Kocham spędzać czas tylko z moim mężem i dziećmi, bo lubię kolekcjonować nasze wspomnienia. Co tydzień dokupuję kolejne karty pamięci na zdjęcia i wideo w najwyższej rozdzielczości. Chcę uwiecznić dosłownie wszystko. I nie chcę się zastanawiać, dlaczego powoli staje się to moją obsesją.

Nim wyjdziemy z domu, Troy sprawdza kamery. Zajmuje to bardzo dużo czasu i zaczynam się niecierpliwić. Na nic moje słowa, że ochrania nas sztab ludzi, do których swoją drogą zdążyłam już przywyknąć. Troy musi mieć absolutną pewność, że teren jest krystalicznie czysty.

W końcu wychodzimy do ogrodu, który jest moją ulubioną częścią domu. Starannie wypielęgnowany przez czterech ogrodników, którzy naprawdę starają się, jak mogą. Ostatnio zauważyłam, że zaczęłam traktować naszą pomoc domową jak członków rodziny. Tak jest łatwiej. I przyjemniej.

Siadamy przy stole zastawionym świeżymi owocami, ciepłymi bułeczkami, deską serów oraz powidłami domowej roboty.

– Piękna pogoda – mówię, byleby zacząć rozmowę.

– Tak.

– Dobrze, czy możemy wreszcie porozmawiać o tym, co cię martwi?

Troy posyła mi uśmiech.

– Nic mnie nie martwi, skarbie.

– Trochę cię znam.

– Wiesz, że chciałbym, żeby chłopcy mieli kontakt z dziadkami, ale to zbyt ryzykowne.

Błagam, mam fobię na punkcie słowa „ryzykowne”.

– A gdybym pojechała z Marią? I może z kimś zaufanym? Twoi ochroniarze mogą jechać za mną, jak długo będą chcieli, i przysięgam, że nie będę marudzić.

Twarz Troya chmurnieje. Coś go martwi, więc ja również zaczynam czuć się źle. Nie chcę, żeby cierpiał w samotności. Ma mnie i zawsze tak będzie.

– Problem w tym, że nikomu już nie ufam – mówi w końcu bez cienia emocji. – Gdyby coś się wam stało, dzieciom... – Kręci głową. – Od razu strzeliłbym sobie w łeb.

– A Travis? Jemu też nie ufasz?

Jestem zszokowana.

Coś musiało się stać.

– Ufam, ale Travis jedzie na tym samym wózku, co ja. Nie może mi pomóc.

– Wiem, i tak bym go o to nie prosiła. Tak czy inaczej, musimy wyrobić dzieciom paszporty.

– Wiem, ale nie chcę zabierać ich do stolicy.

– Co proponujesz?

– Zapłacę urzędnikowi, żeby je wyrobił bez fatygowania nas na miejsce.

W taki sam sposób nasze dzieci otrzymały certyfikaty urodzenia. W Meksyku kupisz wszystko, jeśli tylko cię stać. W naszym domu w każdym pokoju upchane są palety pieniędzy, diamentów i złota. Nie wiem, po co nam taki majątek, a gdy kiedyś spytałam o to męża, powiedział, że zarabia tak dużo w tak krótkim czasie, że nie nadąza tego inwestować.

Kupiliśmy piętnaście samochodów, które rozdaliśmy najbliższym. Mamy trzy domy, pięć rancz i posiadłość, która mogłaby pomieścić kilkanaście rodzin. Dosłownie śpimy na pieniądzach, a mimo to nie jesteśmy w pełni szczęśliwi. Cóż, pewnie niejedna osoba wywróciłaby oczami, ale to szczerą prawdą. Pieniądze nie gwarantują szczęścia.

Dla nas prawdziwe szczęście oznacza wolność. Najbardziej pragnę być wolną kobietą, która idzie na zakupy do Walmartu i przeklina los, że nie może kupić więcej, niżby chciała.

Chociaż przez jeden dzień.

Po lunchu szykujemy chłopów do spania. Gdy są już wykąpani, obaj niemal w tej samej chwili zasypiają w swoim pokoju.

– Jak zwykle pełna synchronizacja – mówi Troy, gdy oboje całujemy ich na dobranoc.

– Głodni też są zawsze w tym samym czasie.

Tłumię śmiech i idę za mężem do naszej sypialni.

– Może to prawda, co mówią o bliźniakach? – Troy otwiera mi drzwi. – Że są niemal jednością?

Wzruszam ramionami.

– Może.

Szykuję sobie rzeczy i kosmetyki do kąpania, żeby schować się w łazience na minimum godzinę.

I popłakać.

– Jak twój brzuch?

Spoglądam na męża, odruchowo kładąc rękę na podbrzuszu. Rana po cesarce została zszyta bardzo dyskretnie, ale wciąż jeszcze nie dotarło do mojej głowy, że ją mam.

– Lepiej.

– To czemu masz taką minę?

Odwracam się, żeby ukryć smutek. Nie wiem, dlaczego przeżywam coś, co jest przecież naturalne. Może coś ze mną nie tak, a może po porodzie straciłam całą pewność siebie, bo Troy nie patrzy na mnie tak jak wcześniej. Czuję się samotna, choć mam dookoła siebie tyle osób, które kocham i które kochają mnie. I to zaczyna mnie smucić.

Troy odwraca mnie do siebie, gdy szukam majtek w szufladzie.

– Hej, co się dzieje?

Gładzi mnie po twarzy, a ja z nerwów przygryzam wnętrze policzka. Może jeśli powiem mu prawdę, będzie mi lżej?

– Moje ciało się zmieniło. Nie wygląda już tak samo.

– Owszem, teraz jesteś kobietą. Piękną kobietą.

Wygląda, jakby mówił to szczerze i z dumą, ale nie przekonuje mnie. Po prostu nie. To za mało, żebym mogła mu uwierzyć.

– Tak, ale moja skóra wciąż jest zwiotczała, mimo że o nią dbam.

Oplatam się ręką w pasie, jakby to mogło coś zmienić. W głębi serca wiem, że jestem zazdrosna o te wszystkie kobiety, które wyglądają, jakby były niczym nieskażone, i zawsze są takie wypoczęte. Wkurza mnie to, że przyszło mi żyć w takim miejscu i otoczeniu. W naszym kraju czułabym się normalnie. Nie musiałabym w ogóle myśleć o tym, że moja skóra jest luźna ani kiedy blizna całkowicie się zagoi.

To takie płytkie. Wiem o tym. I to smuci mnie jeszcze bardziej.

Troy uśmiecha się czule, muskając kciukiem moją buzię.

– Naprawdę to cię martwi?

Robię cierpką minę.

– Troszkę.

Przytula mnie do siebie, gładząc po włosach. Wdycham zapach jego skóry, ciesząc się, że nie bagatelizuje moich uczuć. W ogóle bardzo się ostatnio zmienił. Ale ja nie mogę się odnaleźć w nowej rzeczywistości.

– Kocham cię taką, jaka jesteś i jaka będziesz – mówi. – Kocham cię, bo jesteś Mariną, a nie dlatego, że masz jędrny płaski brzuch.

Chrząkam mu w tors.

– Miałam.

Śmieje się i odsuwa mnie od siebie, chwytając koniuszkiem palca za moją koszulkę.

– Twój brzuch wygląda normalnie, skarbie. Widzę go codziennie.

Wiem, że nawet gdybym była po wypadku, który oszpeciłby mi twarz, Troy mówiłby tak samo. A ja nie chcę, żeby mnie okłamywał. Ale jestem pewna, że gdyby to jego ciało zdało taki egzamin, kochałabym go jeszcze bardziej.

Boże. To takie głupie, że w ogóle o tym myślę.

– A może zrobię sobie operację? Tu wszystkie kobiety handlarzy robią je co chwilę.

Wiem, że w ten sposób tylko mu sugeruję swoją zazdrość, ale mam tylko jego i nie chcę go stracić. Tata zawsze powtarzał mi, że nie wolno oddawać wszystkiego, co mam, drugiej osobie, ani czynić z tej osoby całego swojego świata. Bo gdy ona odejdzie, nie zostanie nic.

Cóż, na to już jakby za późno.

Troy przeciera twarz, a potem chwyta mnie za ramiona. Wiem, że zaraz zacznie mi wmawiać, że jestem piękna jak Kleopatra. Co innego miałby mi powiedzieć?

– Nie potrzebujesz operacji, skarbie. Urodziłaś dwójkę dzieci, twoje ciało musiało się poświęcić. Kiedy się zoperujesz, to tak, jakbyś chciała się pozbyć śladu po naszych dzieciach. Po tym, że nosiłaś je pod sercem.

Dobra. Miękną mi nogi.

– Po prostu chcę, żebyś patrzył na mnie jak kiedyś.

Tak. Właśnie tu jest problem. Nasza relacja od porodu jest inna. Możliwe, że bardziej dojrzała, a tylko ja do niej nie dorosłam. Może jednak wcale nie jestem zazdrosna.

– A nie patrzę?

– No... wiesz. – Wykręcam palce. – Sama nie wiem.

– Kochanie, patrzę na ciebie inaczej, bo moja miłość do ciebie wzniosła się na inny poziom. Nie jesteś już tylko moją kobietą, z którą kocham uprawiać seks. Jesteś matką moich dzieci i moim jedynym przyjacielem.

O. Mój. Boże.

Moim jedynym przyjacielem.

Jak często kobieta słyszy coś takiego z ust swojego męża?

– Przekonałeś mnie. – Staję na palcach, żeby go pocałować. – Niezły z ciebie mówca.

– Poszło prosto z serca. A teraz pora na coś, co wyjdzie prosto z moich spodni. Zapraszam panią do łóżka.

Uśmiecha się figlarnie, a ja szybko zapominam o swoich kompleksach, gdy podczas seksu traktuje mnie jak najcenniejsze znalezisko na tej planecie.

ROZDZIAŁ 21

TROY

Odkładam na bok księgi rachunkowe i dopijam czwartą zimną kawę. Jeszcze nigdy nie miałem długu w postaci czterdziestu milionów dolarów. I nie chodzi o to, że nie mam z czego go spłacić, ale o to, że moja praca staje się coraz cięższa. Kurierzy zaczynają się wysypywać albo mnie okradać – na jedno wychodzi. Problem polega na tym, że jeśli nie mogę komuś zaufać, nie mogę pracować. To tak, jakbym oddawał towar z dobroci serca i z własnej kieszeni pokrywał część należną Camino. A nie są to małe kwoty.

Wpadłem na pomysł, który pomoże mi stanąć na nogi. Nie ma mowy, żebym niezauważenie pojawił się w San Diego, więc San Diego musi przyjechać do mnie.

– To miejsce jest dobre na nowy magazyn – mówi Travis, pokazując mi punkt na mapie Google. – Mam już z dziesięć nowych lokalizacji. Teraz trzeba ogarnąć miejsca na hurtownię i poszukać zaufanych hurtowników.

Sam już nie wiem, czy zazdrościć mu pozytywnego podejścia, czy raczej współczuć. Sytuacja jest tak jasna, że nie powinien mieć co do niej wątpliwości, a jednak... Travis do samego końca będzie udawał, że trzymamy rękę na pulsie. Nawet jeśli miałby tę rękę stracić.

– O ile tacy jeszcze istnieją – dodaję, ale on poza szybkim zerknięciem na mnie udaje, że nie łapie aluzji.

– Przyleci osiem osób. W parach, żeby nie wzbudzać podejrzeń na lotnisku. Wykupiłem im wycieczki.

– Okej.

Wstaję z fotela i układam wszystko na swoje miejsca. Mój gabinet jest jedną wielką przemytniczą biblioteką. Sam nie wiem, czy powinienem być

z siebie dumny, czy raczej spojrzeć krytycznie na to, ile brudnej forsy przewinęło się przez moje ręce.

– Co jest? – pyta mnie Travis. – Nie wierzysz, że to się może udać?

Nie.

– To, w co wierzę, nie ma znaczenia – odpowiadam. – Musimy spłacić Camino, czy tego chcemy, czy nie.

Okradziono nas, ale nie tylko. Nasze porwanie również nie było darmowe. Kosztowało nas tyle, że jeszcze jedno i możemy sami wysłać się na tamten świat.

– Dlatego trzeba działać – mówi Travis. – Ludzie potrzebują forsy, a my im ją damy, w zamian za lojalność. Nigdzie nie zarobią tyle, co u nas.

Kiedyś też tak myślałem – i jest to po części prawdą. Tyle że wszystko, co nowe, ryzykowne i przynoszące szybką oraz dużą mamonę, jest ekscytujące dopóty, dopóki nie grozi ci widmo utraty wolności. Zrozumiałem, że nie ma nic piękniejszego od bycia wolnym człowiekiem. A patrząc wstecz, wiem, że sam nigdy nim nie byłem.

– Nie każdy chce ryzykować wieloletnią odsiadkę. Połowa ludzi się wysypała – tłumaczę, w razie gdyby o tym zapomniał. – Jedni ze strachu, a drudzy, żeby nas zniszczyć.

Nie wiem, czy próbuję wtłoczyć mu swój tryb rozumowania, który diametralnie się zmienił, odkąd zostałem ojcem. Czy może chcę, żeby zrozumiał, w jak wielkim gównie się znaleźliśmy.

– Co proponujesz? Masz inny plan?

Mam, ale nie jest na tyle przekonujący, żebym teraz o nim mówił.

– Pogadamy później. Muszę to wszystko przemyśleć.

Zbynam go, jasne, że tak.

– Codziennie mówisz to samo. Co jest, Troy? O czym nie chcesz mi powiedzieć?

Pomyślmy.

O tym, że wyznaczono za nas trzy miliony dolarów na przykład. O tym, że Meksyk staje się bardziej niebezpieczny niż USA. I o tym, że każdy może nas wsypać, a nawet zabić. Ale kiedy mu to powiem, zacznie panikować i może zrobić coś głupiego, coś poza planem. Dlatego potrzebuję czasu sam ze sobą, żeby Travis nie próbował przekonywać mnie do czegoś ze strachu.

– Spotkamy się później – mówię. – Obiecałem Marinie, że zjemy razem obiad.

Widzę, że chciałby coś dodać, ale się powstrzymuje.

– Dobra, wpadnę wieczorem.

Kiedy Travis wychodzi, zamykam za nim drzwi na klucz. Rzadko to robię, ale dziś nie mam ochoty zdawać raportu z tego spotkania swojej żonie. Marina nie wie o naszym długu i nie sądzę, żeby kwota, jaką usłyszy, mieściła się w jej głowie. Obawiam się, że będzie miała takie same myśli jak ja. Grozi nam kolejne niebezpieczeństwo. Jeżeli nie znajdziemy zaufanych hurtowników, nie będziemy zarabiać i nie spłacimy Camino. Obojętnie, jak silna łączy mnie z nim relacja, pieniądze zawsze stanowią gwóźdź do trumny.

Moja komórka dzwoni, a na wyświetlaczu pojawia się jakiś niezapisany numer. Odbieram i siadam z powrotem na fotel.

– Twój szef wydał rozkaz zabicia całej mojej rodziny! – słyszę po drugiej stronie. – Przekaż mu, że nie ma takich gór, w których się ukryje!

Unoszę brwi i biorę głęboki oddech. To człowiek z kartelu, z którym Camino do niedawna prowadził interesy, uprzednio kończąc wojnę o teren.

– Dlaczego dzwonisz z tym do mnie? – pytam, ukrywając nieopisane wkurwienie. – Nie mieszam się w waszą wojnę. Nie mam z tym nic wspólnego.

Handluję narkotykami, a nie niańczy Camino. Czy ich wszystkich pojebało?

– Pracujesz dla niego, jesteś jego prawą ręką! Siedzisz w tym gównie razem z nim!

Taa, dzięki za przypomnienie.

– Nie mieszam się w to. Nic nie będę przekazywał Camino, sam musisz to załatwić. – Moja samokontrola powoduje, że on jeszcze bardziej się nakręca, ale pieprzyć to.

– Zobaczmy, Troy! Zobaczmy!

Rozłącza się, więc wyciszam na dziś ten numer i chowam telefon do szuflady. A potem tracę samokontrolę i zrzucam na podłogę leżące na biurku rzeczy. Do kurwy nędzy! Nie wierzę, że wszystko pierdoli się pasmowo. Jakby los chciał udowodnić mi, że i tak utonę.

Wychodzę z gabinetu i odwołuję rodzinny obiad. Marina już nawet o nic nie pyta. Ja nie tłumaczę. Jesteśmy na takim etapie, że rozumiemy się bez

słów. Całuję na pożegnanie najpierw ją, a potem chłopców.

I wychodzę, żeby spotkać się z Camino.

Jako jedyny nie muszę zapowiadać jego ludziom, że wpadam z wizytą, więc wykorzystuję ten przywilej i już po dwóch kwadransach jestem w jego domu. Wita mnie z fajką w ustach, wyraźnie zadowolony. Gestem wskazuje na fotel po przeciwnej stronie biurka.

Siadam i od razu przechodzę do rzeczy.

– Dzwonił Santiago Ángel. Mówił, że wydał pan rozkaz zabicia całej jego rodziny.

Camino uśmiecha się, pokazując poźółkłe zęby, a potem zaczyna się śmiać.

– I co? Dzwonił do ciebie, żeby się pożalić?

Wciągam powietrze nosem i wypuszczam ustami.

– Nie. Kazał panu przekazać, że się zemści.

– A kto by się nie chciał zemścić. I po to tu przyjechałeś, zostawiając swoją rodzinę? Żeby mi to powiedzieć?

Facet ma mnie chyba za idiotę.

– Nie rozmawia pan przez telefon, *Señor*. Jak inaczej miałem to zrobić?

– Ale w czym problem, Troy?

We wszystkim, kurwa.

Nachylam się nad biurkiem i łączę dłonie. To wszystko drenuje ze mnie dobrą energię, cierpliwość i takt, ale nie mam wyjścia. Chciałem się bawić w handlarza? Oto cena, jaką muszę za to zapłacić. Dlaczego, kiedy moja ciotka mówiła mi, że w życiu nawet wpierdol nie dostaje się za darmo, uważałem ją za świrniętą?

Ana Banana, znowu miałaś rację.

– Nie chcę, żeby mieszano mnie w pańskie wojny z kartelami – tłumaczę, czując się coraz mniejszy. – Nie chcę ryzykować bezpieczeństwa swojej rodziny.

Camino unosi obie dłonie, jakby chciał mi pokazać, że są czyste. Tyle że nie są. Nawet jeśli nie wmanewrował mnie w tę wojnę, to również nie zrobił nic, żeby mnie od niej odciąć.

– Ale nikt cię przecież nie miesza. Nie masz z tym nic wspólnego.

Potakuję.

– To dlaczego otrzymałem ten telefon?

Camino odsuwa się, żeby wypuścić pod sufit kilka kóleczek z dymu. O czymś myśli, a ja jestem bardzo ciekaw, jak zamierza mnie z tego wyciągnąć. Mam nadzieję, że ta usługa będzie darmowa, bo o nią nie prosiłem.

– Troy, jesteście dla nas najlepszym i największym kanałem dystrybucji narkotyków do Stanów Zjednoczonych – mówi wreszcie z powagą, jakiej oczekiwałem. – Wszyscy chcą was dopaść. – Uśmiecha się. – To był tylko pretekst.

Czyli krótko mówiąc, gównu go to obchodzi. Nie przejmuje się, że po raz kolejny będę musiał żyć w bunkrze z moją rodziną, bo jego zachłanność i bezwzględność prowadzą na nas coraz większe kłopoty. Nie mam już ochoty tłumaczyć mu, że jestem przemytnikiem, a nie zabójcą. Nie gram ludzkim życiem, żeby coś zdobyć. Mam na to inne sposoby.

– *Señor*, doceniam wszystko, co pan dla mnie zrobił, i naprawdę darzę pana ogromnym szacunkiem, ale nie uspokaja mnie to.

– Zajmę się tym. A teraz wracaj do żony. – Wstaje, dając mi sygnał, że to koniec naszej rozmowy. – Kobiety nie lubią czekać.

Ja również wstaję, tym razem bez żadnego „dziękuję” ani „do widzenia”. Może i ma nade mną przewagę, ale musi pamiętać, że ja też doszedłem do wszystkiego sam. Bez przemocy, porwań i zabójstw. Zostałem kokainowym królem San Diego, bo byłem sprytny, a nie chytry.

Wchodząc z powrotem do swojego domu, mam ochotę od razu porozmawiać z Mariną, ale wiem, że nie mogę jej tym obarczać. Poza tym co miałbym jej powiedzieć? Że Ignacio Camino okazał się pieprzonym egoistą, a ja dałem się zwieść jego czułym deklaracjom, że jestem dla niego jak syn? Jest mi wstyd, że tak łatwo dałem się omamić. Przecież wiedziałem, do czego jest zdolny.

Siadam przy niej na łóżku i całuję ją w odkryte ramię, gdy przewija rozbrykanego Toby’ego.

– Przepraszam – mówię na wstępie. – Doba jest dla mnie za krótka i zaczyna brakować mi ludzi do pracy.

To tyle, ile chcę jej powiedzieć. Oczywiście jest ze mną wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że po raz kolejny ktoś mnie zdradził.

– Nie gniewam się. Zresztą powoli staje się to dla mnie normą, Troy. – Zapina małemu pieluszkę i body, a potem patrzy na mnie. – Co nie znaczy, że się nie martwię.

– Wiem, ale robię wszystko, żeby poprawić naszą sytuację.

Tyle że chujowo mi wychodzi.

– Zjemy razem chociaż kolację? – pyta Marina, a ja potakuję, całując ją w usta. – Gospośia mówiła, że niczego nie tknąłeś.

– To prawda, ale jak tylko cię zobaczyłem, nabrałem apetytu. – Popycham ją na łóżko, uważając na chłopców. Timmy od razu zaczyna płakać, a gdy przez kilka sekund nie zwracamy na niego uwagi, wydziera się na cały dom. Podnoszę go szybko. – No już, już. Chryste, nie można pocałować własnej żony? – Unoszę go wysoko. – To moja żona, jasne?

Synek posyła mi uśmiech, który od razu ogrzewa moje serce.

– Zjadłbym cię. – Delikatnie podgryzam jego pulchne policzki.

– Są tacy słodcy. – Marina przystawia Toby'ego do piersi. – Mogłabym patrzeć na nich godzinami.

– Ale zaczynają już pokazywać charakterki.

Siadam obok niej z Timmym, żeby pogapić się na to, jak karmi. Toby jest większym fanem cycków niż jego brat – pewnie odziedziczył więcej moich genów.

– Ciągle jest głodny. Może nie mam wystarczająco pokarmu? – martwi się Marina.

– Skarbie, wykarmiłabyś jeszcze tuzin dzieci. On po prostu uznał twoje jędrne, pełne cycuszki za smoczek.

Z wtulonym we mnie synkiem idę otworzyć drzwi, bo ktoś puka.

– Przyszedł pan Travis – oznajmia gospośia. – Czeka na pana w gabinecie.

Kurwa, Travis. Kompletnie o nim zapomniałem.

– Idź, poradzę sobie – mówi Marina, ale każdy facet wie, że takie stwierdzenie ma drugie dno.

– Przekaż mu, że przyjdę, jak moja żona nakarmi dziecko – mówię do gospośi i zamykam drzwi.

Wracam do żony. Widzę, że Toby przysypia, więc zabieram go i powoli odkładam do łóżeczka.

– Zajmie mi to chwilkę, obiecuję. – Podaję Marinnie Timmy'ego. – Zdam Travisowi raport i jestem cały twój. – Całuję ją wygłodniałe po szyi. – Dopilnuj, żeby spali, żebyśmy mogli się zabawić.

Rumieni się, co natychmiast mnie podnieca, więc czym prędzej wychodzę, żeby mieć tę rozmowę za sobą.

Idąc do gabinetu, jestem prawie pewien, że muszę zacząć wdrażać swój plan. Nie wiem tylko, czy Travis to udźwignie.

– Miałeś być wieczorem – rzucam, zamykając za sobą drzwi.

– Jest wieczór.

Zerkam na zegarek i siadam w fotelu.

– Jest osiemnasta.

– Masz przestawiony zegar, bo zostałeś ojcem. Ale to minie. – Travis się śmieje.

No dobrze. Pora sprowadzić go na ziemię, bo mam już dosyć tego, że ze wszystkim muszę sobie radzić sam.

– Powiem wprost: toniemy i nie mamy wiele czasu na myślenie.

Odpalam papierosa i czekam na jego reakcję. W ciszy bierze z paczki fajkę i również odpala. I tak sobie siedzimy, popalając i gapiąc się na siebie.

– Nawijaj – mówi wreszcie. – Chcę mieć to za sobą. Wiedziałem, że coś ukrywasz. Wiedziałem, kurwa...

Kiwam głową. Zna mnie od dziecka i wie, że w życiu mało czego się bałem. Nawet gdy Diego wyrzywał mi na żywca zęba, jedynie warknąłem. Obity w każdym możliwym miejscu, uratowałem Trávisa i Cade'a. I jeszcze do niedawna zrobiłbym to ponownie, bo dbam o bliskich mi ludzi. Ale wszystko się zmieniło.

Zostałem ojcem. To najważniejsze zadanie, jakie mam do wykonania, i nie zamierzam go spierdolić.

– Zacznę od najświeższych informacji – mówię. – Kartel Terronez wciągnął mnie w wojnę z Camino. Dzwonił do mnie sam Santiago Ángel i pieprzył coś o tym, że Camino wydał rozkaz wybicia całej jego rodziny.

Travis wysoko unosi brwi. Widzę, że nie rozumie.

– Ale co ty masz z tym wspólnego?

– Uważa, że jako prawa ręka Camino o wszystkim wiem i mogę przemówić mu do rozumu.

– Co na to Camino?

Wzruszam ramionami.

– Nieszczególnie się przejął.

– Czekaj, ale co to oznacza?

Nalewam nam koniaku, pomimo że nie powinienem tykać alkoholu z uwagi na silne leki, które łykam, i poprawiam się w fotelu.

– Będę płacił za błędy Camino – mówię bez cienia emocji. – Możliwe, że ty też.

– Powiedz mi, że już skończyłeś?

Kręcę głową, gasząc papierosa w popielniczce.

– Nie. Nasza wolność została wyceniona na trzy miliony dolarów. – Czekam, aż to do niego dotrze. – Ja, ty i Cade jesteśmy poszukiwani na całym świecie. – Wymuszam gorzki uśmiech. – Kogoś na pewno skusi taka suma.

Travisowi odpływa cała krew z twarzy. Chwyta się za głowę, pochyla i wbija wzrok w swoje buty.

– Ja pierdolę. Nie możemy tu zostać, ale... jeżeli uciekniemy do Stanów, złapią nas federalni, a kartele nie przestaną nas ścigać. – Chwyta za kolejnego papierosa i zaczyna chodzić w kółko. – Zabiją nas wszystkich. Utknęliśmy w oku cyklonu.

Pozwalam mu w spokoju zrobić pięć okrążeń, dając sobie czas na pogodzenie się z tym, co zaraz powiem.

– Jest tylko jedno wyjście.

Travis zatrzymuje się i marszczy brwi. Spokojnie, zaraz połączy kropki. Wszyscy, którzy siedzą w tym gównie, wiedzą, że wyjścia są dwa. Śmierć albo przedłużenie żywota za wszelką cenę.

W końcu powoli siada na fotel.

– Nie mów, że...

Potakuję.

Federalny program ochrony świadków.

– Nie mogę dłużej tego ciągnąć. – Odchylam się na fotelu, gapiąc się w ścianę. – Mam coraz większe paranoje. Wszędzie widzę zagrożenie, śni mi się, że wpadają do naszego domu i porywają mi dzieci, zabijają żonę...

– Męczą cię koszmary, Troy. Ale nie jesteśmy kapusiami.

Prycham.

Gdzie jest napisane, że nie można sprzedać informacji, które się ma? Camino również sypie, żeby wybijać się jeszcze wyżej. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym się dowiedziałem, że wystawił DEA swojego kuzyna w zamian za własną wolność. Złamał zasadę, którą sam stworzył i kazał traktować jak świętą.

Dlatego pieprzę lojalność wobec człowieka, który zajebałby mnie i moich bliskich, gdyby musiał ratować swój tłusty tyłek.

– Jesteśmy przede wszystkim głowami rodziny – uzmysławiam przyjacielowi. – Nie zamierzam ich dłużej narażać.

– Ale co z długiem? Musimy go przecież spłacić.

Przysuwam się do biurka, żeby móc mówić najciszej, jak to możliwe.

– I spłacimy. Będziemy działać na tyle frontów, na ile się da.

Dopijam koniak i wkładam do ust gumę miętową.

– Ze strony USA grozi nam dożywocie – mówi Travis.

– Tak. A w Meksyku grozi nam kara śmierci. – Wzruszam ramionami. – Wybieraj.

– Sam nie wiem, co gorsze.

– Przekażemy im informacje, których nigdy sami by nie zdobyli. To pomoże nam zmniejszyć wyroki.

– Ale nikt nie da nam gwarancji.

Ponownie prychnam.

Gwarancji? Jakiej gwarancji można udzielić facetom, którzy szmuglują tony towaru i obracają brudną forszą? To my idziemy w łaskę DEA, a nie odwrotnie.

– A jaką masz gwarancję, że tutaj dożyjesz chociażby jutra? Ścigają nas wszędzie, Travis. Meksyk był ostatnim miejscem na tej planecie, gdzie mogliśmy żyć w spokoju, ale już nie jest. Skończyły nam się wyjścia. Wchodzisz w to razem ze mną albo nie.

Krótką piłką.

– Wchodzę – odpowiada bez namysłu Travis. – Od czego zaczynamy?

Nagle zaczynam oddychać głęboko, jak chyba nigdy. Jakbym przez cały ten czas wstrzymywał powietrze. Kurwa, muszę ochłonać. Wypijam duszkiem drugą szklaneczkę koniaku. Nigdy nie sądziłem, że będę się zastanawiał, jak przejść na drugą stronę i zakończyć to wszystko, co sam zbudowałem.

– Muszę skontaktować się z adwokatem – mówię, a po krótkiej pauzie dodaję: – I z człowiekiem, który czeka na mój telefon, odkąd tylko mnie poznał.

Unoszę wzrok na Trávisa, który chyba nie oddycha.

– Michael Moore.

ROZDZIAŁ 22

MARINA

Potrzebowałam dwóch dni, żeby ochłonąć po tym, co usłyszałam od swojego męża, ale i tak nie wiem, czy w pełni to do mnie dotarło. Po prostu... nie spodziewałam się usłyszeć czegoś takiego z *jego* ust.

Federalny program ochrony świadków.

Troy Tracker.

Współpraca z moim ojcem.

Kręcę głową. Nie. Musiałam coś pomieszać.

Przemywam twarz wodą i przyglądam się sobie w lustrze. Dotykam palcami skóry, naciągając ją z każdej strony. Mam zmarszczki, a przecież jestem jeszcze taka młoda. Troy również je ma. Zauważyłam nawet, że ma pierwsze siwe włosy, ale nie chcę mu tego mówić. Zżera nas stres i nie da się tego ukryć.

Idę do sypialni chłopców, którzy są pod opieką dwóch niań, bo Troy uważa, że należy mi się odpoczynek. Fakt, ciężko jest być mamą, a bycie mamą bliźniaków to już prawdziwa szkoła przetrwania.

Zaglądam do łóżeczek i uśmiecham się na widok ich rozanielonych twarzyczek. Chciałabym, żeby żyli w tej błogiej nieświadomości jak najdłużej.

– Odciągnęłam dla nich mleko. – Celuję kciukiem za siebie. – Jest w lodówce. Po karmieniu możesz je wziąć na spacer do ogrodu.

– *Por supuesto, Señora.* Wszystkim się zajmiemy – zapewnia niania.

– Dziękuję.

Daję dzieciom po całusie i wychodzę z sypialni. Najchętniej zostałabym z dziećmi, ale czeka mnie rodzinne zebranie, więc muszę wziąć się w garść i wysłuchać tego, co mój mąż ma do powiedzenia. Czekał z tym dwa dni,

więc zanosi się na długą rozmowę. Rozmowę pod hasłem „Jak zostać informatorem i przeżyć”.

To dziwne. Tak bardzo pragnęłam, żeby się z tego wycofał, że teraz aż nie wiem, jak zareagować. Czuję, że to wszystko nie jest takie proste. Nawet teraz mamy się spotkać przy fontannach, żeby ich szum zagłuszył ewentualne podsłuchy.

Idę do ogrodu, w którym czeka już na mnie cała nowa rodzina. Zżyliśmy się tak bardzo, że naprawdę traktujemy się, jakby łączyło nas pokrewieństwo. Troy zupełnie inaczej odnosi się do Cade'a, który przeszedł wszelkie możliwe próby, by móc oficjalnie zostać chłopakiem Marii. Osobiście uważam, że może już zostać nawet jej mężem.

– Jak chłopcy? – pyta mnie Troy.

– Śpią. Zostawiłam mleko i poprosiłam, żeby niania wzięła ich na spacer.

Uśmiecha się i całuje mnie w usta, a potem wskazuje ręką na krzesło.

– Musimy siedzieć blisko, żeby się słyszeć.

Siadam z niechęcią, widząc, że każdy jest spięty.

– Boli mnie żołądek – jęczy Maria.

– Nic nie mów. Nie spałam całą noc mimo tabletek. Nie wiem, czy w ogóle chcę tego słuchać, Troy. – Przecieram twarz. – Niech to się już po prostu zacznie dziać.

Mój mąż nachyla się do mnie i unosi mój podbródek.

– Niestety musisz dokładnie wiedzieć, jak to się potoczy, kochanie. Jesteś tego częścią.

Ale ja nie chcę.

– Chcę się zająć dziećmi, a nie myśleć o tym, że zaraz wszystko się zawali.

Troy rozchyła lekko usta, ale nic nie mówi. I tak patrzymy na siebie, każde myśląc o czymś innym, aż w końcu odzywa się Maria:

– Żyjesz w szklanej bańce, Marina. Odkąd urodziłaś chłopców, przestałaś interesować się tym, co robi Troy, jakby to już nie istniało. – Spoglądam na nią spod brwi. – Ale to iluzja, kochanie. Dalej żyjemy w Meksyku i dalej jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Opuszczam wzrok na swoje splecione dłonie, ale Troy znowu unosi moją twarz.

– Chciałaś tego, pamiętasz?

Tak, chciałam. Może nawet dalej jakaś część mnie tego chce. Ale w chwili obecnej chcę przede wszystkim zachować to, co w takich trudach zbudowaliśmy. Pragnęłam spokoju i w końcu go mam. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy jeszcze poczekać.

– Tak, ale dlaczego akurat teraz, kiedy jesteśmy tak szczęśliwi i mamy nasze dzieci? – Chce mi się płakać, ale udaje mi się powstrzymać.

– Właśnie dlatego. Jesteśmy to winni naszym synom.

W moich oczach jednak stają łzy. Nie chcę wciągać w ten temat naszych dzieci, ale to nieuniknione. Chłopcy potrzebują Troya. Ja go potrzebuję.

– Pójdiesz do więzienia – mówię schrypniętym głosem. – Stracimy cię. Jak miałyby to wyjść im na dobre?

W moim głosie słychać żal, ale jak miałabym nie być rozżalona? Chce nas opuścić, chce zostawić nas samych, na Bóg jeden wie jak długo. Program ochrony świadków nie jest taki cukierkowy, jak wszyscy myślą. Zawsze będzie nam groziło niebezpieczeństwo. Dlaczego wybierać akurat taki scenariusz, w którym nie będziemy razem?

Troy przysuwa się jeszcze bliżej i ujmuje w dłonie moją twarz.

– Będę musiał na jakiś czas zniknąć, żebyśmy potem mogli być razem już na zawsze. – Gładzi kciukami moje policzki. – Miłość bez poświęceń nie jest miłością.

Przymykam oczy i pozwalam łzom wypłynąć. I uśmiecham się, bo to, co powiedział, jest nie tylko smutne, ale i prawdziwe.

Troy sadza mnie na swoje kolana i przytula, ale wiem, że to tylko kiepski plasterk na wielką dziurę w moim sercu.

– Dobrze – mówię w końcu, biorąc się w garść. – Jak zamierzacie kontaktować się z... z ludźmi tam?

Mam na myśli USA, ale nie chcę mówić wszystkiego na głos. Jeśli ktoś usłyszałby, o czym rozmawiamy, zabiliby nas i nasze dzieci bez chwili zastanowienia. Wiem też, że ani Troy, ani Travis, ani Cade nie mogą tak po prostu stąd wyjechać i zacząć zeznawać, bo po drugiej stronie Camino również ma skorumpowanych ludzi. W tym tych w DEA i FBI.

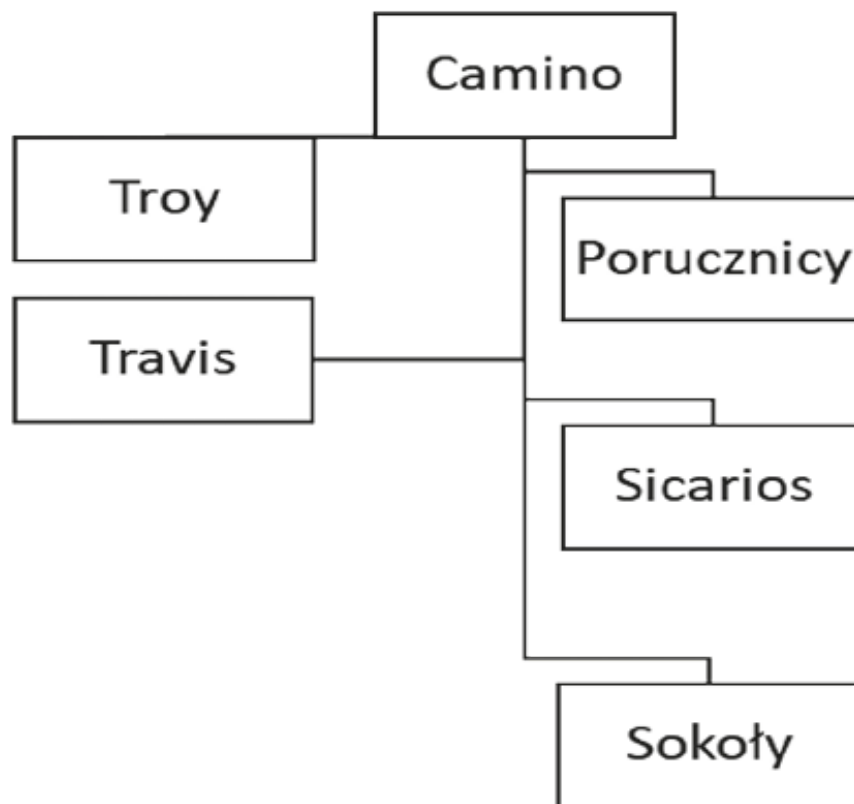
– Antonio, nasz adwokat, przygotowuje nam grunt – mówi cicho Troy. – Najpierw chcemy mieć pewność, że ci, których sypniemy, będą już siedzieć.

– Wszyscy? – dopytuję.

Przecież to niemożliwe. Camino ma niewyczerpane rzesze ludzi. Życia im nie starczy, żeby o każdym choćby wspomnieć.

– Nie, tylko ci najważniejsi.

Travis pisze coś na kartce i podaje mi ją. Mrugam, nie dowierzając, a przecież to dopiero początek. Na kartce jest rozrysowana hierarchia najważniejszych członków kartelu narkotykowego.



Podaję kartkę JoAnn, która reaguje podobnie. Wiedzialiśmy, że nasi mężowi są ważnymi graczami, ale i tak kręci mi się w głowie. Camino nigdy nie podniesie się po tym, jak go zdradzą. Swoją drogą dlaczego na tej kartce nie ma jego synów? Przecież powinni zajmować w tej hierarchii *jakikolwiek* miejsce.

To przeraża mnie jeszcze bardziej.

– Kim są Sokoły? – pyta Jo, ale patrzy na mnie. Wiem, że czeka nas długa nocna narada.

– Stoją najniżej, ale są bardzo ważni dla kartelu – wyjaśnia Cade. – To jego uszy i oczy, są odpowiedzialni za zgłaszanie i nadzorowanie działań konkurencji, policji, wojska i tak dalej.

Ja. Pierdolę.

– Okej, czyli Antonio adwokat wie, co planujecie, mój ojciec również to wie, ale co dalej? Jak to ma wyglądać? Kiedy stawicie się do sądu federalnego, żeby zeznawać?

– To potrwa, ale nikt nie wie ile – odpowiada Troy. – Może trzy dni, a może rok. Wszystko zależy od umowy, jaką z nami zawrą, i od tego, kiedy uznają, że daliśmy im już wystarczająco dużo, żeby nas stąd ekstradować.

W zdumieniu unoszę brwi.

– Czyli to oni rozkładają karty, mimo że to wy macie w posiadaniu najcenniejsze informacje?

Troy potakuje.

Świetnie. Do tej pory żyliśmy na łasce ludzi, którzy powinni siedzieć w więzieniu, a teraz, gdy możemy pomóc ich schwytać, będziemy na łasce DEA.

– Czekam na telefon od twojego ojca, który ostrożnie wdraża całą procedurę. Chcę mieć pewność, że wie, komu powierza nasz plan, ponieważ nikomu nie ufam.

– Czy mój tato uwierzył ci, że... że oni tam, po drugiej stronie prawa i granicy, również pracują dla tego tutaj?

Boję się jego odpowiedzi, ponieważ znam mojego tatę i wiem, że traktuje służby federalne jak wysłanników samego Pana Boga.

– Nie od razu, ale dał mi kredyt zaufania.

Uśmiecham się. To cudownie. To może się udać!

– Nie mogę uwierzyć, że dopiero dwa dni temu dowiedziałam się, że jesteś córką... – Jo kręci głową i patrzy na mnie z politowaniem. – Co ty tu w ogóle robisz, dziewczyno?

– Prowadzę życie *Buchony*.

Wybuchamy śmiechem, bo tego właśnie było nam trzeba. Dowiedziałam się, że *Buchona* to kobieta, która żyje w przepychu i nie oszczędza sobie niczego. Kocha wszelkie zabiegi i operacje. Nosi się raczej tandetnie i w sumie nic nie robi. Ale jest jeden haczyk: żeby móc ją nazywać

Buchoną, musi być żoną samego *Capo*, czyli szefa kartelu, lub mężczyzny, który stoi wysoko na narkotykowej drabinie.

Oczywiście nigdy nie byłam i nie będę taką kobietą, ale wiedziałam, że trochę ich to rozśmieszy.

– Jeśli twój ojciec zadzwoni, będziemy musieli się z nim spotkać w Cancún – mówi Troy, obejmując mnie pod fontanną w basenie. – Kupię tam dom, żeby mieć alibi, i pojedziemy na wakacje.

Czuję, jak drobne kościste ręce wieszają mi się na szyi. To Maria Gumowe Ucho.

– Rozumiem, że jedziemy wszyscy? – pyta swojego brata.

– Tak, tak będzie bezpieczniej.

– I raźniej – dopowiadam.

Maria podpływa do naszego osobistego kelnera i bierze od niego kieliszki z szampanem. Unosimy je wszyscy, żeby wznieść toast.

– Za wakacje w Cancún!

Wykrzyczeliśmy to, żeby w razie czego mieć dowód planowanych wakacji, gdyby ktoś nas podsłuchiwał. Kiedy kłamiesz, każda najmniejsza rzecz wydaje się dla ciebie dziwna, ale przecież mamy prawo pojechać na wakacje.

Czas, który nam pozostał, postanowiliśmy spędzić we wspólnym gronie, pielęgnując miłość i przyjaźń. Nie wiem jeszcze, co dokładnie będzie ze mną, JoAnn i Marią, ale podobno czeka nas życie w ukryciu pod zmienionymi nazwiskami. Kiedy wszyscy stąd znikniemy, cały Meksyk będzie uważał nas za szczury. Wszyscy będą wiedzieć, że zdradzono miłosiernego Ignacia Camino, który ma tutaj opinię Robin Hooda.

Ale nie chcę teraz o nim myśleć.

Obserwuję naszą paczkę, czując cudowne ciepło na sercu. Jeszcze niedawno byli dla mnie zupełnie obcymi ludźmi, a dziś? Dziś zrobiłabym dla nich wszystko. Najbardziej jednak lubię patrzeć na Marię. Myślę o tym, jak szybko dojrzała, chcąc nie chcąc. Musiała sobie poradzić z porwaniem brata, który ją wychował i zrobił wszystko, żeby żyła jak księżniczka. I poradziła sobie.

– Co tak na mnie patrzysz? – pyta mnie, uśmiechając się figlarnie. – Zakochałaś się we mnie?

Kiwam głową, sącząc lemoniadę.

– Przecież wiesz, że tak.

Kocham ją za to, że wspiera mnie niezależnie od okoliczności – i że poznała mnie z Troyem. Ciekawe, dlaczego wybrała akurat mnie, prawda? Ona twierdzi, że to palec przeznaczenia skłonił ją do kliknięcia w moje ogłoszenie.

Tak, tylko Maria mogła wpaść na coś takiego. I tylko ona zajmuje w moim sercu tak wyjątkowe miejsce. Jest dla mnie jak siostra i naprawdę chciałabym, żeby Cade okazał się jej wart. Żeby był kimś, z kim przejdzie przez życie i kto ochroni ją bez względu na wszystko. Kimś choć w połowie takim jak mój mąż...

Z którym wreszcie mogę spędzić wieczór tylko we dwoje. Po powrocie z ogrodu obsypałam sypialnię płatkami róż, zapaliłam świece i wypieściłam swoje musnięte słońcem ciało. Gotowa wychodzę z łazienki, gdzie w łóżku czeka już na mnie Troy. Czuję w brzuchu trzepot motyli.

– Chciałem ci powiedzieć coś na osobności – mówi, gdy kładę się na jego boskim ciele.

– Czyżbyś wstydził się wyznać mi miłość publicznie? – droczyć się z nim.

– Wiesz przecież, że nie. Chodzi mi o twojego ojca.

Opadam na plecy i zasłaniam twarz ręką.

– Nie, nie psuj mi humoru, Troy. Powiesz mi potem.

– Posłuchaj mnie. Gdyby nie on, to wszystko byłoby o wiele cięższe. Antonio powiedział, że wyznaczono by grupę agentów, którzy skontaktowaliby się ze mną, kiedy znaleźliby czas i ochotę. Nie dostałbym żadnej taryfy ulgowej.

Zerkam na niego spomiędzy palców.

– Dla nich nie liczy się to, że chcesz się wycofać i zmienić?

– Nie, dla nich zawsze będę przestępcą. Nie wierzą w przemianę ani w to, że można nie chcieć już przeliczać setek milionów dolarów.

Siadam, bo nagle coś sobie przypomniałam.

– Właśnie, skoro już przy tym jesteśmy. Pieniądze w sypialni numer osiem zaczęły śmierdzieć.

Ogółem forsa, którą zarabiają handlarze, śmierdzi. A to dlatego, że używają przeróżnych chemikaliów i metod, żeby psy nie mogły ich wytropić. Kiedyś nie mogłam się nadziwić, że mieliśmy schowane trzy miliony dolarów w... drobnych. Troy wyjaśnił mi, że to nie jest film, w którym handlarz odbiera walizkę pięknie wyprasowanych banknotów. Kilka dolców od narkomana na rogu ulicy trafia do Camino przez wiele rąk.

Banknoty są przepuszczane przez liczarki, układane w pliki o określonym nominale i zamykane próżniowo. I znów trafiają do kierowców ciężarówek. Ludzie, którzy przeliczają pieniądze *narcos*, harują całe noce, ale jeden pracownik zajmuje się tylko jednym zadaniem. Dzięki temu nie ma mowy o pomyłce.

– „Pachnieć jak milion dolców” może już nie brzmieć jak komplement, co? – mówi Troy, na co wybucham śmiechem.

– Nie, ale ja pachnę zjawiskowo.

Pręzę się, żeby wreszcie się mną zajął.

– Ach tak? Muszę to sprawdzić.

Chichoczę, gdy zniża się do moich ud i obsypuje je delikatnymi pocałunkami.

ROZDZIAŁ 23

TROY

Wiem, że podjąłem słuszną decyzję, i nie wycofam się z niej, ale dla mnie to niezwykle bolesny moment. Tylko takie życie znałem. Przestępcze. Za chwilę przejdę przez drzwi, za którymi spotkam się z ludźmi, których zawsze uważałem za swoich wrogów, większych niż kartele, które chcą mnie teraz dopaść. Wiem też, że czeka mnie proces i długa odsiadka – i że nie będę obecny przy tym, jak moi chłopcy będą dorastać.

To największa cena, jaką przyjdzie mi za to wszystko zapłacić.

Wchodzę do czterogwiazdkowego hotelu Quartz, który jest tuż przy granicy z USA. Mike stwierdził, że pierwsza rozmowa będzie krótka i zapoznawcza. Dopiero po niej wszyscy mamy wyjechać do Cancún i improwizować wielkie rodzinne wakacje. Idę więc, mając na uwadze to, że mogą mnie zaaresztować, a nawet zabić i napisać w raporcie, że byłem uzbrojony i niebezpieczny, więc musieli się bronić.

W pokoju wita mnie mój adwokat, Antonio, a także Michael Moore oraz jakiś trzeci facet, który najprawdopodobniej będzie moją niańką. Jest wysoki, dobrze zbudowany i byłbym bardzo zazdrosny, gdyby siedział za blisko mojej żony.

– Witaj, Troy. – Mike podaje mi rękę. – To agent Dean Bennett, będzie mieszkał w Meksyku i ściśle z tobą współpracował.

Na starcie ryzykuje własną głowę. Może go polubię.

– Doceniam to – mówię, podając mu rękę i lustrując go z góry na dół.

– Jest sprawdzony – uspokaja mnie Antonio.

Kiwam głową, co nie znaczy, że się uspokajam. Z nas trzech tylko ja wiem, że każdy człowiek na tej planecie ma swoją cenę, a nawet jeśli twierdzi, że jej nie ma, może zrobić wszystko ze strachu.

– Wiem, że nikomu nie ufasz – wtrąca Mike. – Ale będziesz musiał zrobić wyjątek, bo od tego zależy twoje życie.

– Życie nas wszystkich – dodaje Antonio.

Dobrze. Faktycznie to bardzo niebezpieczny układ i każdy może dostać kulkę w serce, ale to ja mam zamiar sprzedać wszystko i wszystkim. Ludzi, którzy są bezwzględni, mają oczy i uszy w każdym kraju, mieście, na ulicy, w urzędach i służbach. Myślę, że jednak najwięcej ryzykuję ja.

– Muszę zadać ci to pytanie – mówi Dean. – Czy jesteś pewny?

Potakuję i siadam na krześle przy stole zavalonym papierami. To zapewne przygotowane umowy.

– Tak, jestem pewny.

– Nie będzie już odwrotu, Troy.

Ponownie potakuję.

– Nie zamierzam się wycofać.

Na twarzy Deana i Mike’a maluje się ulga – a także chęć wysśania ze mnie wszystkiego, co tylko wiem. Ale spokojnie, nie jestem idiotą. Najpierw musimy się dogadać, a potem możemy pozbawiać mnie honoru.

– Na początek zapiszę, jakie informacje chcesz przekazać, a raczej jakimi informacjami dysponujesz. Pamiętaj, że zatajenie czegokolwiek wykluczy cię z programu ochrony świadków.

– Najpierw warunki umowy. Chcę, żeby cała moja rodzina była pod ochroną.

– Oczywiście.

– Ty, twoja żona i dzieci – mówi Mike.

Ale chwila.

Moment.

Kurwa.

– Nie, nie. Travis z żoną i córką oraz moja siostra i Cade również muszą być objęci programem.

Mike gapi się na Deana, Dean na mnie, a ja w popłochu gapię się na swojego adwokata. Wszyscy mają zasznurowane usta, jakby nagle stracili zdolność mówienia.

– Zamierzam wam sprzedać informacje, które wyniosą was na najwyższy szczebel w waszej karierze, a ty mi mówisz, że nie możecie dać ochrony mojej rodzinie? – Walę ręką w stół i wstaję.

– Troy, spokojnie. – Antonio podchodzi i klepie mnie po ramieniu. – Ustalimy to.

Wkurwia mnie to, że już na samym początku chcieli zrobić mnie w chuja. Jasno powiedziałem, że wszyscy mają być pod ochroną, bez wyjątku. Travis i jego rodzina jadą na tym samym wózku, co ja, ale moja siostra również jest niewinna i grozi jej ogromne niebezpieczeństwo.

Nachylam się do Deana nad stołem.

– Chcesz wiedzieć, ile ton miesięcznie sprowadzam do USA? Ilu ludzi dla nas pracuje? Gdzie bieżą tunele, którymi przerzucamy towar? Chcesz wiedzieć, w co inwestuje Camino? Ile forsy zarobiłem dla kartelu? To załatw im tę pieprzoną ochronę!

Przecieram sfrustrowaną gębę i zaczynam chodzić w kółko.

– Mój klient kończy rozmowę – mówi Antonio. – Proszę renegecować warunki umowy i zadzwonić do mnie, gdy zostaną spełnione.

Dean unosi obie ręce.

– W porządku, w porządku.

– Camino ma swoich ludzi dosłownie wszędzie – mówię. – Ma przekupionych urzędników po obu stronach granicy. Każdy może okazać się szcurem, którego inni mają za zadanie wyeliminować. Mogę zginąć z całą swoją rodziną, wsiadając do samochodu. Więc, kurwa, nie ma mowy, żeby ktokolwiek został jak bezpański pies, bo wam nie chce się wypełniać papierów!

Walę z buta w kosz na śmieci, który kręci piruet.

– Chodzi o koszty.

Jestem zrezygnowany. Śmieję się nerwowo. Dean Bennett albo jest idiotą, albo dopiero zaczął pracować w tym środowisku.

Siadam i patrzę na niego pobłaźliwie.

– Dean, to, co chcę ci powiedzieć, jest o wiele cenniejsze niż kilka tysięcy z budżetu państwa, wierz mi.

Przez chwilę się na siebie gapimy, a potem Dean opuszcza wzrok na swoje papiery. Czy rozumie, co do niego mówię? Czy dalej nie? Patrząc na niego, dałbym sobie uciąć jaja, że zjadł na tym zęby. Więc co jest grane? Kto tu pociąga za sznurki?

– Postaram się to załatwić, ale niczego nie mogę obiecać – mówi wreszcie.

Jasne, jasne.

Oni nigdy niczego nie mogą obiecać, poza tym, że wpakują cię za kratki i odbiorą ci wszelkie prawa.

– Żadnych obietnic – mówi Mike. – Nie wiemy, ile dostaniesz lat za kratkami ani jak będzie wyglądała ostateczna umowa, ale robisz coś dobrego, Troy. To wielki krok, żeby wreszcie zacząć żyć jak głowa rodziny. Cierpliwości.

Prycham, kręcąc głową. Jestem zdumiony. Naprawdę zdumiony. Wstaję, żeby znaleźć się blisko mojego teścia, i ściągam maskę uroczego zięcia.

– Pamiętam dokładnie twoje słowa, Mike. Obiecałeś, że dostanę niższy wyrok i że pomożesz mi na każdym etapie mojego rozprucia. A teraz zachowujesz się jak każdy z nich. Umywasz ręce, gdy tylko udało ci się chwycić to, czego pragnąłeś. – Poprawiam jego krawat. – Ale musisz wiedzieć, że jeśli sprawy mocno się popierdolą i życie kogoś z moich bliskich będzie zagrożone, zapadnę się pod ziemię i prawdopodobnie nigdy już nie zobaczysz swojej córki.

Widzę, że z trudem trawi moje gorzkie słowa.

– Zrobię wszystko, żebyś był traktowany ulgowo. Ale sam wiesz, że ostateczna decyzja należy do sądu.

Wydymam usta, kręcąc głową.

– Więc ja w ostateczności również mogę pobawić się w sędziego, może nawet w księdza. – Gryzę wewnątrz policzka. – Skoro mam sypnąć wszystko, może warto również sprzedać informacje mojej żonie.

Odwracam się, dając znak, że to koniec rozmowy. Niech sobie to wszystko przemyśli jeszcze raz.

– Dogadamy się, Troy – mówi Dean. – Chcę z tobą współpracować, naprawdę. Liczę, że nam się uda.

Cofam się, żeby zabrać dokumenty ze stołu.

– Jeśli przestaniecie traktować mnie jak idiotę, to na pewno. Te umowy muszą zostać poprawione, ale wezmę je, żeby przeczytać każde słowo, łącznie z tymi napisanymi małym druczkiem.

– Oczywiście.

Staję w rozkroku, obserwując jego twarz.

– Jeżeli się okaże, że zapisano w nich cokolwiek niezgodnego z tym, co uzgodniłem z panem Moore, wycofuję się ze wszystkiego, a wy możecie pomarzyć o karierze. Obaj dobrze wiecie, że nie macie prawa tknąć mnie

tutaj palcem. – Biorę teczkę i mierzę ich lodowatym wzrokiem. – Camino przekupił obecnego prezydenta i jestem nietykalny.

Dean potakuje. Świetnie. Może wreszcie dotrze do jego zakutego łba, że ma przed sobą pierwszoligowego gracza, a nie koleś, który biega z towarem po ulicy, żeby zgarnąć kilka dolców.

– Do widzenia – mówię, a potem razem z Antonio opuszczam pokój.

Jestem wkurwiony. Tylko straciłem czas.

– Dlaczego nie sprawdziłeś umowy, zanim tu przyjechałem? – pytam prawnika, kiedy siadamy przy barze, żeby napić się czegoś mocniejszego.

– Sprawdziłem, ale nie pamiętam, żebyś mówił mi o ochronie reszty rodziny.

– Mówiłem o tym Mike’owi, widocznie nie podzielił się z tobą tą informacją.

– Można mu ufać?

– Mike’owi? Nie.

Wypijamy dwie szklaneczki whisky, ale nie poruszamy więcej tematu, bo ktoś mógłby nas podsłuchać i donieść Camino. Będę musiał przemyśleć również, gdzie podłączę podsłuchy w domu, żeby zacząć zbierać materiał. To głównie na tym opiera się bycie informatorem. Owszem, to, co powiem, jest kluczowe, ale żeby wsadzić kogoś na dożywocie, muszą być też twarde dowody. Ameryka kocha podsłuchy.

Umawiam się z Antonio na rozmowę, gdy już przewertuję umowę i zaplanuję następny krok. Prawnik obiecuje zająć się kupnem domu w Cancún i załatwieniem wszystkich formalności. Wie, że jestem hojny i ta fucha go ustawi. Natomiast ja zaczynam przyzwyczajając się do myśli, że wkrótce będę bezdomnym szczurem na łasce państwa.

ROZDZIAŁ 24

MARINA

Atmosfera w domu staje się nie do zniesienia. Troy niewiele mówi, za to nie ukrywa zdenerwowania. Odczuwamy je wszyscy – z naszymi dziećmi włącznie. W dodatku po jego spotkaniu w hotelu niczego nie mogę od niego wyciągnąć, sama też nie mogę jeszcze kontaktować się z tatą. Najmniejszy ruch może nas narazić na niebezpieczeństwo.

Żeby nie wzbudzać podejrzeń, jedziemy z dziewczynami na targ; robimy tak przynajmniej raz na dwa tygodnie. Kupujemy świeże owoce i warzywa, żeby wspomóc mieszkańców. Płacimy im oczywiście jak za posiłki w najlepszej restauracji, ale daje nam to poczucie, że robimy coś dobrego. Wszyscy wiedzą, kim jesteśmy i skąd mamy pieniądze, ale nigdy nie dają nam odczuć, że żyjemy z brudnych interesów naszych mężów i powinniśmy się tego wstydić. Choć sama uważam, że powinniśmy.

– Może wybierzemy się do restauracji? – podsuwa Jo, kiedy znów siedzimy w samochodzie. – Znalazłam fajną, całkiem niedaleko.

Jo uwielbia się szlajać po mieście. W San Diego miała pełno koleżanek, z którymi codziennie plotkowała i wychodziła na lunch czy zakupy. Niestety to Tijuana i wszędzie jest niebezpiecznie. Ale nasza przewaga polega na tym, że jeśli ktoś będzie chciał nas zabić, musi być gotowy umrzeć zaraz po nas.

Czy mnie to pociesza? Ani trochę.

– No... nie wiem – waha się Maria. – Marina?

Uważam, że nie powinniśmy zapuszczać się dalej, niż to konieczne, ale przecież nie wiemy, co nas czeka, a jak to się mówi?

Carpe diem!

– Myślę, że nic nam się nie stanie, a wręcz dobrze nam to zrobi. – Zerkam na Marię we wstecznym lusterku. – Nie pamiętam, kiedy wyszliśmy

we trzy, nie myśląc w kółko o porze karmienia i przewijania.

Zerkam na siedzącą obok mnie Jo, która ze śmiechem przyznaje mi rację. Następnie ustawiam w nawigacji adres restauracji i włączam się do ruchu na głównej ulicy. Nienawidzę prowadzić w Tijuanie.

– Nie wierzę, że mój brat jest takim idealnym ojcem – mówi Maria, a ja ponownie patrzę na nią w lusterku i śmieję się z jej kwaśnej miny. – Przewija kupy. – Wzdryga się. – Ohyda!

To prawda. Mój mąż jest idealnym ojcem i gdyby tylko w ten sposób mógł spłacić swoje grzechy, byłby człowiekiem bez skazy.

– Travis przewinął Minę może ze trzy razy, obwiązany na twarzy chustką, jakby wchodził do pomieszczenia z ulatniającym się gazem – prycha Jo.

Wyobrażam sobie tę scenę i wybucham śmiechem. Oczywiście bycie dobrym ojcem to nie tylko zmienianie pampersów, a Travis świetnie się sprawdza w swojej nowej roli. Kocha małą Minę i nosi ją tak długo, aż wiadną mu ramiona. I zawsze, zawsze, to on ją usypia.

Szkoda, że wkrótce nasze dzieci zostaną tego pozbawione. Chyba wciąż jeszcze to do mnie nie dociera i karmię się nadzieją, że mój tata pomoże skrócić wyroki do niezbędnego minimum.

Wkrótce wchodzimy do ekskluzywnej restauracji Loma Bonita i sadowimy się w ustronnym miejscu, mając widok na zwisające z sufitu kwiaty.

Zamawiamy smażone kalmary, grillowane ostrygi w muszli i trzy sałatki tokańskie. Ceny są kosmiczne, ale przecież nie musimy zwracać na nie uwagi. Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję. W każdej sypialni mojego domu poupychane są miliony dolarów, ale w głębi serca wciąż jestem Mariną z domu Moore, z Phoenix, wychowaną na silną i uczciwą kobietę.

– Wkurza mnie to, że wszyscy się na nas gapią – mówi Maria.

– Raczej na was. Obie jesteście białe. – Upijam łyk bezalkoholowego wina musującego.

Maria przygląda się mojej twarzy, więc odruchowo wycieram usta dłonią.

– Mówiłaś, że jesteś Hiszpanką, ale mój brat w to nie wierzy.

Chcę się do tego odnieść, ale wyprzedza mnie JoAnn.

– Jak to nie wierzy? Co masz na myśli?

– Twierdzi, że Marina nie wygląda na Hiszpankę. Ale też nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie ma aż tak ciemnej karnacji jak Meksykanie.

Teraz Jo też przygląda się mojej twarzy, więc czuję się niezręcznie. Nie rozumiem, skąd ta wielka potrzeba odkrycia, do kogo jestem podobna.

– Wiesz co? – ciągnie Jo, celując we mnie widelcem. – Masz mieszaną urodę.

Wzruszam ramionami.

– Nie znam swojego ojca. Może był biały?

Maria szerzej otwiera oczy, ale nie wiem, co w tym straszego czy dziwnego. Serio nie rozumiem, dlaczego tak bardzo interesuje je moje pochodzenie. Mam kochających rodziców, ciepły dom, moja biologiczna mama umarła, ojca nie znam. On zapewne nie zna mnie.

Szkoda życia na rzeczy, na które nie ma się żadnego wpływu.

– A co, jeśli był seryjnym mordercą? – wypala nagle Maria.

Jo szturcha ją ramieniem.

– Oszalałaś? Nie mówi się takich rzeczy. Nikomu.

Wydymam usta, powstrzymując śmiech.

– W sumie... nie wiem, czy nim nie był.

– Nigdy nie chciałaś dowiedzieć się czegoś o swoich biologicznych rodzicach? – dopytuje Maria.

– Nie, ponieważ moja biologiczna mama zmarła przy porodzie, a mój... dawca spermy jest nieznan.

– A w jaki sposób znalazłaś się w swojej rodzinie? – pyta Jo.

– Właśnie? – podchwytuje Maria.

Wracam do wspomnień, ale nie ma tego za wiele. Ja sama nigdy nie drażyłam tematu. Uważałam, że skrzywdzę tym moją mamę. Jeszcze pomyślałaby, że chcę odnaleźć swoją biologiczną rodzinę.

– Rodzice byli na wakacjach w Hiszpanii – zaczynam. – Moja mama się zatrula i trafiła do szpitala. Tam usłyszeli o kobiecie, która zmarła, osierocając noworodka. Byli poruszeni tym, że dziecko nie ma rodziny, i zaczęli starania o adopcję.

Upijam łyk wody gazowanej z cytryną, bo nagle zaschło mi w ustach. Przez ich głupie komentarze zaczynam wątpić w sens tej historii. Ale przecież nie ma mowy, żeby rodzice okłamywali mnie w tak poważnej sprawie.

– Bo twoja mama nie może mieć dzieci! – woła Maria, jakby ją olśniło, a ja potakuję. – Ach, teraz to wszystko ma sens!

– Szlachetne. – JoAnn posyła mi uśmiech. – Musisz ich bardzo kochać.

Wzdycham ciężko.

– Tak, jestem im bardzo wdzięczna, chociaż wiem, że uciekając tutaj, bardzo ich zawiodłam. Ale co można poradzić na miłość?

JoAnn unosi swój kieliszek.

– Wypijmy za miłość, złe decyzje i spuchnięte oczy.

– I waginy – dodaje Maria.

Zaczynamy chichotać, gdy nagle w restauracji robi się bardzo cicho. Za cicho. Na twarzach dziewczyn maluje się panika, na mojej z pewnością też. Wszystkie trzy wiemy, że w każdej chwili może tu wpaść ktoś z kartelu i nas rozstrzelać na rozkaz Camino. Ktoś przecież mógł widzieć Troya, jak rozmawia z obcym mężczyzną, albo wypłynęło, że spotkał się potajemnie z moim ojcem.

Zauważamy, że goście zbierają się do wyjścia, nie płacąc za swoje zamówienia.

– Bardzo mi przykro, ale musimy zamknąć restaurację – mówi kelner, który wyrasta obok nas jak spod ziemi.

Ja i JoAnn jesteśmy tak wystraszone, że nie potrafimy się ruszyć. Natomiast Maria jak zawsze wchodzi w rolę i udaje, że ta sytuacja w ogóle nie jest dla niej dziwna.

– Nie dokończyłyśmy jeszcze jedzenia – mówi, wskazując na nasze prawie puste talerze.

– Przykro mi, mamy ważnego gościa.

Unoszę brew, przygryzając wewnątrz policzka. Kiedy chcę wstać i po prostu ustąpić, słyszę stukot szpilek niosący się echem po całej restauracji.

A potem rozlega się głos:

– Te panie mogą zostać, są w rodzinie.

Odwracamy się.

Nie wierzę. Proszę, zabijcie mnie. Ximena Królowa Tijuany we własnej osobie.

Przekonana, że mam ochotę na jej łaskę.

Przesuwam wzrok z Marii na JoAnn i wywracam oczami.

– Och, dziękujemy za okazanie dobrego serca – mówi Maria, którą kocham za to jeszcze bardziej.

– Mogę się przyłączyć? – pyta Ximena.

– Skoro pozwoliłaś nam zostać w publicznej restauracji, to nie wypada nam odmówić, prawda?

Uśmiecham się do Marii, zamaczając usta w kieliszku.

Ximena siada obok mnie, jakbym była jej przyjaciółką i nie miała nic przeciwko temu. Cóż, najwidoczniej nie odrobiła lekcji z mowy ciała.

– To co zawsze plus butelka Rosé Vintage – mówi do kelnera, który oddala się w podskokach.

W ciszy dokańczam posiłek, bo właśnie po to tutaj przyszłam. I zastanawiam się, co by było, gdybyśmy opuściły lokal? Jak zareagowałyby na to Troy?

– Ximena, jeśli dobrze pamiętam? – pyta Maria po chwili, gdy kelner polewa nam Don Pérignon z butelki z różowego złota.

– Brawo. – Ximena unosi swój kieliszek. – Wasze zdrowie.

Czeka, aż wzniosę toast, ale kręcę głową.

– Nie mogę, karmię piersią.

Ximena posyła mi przesłodzony uśmiech, od którego mnie mdli.

– Ach tak, żona Troya i matka jego synów. – Unosi kieliszek jeszcze wyżej. – Kobieta, której się udało.

Marszczę brwi, czując, jak krew zaczyna mi kipieć.

– Co mi się udało?

Ximena się śmieje, gapiąc się na moje przyjaciółki.

– Zatrzymać pociąg – odpowiada ironicznie.

Jestem w szoku. Serio.

– To się nazywa miłość – mówi Maria, unosząc kieliszek. – Wypijmy zatem za miłość.

– Która kurewsko boli i nie każdy może ją mieć.

Odwracam głowę w stronę Ximeny. Ojej, zaraz się rozplączę.

Dziewczyny szybko wyłapują mój nastrój i zaciskają usta, żeby się nie roześmiać.

– Może źle szukasz?

Unoszę brwi, nie rozumiejąc, po co Maria ciągnie tę rozmowę.

– Nie szukam tej dziwki.

Wyłączam się, bo nie mogę już tego słuchać. Dziewczyna jest prosta, tępa i wiecznie narzeka. Maria daje się wciągnąć w jej gierki, ale ja i Jo nie bierzemy w tym udziału. Może nie zarobiłam jeszcze miliona dolarów, ale potrafię wyczuć, że kobieta, która siedzi obok mnie, ma ze mną problem. Ba, ma problem z tym, że jestem żoną mężczyzny, którego ona chciała usidlić. W jednej chwili mam ochotę powiedzieć jej, co o tym myślę,

a w drugiej – co myślę o niej. A potem stwierdzam, że nie warto marnować czasu na kogoś takiego. Okazywanie drugiej kobiecie zazdrości jest jak pieszczenie jej waginy.

Po dwudziestu minutach, kiedy w spokoju ukończyłam swój posiłek i odebrałam słodki telefon od męża, postanawiam dać dziewczynom znać, że na nas już pora. Ximena musi poszukać sobie nowych przyjaciółek gdzie indziej.

Żegnamy się z nią, zostawiając jej rachunek do zapłacenia. Uznałam, że jest nam to winna za dotrzymanie jej towarzystwa.

– Dziwna laska, nie mogłabym się z nią zaprzyjaźnić – mówi Maria, kiedy wsiadamy do samochodu. – Każde jej zdanie zawierało szczyptę złośliwości.

Dziwi mnie jej nagła zmiana frontu. Dopiero co trajkotała z nią jak przekupka na targu i odpowiadała na jej głupie pytania.

– Jeżeli nie odpowiada ci towarzystwo, w którym przebywasz, należy je opuścić – pryham. – Chyba że ktoś przystawia ci pistolet do głowy.

Maria kładzie mi rękę na ramieniu, kompletnie nie wychwytyjąc aluzji.

– Właśnie dlatego chciałam być twoją przyjaciółką.

Może takie jest moje zadanie – być drogowskazem dla młodych dziewcząt, które kompletnie nie znają się na życiu, związkach, seksie i wrednych sukach.

Podjeżdżamy pod dom, gdzie czeka nas wielkie pakowanie i związany z tym stres. Nienawidzę kłamać. Nawet jeśli ludzie, których okłamuję, są bezwzględni zabójcami. Nawet jeśli bez wahania wsadziłabym ich za kratki albo wysłała na tamten świat. To cholernie głupie.

Kiedy tylko przekraczam próg, przejmuję chłopców, żeby się nimi zająć, ale wszystko robię w przyspieszonym tempie, ponieważ właśnie sobie uświadamiam, że pakowanie zajmie nam ze dwa dni. Nie wiem, czy mamy tyle czasu, więc jestem jeszcze bardziej zestresowana. W końcu kapituluję – oddaję dzieci opiekunkom i zamykam się z dziewczynami w górnej sypialni.

– Spakujcie wszystko, czego nie potrzebujecie, do kartonów opisanych literami „BF” – instruję.

– A co oznacza? – pyta Maria, która zawsze o coś dopytuje, nawet jeśli nie ma to żadnego znaczenia.

– Brudna forsa – odpowiadam. – To rzeczy, które musimy oddać... *im*.

Biżuteria, za którą można kupić kilkanaście posiadłości, musi zostać przekazana DEA, żeby pomóc chłopakom zmniejszyć wyroki. Oddamy wszystko, jeśli będzie trzeba, zostaniemy z jedną parą majtek, skarpetek i w dresie. Nie chcę tego bogactwa, to nigdy nie dawało mi szczęścia, chociaż dotąd byłam pewna, że za pieniądze można kupić wszystko.

Nosząc te wszystkie brylanty, które właśnie pakuję do kartonów, diamenty czy zegarki, za które mogłabym odmienić niejednego los, nie czułam się o wiele lepiej niż teraz, kiedy zamierzam je oddać. Oczywiście Maria nie podziela mojego stanowiska, twierdzi, że powinniśmy zabrać kilka rzeczy, żeby móc je sprzedać i mieć za co przeżyć, kiedy chłopaki będą w więzieniu. Po części się z nią zgadzam, ale nie chcę więcej niczego zatajać. Zwłaszcza przed ludźmi, od których teraz zależy nasza wolność.

Do sypialni zagląda jedna z nian z moim synkiem, który aż się zanosi od płaczu.

– Timmy strasznie płacze, *Señora*.

Biorę go na ręce i głaszczę go po plecach. Biedny, jest ode mnie kompletnie uzależniony i zaczynam wątpić, że szybko z tego wyrośnie.

– A jak Toby? – pytam.

– Bawi się gryzakiem.

Uśmiecham się.

– Chciałeś się tulić do mamusi, skarbie? – Całuję uspokojonego synka, który z zapalem wyrywa mi włosy.

– A może chcesz do cioci? – Maria wstaje z kolan i wyciąga ramiona do małego. – Muszę go przekupić, żeby miał mnie kto kochać.

– Masz wokół siebie ludzi, którzy cię kochają – przypominam jej.

– Idź zrób nam kawę – prosi. – Gosposie nie potrafią przyrządzić amerykańskiej latte.

A potem pokazuje małemu zabawkę, którą mu kupiła i uznała, że jest jego ulubioną, chociaż on sam nie wykazuje nią żadnego zainteresowania.

– Okej. Zaraz wracam.

Idę do drzwi, gdy słyszę wołanie:

– I weź mi coś słodkiego!

To Jo, która była na diecie... liczę w myślach – całe dwie godziny.

Idę do kuchni i biorę się do parzenia kawy. Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Troya, ale nie chcę mu przeszkadzać. Wiem, że załatwia dziś jakiś transport, żeby uspokoić Camino. Oczywiście łamię tym słowo, które

dał chociażby mojemu ojcu, ale rozumiem, dlaczego to robi. Nie jesteśmy jeszcze na tyle bezpieczni, żeby mógł całkowicie się z tego wycofać.

Szukam w szafkach słodkich przekąsek i układam wszystko na złotej tacy, gdy z ogrodu dobiegają mnie ożywione męskie głosy. Wyglądam dyskretnie przez okno i zamieram. Zbliża się do mnie pięciu *sicarios*. Wycofuję się, żeby nie przyłapali mnie na podglądaniu.

Dlaczego tu idą? Na pewno wiedzą, że jestem sama z dziećmi. Gdy sięgam po telefon, żeby wysłać wiadomość SOS do męża, wparowują do środka. Moje dzieci są na górze, broń mam pod stołem, który jest za daleko, a nawet gdybym miała ją teraz w dłoniach, ja jestem jedna, a ich jest pięciu.

– Troya nie ma w domu – mówię od razu z nadzieją, że sobie pójda.

Rozglądają się po salonie i kuchni.

– My nie do Troya. Gdzie chłopcy?

O mój Boże, zaraz zemdleję, czuję to.

Unoszę drżący palec.

– Na... górze.

– Przyszliśmy z prezentem. Możemy ich zobaczyć?

Potakuję bez przekonania.

– Ale bez broni – nalegam.

W pierwszej chwili są zdziwieni, ale muszą spełnić mój warunek, ponieważ to moje dzieci, mój dom, a oni podlegają mojemu mężowi. Ściągają więc cały wojskowy arsenał, po czym podają mi pudełeczka z prezentami. Przyjmuję je z udawaną wdzięcznością i prowadzę ich na górę.

Z każdym krokiem na schodach zaciskam powieki i coraz bardziej się denerwuję.

Boże, prowadzę pięciu zabójców do swoich dzieci. Nie musieli nawet grozić mi śmiercią. Co ze mnie za matka?

Z wahaniem otwieram drzwi i pierwsza wchodzę do pokoju, a potem wpuszczam ich po kolei.

Dziewczyny na ich widok mało się nie przewracają.

– A drugi? – pyta jeden z żołnierzy. – Gdzie drugi Troy Junior?

Maria i Jo marszczą brwi, gapiąc się na mnie.

– Przyszli zobaczyć chłopców – tłumaczę uspokajająco. – Maria, pójdziesz po Toby'ego?

– Jasne.

Jeśli będą chcieli wziąć chłopców na ręce, nie wiem, jak się zachowam. Na razie się wygłupiają, żeby rozśmieszyć Timmy'ego, a gdy im się to udaje, zachowują się, jakby byli najlepszymi wujkami na świecie.

Kurwa, nie ogarniam tego, przysięgam.

Do pokoju wchodzi Maria z Tobym, który od razu zwraca ich uwagę. Nie wiem, jak długo tak stoją i zabawiają moich synów, ale przyznaję – ani razu nie sprawili, że poczułam się zagrożona.

Gdy w końcu wychodzą, dziękując za gościnę, wszystkie trzy siadamy na podłogę.

– Co to, kurwa, było? – pyta Maria.

– Pięciu płatnych zabójców rozplywających się nad dwoma małymi chłopcami – odpowiadam zdyszana, mimo że nie zrobiłam pół kroku.

Gapimy się na siebie wystraszone i skonsternowane, ale ostatecznie wybuchamy śmiechem.

Pokręcone to nasze życie.

ROZDZIAŁ 25

TROY

Oddycham z ulgą i zamykam teczkę. Umowa między mną a Stanami Zjednoczonymi nie jest najgorsza. Tyle że jest haczyk, którego nie przeskoczę. Prokurator federalny chce, abym dostarczył mu nagranie, na którym Camino przyznaje się do przestępstwa. Obojętnie, czy będzie to dostawa towaru, czy odbiór pieniędzy. Problem jest duży, a w zasadzie, kurwa, ogromny. Camino nigdy nie rozmawia o takich rzeczach przez telefon.

Dopóki jednak nie dostarczę tego dowodu, nie stanę przed sądem. A nie jest to coś, co pragnę przeciągać. Jasne, nie chcę opuszczać swojej żony i dzieci, ale im szybciej to się stanie, tym szybciej zacznę odsiadywać wyrok i spuszczę to całe gówno raz na zawsze. Chciałbym zdążyć, nim chłopcy zaczną mówić, chodzić do szkoły i orientować się, co jest dobre, a co złe. Chcę wskazać im lepszą drogę niż ta, którą sam szedłem. Dzięki Marinie wiem, że istnieje świat, o jakim wcześniej nawet nie śniłem – i chcę do niego należeć.

Ktoś puka do mojego gabinetu w momencie, gdy zamykam sejf z umową z DEA. Momentalnie oblewa mnie zimny pot.

To Emanuel, jeden z żołnierzy.

– Szef chce cię zobaczyć, Troy.

– Teraz?

– Tak.

– Mówiłem, że wyjeżdżam do Cancún.

Wzrusza ramionami.

– Mogłeś złożyć prośbę na piśmie i poprosić o płatny urlop.

Udaję, że mnie to rozśmiesza, i schodzę na dół. Przekazuję żonie, że Camino chce mnie zobaczyć, ale w towarzystwie *sicarios* nie mogę

powiedzieć jej nic więcej. Oczywiście błędnie, ale nic nie mówi. Nie może – i nie musi. Nie wiem, dlaczego szef wzywa mnie akurat teraz, ale istnieje ryzyko, że nasz plan zaczął wyciekać.

Całuję Marinę w usta i wychodzę z domu, zastanawiając się, czy to nie był nasz ostatni pocałunek.

Camino postanowił przyjąć mnie w ogrodzie. Nie wiem, czy to dobrze. Wszędzie jestem pod ostrzałem, tyle że teraz nikt mnie nie przeszukuje i nie każe oddać broni. Wiedzą, że i tak gównem bym zrobił, skoro otacza mnie cała chmara morderców.

Podchodzę do stolika, przy którym siedzi boss ze swoją piątą żoną. Gdy ta wstaje, oddelegowuje ją kłapsem w tyłek.

Siadam naprzeciwko niego i ściągam okulary.

– Chciał pan mnie wiedzieć, *Señor*.

Camino strzepuje popiół z papierosa do złotej popielniczki i patrzy na mnie. Nie podoba mi się jego podejrzliwy wzrok, ale możliwe też, że mam paranoję.

– Dwie dostawy zostały przechwycone przez psy, jedna po drugiej – mówi, a ja czuję, jak słońce parzy mnie w plecy, chociaż siedzę w cieniu. – Gdzieś jest informator.

Nerwowo poprawiam kołnierzyk koszuli.

– To poważny zarzut, *Señor*.

Camino mruży oczy.

– Nie mówię o tobie.

Nalewam sobie wody do szklanki i upijam łyk. Mam ochotę zajeść sobie z pięści w ten głupi łeb. Zanim podjąłem się bycia szczurem, nigdy bym nie palnął czegoś tak głupiego. Sam fakt, że w ogóle przyjmujesz taki zarzut, jest potwierdzeniem, że nie można ci ufać.

– Ja też nie miałem na myśli siebie – wyjaśniam szybko.

Ale to nie znaczy, że obaj w to wierzymy. Problem w tym, że teraz każde jego słowo będzie dla mnie podejrzane, bo właśnie tak wygląda bycie kapusiem. Ale co mogę zrobić? Muszę w to brnąć do samego końca.

– Kiedy już się dowiem, komu się znudziło oddychanie świeżym powietrzem, chcę, żebyś zmienił trasy i ludzi, z którymi pracujesz.

Potakuję z ulgą, że nie draży tematu przy mnie.

– Kilku już wymieniłem.

– Widocznie za mało.

Camino rzadko tak reaguje. Ale teraz wyczuwam, że coś wie, więc zaczynam panikować jeszcze bardziej. A to, kurwa, sprowadzi na mnie więcej podejrzeń.

– Zawsze ktoś sypnie. Sam pan wie, że to ryzyko naszej pracy.

To właśnie jego słowa. Często mi to powtarzał, kiedy wpadałem w szal, bo ktoś nas sypnął i straciłem grube miliony. Oczywiście on nie bardzo się tym przejmował, bo to ja miałem dług u niego, a nie odwrotnie. Wiedział, że i tak go spłacę.

– Owszem, tego, kto kapuje, również.

Uśmiecha się cynicznie.

Nie wiem, czego ode mnie oczekuje, ale nie zamierzam dawać się w to wciągnąć. Najchętniej wpakowałbym mu kulkę w czoło i po prostu stąd odszedł. Jeszcze nigdy nie byłem tak zmęczony tym, co robię. Chcę żyć w spokoju, cieszyć się każdym dniem z moimi chłopcami. To dzięki nim pragnę być lepszym człowiekiem.

– Udanych wakacji z rodziną – mówi wreszcie, więc wstaje.

– Dziękuję, jesteśmy w kontakcie.

Oddalam się na miękkich nogach. Wiem, że w każdej chwili mogę dostać kulkę w plecy. Widziałem już takie akcje. Camino zapraszał do tego domu różnych ludzi. Jadł z nimi obiad, pił drinki, żartował, a na końcu częstował ich łuską z prochem.

Wsiadam do samochodu i czekam, aż otworzą mi bramę. Dopiero gdy odjeżdżam spory kawałek, czuję się w miarę bezpiecznie. Prycham, kręcąc głową. Jak mogłem tak żyć? Dlaczego wcześniej się nie bałem? Czy granie do jednej bramki z Camino naprawdę dawało mi poczucie bezpieczeństwa? Wychodzi na to, że od zawsze byłem idiotą.

Wpadam do domu i od razu nalewam sobie hojną porcję whisky. Zanim zdążę wypić ją duszkiem, Marina jest już przy mnie. Czujna jak ważka.

– Z samego rana wyjeżdżamy – mówię, ocierając usta. – Nie możemy dłużej czekać.

Nalewam sobie drugą szklankę i ją też przechylam do dna.

– Co się stało? Co powiedział ten łajdak?

Przecieram twarz i patrzę w jej przerażone oczy.

– Jest podejrzliwy. Na pewno ktoś nas śledzi. Nie możemy dłużej ryzykować – szepczę konspiracyjnie.

– Muszę dokończyć pakowanie.

– Dzisiaj.

Całuję ją w czubek głowy i idę zająć się chłopcami. Nie wiem, ile czasu mi zostało, ale wiem, że każdy dzień w tym domu, w tym mieście, naraża nas na większe niebezpieczeństwo. Wiem, że wizyta żołnierzy pod pozorem odwiedzin moich dzieci była zaszyfrowaną wiadomością. I nic nie mogę zrobić. Nie mogę nawet im tego zakazać.

Po kąpieli i karmieniu usypiam chłopców i zwołuję rodzinną naradę w saunie. W tym momencie tylko tam możemy swobodnie porozmawiać. I na pewno nikt nie wejdzie tam bez zapowiedzi.

Więc oto jesteśmy. W szóstkę, jak jedna wielka rodzina. Rodzina z wyboru. Każdy owinięty białym ręcznikiem, każdy wystraszony, każdy w duchu liczący na to, że zejdzie do nas sam Pan Bóg i powie, że to wszystko było tylko kiepskim żartem.

Przedstawiam szczegóły planu „Wakacje”. Kobiety mają w pełni korzystać z życia, jak to na urlopie. Jestem pewny, że Camino wyśle za nami ogon.

– Ale przecież, gdy my będziemy na plaży, będzie podejrzane, że nie ma was przy nas – stwierdza Jo.

– Będziemy z wami – uspokajam ją. – Rozmowy z *nimi* będziemy prowadzić w godzinach nocnych.

A właściwie wielogodzinne pranie mózgu przez ludzi, którym nie powierzyłbym psa, a powierzam swój los.

Totalny obłąd.

– A sen? – dopytuje dalej Jo.

– Wyśpimy się w celi.

– Troy, przestań! – Marina szturcha mnie łokciem.

– Słuchajcie, musicie grać na miarę Oscara – mówi Travis.

– Maria, to zawsze było twoje marzenie, więc możesz się trochę podszkolić – zauważa Cade.

Moja siostra patrzy na mnie wilkiem.

– Bardzo śmieszne. Gdyby mój brat opłacił mi studia aktorskie, miałabym przynajmniej jakąś praktykę. Widzisz? – Celuje we mnie palcem. – To się nazywa karma.

Kręcę głową.

– Talent nie potrzebuje papierka, udowodniłaś to już nie raz.

Łzy na zawołanie to jej specjalność, daję słowo.

– Nie podlizuj się.

– Chcę wiedzieć, od czego zaczniecie rozmowy z nimi – mówi Marina, wracając do tematu. – Na co musimy się przygotować? Jaką dostaliście umowę?

No dobra, czas zaprosić kobiety za kulisy. To moment, w którym nie będziemy już mieli przed sobą żadnych tajemnic. Moment, którego pragnąłem, odkąd tylko ją zobaczyłem. A przynajmniej od kiedy pierwszy raz się z nią kochałem. Chciałem powiedzieć jej wszystko już dawno temu, żeby złączyć rozsypane części i stworzyć z nas całość.

Więc zaczynam:

– Umowa jest korzystna, ale istnieje pewien haczyk, a w zasadzie kilka. Cały proces ma polegać na tym, że z jednej strony będę przekazywał wszystko, co wiem, a z drugiej nagrywał wszystko, co teraz robię.

Marina mało nie spada z ławeczki.

– Ale to zbyt niebezpiecznie! Czyli od momentu podpisania umowy dalej masz robić to, co robisz?

Potakuję, wiedząc, że znowu ją denerwuję.

– Tak, to część planu. – Zastanawiam się przez chwilę, przyciągając ją do siebie. – Dziwne, nie? Teraz będę prowadził narkobiznes legalnie.

Kurwa, to wszystko jest bardziej pojebane niż całe moje dzieciństwo.

– Jak zamierzasz to nagrywać? Przecież mogą cię zabić.

Niestety mogą mnie zabić w każdej chwili, bez względu na to, czy ich nagram, czy nie. Wystarczy cię podejrzeń Camino i *adiós*.

– Tylko tak mogę to zakończyć, skarbie. Będę nagrywał planowane dostawy, a potem przekazywał, gdzie się odbędą.

– Oczywiście jakieś muszą też dojść do skutku, żeby zapłacić Camino – dodaje Travis. – Tych Troy nie będzie nagrywał. Inaczej mielibyśmy za duży dług, a wtedy już na pewno Camino by nas wystrzelał. Przy życiu będzie nas trzymała tylko forsa, którą dla niego zarobimy.

Opieram głowę o ścianę i nabieram powietrza w płuca. Gapię się w sufit, myśląc o tym, że sprzedam coś, co budowałem tyle lat. Ot tak. Dostaną to bez żadnego wysiłku. Jak zawsze zresztą.

– Będą wiedzieć wszystko – mówię. – Będą słyszeć, jak negocjuję ceny, organizuję podział towaru między hurtowników i gdzie będzie rozładowywany transport. Aż wreszcie się dowiedzą, że pieniądze zawsze są odbierane w tym samym miejscu, gdzie dostarczany jest towar. Sprzedam im ludzi, którzy mają rodziny i pracują dla mnie od lat. Sprzedam im ludzi lojalnych i dobrych, których jedynym błędem było to, że stanęli na mojej drodze.

Wyczuwam dłoń Mariny na swoim policzku. Spoglądam na nią i wiem, że ona wie. Wie, że to najcięższa i najboleśniejша decyzja, jaką podjąłem. Traktowałem tych ludzi jak rodzinę, oni mnie też. Wie, że nie ufam glinom. I wie, że mam swoje powody.

Gdzie byli gliniarze, kiedy matka katowała dwuletniego chłopca, a potem go głodziła? Dlaczego nigdy za to nie zapłaciła? Bo nikt nie przyszedł do nich z gotowym materiałem? Więc w zasadzie od czego są? Jaka jest ich rola? Czy małe dzieci nie podlegają ich ochronie? Czy nie należy bronić ich praw?

Noszę w sobie zbyt wiele urazy, żeby przełknąć to wszystko bez popitki.

– Wiem, że to dla ciebie ciężkie – mówi ciepło moja żona. – Ale ja zawsze będę przy tobie.

Uśmiecham się z wdzięcznością. Nie musi tego robić, nie musi nawet na mnie czekać i sam nie wiem, czy mogę ją o to prosić. Być może Mike znajdzie jej odpowiedniego partnera, a mi w prezencie przyniesie pozew rozwodowy. Ale wiem, że po raz pierwszy postępuję właściwie.

– Najtrudniejsze jest jednak to, że będę musiał was opuścić – mówię.

Całuję ją czule, ale nie mówię nic więcej. Nie mówię, że może sobie ułożyć życie i nie powinna na mnie czekać. Chyba nigdy nie będę na tyle silny, żeby coś takiego wyszło z moich ust. Jeśli kiedyś podejmie taką decyzję, będę musiał z tym żyć, ale nie chcę się do tego przyczynić. Chcę wierzyć, że ta kobieta jest mi pisana do końca moich dni, jakiegokolwiek by one były. Inaczej nie miałbym siły stawić czoła temu, co zamierzam zrobić.

To takie proste.

Miłość daje nam siłę.

Finito.

– Dobra, przestańcie, bo chce mi się ryczeć – mówi moja siostra i wciska palce do oczu. – Co dalej? – Patrzy na mnie. – To cenne, wręcz najcenniejsze informacje, jakie im przekażesz. Ci idioci nigdy sami by ich

nie zdobyli. Jesteś najważniejszym informatorem w historii, musisz dostać niski wyrok, do diabła. Dzięki tobie rozpieprzą cały północnoamerykański rynek handlu narkotykami.

W odpowiedzi tylko kiwam głową.

– Niestety nikt niczego nie może nam obiecać – mówi Cade. – Bo ostateczna decyzja należy do sądu federalnego.

– Jak bardzo możemy im ufać? – pyta Jo.

– Mojemu tacie na pewno.

Zerkam na Marinę, ona na mnie. Czy ufam jej ojcu? Nie. Ale nie chcę jej ranić.

– Warunkiem do rozmów z nami jest brak jakichkolwiek meksykańskich władz – mówię. – Nikt. Zero. Zgodzili się, bo wiedzą, że łatwo ich przekupić.

Nastaje chwilowa cisza, w której wszyscy przetrawiają te informacje. Każdy w jakimś stopniu w tym siedzi i każdy odczuje to wszystko na własny sposób. Najbardziej jednak martwi mnie los naszych kobiet i dzieci. My będziemy w celi, pod całodobową ochroną, z dostępem do wody i jedzenia. Natomiast one będą musiały żyć pod gładem, a jednak nadal jakoś funkcjonować. Dzieci za kilka lat zaczną szkołę, będą chciały chodzić do kina, na plac zabaw, do McDonalda...

A to wszystko będzie cholernie ryzykowne.

– Tak sobie myślę, że ci ludzie również ryzykują swoje życie – mówi Marina. – Przecież gdyby ktoś się o tym dowiedział, zabiłby również ich. – Potakuję i przytulam ją do siebie. – Mojego ojca również – dodaje.

Tak, to ryzyko dla każdego. Chociaż Michael Moore zawsze zdoła uratować swój tyłek. Ale co mam jej powiedzieć? Kocha swojego ojca i to on z nią zostanie, kiedy ja będę płacił za swoje błędy. Nie chcę go oczerniać, ale jeśli istnieje na świecie sprawiedliwość, moja żona wkrótce otworzy oczy.

– Twój ojciec sam wszystko ci wyjaśni – mówię na odczepnego.

– Czyli... musimy wrócić. Musimy tu wrócić i dalej mieszkać w tym domu. – Patrzy na mnie, czekając, aż zaprzeczę. – Kurwa, myślałam, że to koniec!

Kręcę głową, która od nadmiaru problemów staje się ciężka.

– Nie, najdroższa. To dopiero początek.

ROZDZIAŁ 26

MARINA

Patrzę na tatę, zaciskając pięści, a potem wstaję z fotela i zaczynam chodzić w kółko. Nie wierzę, że to powiedział. Nie wierzę, że mówi o tym tak spokojnie. Mój mąż chce zmienić swoje życie i zapłacić za wszystkie błędy, które popełnił, poświęca miłość do mnie i do naszych dzieci, a on mi mówi, że niczego nie może mi obiecać?

– Ale obiecywałeś mi, że mu pomożesz!

– Cały czas to robię, Marina – odpowiada spokojnie. – Ciągłe trzymam rękę na pulsie.

Czyżby?

– Mówiłeś co innego. W domu. Mówiłeś, że dzięki współpracy Troy dostanie mniejszy wyrok.

Tata przymyka powieki, po czym wzdycha.

– Bo tak na pewno będzie, chociaż nie powinienem był tak mówić. Czy ty rozumiesz, że...

– Ostateczna decyzja należy do sądu federalnego, bla, bla, bla. Czy ten sąd rozumie, kim jest mój mąż? Jakimi informacjami dysponuje? Ile ton narkotyków miesięcznie jest szmuglowanych do naszego kraju i ile pieniędzy jest z niego wywożonych tirami?

– Może chcesz zeznawać za niego? Widzę, że ty również masz sporą wiedzę na ten temat.

Brzmi pretensjonalnie, ale mam to w nosie.

– Bo Troy niczego przede mną nie ukrywa.

– Tak wygląda małżeństwo, dziecko.

Siadam obok niego i chwytam go za rękę, patrząc mu głęboko w oczy.

– Tato, proszę. Potraktuj go jak syna, proszę... – Zaciskam powieki. – Jest moim mężem, kocham go, jest ojcem twoich wnuków. Błagam cię, pomóż

mu.

– Troy zostanie potraktowany łagodniej, co nie znaczy, że będzie na uroczystości wręczenia dyplomów waszym dzieciom.

Łkam bezgłośnie, kryjąc twarz w dłoniach. Cała nadzieja, z którą tu przyszedłam, rozprysnęła się w powietrzu. Nic tak nie boli jak brak wiary w lepsze jutro. Nie mam już nic, czego mogłabym się trzymać. Pozostało mi przygotować się na to, że zobaczymy się, kiedy nasze dzieci będą dorosłe. Wychowam je sama, bez udziału ich ojca, choć ten kocha je najbardziej na świecie.

Słyszę, że coś łąduje na stole, więc przestaję wyć i z ciekawości podnoszę wzrok.

Wielka koperta.

– To wasza nowa tożsamość – mówi tata. Ton jego głosu doprowadza mnie do szału. Zachowuje się, jakby właśnie podarował nam bilety do Disneylandu. – Przekaż to reszcie. Wasze dzieci również mają nowe paszporty i akty urodzenia.

W popłochu otwieram kopertę, a potem poszczególne paszporty, ale za chwilę chowam je z powrotem. Nie chcę na to patrzeć, bo w ogóle się z tym nie utożsamiam. Dla mnie to tylko pożyczona tożsamość. Nic więcej.

– Kiedy mam wrócić do Stanów? – pytam tatę.

– Wrócisz ostatnia.

Raptownie wstaję.

– Co?

– Usiądź i zacznij mnie wreszcie słuchać, bo wkrótce zostaniesz zupełnie sama, żebyś mogła przeżyć. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Rozumiesz, co to oznacza?

Chwytam się za włosy i szarpię z całych sił. Mam wrażenie, że zaraz wybuchnie mi głowa. Dlaczego tylko ja w tym pokoju jakkolwiek reaguję?

– Skąd mam wiedzieć!

Szuram krzesłem i ponownie siadam. Obrażona, oplatom się ramionami i czekam na kolejny wykład mojego niewzruszonego ojca.

Wierzchem dłoni szybko wycieram łzy, by ich nie zauważył. Nie chcę płakać. Nie lubię tego robić, kiedy wiem, że druga osoba ma to w nosie. Czuję się upokorzona, ale nic nie boli mnie bardziej niż to, że nie robi to wrażenia na moim tacie.

– Na łzy już za późno, dzieciaku. Zostaw je na inny dzień.

Dzięki. Bardzo pocieszające.

– Dobrze, tato. Zostawię je na inny dzień.

Odwracam głowę w stronę okna, byleby nie musieć na niego patrzeć.

– Kiedy Troy zdobędzie kluczowy materiał z zeznaniami Camino, dostanie hasło, które będzie oznaczać powrót do kraju. On, Travis i Cade będą w drodze do San Diego, gdzie staną przed sądem.

Przesuwam na niego pełen napięcia wzrok.

– Myślałam, że... Ale jak to? Kto będzie chronił mnie, moje dzieci, Marię... Jo z jej córką. Co będzie z nami?

No, kurwa mać, nie wytrzymam zaraz.

– Będziecie musiały sobie poradzić. Żaden agent nie będzie ryzykował swoich ludzi, żeby was eskortować.

Kopię nogą w stół.

– Świetnie.

– Mnie również przy tobie nie będzie. – Unoszę wzrok na sufit, nie kryjąc już łez. – Posłuchaj, moja obecność może przynieść ci więcej szkody niż pożytku. Przeanalizowałem wszystko, każdą możliwość i najlepszym wyjściem będzie, żebyście wydostały się z Meksyku na własną rękę. Granica nie jest daleko, można do niej dojść na piechotę.

Prycham i kręcę głową.

– Mam uciekać z Meksyku na piechotę z dwójką dzieci?

– To metafora, skarbie. Musisz wziąć się w garść. Musisz zrozumieć, jak wielkim niebezpieczeństwem będzie wydostanie się stąd, gdy chłopaki znikną. Nie będzie czasu na pożegnania z mieszkańcami ani na zakupy na targu. Będziecie musiały działać od razu, nim ktoś się zorientuje.

Właśnie dał mi znać, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jakie życie prowadzę w Meksyku. A ja głupia odchodziłam od zmysłów, że rodzice nic o mnie nie wiedzą.

– Jestem pod ciągłą ochroną żołnierzy Camino. Niby jak mam to zrobić? Ci ludzie nigdy nie śpią.

– Powiesz, że jedziecie odwiedzić rodzinę w San Diego – instruuje tata, a ja kręcę głową. To najgłupsza wymówka, na jaką mógł wpaść. – Nie ma innego wytłumaczenia.

– Wiesz chociaż, kiedy to nastąpi? Muszę mieć jakiś termin, cokolwiek, czego mogę się chwycić.

– Wszystko zależy od Troya. Im szybciej zdobędzie kluczowy materiał, tym szybciej odda się w ręce władz i uwolni was z Meksyku.

Nie mówię już nic, bo nie ma takich słów, które oddałyby to, co w tej chwili czuję. Zostałam wmanewrowana w układ, o którym dowiedziałam się na samym końcu. Teraz pozostało mi o wszystkim opowiedzieć dziewczynom i przygotować plan naszej ucieczki.

ROZDZIAŁ 27

TROY

Wtorek, 4 października 2022

Z każdym dniem coraz bardziej zdaję sobie sprawę, że to się nie uda. I nie chodzi o to, że robię coś źle. Wprost przeciwnie – jestem tak wzorowym kapusiem, że sam w to nie wierzę.

Codziennie nagrywam wszystkie swoje rozmowy, co szybko okazało się syzyfową pracą. Przekazuję materiały do siedziby w San Diego, a następnie trafiają przetranskrybowane do agenta Bennetta. Samo szyfrowanie tych wiadomości zajmuje mi sporo czasu i muszę się przy tym nieźle napocić. To, ile czasu zajmuje DEA, żeby je odszyfrować, gównu mnie już obchodzi.

Antonio twierdzi, że idzie mi świetnie i wszyscy są ze mnie cholernie zadowoleni. W jeden dzień dostarczyłem materiału na całą teczkę. Zajebicie. Szkoda tylko, że dla nich to wciąż za mało.

Pieprzone harpie.

Nie mogę spać, bo ciągle się zastanawiam, jak zwabić do siebie telefonicznie Camino. Niestety zawsze wyręcza się swoimi ludźmi, a ci nie są w kręgu zainteresowań DEA. Agencja chce złowić rekina, bez swojego wysiłku, moimi rękami, które zaczynają mi już krwawić. Oddałem im wszystko, czego dorobiłem się w USA. Każdy apartament, dom, samochód, arsenał broni, biżuterię, sztabki złota i diamenty. Trzyście legalnych i prężnie działających firm. Kurwa, oddałem im nawet ubrania, buty i elektronikę!

I to wciąż za mało.

Dzisiaj szykuję transport trzystu kilogramów narkotyków do magazynu w Miami. Mam wrażenie, że zamieszkałem w swoim gabinecie. Nie wiem

już, co się dzieje po drugiej stronie drzwi. Otoczony papierami, gotowy w każdej chwili wyciągnąć z ucha słuchawkę, przez którą nagrywam każdą rozmowę.

Odbieram telefon od człowieka odpowiedzialnego za transport.

– Towar przeszedł przez sieć tuneli zgodnie z planem i przejechał już przez granicę.

– Świetnie – odpowiadam. – Daj mi znać, kiedy dotrze do Miami. Ma zostać odebrany równo o czwartej rano.

– Kto odbiera ładunek?

– Steve Wonder.

– Przyjąłem.

Rozłączam się.

Teraz towar zostanie umieszczony w ciężarówce, która autostradami dotrze do miejsca docelowego. Tam po podaniu hasła przechwyci ją dwóch agentów DEA. W ten oto sposób będą przejmować dostawę za dostawą, kopiąc mi coraz głębszy grób. Każdy nalot na starcie kosztuje mnie sześć milionów dolarów, czyli moje dziesięć procent, które zawsze z góry płacę Camino.

Każdy nowy facet wzbudza w moich ludziach strach i niepewność, ale w tej pracy to dzień jak co dzień. Nikt nie powinien zbyt długo się nad tym zastanawiać.

Natomiast ja będę musiał szykować kolejną śpiewkę dla Camino, gdy ten się dowie, że kolejny towar został skonfiskowany.

Środa, 5 października 2022

Następny dzień i znów to samo. Siedzę w swoim gabinecie z hektolitrami czarnej kawy i bufetem przygotowanym przez moją cudowną żonę. Od czasu do czasu zagląda do mnie z chłopcami, żeby zasilić mnie pozytywną energią i wiarą w to, że wszystko mi się uda. Tracę nadzieję, ale jeszcze jakoś się trzymam. Poza tym wiem, że nie ma już odwrotu.

Wysłałam kolejnego mejla do dziupli w San Diego. Potem odbieram ryzykowny telefon od agenta Bennetta. DEA nie wie, gdzie znajduje się wskazany przeze mnie magazyn. Kręcę głową, niedowierzając.

Wchodzę w Google Maps i nakazuję mu zrobić to samo. Oprawdam go po ulicach, aż docieramy do celu. Prościej się już chyba nie dało.

– Teraz rozumiem, jak do wszystkiego doszedłeś, Troy – mówi zadowolony Bennett. – Potrafisz nadzorować operację, nie wychodząc z domu. Dobra robota.

Wzdycham, przewracając oczami.

– Do usłyszenia, Dean. Czeka cię dużo pracy. I jeszcze więcej nauki.

Czwartek, 13 października 2022

Po tygodniu DEA ma już masę dokumentów, a ja – opustoszały czerep. Wciąż brakuje mi ostatniego puzzla, który pozwoli skleić wszystko w całość, tak żebym mógł to wreszcie sfinalizować. Zaczynam zdawać sobie sprawę, że nigdy siebie nie doceniałem. Skończyłem osiem klas, a stworzyłem imperium za setki milionów dolarów. Wkrótce się dowiem, ile dokładnie forsy przerzuciłem do Meksyku, bo DEA przez całą dobę czyta moje księgi rachunkowe.

Parskam śmiechem, dopijając wieczorną herbatę, którą parzy mi przed snem Marina. Z melisy rzecz jasna.

Dlaczego tak mnie bawi, że agenci czytają moje księgi rachunkowe? Bo trudno mi sobie wyobrazić nudniejsze zajęcie. Zawsze zapisuję wszystko jak najmniejszym druczkiem, żeby nie można było niczego wcisnąć. Nigdy nie używam do tego komputera ani drukarki. Nie zostawiam po sobie śladów na dyskach ani twardej pamięci. Lata pracy, każda dostawa, każdy odnotowany cent. Możliwe, że nigdy się nie dowiedzą, ile tak naprawdę zarobił Troy Tracker.

Niedziela, 6 listopada 2022

Wpadłem na pomysł, ale jak genialny, to się okaże. Postanowiłem podburzyć Camino utratą pięciu dostaw, jedna po drugiej. O ile skłonny jest uwierzyć w pech jednej, maksymalnie dwóch, o tyle więcej budzi w jego sercu mrok, dlatego liczę, że pod wpływem emocji wreszcie do mnie zadzwoni. Łudzę się, że zacznie wrzeszczeć i obwiniać mnie o stracone miliony, przyznając się tym samym do sprzedaży narkotyków.

Camino tępi szczury i brzydzi się informatorami, chociaż dam sobie jaja uciąć, że gdyby grożono jego dzieciom, sam stałby się jednym z nich.

Taki ukryty hipokryta.

– Wykańcza mnie to, Troy – mówi Marina, kiedy leżymy w sali kinowej i oglądamy drugi sezon *Peaky Blinders*.

– Wiem, ale skończyły mi się już pomysły. – Wrzucam garść popcornu do ust. – Muszę mieć wreszcie coś więcej.

– To trwa za długo. Ile jeszcze?

Zerkam na nią, marszcząc brwi.

– Tak szybko chcesz się mnie pozbyć?

– Wiesz, że nie. Ale chcę już mieć to za sobą. Chcę, żebyś ty miał to za sobą. Czeka cię jeszcze większy stres i rozłąka z nami. – Odwraca do mnie buzię, więc skradam jej szybkiego całusa. – Powiedz, że sobie poradzisz.

Muskam palcem jej nos, a potem ponętne miękkie usta. Ta kobieta zawsze najpierw troszczy się o mnie i nasze dzieci. Wciąż nie widzi tego, w jakiej sytuacji sama się znajdzie, a mnie każdego dnia zabija to na nowo. Dzień w dzień się zastanawiam, czy nie powinienem palnąć sobie w łeb, żeby oddać jej wolność.

– Tylko jeśli ty obiecasz mi to samo, aniele.

– Obiecuję.

Ściskam jej dłoń.

– Jesteśmy silni. Nie złamią nas. Nie pozwolimy im na to. Nasza miłość jest niezniszczalna, kochanie.

– Kocham cię i już za tobą tęsknię.

Kładzie głowę na moim ramieniu.

– Wiem, skarbie, wiem.

– Chciałabym chociaż, żebyśmy spędzili pierwsze święta z naszymi dziećmi razem. Jak prawdziwa rodzina.

– Patrząc na to, jak ciężko zdobyć mi ostatni materiał, pewnie tak będzie. Zrobimy takie święta, jakich nie widział Meksyk.

– Opowiedz mi jakie.

Wizualizuję sobie to wszystko przez chwilę, a potem wczuwam się, żwawo gestykułując.

– Kupimy największą choinkę, będzie sięgała po sam sufit. Ma być gęsta, świeża i pachnąca.

– Jodła, chciałabym jodłę.

– Więc będzie jodła. Na każdym piętrze po jednej. I wiesz co jeszcze? – Marina kręci głową, ale widzę, że podoba się jej moja wizja. – Ozdobimy nasze drzewka złotem i diamentami. – Całuję ją podekscytowany w usta. – Przebijemy pieprzony Dubaj, kochanie!

Uśmiecha się szeroko, a potem zaczyna piszczeć, czym mnie rozbawia.

– I dużo jedzenia! Wielki chrupiący indyk! Albo dwa!

Zataczam ręką łuk w powietrzu.

– Długie stoły pełne jedzenia!

Marina staje naprzeciwko mnie, ale nagle smutnieje.

– A co ze śniegiem?

– Załatwimy pieprzony śnieg! I pieprzonego Mikołaja z workiem prezentów.

Unosi ręce z ekscytacji.

– I rozwieziemy podarki po mieszkańcach!

Chichoczemy jak dzieci.

Wstaję i okręcam ją dookoła własnej osi. Nie mogę się doczekać, aż to wszystko się ziści.

– Tak, jako pan i pani Mikołajowa. Sprawimy tym dzieciakom prezenty, o jakich zawsze marzyły.

Oboje sapiemy, jakbyśmy wrócili z potańcówki, ale sama myśl o tym, że spędzę święta ze swoją rodziną, żoną, dziećmi, sprawia, że czuję, jakby było we mnie naraz dziesięć serc.

Marina przykładła dłoń do mojego policzka.

– W końcu z czegoś się cieszę, Troy. Już jutro zacznę przygotowania. Wydrukuję listy, które nasi ludzie porzysyłają po okolicy. Chcę zrobić coś dobrego, a nic tak nie leczy ran jak radość dzieci.

– Zgadzam się, skarbie.

Nagle moja żona przykładła palec do ust. Widzę, że nad czymś się zastanawia.

– Jaki mam budżet? – pyta w końcu.

– Taki jak zawsze, przecież wiesz.

Jej uśmiech rozciąga się od ucha do ucha.

– Nieograniczony.

Środa, 9 listopada 2022

Niestety mój plan nie wypalił. Camino wyręcza się swoją drugą prawą ręką, Alfredo. Tylko z nim mam kontakt telefoniczny, ale DEA twierdzi, że to za mało. Skoro ryzykują swoje życie, chcą dopaść samą głowę, nie szyję. Problem w tym, że nie mogę sam zadzwonić do Camino i zapytać go chociażby o pogodę. To tak nie działa. Szkoda, że ci idioci dalej tego nie rozumieją.

Sapię, zaciskając palce na krawędzi biurka. Mam, kurwa, dość. Gdybym mógł teraz komuś wyjechać, byłby to agent Dean. Jego debilizm właśnie sięgnął zenitu.

– Mogłem podać wam współrzędne i mogliście go dopaść! – Walę pięścią w blat. – To było największe zgromadzenie od dwóch lat! Było z dwieście ludzi, każdy na wysokim szczeblu, do kurwy nędzy! Po co daję wam to wszystko na tacy, skoro nie chcecie tego wykorzystać!

– To tak nie działa, Troy – mówi Dean. – Nie wysyłamy ludzi na takie akcje. Nie możemy ryzykować.

Patrzę przed siebie, analizując wszystkie wydarzenia i rozmowy, które odbyliśmy. Wszystko, czego sam się od nich dowiedziałem, łączę z tym, co chcieli ode mnie wyciągnąć.

– Wiesz, co myślę, Dean? – Prycham na tyle głośno, żeby to słyszał. – Gównu na mnie mieliście. Jestem pewny, że mogłem tak żyć do usranej śmierci i nigdy byście mnie nie dopadli.

Słyszę, jak Dean wzdycha, a potem chrząka. Wiem, że mam rację, ale mimo to nie żałuję swojej decyzji. Prędzej czy później musielibyśmy uciekać również z Meksyku, ale chcę, żeby cała komórka DEA wiedziała, że są do niczego i gdyby nie ich trzy tłuste litery na kurtkach, nikt nie chciałby z nimi nawet rozmawiać.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, Troy?

– Tak, nie będę waszym szczurem w nieskończoność. Moja żona jest kłębkim nerwów, a ja nie rozstaję się z nagrywarką. Za każdym razem ryzykując nasze życie. Jest tu troje małych dzieci, Dean. – Czuję, jak gniew rozpędza mi puls. – Masz dzieci?

– Nie mówimy o mnie, Troy.

Cmokam, rozmasowując szczękę.

– Odpowiedz, agencie Bennett. Masz dzieci?

Sprawdzam w telefonie, ile zajmuje mu odpowiadanie na moje pytanie, bo nie omieszka potraktować go w taki sam sposób.

– Tak.

– Czym twoje dzieci różnią się od moich?

Menda milczy. Nie wie? Zastanawia się? Myśli, że może przypisać moje dzieci do jakiejś pieprzonej kategorii?

– Tym, że nie miały wpływu, w jakiej rodzinie przyszło im się wychować? – podsuwam mu.

Szlag mnie trafia, gdy ktoś ignoruje moje pytania. Nawet jeśli są retoryczne.

Wciskam słuchawkę w ucho, jakbym mógł się przedostać w ten sposób na drugą stronę. Kurwa, ile bym oddał, żeby siedzieć z nim teraz twarzą w twarz.

– Masz je chronić, rozumiesz? – warczę. – Masz traktować moje dzieci tak, jakby były najcenniejsze na tej jebanej planecie, bo przysięgam – łapię oddech – kurwa, jeśli spadnie im choćby włos z głowy, wycofam się ze wszystkiego. Masz na to moje słowo, agencie Dean.

– Tr...

Rozłączam się i rzucam telefon na biurko. Agent Dean, nowy wrzód na mojej dupie, który zaczyna mnie już uwierać. Jak zmusić tego ćwoka do działania?

Kręcę głową i przeczesuję włosy. Nie mogę nic zrobić. Mimo że jestem dla nich cenny, nigdy nie zaryzykują swoich ludzi. Przestępcy zawsze stoją niżej w ich hierarchii.

Wyciągam papierosa i szukam zapalniczki, a potem patrzę na wyświetlacz drugiego telefonu jak zahipnotyzowany.

Ja chyba śnię.

Patrzę ponownie. Mrugam.

Strach miesza się z podnieceniem. Nie wiem, co mam robić. Wstaję i okrążam biurko. Spoglądam na wyświetlacz piąty raz. Ja pierdołę.

Dzwoni do mnie Camino.

Okej. Usiądź, chłopie. Głęboki wdech. To twoja szansa.

Wciskam guzik i odbieram.

– Witam, *Señor*.

Przełykam ślinę, ale to nic nie daje, więc łapczywie wypijam całą szklankę wody.

– Cześć, Troy. – Wyczuwam, że się uśmiecha. – Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy przez telefon?

Słyszę, że odpala papierosa, więc robię to samo.

– Bardzo dawno temu. Czy coś się stało, *Señor*?

Czekam na jego odpowiedź, wstrzymując oddech.

– Za dużo strat, masz coraz większy dług. Jaki masz plan?

Okej. To żaden nowy ani podejrzany temat. Wiedziałem, że będzie chciał go poruszyć, ale sądziłem raczej, że będę musiał do niego pojechać. Chciałem zabrać ze sobą dyktafon, co mogłoby się skończyć dla nas wszystkich tragicznie.

– Nie chciałbym omawiać planów przez telefon.

Camino śmieje się z ulgą, więc ja też lekko się rozluźniam.

L e k k o.

– Brawo, nie ufaj szczurom. Wszędzie są te jebane szczury, Troy.

Na nowo ściska mnie w żołądku, nerwowo przełykam ślinę.

– Wiem, ale naprawię to. Wprawdzie sam jest stratny, ale myślę nad nowym miejscem.

Czyli szlakiem, którym miałbym rozwozić to gówno, żeby nie zostać namierzonym. Robimy tak od zawsze. Zawsze przed nimi, zawsze mając plan B, który ratuje nasz biznes.

– Widzę, że nie zwalniasz tempa.

– Absolutnie nie, *Señor*.

Przez chwilę obaj milczymy. Staram się wykorzystać ciszę na opanowanie nerwów.

– Jak żona? Dzieci?

Gaszę papierosa i zastygam. Czasami wierzyłem, że go to obchodzi, ale teraz sam nie wiem, czy to możliwe.

– Prawie się z nimi nie widuję.

Znów cisza.

Odpalam drugiego papierosa, żeby po trzech machnięciach poczuć upragniony spokój. Gapię się w wielkie zdjęcie na ścianie. To portret mojej żony i synów, który przypomina mi, dlaczego to wszystko robię.

– Dlatego tępię szczury. Są zarazą, która roznosi się po całej rodzinie.

Zrzucam popiół i potakuję. On też jest zarazą dla mojej rodziny. Jest jak rak, który z miesiąca na miesiąc nas wyniszcza. Jedynym wyjściem jest pozbycie się go.

Wiem też, że wyświadczę tym światu przysługę.

– Nie wiem, kto kabluje, *Señor*. Nie zajmuję się takimi rzeczami i nie mam możliwości dojścia do prawdy.

– Myślę, że to twój nowy kierowca. Moi ludzie już go szukają.

To dwóch agentów DEA, więc miejmy nadzieję, że nigdy nie zostaną namierzeni.

– Na pewno nie wyjdzie tak szybko na wolność – stwierdzam ostrożnie.

– Ale zawsze ma rodzinę, która może za to zapłacić. – Jeśli przed chwilą zastygłem, teraz czuję się jak zmumifikowany. – Prawda?

Otrząsam się szybko, znów czując ścisk w żołądku.

– Racja – odpowiadam, choć bez przekonania.

Mógłbym pociągnąć temat zemsty, ale wzbudziłbym tym jego podejrzania. Camino sam decyduje, o czym będziemy rozmawiać, skoro już pofatygował się do mnie zadzwonić. Jeżeli uznał, że jest na tyle bezpiecznie, żeby poruszyć temat szczura i chęci odwetu na jego rodzinie, to znaczy, że zaczął ufać mi jeszcze bardziej.

I niech mnie szlag, ale nie mogę tego wykorzystać.

Niestety nasza rozmowa, choć istotna, nie przyniosła mi żadnej korzyści.

Sobota, 19 listopada 2022

Kiedy byłem mały, w domu nigdy nie mieliśmy choinki. Pamiętam, jak oglądałem święta przez witryny sklepowe albo podglądałem sąsiadów w ich domach. Zdarzało mi się też okradać ich z dekoracji, które mieli zamontowane na zewnątrz. I zdarzyło mi się włamać do środka, żeby ukraść słodycze czy trochę mięsa. Pamiętam, że kiedyś zwinąłem też lalkę dla Marii. Miałem wtedy dziesięć lat i byłem z siebie zajebiście dumny.

Kręcę głową na to wspomnienie. Dziesięciolatek był dumny z tego, że zajął innemu dzieciakowi świąteczny prezent.

– Powiedz „tata”, Timmy. – Mężę synka, odkąd zaczął gaworzyć, kilka razy dziennie, chociaż Marina twierdzi, że przeszło kilkadziesiąt.

– Timmy jest obrażony, bo wczoraj pierwszego wykapałeś Toby’ego. Zapomnij o współpracy.

Spoglądam spod przymrużonych powiek na moją krzątającą się po kuchni żonkę. Może to seksistowskie, ale uwielbiam ją w tym wydaniu. Uwielbiam

patrzeć, jak wyczarowuje dla nas pyszności, wkładając w to całe swoje serce.

Uśmiecham się czule.

– Gdybym nie wykapał go pierwszego, mielibyśmy łzawą operę do północy.

– Ale Timmy ma to gdzieś, kochanie. Możesz podać mi cukier do wypieków, bo mam brudne ręce?

Idę z małym do kuchni, żeby spełnić polecenie.

– A co to jest cukier do wypieków? To są różne cukry?

Jak kobiety mogą to wszystko spamiętać? Ja do tej pory nie wiem, ile czasu gotuje się ryż czy ziemniaki, nie wspominając już o tym, ile pierdół jest w każdym sklepie na dziale „wypieki”. Mąka orkiszowa, mąka pszenna, bezglutenowa, kokosowa, mąka zero, kurwa, jest nawet mąka z kukurydzy.

– Jest drobniejszy – tłumaczy mój Einstein od gotowania i wskazuje sklejonymi od jakiejś mazi palcami na szafkę. – Tu, na dole.

Otwieram drzwiczki i zamieram. Tu jest cały sklep! Tysiąc różnych opakowań!

– Tak, tu. Obok. Nie, obok, na lewo... – instruuje Marina, a mnie po czole płynie już pot. – Jezu, prawo, moje prawo, przepraszam.

Dobra, mamy to.

Otwieram paczuszkę, żeby się przekonać, czy cukier naprawdę jest drobniej zmielony. Nie jest. Nigdy bym go nie odróżnił od cukru, który sypię do herbaty. Wychodzi na to, że to czysty marketing.

– Zawsze się zastanawiam, jak ty prowadzisz samochód z nawigacją – rzucam uszczypliwie.

– Mam swój patent – odpowiada z dumą Marina. – Zawsze daję sobie sekundkę na upewnienie się, że ja i nawigacja mamy na myśli tę samą stronę.

Wybucham śmiechem i całuję ją w tył głowy.

– Jezu, jak to wszystko pachnie – jęczę. – Szkoda, że chłopcy nie będą mogli skosztować.

– Jak to nie? Zamierzam coś im przemycić.

Unoszę brwi.

– Ryzykując kolki?

– Za to wyobraź sobie ich radość. – Uśmiecha się.

– To okrutne, ale zgadzam się z tobą. – Wracam do chłopców i nachylam się, żeby dać im po całusie. – Małe grzeszki są potrzebne, tata coś o tym wie.

Słyszę, jak Marina chichocze.

Dwie godziny później zjawiają się Maria z Cade'em oraz Travis z Jo i małą Miną, którą lubię rozpieszczać, więc od razu kładę ją pomiędzy moich przystojniaków. Chcę, żeby od samego początku wiedzieli, że muszą ją chronić.

Mam dom, w którym bawi się trójka dzieci. Mam dom, w którym codziennie pachnie jedzeniem. I mam życie, o jakim nigdy nawet nie śmiałem marzyć.

Całuję swoją piękną żonę w odkryte ramię i gapię się na jej skupioną buzię, gdy układa pierniczki.

– Co? – pyta ze śmiechem. – Podobam ci się?

Krzywię się, kręcąc głową, a ona daje mi kuksańca w brzuch.

– Jezu, jak tu pachnie! – woła moja siostra.

Do kuchni wpada Jo.

– O rany, jakie piękne pierniczki! Będą pierniczki!

Rozśmiesza mnie ich radość.

– Będziemy je razem dekorować – ogłasza Marina. – Kupiłam wszystko, co tylko możliwe, więc nie zawiedźcie mnie.

– Ile będzie tych pierniczków? – pyta Maria.

Moja żona wzrusza ramionami, a ja zaciskam usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Doskonale wiem, że napiekła ich na trzy kolejne święta, tak bardzo się w to wszystko wkręciła.

– Dwieście, może trzysta...

– Dwieście?!

– Trzysta?!

Wybuchają dziewczyny niemal jednocześnie.

– No co? – Moja żona robi niewinną minę. – To nasze pierwsze i być może ostatnie wspólne święta, mają być niezapomniane.

Gładzę ją po buzi, dodając jej otuchy. Doskonale ją rozumiem i wiem, dlaczego tak się stara. Ja sam postanowiłem kupić wszystko, co tylko możliwe, i pobawić się w Robin Hooda.

Robienie dobrych rzeczy jest cholernie uzależniające, ale ludzie nie czynią dobra bezinteresownie. Wszystko, co robimy, robimy dlatego, że to

my czujemy się z tym dobrze. Ludzie krzywdzą, mszczą się, przepraszają, dają prezenty – bo chcą poczuć przyływ endorfin, które odpowiadają za szczęście. A im więcej endorfin produkujemy, tym wyższy poziom zadowolenia możemy osiągnąć.

Tak więc pomaganie innym działa na mnie jak narkotyki.

– Skąd weźmiemy Mikołaja? – pyta Jo, gdy wszyscy siedzimy już na podłodze, na wielkich poduchach, faszrowani przez moją żonkę jedzeniem.

– I renifery?

Patrzę na siostrę, marszcząc brwi.

Renifery?

– Zapłaci się komuś – stwierdza Cade jakby nigdy nic. Dziewczyny patrzą na niego, powstrzymując śmiech, więc chłopak od razu się gotuje. – Co? Chyba was pojebało! Nie będę robił za Mikołaja!

– Cade, nie kluj! – Marina rzuca w niego poduszką.

– Przepraszam.

– Brzuch masz prawie odpowiedni – dodaję z przekąsem.

– Dzięki twojej żonie.

Potakuję ze śmiechem i obrywam drugą poduszką.

– Słuchajcie – mówi nad wyraz poważnie Jo – najważniejsze, że jesteśmy razem i możemy cieszyć się czasem, który nam pozostał. Musimy wszędzie ustawić kamery i aparaty. Chcę mieć to wszystko uwiecznione.

– Wynajmie się kogoś, kto będzie za to odpowiadał – mówię.

Ja też chcę mieć to wszystko uwiecznione.

– Och, ty nasz Michaelu Corleone. – Jo szczyrzy do mnie zęby.

Marina zerka na mnie z uśmiechem i przytula głowę do mojego ramienia.

– Nie, to mój osobisty Thomas Shelby.

Naprężam klatę i wszyscy wybuchają śmiechem.

Nigdy nie miałem czasu na telewizję, ulubione filmy czy seriale. Nigdy nie spędzałem wieczorów przed telewizorem, ale od jakiegoś czasu jest to moja ulubiona część doby. To nasz rytuał. Każdego wieczora odpalamy kolejny sezon serialu.

Dzisiaj, kiedy już zostajemy sami, wybieramy sypialnię zamiast sali kinowej. Leżymy przed telewizorem, całujemy się, jemy świństwa i co jakiś czas komentujemy poczynania bohaterów. Marina ciągle przeżywa odejście

Grace, a ja duszę śmiech w poduszce i drocę się z nią, że pewnie bohaterka znalazła sobie innego.

Zachowujemy się jak para nastolatków. Moja żona twierdzi, że właśnie w taki sposób skradła mi serce – pokazując mi nastoletnią stronę swojej osobowości. Czy to prawda? Skoro ona tak mówi, to pewnie tak jest.

Całuję jej głowę, gdy wtula się we mnie jeszcze mocniej, i nasycam się zapachem jej włosów. Chcę go na długo zapamiętać.

– Jesteś taka młoda, kochanie. – Bawię się lśniącem kosmykiem. – Co ty tutaj robisz, hm?

Marina siada i saltuje, przez co od razu zaczynam się śmiać. Chciałem zrobić nastrój, wstęp do seksu, ale ostatnio nasze igraszki wyglądają trochę inaczej niż wcześniej. Potrafimy w trakcie rozmawiać o rzeczach, które musimy załatwić.

– Przyszłam na wezwanie miłości – mówi pogrubionym głosem.

Chwytam ją w pasie i przewracam na plecy, a potem nachylam się nad nią i przygryzam jej sutki.

– Kocham cię, wariatko, wiesz o tym?

Całuję każdy centymetr jej piersi, aż docieram do brzucha, obcałowując z czułością bliznę po cesarce. Cieszę się, że postanowiła ją zachować.

– Poradzimy sobie, prawda?

Wracam do jej twarzy, żeby spojrzeć w jej błyszczące oczy. Ogarnia mnie smutek, gdy widzę, że cierpi, ale nie chcę jej tego pokazywać. Wiem, że potrzebuje mojego zapewnienia, że to *ja* sobie poradzę.

– Zawsze będę was miał w swoim sercu, zawsze będę o was myślał. Tęsknił za wami. I odliczał dni do początku naszego nowego życia.

Obejmuję jej twarz.

– Jeszcze ci tego nie mówiłam, ale...

Marszczę brwi i zbieram palcami łzy z jej policzków.

– Nie płacz, skarbie.

Widzę, że się stara, że zaciska powieki i usta, ale łzy leczą wciąż od nowa.

– Dziękuję za to, co dla nas robisz – mówi, trzęsąc się od tłumionego szlochu. – Poświęcasz wszystko, żeby nas uszczęśliwić i zapewnić nam normalność, której sam tak naprawdę nie znasz.

Wtulam w nią głowę. Wiem, że ją krzywdzę, odkąd mnie poznała, ale jednocześnie kocham ją miłością tak wielką, że mógłbym obdzielić nią cały świat. Dlaczego miłość niesie ze sobą tyle bólu?

Unoszę się i patrzę jej głęboko w oczy.

– Gdybym musiał, wyciągnąłbym was z samego piekła, zawsze o tym pamiętaj. Robię to z miłości do was i zrobiłbym jeszcze miliony razy.

– Nie żałujesz?

Bez namysłu kręcę głową.

– Niczego. Przysięgam. To ja zawdzięczam wam życie, a nie odwrotnie.

Uśmiecham się lekko.

– Och, tak bardzo cię kocham, mój Shelby.

Marina przyciąga mnie do siebie, a ja parskam śmiechem i sunę palcem do jej majteczek, żeby uratować ten wieczór. Kiedy udaje mi się pozbawić ją bielizny, masuję kciukiem jej łechtaczkę, nie przestając całować jej ust.

Jej oddech przyspiesza, a ja staram się dopasować do jego tempa. Wiem, że mogłaby tak dojść, ale nie chcę marnować czasu na orgazmy przez palce.

Muszę w nią wejść. Ściągam bokserki i patrzę, jak przygryza dolną wargę, wyczekując mojego kutasa. Chwytam go w rękę i już chcę wycelować, kiedy rozlega się jakiś dźwięk.

– Słyszałaś?

Rozglądam się, czując, jak moje ciało się spina.

– Co? Dzieci śpią, kamerka działa. Nic się nie dzieje.

Zerkam na moniterek. Tak, chłopcy śpią. Ale to...

Zeskakuję z łóżka.

– To mój telefon.

Marina siada, równie poruszona jak ja. Gdy znajduję wibrującą komórkę, pokazuję jej, kto dzwoni.

Od razu skacze na równe nogi.

– Załóż słuchawkę. – Popycha mnie, a potem rzuca mi majtki. – Szybko, szybko.

– Czego chce o tej godzinie? – pytam ją, ale skąd ma to wiedzieć.

Podchodzi do mnie i chwyta mnie za twarz, tak po męsku.

– Poradzisz sobie, kochanie. Wdech, wydech. Dasz radę.

Wciągam bokserki i biegnę do gabinetu ze słuchawką w uchu. Camino zdążył już się rozłączyć, ale przecież nie mogę przepuścić takiej okazji. Siadam w fotelu i nalewam sobie koniaku. Wypijam zawartość szklanki na jednym wdechu.

I oddzwaniem.

– *Patrón?*

– Pewnie dzwonię nie w porę, ale uznałem, że potem będzie jeszcze trudniej cię złapać, a musimy coś omówić.

– Jeszcze nie śpię. Proszę mówić.

– Wiesz, że nie załatwiam takich rzeczy przez telefon, jednak chyba czas zrobić wyjątek. Tak będzie sprawniej. Chodzi o cenę za heroinę. Mogę opuścić ci siedem tysięcy za kilogram.

Przełykam ślinę tak gwałtownie, że niemal się krztuszę.

Właśnie użył słów, których potrzebowałem!

Przeczesuję ręką włosy. Nie, nie mogę mieć tyle szczęścia.

– Cieszy mnie pańska oferta – mówię ostrożnie. W każdej chwili Camino może się roześmiać i powiedzieć, że robi sobie ze mnie jaja. Nie mogę zacząć go wypytywać, bo to on rozdaje karty.

I niech go za to szlag.

– Jesteś cennym pracownikiem, masz kłopoty, a ja nie chcę kopać leżącej kury, która znosi dla mnie złote jaja.

Słyszę, że się śmieje, więc może uda mi się podtrzymać jakoś rozmowę i zdobyć coś więcej.

– Doceniam to, *Señor*. Czy cena za kokainę i amfetaminę jest taka sama?

Jeżeli odpowie. Nie wycofa się. Nie rozłączy. Kurwa, nie mogę nawet myśleć, że będę to miał, bo wysiądzie mi pikawa.

– Ile będziesz ode mnie brał w następnej dostawie do San Diego?

O kurwa.

Rozdziawiam gębę, nie dowierzając w to, co słyszę.

– Na dzisiaj powiedziałbym, że sto kilogramów.

– To za mało, Troy, żeby ze mną negocjować.

– Sto pięćdziesiąt, *Señor*, więcej nie mogę zaoferować.

– Mogę zjechać tysiąc dolarów za kilogram.

– Dwa.

– Półtora. To moja ostateczna oferta.

– Zgadzam się.

Camino się śmieje, a ja zasłaniam usta ręką, żeby powstrzymać swój uśmiech. Dopóki się nie rozłączy, a ja się nie upewnię, że mam to nagrane, nie mogę się cieszyć.

– Widzisz, Troy? W trzy minuty dobiliśmy targu na setki milionów dolarów. Gdzie znajdę kogoś takiego jak ty?

Nigdzie.

- Schlebia mi pan, ale dziękuję.
- Pozdrów żonę. I wesołych świąt.

Rozłącza się, a ja od razu sprawdzam nagranie. Potem zrywam się z fotela i biegnę do Mariny.

Gdy wpadam do sypialni, siedzi na skraju łóżka i gryzie z nerwów palce. Ale na widok mojej zajaranej gęby wstaje.

Puszczam jej nagranie.

- Mamy to – mówię.
- To koniec?
- Tak.

Siada z powrotem na łóżku. Wydaje się zrezygnowana.

– Nasz koniec. Koniec naszej rodziny.

Kucam i ujmuję w dłonie jej twarz.

– Nie, zabraniam ci tak myśleć. Rodziną jest się zawsze. Łączy nas coś więcej niż małżeństwo, pamiętasz? Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Nigdy nam tego nie odbiorą.

– Boję się – szepcze. – A co, jeśli on cię sprawdza?

– Nie, Camino ma do mnie zaufanie. Zadzwoił, bo pali mu się pod dupą. Chce mnie do siebie przywiązać swoim towarem, żebym dalej dla niego pracował, zadłużając się. Wcześniej tego nie widziałem, ale to najsprytniejsza taktyka, jaką ktokolwiek mógł wymyślić.

– Co teraz?

– Muszę to jak najszybciej wysłać do dziupli, żeby Stany Zjednoczone mogły postawić go w stan oskarżenia i zamknąć na dożywocie.

Marina znowu wstaje i przeciera oczy, jakby chciała zedrzeć z nich smutek.

– Dobrze. Zrób to. Niech to się już stanie. Niech on już zniknie.

Biegnę z powrotem do gabinetu, wyciągam z sejfu laptopa i siadam przy biurku, żeby włożyć ostatni element układanki. Wysyłam nagranie i dziesięć kopii, tak na wszelki wypadek, a potem już tylko czekam na potwierdzenie. Jest późno, ale może agent Dean jest na tyle dużym chłopcem, że nie zasypia przed dobranocką.

Czekam.

Czekam dobre dwadzieścia minut.

Zaczynam krążyć po gabinecie. Boli mnie każdy mięsień, czuję, jak moja szczęka się zaciska. Mam potwierdzenie. Camino obciążył sam siebie. Ale

czy można im ufać? Czy faktycznie im to wystarczy? W zasadzie dlaczego mieliby się mną przejąć? Oddałem im wszystko, więc może nie jestem im już potrzebny.

Mogą mnie tu zostawić na pewną śmierć.

Gdy słyszę dźwięk wiadomości, podbiegam do laptopa i siadam na fotelu. Cały się trzęsę. To Dean. Klikam w wiadomość, biorę kartkę, długopis i rozszyfrowuję ją.

Stworzyłem własny system, którego ich nauczyłem. Kurwa, powinni mnie zatrudnić, a nie wysyłać do pudła.

Wiadomość od Deana brzmi: „Mamy to. KURWA, MAMY TO”.

Oddycham z nieopisaną ulgą. A przecież to oznacza, że moja rodzina zaraz zostanie rozbita. Nie zobaczę, jak dorastają moi chłopcy. Nie będę czuł przy sobie ciepła żony i nie wiem, czy jeszcze kiedyś w ogóle ją zobaczę. Przecież może ułożyć sobie życie z kimś innym, lepszym, normalnym.

Postępujesz słusznie, Troy.

Tak. Jeśli to wszystko oznacza spokój moich bliskich i ich bezpieczeństwo, tak właśnie musi być.

Wracam do Mariny, która wciąż siedzi na krawędzi łóżka wpatrzona w podłogę. Jest nieobecna, pogrążona w myślach, a ja nie wiem, jak mogę ją pocieszyć. Bo niby co mam powiedzieć? To koniec. Za chwilę się rozstaniemy i żadne z nas nie wie, kiedy znów będziemy razem.

– Udało się? – pyta, gdy siadam obok niej.

– Tak, kochanie. – Masuję jej ramię.

– I co teraz? Czy to stanie się już jutro?

– Myślę, że nie. Dean musi przekazać tę wiadomość prokuratorowi, który będzie mnie patroszył.

– Proszę, nie żartuj z tego.

– Zaraz będą święta. Nikt nie będzie rezygnował z indyka, żeby przewieźć mnie do paki.

Próbuję ją rozśmieszyć, ale ten temat jest dla niej za trudny. Kładzie głowę na moje uda, a ja głaszczę ją po włosach.

Będę za nią kurewsko tęsknił.

– Będzie mi ciebie strasznie brakować, Troy. Wręcz, niewyobrażalnie będę za tobą tęsknić.

Potakuję, doskonale to rozumiejąc.

– Ja za wami też, najdroższa. Ja za wami też.

– Czy ten prokurator jest po twojej stronie?

– Nie znam ani jednego prokuratora, który kiedykolwiek był po mojej stronie. – Śmieję się.

– Ale współpracujesz. Musi być dla ciebie łaskawszy. To część umowy.

– Z sędzią nie wiąże mnie żadna umowa, kochanie.

To najtrudniejsze do przełknięcia. Nieważne, ile z siebie dam, jakie dowody przedstawię. Zawsze mogę dostać surowy wyrok, bo jakiś facet uzna, że nie jest to wystarczająco wartościowe.

Po godzinie siedzę z Mariną w łóżku i przypominam jej, co ma robić, kiedy dostanę telefon. Jest tyle rzeczy, które chcę jej powiedzieć, ale nie mam odwagi. Tyle że zegar tyka i nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybym nie zdążył.

– Pamiętaj o dokumentach – proszę ją. – Pamiętaj o wizach, pamiętaj, że przekraczając granicę, nie jesteś Mariną Tracker. Musisz to zapamiętać, od tego zależy wasze życie.

– Wiem, będę pamiętać.

– Weźcie tylko to, co niezbędne. I zachowuj się tak, by nie było widać, że uciekacie. Zostaw w domu nawet jebany rosół na gazie.

– Denerwujesz się, Troy, a ja tego nie zniosę. Ktoś z nas musi być silny.

Chwytam ją za ramiona, bo siedzimy naprzeciwko siebie.

– Ty też jesteś silna. To nowa sytuacja dla nas wszystkich. Nikt nie wie, co tak naprawdę się wydarzy. Ale posłuchaj, posłuchaj mnie uważnie. – Biorę głęboki oddech. – Nigdy nie bój się na tyle, żeby nie móc działać.

Marina analizuje przez chwilę moje słowa, a potem szybko potakuje.

– Okej. Okej, skarbie.

Łapię oddech, wstrzymując łzy.

– Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. Nie jest to dla mnie proste...

Wstaję, bo ciśnienie jest dla mnie nie do wytrzymania. Ona robi to samo. Chwyta mnie za ramię, żeby mnie do siebie odwrócić.

– Mów, Troy. Proszę, nie trzymaj mnie w wiecznej niepewności.

– Kiedy mnie zabiorą, ja dalej będę składał zeznania. Przez pół doby. Zanim sędzia wyda na mnie wyrok, nie będę mógł zobaczyć ciebie ani chłopców.

Dotyka mojego policzka.

– To nic, kochanie, to nic. Poczekamy. Tak wiele już razem przeszliśmy. Potem będzie już z góry.

Muszę, muszę jej to powiedzieć.

– Nie chcę, żebyś przychodziła do więzienia. Ani ty, ani dzieci.

Marszczy brwi i robi krok do tyłu.

– Jak to? Ale... Troy? Ja muszę cię widywać!

Podchodzę do niej.

– Nie, to zbyt ryzykowne. Chcę, żebyś żyła najnormalniej, jak to tylko możliwe. Nie zabieraj naszych dzieci do więzienia. Musisz to dla mnie zrobić.

Chwytam za jej drobne ramiona, ale ona uderza mnie w tors i się odsuwa.

– A co, jeśli dostaniesz do odsiadki dwadzieścia albo trzydzieści lat?!

– Tym bardziej. Nie chcę, żebyście oglądali mnie w więzieniu. Nie chcę, żeby moi synowie zapoznawali się z tym miejscem. Musisz ich chronić. Musisz mi to obiecać, to jedyne, o co cię proszę, Marina.

Mruga szybko, odganiając łzy.

– Jak możesz prosić mnie o coś takiego? Oni o tobie zapomną.

Kręcę głową. Nie chcę tego słuchać.

– Nie pozwolisz im na to. Pokażesz im moje zdjęcia z czasów, gdy byłem wolnym człowiekiem. Będziesz im o mnie opowiadała, aż pewnego dnia sam do was przyjdę. Gdziekolwiek będziecie, odnajdę was, kochanie.

Gładzę kciukiem jej twarz, nienawidząc się za to, o co ją proszę. Ale tylko tyle mogę dla niej zrobić. Zdjąć z niej ciężar odwiedzania mnie w pudle i ciągnięcia tam naszych dzieci. To nie jest miejsce dla nich.

Unosi na mnie zapłakane oczy.

– Chcesz o mnie zapomnieć?

Chryste, co?

Chwytam ją jedną ręką w pasie, a drugą odgarniam jej włosy przyklejone do policzka. Trzymam ją mocno, żeby nie mogła się cofnąć.

– Nie. Co ty mówisz, Marina? Nigdy o tobie nie zapomnę, nigdy. Oboje musimy się poświęcić dla dobra naszych chłopców. To właśnie oni są najważniejsi. Zrozum, są dla mnie wszystkim, a nie będę mógł ich wychować. Ochronić ich. Potrzebuję, żebyś to dla mnie zrobiła. Tylko o to cię proszę.

Patrzę jej błagalnie w oczy i widzę, że zaczyna rozumieć. To nie jest dla mnie proste, ale w życiu trzeba czasami się poświęcić dla tych, których się

kocha.

Prawda?

– Dobrze, zrobię to – mówi wreszcie. – Ale wiedz, że właśnie złamałeś mi serce.

Przytulałam ją mocno, pragnąc nigdy jej nie wypuścić.

– Poświęcę wszystko, żeby je posklejać, skarbie.

– Czy będę wiedziała, gdzie będziesz? W którym więzieniu? Czy będę mogła chociaż do ciebie zadzwonić?

– Nie wiem. Ale wiem, że ja nigdy nie poznam waszego adresu, siedząc w więzieniu. Będziecie żyli zupełnie inaczej. Nie wolno ci zawierać nowych znajomości i przyjaźni. Nie wolno ci wychodzić bez ochrony ani zamawiać paczek do domu, żadnego śladu adresu. Nawet dla mnie.

Czuję, jak jej ciało robi się wiotkie, więc pozwalam jej odejść, żeby mogła ochłonać i poukładać sobie to wszystko. Obserwuję, jak krąży po pokoju, a potem nalewa sobie wody do szklanki i zamacza w niej usta.

– Boże, to naprawdę się dzieje – mówi. – I naprawdę jest niebezpieczne.

– Wiem, że twój ojciec zaopiekuje się wami, więc jest mi trochę lżej.

Z hukiem odstawia szklankę na stolik nocny.

– A kto zaopiekuje się tobą? Całe życie jesteś sam, nikt nigdy się o ciebie nie troszczył! Gdzie jest pieprzona sprawiedliwość! – Celuje we mnie palcem. – A teraz, kiedy ja chcę to zrobić, ty mnie odrzucasz! Odrzucasz mnie i nasze dzieci, bo tak będzie ci lepiej! Ale mi nie będzie, Troy! Potrzebuję cię, do jasnej cholery!

Rozumiem to, naprawdę.

Wiem, że oboje mamy rację, ale tylko jedna decyzja może zostać podjęta. I uważam, że moja. Nie mogę jej zmienić, ponieważ przeanalizowałem już wszystko i wiem, że tak będzie dla nich lepiej. Owszem, dzięki widzeniom byłoby nam łatwiej, ale nie mogę pogodzić się z tym, żeby moje dzieci przychodziły do więzienia. Nie po wszystkim, co sam przeszedłem.

Próbuję jeszcze raz do niej podejść, przytulić ją i ukoić jakoś jej ból.

– Kochanie, w ponad dwa lata dałaś mi więcej, niż na to zasłużyłem. Więcej, niż potrafię w sobie pomieścić. Dałaś mi siebie, swoją miłość, ciepło domowego ogniska i dwóch wspaniałych synów. Nauczyłaś mnie kochać. Dałaś mi tyle miłości, że zabiorę ją ze sobą do pudła i wystarczy mi na wiele, wiele lat.

Uśmiecham się szczerze, a wtedy ona do mnie przywiera i zaciska palce na moich plecach. Przytulamy się tak mocno, jakbyśmy chcieli się połączyć w jedno ciało.

– Ja nie potrafię nawet bez ciebie zasnąć, Troy... – szepcze w moją szyję.
– Jak mam sobie poradzić, żyjąc bez ciebie?

Gładzę ją po włosach, mając tylko jedną odpowiedź.

– Będiesz miała przy sobie chłopców. Proszę, doceniaj to.

Milczy, a ja czuję, że płacze. Wiem, że ma teraz kołowrotek myśli, ale może zrozumie, że w tym całym dramacie ma coś, czego nie będę miał ja.

Naszych chłopców.

To oni dadzą jej siłę i radość. To oni w końcu przyniosą jej ukojenie. Nigdy nie będzie sama. Dokądkolwiek pójdzie, jakkolwiek będzie jej źle, oni zawsze mają przy sobie worek pełen miłości.

ROZDZIAŁ 28

MARINA

Zostały trzy dni do świąt, a ja leżę na kanapie, jem ciastka z kremem kokosowym i popijam colą. Mam tłuste, niemyte od pięciu dni włosy, wczorajszy tusz na rzęsach – albo przedwczorajszy – i jestem cała zarośnięta mchem, bo odwołałam wszystkie zabiegi u kosmetyczki, w tym depilację. To wszystko nie jest mi do niczego potrzebne. Nie będę szczęśliwsza, mając gładkie nogi, podcięte włosy i wstrzyknięty w zmarszczki kwas hialuronowy.

W całym domu czekają stosy zapakowanych prezentów dla lokalnych dzieciaków, a ja... zwyczajnie nie mam ochoty na bycie dobrym człowiekiem. Wiem, to żalosne, ale nic nie mogę na to poradzić. Nie chcę wychodzić z domu i nawet na sekundę rozstawać się z mężem. Chodzę za nim wszędzie, a on chodzi wszędzie tam, gdzie są chłopcy. Wyręczył mnie już chyba we wszystkim.

Jest dobrym człowiekiem, wspaniałym ojcem dla naszych dzieci. Proszę, niech ktoś to dostrzeże.

Odgryzam kawałek ciastka, którego okruchy spadają mi na błękitny kocyk Toby'ego.

Proszę. Proszę. Proszę.

– Myślę, że Toby zaczął ząbkować. – Troy wchodzi do salonu z wariującym Tobym na rękach.

Na szczęście Timmy uciął sobie drzemkę, więc od godziny mogę się nad sobą użalać.

– Cudownie – wzdycham. – Słyszałam, że dzieci w tym czasie zamieniają się w zombie.

Przerzucam kanał, chociaż nie mam pojęcia, co akurat leci. Po prostu bezmyślnie gapię się w ekran.

– Może nie będzie tak źle. Podasz mi gryzak z zamrażarki?

Niechętnie gramolę się spod kocyka i człapię do kuchni. Wiem, że Troy mnie obserwuje, i wiem, że wie, dlaczego tak się czuję. Rozmawialiśmy już o tym. Jednak nie przemawia do mnie to, co mówi. Nie jestem w stanie tak żyć, czekając każdego dnia na ten pieprzony telefon, który spadnie na nas jak grom z jasnego nieba.

Wyciągam z zamrażarki niebieski gryzak w kształcie bałwanka i wracam do salonu. Podaję go Troyowi, który siedzi z Tobym na podłodze.

– Proszę.

Wyciąga rękę, ale go nie zabiera. Gapimy się na siebie jednoznacznie, ale nie zamierzam zaczynać tego tematu.

– Poradzisz sobie – szepcze.

Oddycham tak głęboko, że czuję, jak materiał koszulki opina mi piersi.

– Chyba nie mam wyjścia.

Wymuszam uśmiech i wracam pod kocyk. Nakrywam się nim razem z głową, żeby przez chwilę nie patrzeć na ten dom, dekoracje, które czekają na zawieszenie, i stertę kartonów, w których jest chyba wszystko – od prezentów dla naszej rodziny, nowych talerzy, obrusów, świec zrobionych przez pewną kobietę na zamówienie i urządzeń, które mają uwiecznić nasze pierwsze wspólne święta.

– Pomogę ci wszystko ogarnąć – proponuje mój mąż, podchodząc do mnie. – Powiedz tylko, co mam zrobić?

– Po co, Troy? Nasze życie jest jedną wielką niewiadomą.

Odsuwa mi z twarzy kocyk.

– Kochanie, tyle się napracowałam i chcesz się teraz poddać? Pozwolisz tym dupkom wygrać?

Moje oczy robią się większe. Wygrać? Komu mam pozwolić wygrać? Że niby Camino? Że niby on będzie miał bajkowe święta z całą swoją rodziną, a ja nie?

Siadam, mrużąc powieki.

– Nie.

– Więc wstań. Dam małego niani i zaczniemy przygotowania. – Troy całuje mnie w głowę. – Razem. Obiecuję, że nie będę się opierdalał.

Wymalowane na jego twarzy błaganie uświadamia mi, że nigdy wcześniej tego nie przeżywał. Ja zawsze miałam święta, mam cudowne wspomnienia związane ze swoją mamą, która dniami i nocami krzątała się w kuchni.

Nie mogę go zawieść.

– Masz rację – kapituluję. – Teraz mi wstyd. Zachowuję się jak rozkapryszone dziecko. A przecież dwójka nam wystarczy.

Wstaję, staję na palcach i wieszam mu się na szyi. Obcałowuję jego twarz z miłością i wdzięcznością, ale też ze smutkiem, który chyba już nigdy mnie nie opuści.

– Ja tam mógłbym mieć jeszcze z dwójkę. – Troy szczerzy się z zadowoleniem, jakbyśmy właśnie to uzgodnili.

Cóż, nawet gdybyśmy bardzo chcieli powiększyć rodzinę, nie jest to możliwe.

– Lepiej już chodź. Trzeba przygotować te święta.

I tak oto po godzinie wkręciłam się na nowo i uwierzyłam, że jednak mamy szansę na wspólne święta. Troy ma na sobie czapkę Świętego Mikołaja, czerwony sweter z nosem renifera i śpiewa świąteczne piosenki. Od śmiechu boli mnie szczęka, a od jego fałszowania uszy.

Nie, to on wkręcił się bardziej niż ja, bez dwóch zdań.

Jest tak dobrze.

Dlaczego nie może być tak już zawsze? Dlaczego jesteśmy tak szczęśliwi tylko okazyjnie? Czy to właśnie znaczy być człowiekiem? Wiecznie cierpieć i walczyć z przeciwnościami losu?

W takim razie bycie człowiekiem jest do bani.

– Może zwołam całą rodzinę, żeby wzięli się do roboty? – pyta mnie mąż, przekrzykując piosenkę *Last Christmas*.

– Jestem za.

Wreszcie czuję, jak rozpiera mnie energia, taka, jaka zawsze towarzyszy świętom w gronie najbliższych. Jestem pochłonięta przygotowaniem wypieków, na które mama dała mi przepisy, gdy do domu wchodzi uśmiechnięta od ucha do ucha Maria.

– Myślałyśmy, że nici ze świąt. Wiesz, że bez ciebie nie dałybyśmy rady tego ogarnąć – mówi, całując mnie w policzek.

– Nie podlizuj się. Myj ręce i do roboty.

Potem pojawia się JoAnn z Miną, której od razu kradnę dwa całusy.

– Kto to wszystko zje? – pyta. – Zaprosiliście całe miasto?

– Mój mąż nie narzeka. – Mrugam do niej, a ona przekłada Minę na drugie biodro i nachyla się do mnie.

– Jak samopoczucie? Troszkę lepiej?

– Staram się, ale nie mówię, że mi wychodzi. Cały czas jestem spięta i nic nie sprawia mi już takiej przyjemności jak kiedyś.

– Travis mówi, że to potrwa. Wiesz, papierologia. Poza tym są święta, potem Nowy Rok, mają ważniejsze sprawy niż ściąganie przestępców. Bardziej boję się tego, co wydarzy się po Nowym Roku.

Spoglądam na JoAnn spode łba, ale z nadzieją, którą właśnie we mnie zasiała.

– Tak myślisz?

– Tak, wyluzuj. Cieszymy się, póki jeszcze mamy z czego.

Nad jej ramieniem pojawia się twarz mojej szwagierki.

– Może wina?

Wycieram dłonie w ściereczkę i biorę kieliszki, do których Maria nalewa wina. Zanim się napiję, przytulam dziewczyny do siebie.

– Cieszę się, że jesteście.

ROZDZIAŁ 29

TROY

Za kilka godzin usiądziemy przy świątecznym stole przepełnionym miłością i wdzięcznością za to, co razem zbudowaliśmy. Na razie jednak dochodzi druga w nocy, a ja wciąż siedzę przy swoim biurku. I myślę. Co mógłbym dać kobiecie, która ofiarowała mi absolutnie wszystko? Żadne kamienie, luksusowe ubrania, dodatki czy samochody nie mogą się równać z tym, co dostałem od mojej żony.

Więc co ja mógłbym jej dać?

Chcę, żeby było to coś wyjątkowego, coś, czego nie można kupić, podrobić ani komuś oddać. Coś, czego w ostatecznym rozrachunku nie odbierze jej nawet DEA.

Otwieram szufladę i wyciągam czystą kartkę. Potrafię pisać, ale jak przelać uczucia na papier, by miały jakąkolwiek wartość? Biorę do ręki pióro i przez kilka minut trzymam je nad papierem, a potem staram się zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie próbowałem.

Napisać list miłosny.

~~Droga żono~~

~~Najdroższa~~

~~Skarbie~~

~~Marino Moore~~

~~Cześć, kochanie~~

~~Kochana żono~~

Kurwa, wiedziałem, że to nie będzie proste, ale nie sądziłem, że nie będę potrafił nawet zacząć. Wstaję, żeby rozprostować nogi, i zaczynam chodzić po pokoju. Staram się zebrać myśli i uczucia w całość. Co chciałbym jej

powiedzieć? Wszystko. Ale nie jestem poetą ani pisarzem. Jestem zwykłym facetem, który ma ograniczony zasób słów, robi błędy ortograficzne i nie potrafi rozmawiać z ludźmi.

A jednak muszę spróbować.

Biorę drugą kartkę i ćwiczę. Potem szukam w internecie przykładów listów miłosnych i kopiuję jakąś część. Po godzinie wykreślam wszystko, z czym się nie utożsamiam, i zastępuję to swoimi słowami. Odkryłem nawet program, który sprawdzi mi błędy ortograficzne.

Zadowolony, biorę dziesiątą kartkę i uznaję, że jestem gotów.

25 grudnia 2022

Kochanie,

to jedenasty list, który do Ciebie piszę, choć pierwszy, który przeczytasz. Chcę dać Ci do zrozumienia, że bardzo się starałem. Jeśli znajdziesz jakieś błędy, wiedz, że korzystałem z programu, który sam się pomylił. Nieważne.

Nie sądziłem, że pisanie może być tak cholernie ciężkie, a zarazem ekscytujące. Nikt cię nie widzi, jesteś tylko ty i papier. Zawsze możesz to wszystko wyrzucić i nikt nigdy się o tym nie dowie.

Ale ja chcę, żebyś się dowiedziała. Chcę, żeby ten list przemawiał swoimi słowami i otulił Cię... nie wiem czym. Czymś miłym? Słodkim? Wiem, że teraz się uśmiechasz. Ja też.

Zacznę prosto, od razu od tego, co teraz czuję i czego jestem pewien. Może dwunasty list będzie bardziej poetycki, ale teraz chcę, żebyś wiedziała jedno. Kocham Cię miłością tak wielką, że nawet gdybym napisał milion listów, nigdy tego nie zrozumiesz. Bo chyba nie ma takich słów, a przynajmniej ja jeszcze ich nie odkryłem, żeby Ci opisać, co czuję, kiedy patrzę na Ciebie każdego dnia.

Jesteś wszystkim, czego pragnąłem. Jesteś moim tlenem, bez którego będzie mi ciężko, to pewne. Ale dajesz mi też siłę, której wkrótce będę potrzebował. Każda sekunda spędzona bez Ciebie będzie dla mnie czyścem, ale obiecuję Ci, że dam radę. I Ty też musisz mi to obiecać. Niech ten list będzie naszym paktem. Poradzimy sobie z tą próbą, bo nasza miłość przezwycięży wszystkie przeszkody.

Kiedy tylko zwątpisz – we mnie, w siebie, w cały świat i w życie, które będzie traciło sens – pamiętaj, że tylko nielicznym się udaje, bo zawracają. Bo nie widzą dalszego szlaku. Jak światła z samochodu, które prowadzą nas w mroku, które oświetlają tylko część drogi, ale przecież im ufamy.

Dlaczego mielibyśmy nie zaufać miłości? To wszystko, co mamy. To wszystko, co ze sobą zabieramy.

Kocham Cię.

Przepraszam. Wybacz mi.

Na zawsze Twój,

Troy

Odkładam długopis i dopiero wtedy zaczynam oddychać. Wierzchem dłoni ocieram łzę, której wcale się nie wstydzę. Chciałbym płakać tak długo, aż zabrałbym od niej cały ból, który jej podarowałem i który dopiero ją czeka.

I robię to – jakbym uwolnił wszystkie łzy nagromadzone od dzieciństwa. Chowam twarz w dłoniach, które zamiast brudem pieniędzy opływają moim smutkiem. Po raz pierwszy pozwalam sobie na okazanie uczuć przed samym sobą. Nie pocieszam się, nie uzalam nad sobą, o niczym nie myślę, po prostu płaczę.

A kiedy kończę, czuję się silniejszy, czystszy i przekonany, że miłość to największa tortura. Gdybym nie kochał jej tak bardzo, nie czułbym teraz fizycznego bólu. I niesamowite jest to, że nigdy nie chciałem z niego zrezygnować. Możliwe, że prawdziwa miłość jest masochistyczna.

Zawijam list w złoty papier i piszę na nim jej imię, kończąc je zawijasem w kształcie serca. Trochę koślawym, ale to pierwsze serce, jakie narysowałem, odkąd skończyłem pięć lat. Tamto było na laurce, którą matka wywaliła do śmieci.

Chowam list do pudełeczka, w którym jest już cyfrowa ramka ze slajdem naszych zdjęć. I wychodzę, żeby położyć kartonik wśród prezentów, które wspólnie pakowaliśmy dla naszych bliskich. Pod choinką, która znaczy dla mnie więcej niż tylko świąteczne drzewko.

Odliczam godziny, pewny, że dzisiaj już nie zasnę. Czekam na te pieprzone święta jak dziecko na pierwszą gwiazdkę.

Śmieję się pod nosem i wracam do sypialni, żeby przytulić się do mojej słodko pochrapującej żony. Delikatnie całuję ją w szyję i nakrywam kołdrą. Szepczę jej do ucha, że ją kocham, a ona mi odmrukuje.

A potem leżę do rana, gapiąc się w sufit i myśląc tylko o tym, że nam się udało.

– Chryste, ta robota się nie kończy! – mówi Marina, w panice biegając wkoło.

Podchodzę do niej, żeby pomóc jej wyciągnąć naszą złotą zastawę.

– Napracowałaś się, skarbie. – Całuję ją w skroń. – Jestem z ciebie dumny. I niesamowicie wdzięczny.

Przejeżdża ręką po moim policzku.

– Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

– Jestem. Jestem cholernie szczęśliwy.

Śmieje się, gdy słyszy w moim głosie podekscytowanie. Idziemy do salonu i przez chwilę wpatrujemy się w to wszystko.

– Jeszcze ci nie mówiłam – zaczyna Marina – ale ja też jestem z ciebie dumna. Nie każdy facet lubi pomagać swojej kobiecie.

Jestem trochę speszony, kiedy tak mnie chwali, więc opuszczam wzrok na talerze, które układam po drugiej stronie stołu.

– Jesteś moją żoną, nie niańką ani matką – mówię. – W sumie na szczęście.

Marina rzuca we mnie serwetką, która zatrzymuje się w połowie stołu.

– Co myślisz o tych świecach? – pyta. – A może złoto z granatem? Czy jednak z czerwienią? Wiem! Położę wszystkie. Niech będzie magicznie!

Tanecznym krokiem idzie po resztę świec, które zrobiła dla niej starsza schorowana kobieta. Moja żona zawsze tak robi – kupuje coś, co nie jest potrzebne, i płaci za to krocie, byleby pomóc tym ludziom.

– Może być jeszcze bardziej magicznie? – mruczę pod nosem, zastanawiając się, jak powinny być ułożone sztucce i na jaki chuj jest ich aż tyle dla jednej osoby.

Rezygnuję i siadam na krześle, żeby odpocząć, bo tej nocy nie zmrużyłem oka. Martwi mnie, że odesłaliśmy pomoc domową i będziemy musieli sami to wszystko posprzątać, a wolałbym spędzić wieczór ze swoją żoną w łóżku.

Po drugiej kawie wciąż ziewam, ale przynajmniej jestem obecny. Wiążę krawat i przeglądam się w lustrze. Postarzałem się. Może nawet zbrzydłem. Ciekawe, czy Marina dostrzega takie rzeczy, a jeśli tak, czy jeszcze się jej podobam. Na razie nie daje mi tego odczuć, a nasz seks jest bardziej namiętny niż wcześniej.

Oddycham z ulgą i idę do sypialni chłopców. Kiedy tylko stoję w drzwiach, uśmiecham się od ucha. Moja żona w czerwonej sukience trzyma nasze dzieci ubrane w białe koszule i czerwone muszki. Co za widok!

Podchodzę i całuję ją w karminowe usta.

– Bycie tak słodkim powinno być karalne – oznajmiam, nie przestając się uśmiechać.

– Prawda? – Spogląda na chłopców. – Mam ochotę ich schrupać.

– Mówię też o tobie. I też mam ochotę cię schrupać.

– Nie podniecaj mnie, kiedy trzymam naszych synów na rękach.

Parskam śmiechem.

– Daj mi ich. Są coraz ciężsi.

Zabieram jej ten słodki ciężar, a potem puszczam ją przodem.

– W końcu możemy zaczynać! – Marina piszczy i w podskokach idzie do drzwi.

Obserwuję, jak schodzi po schodach. Patrzę na nią dokładnie tak samo jak wtedy, gdy była w moim domu w San Diego. Przygryzam dolną wargę na tamto wspomnienie.

Mam ją. Jestem jebanym farciarzem.

W domu jest tak głośno, że dostałem migreny, ale w ogóle mi to nie przeszkadza. Kobiety rozmawiają o swoich sprawach, a my z chłopakami o swoich. Dzieci gaworzą, ciągną obrus, próbują zrzucić talerze i spróbować jedzenia, które dla świętego spokoju im dajemy. I to wszystko przy jednym stole.

Oczywiście ja trzymam na rękach Toby'ego, Travis Minę, a Cade Timmy'ego. Kobiety uznały, że należy się im odpoczynek. Nie mieliśmy odwagi odmówić, chociaż wszyscy najchętniej poszlibyśmy spać. Wpieprzyliśmy tyle potraw, że nie możemy się ruszyć.

– Dobra, może pora na prezenty? – pyta Marina.

– Zaraz, wydeło mi brzuch, nie chcę, żeby było to widać w kadrze – mówi moja siostra.

– Czyjś telefon dzwoni – mówi nagle Travis, więc ściszam kolędy i nasłuchuję.

– To mój – mówię, wstając.

– Nie odbieraj – prosi Marina.

Całuję ją w czoło i podaję jej Toby'ego.

– Muszę. Ale nie martw się, to mój prywatny numer.

Może to Dean z życzeniami albo mój teść, który chce zrobić Marinie niespodziankę i stoi przed domem w stroju Świętego Mikołaja. Idę do kuchni po telefon i patrzę na wyświetlacz. To Mike. Gdyby stało się coś ważnego, na pewno zadzwoniłby do mnie Dean.

Postanawiam porozmawiać z teściem w zaciszu swojego gabinetu. Łudzę się jeszcze nadzieją, że telefon mojej żony jest rozładowany i próbuje się z nią skontaktować. Przecież są święta.

Siadam na fotelu i okręcam się w stronę okna. Oddzwaniem do mojego teścia, który mówi mi, że za trzy godziny mam się zjawić z chłopakami w Mexicali.

Drzę.

Dyszę.

Pocę się.

Nie nadążam za tym, co do mnie mówi. Możliwe, że go nie słucham. Gapię się w martwy punkt i zaciskam pięść. Wreszcie słyszę:

– Przykro mi, że właśnie dzisiaj.

Tak. Mnie też jest przykro. Kurewsko przykro.

Bez słowa odkładam telefon. Droga do Mexicali jest w miarę czysta, więc nie mamy zbyt wiele czasu na pożegnanie z rodziną. Nie możemy wyjechać razem, to zbyt duże ryzyko, ale one też nie mogą tu zostać.

Wracam do salonu w takim stanie, że wszystkim od razu udziela się mój nastrój. Travis i Cade gapią się na mnie tylko przez chwilę – tyle wystarczy, by zrozumieli, że nadszedł nasz czas.

– I co? – Marina od razu staje obok mnie. – Kto dzwonił?

Przytulam ją, patrząc na swoich braci.

Na swoich synów. Na siostrę, która ma łzy w oczach, i na JoAnn, która zaczyna płakać, tuląc małą Minę.

– Pora wracać do domu, kochanie – szepczę nad głową Mariny.

Może jeśli słowa polecą w eter, będą mniej bolały.

Ściskam ją mocniej, bo zaczyna się szarpać, ale nie potrafię spojrzeć jej teraz w oczy. Po prostu chcę, żeby ta informacja dotarła do niej w moich ramionach.

– Co? O czym ty mówisz?

Odpycha się od mojego torsu, ale ja dalej trzymam ją w niedźwiedzim uścisku.

– Dostałem *ten* telefon – szepczę.

Pęka. Jej ciało się poddaje. Wtula we mnie głowę i zaciska palce na mojej koszuli, wbijając mi paznokcie w skórę.

– Nie. Troy, nie rób mi tego... – Zaciskam powieki, gdy z jej gardła wydobywa się zawodzenie. – Nie teraz, nie dzisiaj!

Musisz być twardy. Ona tego potrzebuje.

– Nigdy nie będziemy na to gotowi. Ale musimy oddać się w ręce władz.

Czekam, aż przestanie się trząść, a potem delikatnie zwalniam uchwyt. Teraz ona nie chce patrzeć mi w oczy. Wbija wzrok w swoje stopy i dotyka palcami skroni, próbując to wszystko zrozumieć. Myślę, że minie bardzo dużo czasu, zanim oboje zrozumiemy, na co się zgodziliśmy.

Czy żałuję?

W tej chwili tak.

– Ale teraz? – pyta Jo. – Przecież są święta... Myślałam...

Travis przysuwa się do żony i bierze w ramiona małą Minę, żeby wykorzystać ostatnie minuty. Cade i Maria siedzą, trzymając się za ręce. Patrzą na mnie, jakby czekali, aż coś powiem.

Próbuję brzmieć w miarę neutralnie.

– Wiecie, co macie robić – mówię, ale nie patrzę na nikogo. – Trzymajcie się planu i pamiętajcie, że ten zawsze w którymś momencie się spierdoli.

Skupiam wzrok na telefonie, przesuwam aplikacje, w lewo, w prawo. Lewo i prawo. Czuję się pokonany jak jeszcze nigdy.

– Jak możesz mówić o tym tak spokojnie? – Głos Mariny zmusza mnie, żebym wreszcie na nią spojrział. I od razu tego żałuję. Jej piersi falują ciężko, jakby nie mogła złapać powietrza. – Zostawiasz nas, Troy. To koniec.

Nie, zabraniam jej tak myśleć. Podchodzę do niej i chwytam ją za ramiona, czekając, aż ponownie na mnie spojrzy.

– Ale dalej jesteś moją żoną. To niczego nie zmieni. – Zamykam oczy, żeby ukoić swój ból. – Proszę, uwierz w to, uwierz we mnie, w siebie, bo postradam zmysły.

Z jej oczu leją się łzy, które wycieram, a potem już tylko scałowuję. Tyle że ona nie chce, żebym ją pocieszał. Robi krok w tył i kopie leżącą jej na drodze zabawkę.

– Nie poradzę sobie z tym. Proszę, nie zostawiaj nas. – Podbiega i chwytam mnie za kołnierzyk. – Ucieknijmy gdzieś, kupmy sobie nową tożsamość! Zrobimy wszystko, co zechcesz, tylko nie idź...

Kręcę głową, wstrzymując łzy. Zrobiłbym to. Przysięgam, że gdyby mocniej naciskała, ugiąłbym się. Bo nie jestem w stanie ich zostawić.

Będą nas ścigać. Będą ścigać nas do śmierci.

Jakie życie zapewnię swoim synom?

– Nie zasługujecie na los uciekinierów. – Chwytam jej zapłakaną twarz. – Musisz wziąć się w garść. Jeśli nie potrafisz zrobić tego dla siebie, dla mnie, zrób to dla nich. Oni cię potrzebują, Marina, jesteś ich mamą.

Przełykam ślinę, wiedząc, że wciąganie w to chłopców to cios poniżej pasa. Ale nie mam, kurwa, wyboru. Jakoś muszę do niej dotrzeć. Dać jej siłę, chociaż sam ledwo potrafię to udźwignąć.

Marina wyrywa się i patrzy na mnie z pretensją i żalem.

– Wiem, że jestem ich mamą! Ale to nie znaczy, że nagle dostałam nadprzyrodzonych mocy i mogę przenosić góry!

– Wierz mi, możesz – mówię z przekonaniem. – Widziałem to niejednym raz.

Marszczy brwi, ale nie zaprzecza. Czuję ulgę. Przecież wie, że robi wszystko, żeby ratować nasze dzieci i zawsze, zawsze znajduje siłę, żeby stawić czoło strachowi. Nigdy nie była tak silna, zanim została matką. Ale nigdy nie była też słaba. To jej atut i musi go wykorzystać.

Po dwudziestu minutach jesteśmy spakowani. Kobiety wyglądają fatalnie – tyle mogę powiedzieć. Nie chcą na nas patrzeć, gdy stoimy z torbami gotowi, żeby je zostawić. W Meksyku. Z trójką dzieci. Bez żadnej ochrony.

Podchodzę na ciężkich nogach do swojej płaczącej żony, żeby ostatni raz ją pocałować.

– Dbaj o siebie i chłopców – mówię.

– Proszę, nie rób mi tego...

Wybucho takim płaczem, że w końcu i ja pękam. Ale jestem też wściekły. Na siebie, na los, na jej ojca. W tym momencie nienawidzę dnia, w którym pozwoliłem tej dziewczynie na złamanie swoich zasad. Na wtargnięcie do mojego serca. Nienawidzę nawet siebie – za to, że tak bardzo ją kocham.

Unoszę jej twarz za podbródek, ale ona zamyka oczy.

– Jesteś silna, słyszysz? – Szarpie nią. – Spójrz na mnie!

– Nie dam rady...

– Robimy to, żeby być razem na zawsze. Opuszczam was, ale nigdy nie przestanę was kochać. – Unosi powieki, a kiedy widzi moją moką twarz, znów zanosi się płaczem. – Kiedy wrócę, odbudujemy nasze życie,

przysięgam. Zaufaj mi. Zaufaj mi, a obiecuję, że będę najlepszym człowiekiem, jakiego poznałaś.

Dotyka mojego policzka, patrząc mi głęboko w oczy.

– Jesteś nim, Troy. – Zaciska zęby z żalem. – Kocham cię, tak bardzo cię kocham... Nawet teraz, gdy wbijasz mi nóż w serce.

– Twoje serce jest bezpieczne. Zabieram je ze sobą, żeby nie przyszło ci do głowy oddać go komuś innemu.

Uśmiecham się, ocierając swoją głowę, a wtedy Marina uderza mnie w tors.

– Będę na ciebie czekała! Nawet nie sugeruj, że w to nie wierzysz! Że masz cię pieprzonych wątpliwości!

– Troy, musimy iść – mówi Cade.

Całuję Marinę w usta, policzki, czoło, potem znowu w usta, ale wiem, że któryś z tych pocałunków będzie naszym ostatnim.

– Wierzę, kochanie, wierzę w ciebie – mówię. – W nas. Wiem, że nasza miłość to przetrwa. Inaczej bym tego nie zrobił.

– Kocham cię, Troy – mówi moja siostra i przytula mnie mocno.

Gładzę ją po włosach i pozwalam sobie na kolejną łzę. Urosła. Nie trzymam już dziecka, a mimo to martwię się o nią tak, jak martwiłem się przez wszystkie te lata.

– Ja też cię kocham, mała – odpowiadam. Czy kiedykolwiek powiedzieliśmy sobie coś takiego? Nie pamiętam. – Uważaj na siebie, dobrze? Żyj tak, jak cię uczyłem.

– Będę. Będę na siebie uważała. – Ponownie rzuca się w moje ramiona. – Ale ty też musisz na siebie uważać. Obiecuj mi to, braciszku...

– Obiecuję.

Puszczam ją i nachylam się do chłopców. Wiem, że to będzie najboleśniejse pożegnanie. Są niczego nieświadomi, zupełnie niewinni. Czuję, jakbym zawiódł ich na samym starcie. A przecież robię to głównie dla nich.

Nic jednak nie potrafi zmniejszyć mojego bólu.

– Kocham was najmocniej na świecie. – Całuję ich mocno i staram się wdrukować sobie w pamięć ich twarze. – Bądźcie grzeczni i słuchajcie mamy. Niedługo się spotkamy.

Ostatni raz patrzę na kobietę mojego życia. Dotykam jej policzka, a drugą ręką chwytam za kark i przyciągam ją do swojego szalejącego serca.

– Dbaj o siebie, aniele.

– Kocham cię, Troy. Ale teraz również cię nienawidzę.

Jest nas dwoje, skarbie.

Całuję ją jeszcze raz i wypuszczam z objęć.

Idę do tylnych drzwi, nie odwracając się za siebie. Ale gdy chcę je zamknąć, ktoś szarpie mnie za rękę.

Odwracam się.

– To nieprawda... – szlocha Marina. – Nie chcę, żeby to były moje ostatnie słowa. – Kocham cię, Troy. Tak bardzo cię kocham.

W oczach ma tyle smutku, że nie umiem tego udźwignąć.

– Ja ciebie też, *hermosa*. – Muskam palcem jej usta, a potem składam na nich ostatni pocałunek. – Poradzimy sobie.

Wychodzę i biorę głęboki wdech.

Ostatni raz jako wolny człowiek.

ROZDZIAŁ 30

MARINA

Drzwi się zamykają. Przelykam ślinę i mrugam szybko, by pozbyć się łez. Oficjalnie zostałam samotną matką, która zgodziła się na rozłąkę z miłością jej życia. Jak można było dokonać takiego wyboru? Dlaczego nie przewidziałam, że ten ból złamie mi serce?

Wyrywam kolejną chusteczkę z pudełka i wycieram twarz, omijając usta. Chcę zachować jak najdłużej smak naszego ostatniego pocałunku.

Patrzę na dziewczyny. Płaczą tak bardzo, że aż nie mogą oddychać. Dokładnie jak ja, gdy porwano mojego męża. Myślę, że wtedy cierpiałam bardziej niż teraz, i to dlatego jestem gotowa to przetrwać. To znaczy tak mi się wydaje.

Stało się. Nie ma ich. Nie wrócą, ale żyją. Muszę trzymać się wyłącznie tej myśli. Gdyby tego nie zrobili, mogliby umrzeć. Kartele zaczynają walczyć ze sobą coraz zacieklej, a my znajdujemy się w samym centrum ich wojny.

– Słuchajcie – zaczynam – my po prostu nie możemy sobie w tej chwili pozwolić na luksus, jakim są łzy. Musimy działać. Musimy uciekać.

Nie reagują, więc daję im jeszcze chwilę na dojdęcie do siebie. Sama wiem, że łzy są potrzebne, bo paradoksalnie dzięki nim człowiek staje się silniejszy.

– Odeszli – mówi Jo, łapiąc drżący oddech. – Nie wiemy, kiedy ich zobaczymy. Nasze dzieci zostały bez ojców...

Siadam przy chłopcach i gładzę ich po okrągłych buziach. Cieszę się, że są mali. Byłoby nam o wiele ciężiej, gdyby rozumieli, że ich tata znika na długi czas.

– Ale nie umarli. Poradzimy sobie – mówię, zapatrzona w przysypiających chłopców.

– Jak? – Jo patrzy na mnie przez łzy.

– Tak jak te wszystkie matki samotnie wychowujące dzieci.

Marszczy brwi, jakby nie rozumiała – albo nie wierzyła w to, co mówię.

– Dlaczego nagle jesteś tego taka pewna?

Biorę długi haust powietrza i patrzę na nią ze współczuciem, ale też z siłą, jaka zawsze do mnie przychodzi, gdy muszę walczyć o bezpieczeństwo swojej rodziny.

– Bo nie mam wyboru.

Moje słowa od razu do niej docierają. Jest matką, wie, co mam na myśli. Nie możemy siedzieć i płakać, kiedy nasze dzieci są zależne wyłącznie od nas.

– Nie, nie możemy tu siedzieć i wyc – odzywa się rześko Maria, jakby czytała mi w myślach. – Jesteśmy w niebezpieczeństwie. A co, jeśli ktoś ich widział? Co, jeśli ktoś przyjdzie złożyć nam życzenia? – Rzuca zwinięte w kulkę chusteczki na stół i wstaje. – Co wtedy powiemy?

Zaciskam usta, bo nie chcę jej mówić, że wtedy przyjdą po nas, zabiorą nam dzieci, a nas wypatroszą albo zrobią z nas dziwki.

JoAnn przytula do piersi kwilącą Minę.

– Ja pierdolę. Istny Meksyk.

Gdybym była w lepszym nastroju, parsknęłabym śmiechem.

Maria wstaje i podchodzi do mnie, pełna skupienia i motywacji. Cieszy mnie, że stara się mi pomóc mimo własnego bólu. W jednej chwili straciła nie tylko brata, ale i pierwszą miłość, o której zawsze tak marzyła.

– Wdrażaj nasz plan, ja zajmę się chłopcami – mówi do mnie. – A ty, Jo, weź się w garść, będziemy miały jeszcze mnóstwo czasu na wycie.

– Nakarm ich – mówię do Marii. – Mleko jest w lodówce. Dzieci muszą być najedzone. Słyszysz, Jo?

– Tak, wiem. Już ją karmię...

Zostawiam je i biegnę na górę. Wpadam po kolei do każdej sypialni i opróżniam sejfy. Troy nie oddał wszystkiego DEA, ale ja również nie mogę zabrać ze sobą tyle majątku. Zakładam na siebie najdroższą biżuterię, a potem biorę gotówkę i teczkę z naszymi dokumentami.

Strażnik na granicy na pewno został uprzedzony, że się pojawimy, a dzięki mojemu ojcu przepuszczą nas bez szczegółowej kontroli. Wykorzystuję to i ładuję trochę diamentów w pampersa. A potem dorzucam łańcuszek z niebieskim diamentem, który ma dla Troya szczególne

znaczenie. Wiem, że to nie w porządku, ale od jakiegoś czasu los również nie gra ze mną fair.

Na końcu w każdym sejfie wbijam specjalny kod, który aktywuje się równo za godzinę. Wtedy wszystkie wybuchną, bezpowrotnie niszcząc wszelkie ślady po nas, niepotrzebne dokumenty, zdjęcia, na które nie mam miejsca w bagażu, pieniądze, diamenty i resztę wartościowych przedmiotów.

Ustaliliśmy, że jedziemy na trzy samochody, w razie gdyby coś się stało – pękłaby opona, ktoś by nas śledził, zatrzymał, ostrzelał. Każda ma również broń i granaty. Zabezpieczamy się kamizelkami, które będą niewidoczne pod bluzami, i zakładamy czapki z daszkiem dla lepszego kamuflażu. Jeszcze tylko wygodne buty, gdyby przyszło nam uciekać tunelami, których plan mam w kieszonce kamizelki.

Do tego jednak dojdzie tylko w ostateczności.

– Macie mleko? – pyta Maria. – Pampersy? Dokumenty?

Potakuję, ale zastanawiam się, czy na pewno wszystko spakowałam. Zerkam na sześć toreb LV. Innych nie mam. Najwyżej będę musiała je oddać DEA.

– Akty urodzenia, wizy, paszporty, co jeszcze... – Chodzę w kółko, drapiąc się po czole. – Prezent od Troya!

Biegnę do choinki i szukam kartonika, który Troy położył tam, zanim wstałam. Kurwa, jest tego tyle, że nie mogę go wyłapać.

– Marina, serio? Co mógłby ci dać? Nowy diament, który i tak będziesz musiała oddać? – pyta Maria, a jednak podchodzi i pomaga mi szukać.

– Mówił, że mam wziąć prezent, więc musi być dla niego ważny.

W końcu podaje mi pudełeczko, co sprawia, że serce zaczyna mi kołatać, a usta wreszcie układają się w coś na kształt uśmiechu.

– Odpakujesz go w bezpiecznym miejscu. Nie mamy wiele czasu.

Chowam pudełeczko do torby i zasuwam zamek, ale z następnej wyciągam pliki pieniędzy i biżuterię. Podaję to dziewczynom.

– Tu macie pieniądze. Łańcuszki i kolczyki. Pilnujcie tego, bo kiedy opuścimy ten dom, nie zostanie nam nic więcej.

Wprawdzie to wszystko i tak może nam zabrać DEA, ale musimy zaryzykować.

– Telefony? – pyta Jo, a ja klepię się ręką w czoło.

– Zapomniałam! – Biegnę do szafki, w której czekają trzy nowe iPhone’y z amerykańskimi numerami. – Trzymajcie.

– Kocyk Miny!

JoAnn rzuca się po resztę rzeczy, a ja i Maria zanosimy torby pod drzwi. Potem we dwie bierzemy chłopców na ręce.

– Jedziemy trasą, którą uzgodniłyśmy – mówię, dysząc. – Żadnego zatrzymywania się. *Żadnego*. Chyba że złapiemy gumę albo zmusi nas do tego kartel.

Jeszcze raz sprawdzam kamery. Czysto. Powoli otwieram drzwi i biorę w wolną rękę jedną torbę.

– Twój ojciec na nas czeka, tak? – pyta mnie Jo.

– Tak. Musi tam być.

Nogą przejeżdżam pod podwoziem, żeby odblokować bagażnik, i wrzucam do niego torby.

– Nie możesz zadzwonić i się upewnić?

– Troy mi zabronił. Mam trzymać się planu. Ufam mu.

– A sobie? Ufasz sobie?

Patrzę to na nią, to na Marię. One naprawdę potrzebują tej odpowiedzi.

– Tak. I wy też musicie.

Pakuję chłopców do fotelików. Po raz pierwszy będą jechali skierowani w moją stronę. Muszę widzieć ich w lusterku, gdyby ktoś nas zatrzymał.

Na szczęście przedostanie się do nich z zewnątrz nie będzie takie proste. Te SUV-y są kuloodporne, a tylne drzwi odblokują się tylko wtedy, gdy wyłączę radio, włączę światła awaryjne i spryskiwacze. Wszystkie są również zatankowane do pełna, gdybyśmy musiały uciekać okreśną drogą.

W duchu dziękuję mojemu mężowi za to wszystko i modłę się, żeby był już na miejscu i pod ochroną DEA.

Natomiast my jesteśmy same. Jeśli zatrzyma nas kartel, powiemy, że jedziemy odwiedzić rodzinę w San Diego, co będzie podejrzane tylko wtedy, gdyby zapytał nas o to ktoś z Alarico. Dlatego wybieramy inną trasę, dłuższą i bardziej niebezpieczną, bo wiodącą przez terytorium wroga. Jest duża szansa, że nas przepuszczą, a już na pewno nie zadzwonią do Camino, żeby potwierdzić naszą wersję.

Teraz dociera do mnie, dlaczego DEA zdecydowało się na taki ruch w okresie świątecznym. Większość ludzi powinna być ze swoją rodziną,

więc chcieli to wykorzystać na naszą korzyść. Zdaję sobie sprawę, pomimo całego bólu, który wypala mnie od środka, że to dobra decyzja.

– Gotowe? – pytam dziewczyn, zanim zamkniemy za sobą drzwi samochodów.

Zgodnie potakują. Zgodnie wystraszone.

– Marina, jedź ostrożnie – mówi Maria. – Może to ja powinnam jechać pierwsza?

– Nie. Na granicy są powiadomieni, że to ja będę pierwsza. Jeśli mnie przepuszczą, nie będą tracić czasu na sprawdzanie was. Jedziecie za mną. Dzieci śpią. Nic nie może nas zatrzymać. – Podbiegam jeszcze, żeby je przytulić. – Do dzieła!

A potem wskakuję za kierownicę, zapinam pas i ustawiam lusterka. Rzucam okiem na dzieci. Śpią. Wciskam gaz i powoli wyjeżdżam z podjazdu. Zostawiając za sobą dom, który pokochałam, o który dbałam i w którym chciałam wychować swoich synów. W którym chciałam pielęgnować miłość wraz ze swoim mężem i tworzyć masę wspomnień.

To koniec. I choć wiem, że każdy koniec to jednocześnie początek, w tym momencie nie jest to dla mnie pokrzepiające, bo na pewno nie będę szczęśliwa.

Zerkam w lusterko wsteczne, obserwując jadącą za mną JoAnn. Wiem, że się boi i jestem jej jedynym oparciem, podczas gdy sama ledwo daje sobie z tym radę. Ale jakaś część mnie jest też wdzięczna. Co, gdybym była teraz zupełnie sama, z dwójką dzieci, w nocy, w miejscu, które bywa bezlitosne?

Pociągam nosem, żeby odgonić łzy. Wiem, że postąpiliśmy słusznie. Zabiliby nas, prędzej czy później. Mijam grupę mężczyzn z bronią stojących przy sklepie całodobowym i uświadamiam sobie, że zapomniałam zabrać butelki z wodą. Jednak nie ma takiej siły, żebym się teraz zatrzymała po zakupy.

Chcę się stąd wydostać. Zostało już tak niewiele.

Niedługo będziemy bezpieczni. Po przekroczeniu granicy dostaniemy eskortę. Mój tata ma czekać na nas z policjantami w tajniackich samochodach. Nie będziemy się witać ani ze sobą rozmawiać – mamy po prostu pojechać za nimi do wyznaczonego miejsca. Przed nami bardzo długa droga, ale będziemy już na swoim terytorium i pod ochroną.

Troy, tęsknię za tobą. Tak cholernie mi ciebie brakuje.

Kiedy wjeżdżam na spokojną drogę, na której nie grasują zadni uzbrojeni ludzie, pozwalam sobie na cichy płacz. Oczywiście pięką mnie od słonych łez. W radiu leci *Last Christmas*, a ja widzę tańczącego Troya, który fałszuje do jej melodii.

Gdzie jesteś, skarbie? Jak daleko? Dlaczego się na to zgodziliśmy?

Zerkam na chłopców w lusterku.

– Wasz tata na pewno ciągle o nas myśli. – Ledwo powstrzymuję szloch.
– I na pewno za nami tęskni. A wy... nie macie o niczym pojęcia.

Zaciskam usta, żeby nie obudzić swoją histerią dzieci. Nie poradzę sobie. Z każdą godziną czuję się coraz słabsza.

Obiecałaś mi, że będziesz silna.

Szybkim ruchem ocieram twarz i spoglądam na ekran na desce rozdzielczej.

Dzwoni moja mama. Włączam zestaw głośnomówiący i szybko ściszam, by nie obudzić chłopców.

– Tak, mammo?

– Marina! Gdzie jesteś! Jedziecie już? Odchodzę od zmysłów!

– Tak, mammo. Jesteśmy w drodze. Nie martw się, bo mnie stresujesz. Zostało nam niewiele, żeby się stąd wydostać.

Z oddali widzę pełno czerwonych świateł. Jest korek na granicy.

– Jestem z ciebie taka dumna, córeczko.

Marszczę brwi i potrząsam głową.

– Mammo, uciekam z Meksyku, do którego sama pojechałam. Jak możesz być ze mnie dumna?

– Pojechałaś, bo zmusiła cię do tego miłość. To już nie jest ważne. Oboje podjęliście dobrą decyzję. Niewielu miałoby jaja, żeby zaryzykować w tę stronę.

Tak...

Wzdycham.

– Czy wiesz już, co z Troyem?

– Nie. Tata na pewno ci powie, jeśli coś wie. Trzyma rękę na pulsie i nie da go skrzywdzić.

Nabieram powietrza i z gardła wydobywa mi się niekontrolowany szloch. Nie chcę nawet myśleć, że coś mogłoby mu się stać.

– Nie płacz, córeczko, bo pęka mi serce.

Wycieram oczy.

– Tęsknię za nim, mamó, a nie minął nawet jeden dzień. Czy później będzie bolało mniej?

– Twoje serce będzie krwawiło, dopóki to się nie skończy. Ale poradzimy sobie. Masz nas, chłopców, a Troy...

– Wiem, mamó, wiem. Muszę skończyć, bo dojeżdżam do granicy.

– Do zobaczenia, skarbie.

– Pa, mamusi.

Zjeżdżam na pas, który ma być przygotowany na nasz przyjazd, i próbuję się uspokoić, ale... Co, jeśli dzisiaj na zmianie nie ma tych ludzi? Co, jeśli zostali przekupieni przez kartel? Co, jeśli to pułapka? Kiedy zaczną strzelać, nic z nas nie zostanie. Jesteśmy zablokowane z każdej strony. Jest tak ciasno, że nie zdołamy uciekać z dziećmi na rękach.

W co ja się wpakowałam?

Powoli podjeżdżam do przodu, bacznie obserwując samochody i siedzących w nich ludzi. I wtedy zauważam kogoś, kogo widziałam w domu Camino.

Boże, nie pozwól nam umrzeć.

Naciągam głębiej czapkę i włączam na chwilę światła awaryjne. To sygnał dla JoAnn, że jest przypał. Odwracam głowę, udając, że szukam czegoś w torebce. Jeśli ten człowiek zapuka w szybę, spojrzy mi w twarz, a potem zajrzy do chłopców, będzie wiedział, że to ja, żona Troya Trackera.

Powiadomi Camino, Camino skontaktuje się z Troyem, a Troya nie ma. Przyjadą do mojego domu i zobaczą, że wszyscy uciekliśmy. Zablokują nam przejazd i zabiją każdego, kto będzie stawiał opór. Mój tata mi nie pomoże.

W lusterku łypię na JoAnn, która stara się zachować spokój. Ale potem dostrzegam gest, który wcześniej uzgodniłyśmy. Pokazuje mi, że ktoś się na mnie gapi.

To na pewno on. Facet z Alarico.

Kurwa... Co mam robić?

Oddycham tak szybko, że aż mnie piecze w płucach. Nie wolno nam wpaść w panikę, więc jedyne, co przychodzi mi do głowy, to...

Zaczynam trąbić, udając zniecierpliwienie. Naciskam kierownicę i po chwili ktoś z tyłu do mnie dołącza. Kierowcy zaczynają trąbić i w końcu posuwamy się do przodu.

Mam ochotę się uśmiechnąć, ale muszę dalej grać swoją rolę. Zostały jeszcze trzy samochody.

Proszę, szybciej, szybciej. Szybciej!

Dziesięć minut i dwa samochody, ale jeden z nich jest za duży, żeby mógł w miarę sprawnie przekroczyć granicę. Po piętnastu minutach biorą go na bok, więc jestem przedostania.

W końcu strażnik gestem każe mi podjechać. Drżącą nogą wciskam gaz, żeby po chwili zatrzymać się na równi z nim. Wciskam guzik i lekko opuszczam szybę. Bez słowa podaję mu dokumenty i nieznacznie unoszę czapkę. Wyraz jego twarzy sugeruje dwie możliwości: albo wie, kim jestem, i nas przepuści, albo wie, kim jestem, i powiadomi kartel.

Mija cała wieczność, zanim odchodzi na bok i mówi coś przez krótkofalówkę. Pod siedzeniem mam karabin, więc dyskretnie przysuwam go bliżej nóg. Jeśli będzie trzeba, Bóg mi świadkiem, zabiję ich wszystkich. Muszę przewieźć dzieci do swojego kraju. Nie ma innej opcji.

Mija minuta, pięć, siedem. Dziesięć minut. Za długo. W schowku mam też glocka, którego zawsze używał Troy. Ale schowek jest za daleko, żeby mogła niezauważenie się do niego dostać. Samochód jest ogromny. W tym momencie nie jest mi to na rękę.

W końcu strażnik wraca z moimi dokumentami. Zajęło mu to dwadzieścia pięprzonych minut, podczas których prawie umarłam na zawał serca.

Ponownie opuszczam szybę, ale tylko trochę, bo nikomu nie ufam.

– Bezpiecznej drogi – mówi po angielsku, uśmiechając się porozumiewawczo.

Z moich ust wydobywa się niekontrolowany śmiech. Czuję taką ulgę, że mam ochotę go wycalować.

Wciskam gaz i czym prędzej ruszam przed siebie. Ale muszę wiedzieć, że przepuści również dziewczyny. Zwalniam.

Szybciej. Proszę. Niech to się uda.

Proszę.

Zaciskam mocniej ręce na kierownicy, a gdy widzę, jak Maria i Jo przyspieszają za mną, zaczynam śmiać się jak psychopatka.

Jestem szczęśliwa. Udało nam się. Jesteśmy w domu!

A potem spoglądam na swoje śpiące dzieci i zaczynam płakać.

– Witajcie w domu, chłopcy... – szepczę. – Udało nam się.

W oddali widzę karawanę samochodów. Migają sześć razy światłami. To nasza eskorta. Czekają nas całą noc jazdy, żeby przeczekać najbardziej gorący okres.

– Udało nam się, Troy. – Płaczę, oczyszczając swoje zbolełe serce. – Liczę, że tobie też się udało, najdroższy.

ROZDZIAŁ 31

TROY

Wbijam wzrok w dłonie. Wszystko, co do tej pory przeżyłem, ma się nijak do tego, co zaraz usłyszę. W głowie odtwarzam całe swoje życie, czując, że nic mi z niego nie zostało. Patrzę na palec, na którym dziesięć miesięcy temu miałem obrączkę.

Dziesięć miesięcy zeznawałem, dostarczając wszelkich informacji o swojej przemytniczej karierze. Przez cały ten czas nie widziałem żony, dzieci ani siostry. Docierały do mnie tylko wieści od mojego adwokata i teścia. Wiem, że moi bliscy żyją w ukryciu i nie mają ze sobą kontaktu. Antonio stwierdził, że moja żona spisała się jak zawodowiec, uciekając z Meksyku.

Wiedziałem, że sobie poradzi.

Uśmiecham się zawsze, gdy o tym pomyślę, chociaż akurat w tej chwili zachowuję kamienną twarz. Sędzia od kilku godzin odczytuje moje zeznania. Oskarżyłem sześćdziesięciu członków kartelu i dwustu członków własnej załogi. Ludzi, o których się troszczyłem. Którzy mi ufali. Którzy mieli na utrzymaniu własne rodziny, w tym dzieci i chore matki. Odczytano tony akt i przygotowano dwadzieścia sześć wniosków o ekstradycję, która będzie trwała latami. Meksykański rząd za darmo nie odda swoich obywateli.

Camino wciąż jest na wolności. Toczy się przeciwko niemu ciężki proces. Załatwiłem mu, że resztę swoich dni spędzi za kratami. Zniszczyłem całe Alarico w dziesięć miesięcy, ale nikt nie złożył mi żadnej obietnicy ułaskawienia.

Nikt niczego mi nie obiecał, a mimo to wciąż mam nadzieję.

Za mną siedzi kilku gości z gazet i telewizji, ale sędzia nie wydał zgody na włączenie kamer. Odkąd wylądowaliśmy w USA, jesteśmy ulubionym

tematem szmatławców. Zrobili z nas pieprzonych celebrytów, narażając nasze rodziny na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Oddycham przez nos, żeby obniżyć ciśnienie.

Jest tu też Mike, który wspiera mnie od dnia, w którym oddałem się w ręce DEA. Zmienił się całkowicie. Ja też opuściłem gardę. Mogę powiedzieć, że Mike traktuje mnie jak syna. Wiele razy widziałem w jego oczach autentyczny smutek, gdy musiałem opowiadać o swoim dzieciństwie.

Byłem szczery. Niczego nie ukrywałem. Pozbyłem się wszystkiego, co ciągnęło mnie do tamtego świata. Jednak nie czuję się przez to lepszym czy choćby dobrym człowiekiem.

Od dziesięciu miesięcy nie jestem ze swoją żoną, nie wychowuję swoich dzieci. Codziennie zasypiam z wyrzutami sumienia, bo wiem od Mike'a, że chłopcy dają jej nieźle popalić. Wiem też, że moja żona płacze za każdym razem, gdy Mike albo Antonio przekazuje jej ode mnie jakieś informacje. Mike twierdzi, że Marina jest silna, ale ma ukrytą depresję. Prosiłem go, żeby powiedział mi o niej prawdę, ale nie byłem na nią przygotowany.

Jak w obliczu tego wszystkiego miałbym się czuć dobrym człowiekiem?

Spoglądam na Trvisa i Cade'a. Zastanawiam się, o czym w tej chwili myślą, bo nie sądzę, żeby słuchali paplaniny sędziego. Obaj siedzą ze spuszczoneymi głowami, jakby miało to w jakiś sposób złagodzić karę.

Tak naprawdę jednak za chwilę możemy usłyszeć, że już nigdy nie wyjdziemy na wolność.

Do dziś jeszcze huczą mi w głowie słowa prokuratora: „Wpompowali w swój kraj prawie sto ton kokainy. Zarobili nielegalnie ponad dwa miliardy dolarów w gotówce. To najwięksi handlarze narkotyków w historii Stanów Zjednoczonych”.

Żaden prokurator po takim przemówieniu nie będzie przychyłał się do obniżenia wymiaru kary. Ale mamy też świetnego prawnika i jego ludzi.

Antonio walczył o mnie jak lew, nie biorąc za to ani jednego dolara. Uznał, że wystarczająco już się na mnie dorobił i chce mnie tylko z tego wyciągnąć. Głównie dlatego, że mam wspianą żonę i dzieci.

Po raz kolejny Marina Moore ratuje moją czarną duszę.

„Troy Tracker pomógł skonfiskować piętnaście ton kokainy, ponad siedemset funtów metamfetaminy i około dwustu ton heroiny. Dzięki jego zeznaniom aresztowano setki ludzi, skonfiskowano miliony dolarów, które

są zadośćuczynieniem dla skarbu państwa. Przede wszystkim jednak poświęcił własne dobro i swoją rodzinę, której nigdy wcześniej nie miał”.

Antonio zawsze podkreśla, że wychował mnie brutalny, zepsuty świat, nie miałem rodziców i od wczesnego dzieciństwa borykałem się z głodem.

„Niekochany, porzucony i samotny, postrzegał świat jako złe, niebezpieczne miejsce. Każdy z nas zrobiłby wszystko, żeby to zmienić. Żeby zmienić swój świat na lepsze. Każdy wybiera własną drogę, żeby zmniejszyć swój ból. Czy mój klient postąpił słusznie? Nie, na pewno nie. Czy miał wybór? Nikt tego nie wie. Możemy tylko przypuszczać, ale bylibyśmy nie mniej odarci z człowieczeństwa niż jego własni rodzice, gdybyśmy oceniali go jako dziecko. Brak wsparcia i obiektywnej oceny sytuacji rozwinął w moim kliencie poczucie winy, nieufność wobec dorosłych, systemu i miłości”.

Słuchałem tego z zapartym tchem. Chyba po raz pierwszy ktoś nadał kształt temu, co zawsze czułem. Wiem, że może to nie mieć żadnego wpływu na decyzje sędziego. Widziałem już takie kwiatki. Ludzie, którzy nie przeżyli wystarczająco dużo, zwykle mają jedną odpowiedź: „Nie wszyscy kończą w ten sposób. Nie każde niekochane i głodne dziecko szmugluje tony towaru i obraca setkami milionami dolarów”.

Mam tego świadomość.

Mogłem robić coś innego, ale nigdy nie widziałem perspektyw. Nie znałem innego życia. Wszystko się zmieniło, gdy poznałem swoją żonę.

W końcu wszyscy wstajemy. Wiem, że każdy z nas czuje w tej chwili to samo. Sędzia zaczyna od Cade’a. Zanim usłyszy wyrok, patrzę na brata, dodając mu otuchy. Postąpił słusznie, to ja nigdy nie powinienem był go w to wciągnąć. Był lojalny do samego końca, a moja siostra nie wylała przez niego ani jednej łzy. Wziąłem winę na siebie, zeznając, że miał niewielki udziału w całym procederze. Musiałem to zrobić. Nie mógłbym spojrzeć sobie w oczy, gdyby dostał wyższy wyrok niż ja.

Trzy lata.

Otrząsam się. Spoglądam na sędziego. Na równie zszokowanego Cade’a. Na adwokata. Pytam go szeptem, czy Cade faktycznie dostał trzy lata, a Antonio potakuje. Przecieram uśmiechniętą gębę, nie mogąc w to uwierzyć. Już za trzy lata chłopak będzie wolny.

Cade patrzy na mnie z wdzięcznością, chociaż nic nie jest mi winien. Wiem, że zrobiłby to samo dla mnie.

Następny w kolejce jest Travis. Tu nie mogłem zrobić zbyt wiele. Dowody same go obciążą, więc jego wyrok będzie wyższy niż Cade'a. Travis zawsze jechał na jednym wózku ze mną.

Siedem lat więzienia.

Nie jestem w stanie na niego spojrzeć, bo nie chcę widzieć na jego twarzy rozpacz. Siedem jebanych lat. Liczyliśmy na coś lepszego.

Biorę haust powietrza, ale wciąż mam spuszczoną głowę. Nadeszła moja godzina. Zamykam oczy, czekając na słowa, które zaraz odbiorą mi jedyną nadzieję. Przez dziesięć miesięcy liczyłem na cud. Na łaskę. Na cokolwiek. Budziłem się z wiarą, że wykupię swoją wolność. Ale w tej chwili nie wierzę już w nic.

Dziesięć lat.

W sercu czuję ciężar, kręci mi się w głowie. Dziesięć lat pozbawienia wolności. Minus dziesięć miesięcy, które już odsiedziałem. Jestem tak zszokowany, że nie potrafię obliczyć, ile dokładnie mi zostało. W głowie mam tylko obraz moich chłopców.

Będą nastolatkami.

Chce mi się wyć. Mam ochotę zajebać prokuratora, sędziego, a na końcu swojego adwokata. Gdybym wiedział, że zamkną mnie na dekadę, nigdy bym się na to nie zgodził. Jebany system. Owszem, wiedziałem, że mogę również nigdy nie wyjść na wolność, ale nie oszukujmy się. Przyszedłem do nich sam, podając im wszystko na złotej tacy. Oczywiście, że liczyłem na coś lepszego.

Zakładają nam kajdanki, gdy tylko sędzia uderza swoim młotkiem sprawiedliwości i opuszcza salę rozpraw.

Antonio nachyla się, klepiąc mnie po ramieniu.

– Przykro mi, Troy. Wniosę apelację. Wyjdiesz z tego, słyszysz?

Odwracam się do Mike'a, który wpatruje się we mnie osłupiały. Myślę, że jest równie zaskoczony. No i będzie musiał przekazać tę wiadomość swojej córce.

– Dzięki, za wszystko, Antonio – mówię, wciąż wpatrując się w teścia.

Zastanawiam się, o czym teraz myśli. Co czuje? Czy faktycznie jest mu przykro, jak na to wygląda?

– Wyjdiesz z tego, obiecuję.

Odwracam się do Antonio i rzucam mu obojętne spojrzenie.

Koniec bajek.

– Przekaż to mojej żonie.

– Co, przyjacielu?

– Że wyjdę z tego.

Antonio zaciska zęby, a potem podchodzi jak najbliżej mnie.

– Bronilem morderców, ludzi, którzy zabijali za kilka dolców, i takich, którzy robili to dla przyjemności. Dałeś z siebie wszystko, okazałeś skruchę. Poświęciłeś rodzinę. Będę o ciebie walczył. Wyrok jest niesprawiedliwy.

Nie słucham, co do mnie mówi.

– Antonio, chcę ją zobaczyć. – Mój oddech przyspiesza. – Chcę mieć widzenie ze swoją żoną.

Kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Załatwię to.

Odwracam się pod naciskiem strażnika i ostatni raz patrzę w stronę chłopaków. Obaj rzucają mi krzepiące spojrzenie. Uśmiecham się, dodając sam sobie otuchy. Już po wszystkim. Musimy odbębnić swoje i zacząć od nowa.

Kiwam głową, żeby się z nimi pożegnać.

I wychodzę.

Zostaję odprowadzony do celi, w której spędzę jakiś czas, zanim trafię do innego więzienia. Jeśli wywiozą mnie na drugi koniec kraju, nie będę mógł zobaczyć żony co tydzień.

O niczym innym teraz nie marzę. Chcę ją widywać. Te dziesięć miesięcy zabijało mnie od środka. Pamiętam, co jej powiedziałem w domu, zanim to wszystko się stało, ale już w dniu, w którym ich opuszczałem, wiedziałem, że nie wytrzymam.

Muszę zobaczyć swoją rodzinę.

Siadam na pryczy i gapię się w ścianę. *Dziesięć lat.* Robię w głowie szybkie obliczenie. Staram się spokojniej oddychać. *Dziewięć lat i dwa miesiące.* Żadna różnica. To kawał czasu, którego nikt mi nie zwróci.

Biorę pudełko, w którym trzymam zdjęcia Mariny i chłopców. Dziesiątki listów, które do mnie napisała, relacjonując każdy ich dzień. Moja żona pisze dla mnie niemalże pamiętnik, żebym niczego nie przegapił.

Muskam palcem jej usta, które chciałbym posmakować, i zjeżdżam na lekko odkryte piersi. Dziesięć miesięcy celibatu, a ja czuję się jak prawiczek. Dochodzę od samego patrzenia na jej zdjęcie.

Słyszę, że ktoś przekręca zamek, więc wstaję, poprawiam spodnie i podchodzę do drzwi.

– List od twojej żony. – Strażnik wrzuca do celi kopertę.

– Dzięki.

Siadam z powrotem na pryczy, ale waham się, czy przeczytać ten list. Dlaczego nie dostałem go przed sprawą? Czy chce mi powiedzieć, że jeśli dostałem więcej, niż jest w stanie znieść, musimy o sobie zapomnieć?

Przymykam oczy, nasycając się chwilą, w której jeszcze nie jestem świadomy treści listu. Listu, który może mnie doszczętnie złamać.

Kochany,

wciąż uważam, że powinnam być przy Tobie w tak cholernie stresującym dniu. Nie rozumiem, dlaczego mi na to nie pozwolili. Ciągle słyszę, że to dla mnie zbyt niebezpieczne. Czy oni wiedzą, że uciekłam z dwójką dzieci z Meksyku? Proszę, przypomnij im o tym.

Oddycham z kurewską ulgą i sadowię się wygodniej, żeby dokończyć czytać.

Następna kwestia – i nie będę miła, wręcz krzyczę. Słyszysz, jak głośno?

Uśmiecham się i głęboko oddycham. Robi to celowo, żeby mnie podniecić. A może podniecają mnie już zwykłe słowa, bo pragnę się z nią kochać? Sam nie wiem. Ale podnieca mnie to. Wyobrażam sobie ją na tej pryczy, naga, z rozłożonymi nogami i wilgotną cipką.

Poprawiam twardego członka i czytam dalej.

Chcę Cię zobaczyć. Nie obchodzi mnie, w jakich warunkach się spotkamy ani czy straciłeś wszystkie włosy. Jeśli Cię to pocieszy, to ja też część straciłam. Połowę przez naszych synów. Timmy, rzecz jasna, naśladuje brata, a Toby... Toby jest Tobą. Od A do Z. I nie bierz tego za komplement.

Piszę ten list po przyjęciu z okazji ich pierwszych urodzin. Czeka na mnie stos garów, dywan z wdeptanym ciastem i czekoladowy krem na nowej kanapie, którą załatwiła mi jakaś babka z DEA. To już trzecie mieszkanie, do którego się wprowadziliśmy, uznałam więc, że nie będę wydawała na nowe meble.

Oszczędzam. Teraz pewnie parszask śmiechem. A może nie? Może żaden z moich listów nie przyniósł Ci uśmiechu? Mnie też jest smutno. Tęsknię za Tobą każdego cholernego dnia, a nasi chłopcy w ogóle mi tego nie ułatwiają. Patrząc na nich, widzę Ciebie.

Ale tak naprawdę piszę ten list, żeby powiedzieć Ci coś jeszcze, Skarbie. Jutro usłyszysz wyrok. Jeśli Antonio zachowa się profesjonalnie, dostaniesz ten list już po wszystkim. Uznałam, że tak będzie lepiej.

Chcę, żebyś wiedział, że nieważne, ile lat rozłąki nas czeka, Troy, ja zawsze będę na Ciebie czekała.

Zawsze. Zawsze. Zawsze.

Moja miłość nie ma daty ważności.

Gardło mam ściśnięte ze wzruszenia i mrugam, by osuszyć piekące oczy. Nigdy nie mogę w spokoju doczytać listów od niej. Każdy z nich odziera mnie z resztek męskości, więc cieszę się, że cela jest tylko dla mnie. Średnio wyobrażam sobie czytanie miłosnych wyznań i ocieranie łez w towarzystwie zatwardziały przestępców.

Postanawiam chwilę odczekać, żeby ochłonąć. Dostałem dziesięć lat. Czy Marina spodziewa się, że aż tyle? To szmat czasu. Czasu, którego nikt jej nie zwróci. Czasu, w którym mogłaby ułożyć sobie życie z kimś innym.

Moja miłość nie ma daty ważności.

Ale czy mogę ją o to prosić? Dlaczego piękna i mądra kobieta miałaby marnować czas i czekać na przestępcę dziesięć jebanych lat?

Biorę kartkę, długopis i odpisuję.

ROZDZIAŁ 32

MARINA

Dziewięć lat, dwa miesiące i dwa dni. Na tyle wyceniono poświęcenie mojego męża. Wprost nie mogę w to uwierzyć. Antonio zarzeka się, że zrobi wszystko, by obniżyć wyrok, ale ja w to nie wierzę. Żyję tylko tym, że za sto dziesięć miesięcy będę ze swoim mężem. Mężem, który pisze do mnie listy miłosne i nie może się doczekać naszego spotkania.

Uśmiecham się, dopijając poranną kawę i robiąc listę rzeczy, które chcę zabrać do więzienia. Żyję tylko tym – i to sprawia, że żyję.

Troy czyta dużo książek o prawie, które przynosi mu mój tata, ale zarzeka się, że nigdy nie zostanie prawnikiem. Mój mąż chce skończyć szkołę, żebym nie musiała się go wstydzić.

Wciskam palec w kącik oka. *Nigdy się go nie wstydziłam. Jestem z niego dumna. Zrobił coś wielkiego. Poświęcił swoje dobro dla mnie i naszych dzieci. Jest moim bohaterem.*

Wstaję, żeby uchylić okno w kamienicy, do której wpakowało mnie DEA. Nie ma luksusów, które zapewniał mi mąż, ale to bez znaczenia. Mogę klepać biedę, ale chcę z nim być. Rozłąka to największa kara, jaka mogła mnie spotkać. I mam tak żyć ponad dziewięć lat.

Nikogo nie obchodzi to, jak bardzo się naraziliśmy. Jak wielkim stresem było dla mnie przewiezienie dzieci do naszego kraju. Kiedy tylko dojechaliśmy do kryjówki, DEA nakazało nam oddać całą biżuterię, którą na sobie miałyśmy, i tę, którą schowałyśmy. Zabrali nam samochody i markowe ubrania. Jestem biedniejsza niż wtedy, gdy trafiłam do San Diego. Egzystuję wyłącznie dzięki rodzicom, bo pieniądze z programu wystarczają na opłacenie mieszkania, dentystę i trochę rachunków. Nie wspominając o tym, że nie są niewyczerpane. Dlatego każdej nocy uczę się

do egzaminów, żeby skończyć studia. Choć i tak nie będę mogła pracować jako fizjoterapeutka.

Ciekawe, jak sobie radzą Maria i JoAnn z Miną? Czy czują się bezpieczne? Jak zareagowały na wieść o tym, że będą same przez kilka lat? Jak Maria zareagowała na to, że jej brat dostał najsurowszy wymiar kary, choć wniósł do sprawy najwięcej?

Jak ją znam, pewnie wytłukła wszystkie talerze i zwyzywała Antonio na czym świat stoi. Mogłyśmy mieszkać razem, miałyśmy taką opcję, ale wtedy wykreślono by nas z programu ochrony świadków.

Kobieta z US Marshals powiedziała nam wprost, jak będzie wyglądała nasza codzienność, kiedy zrezygnujemy z ich ochrony. Nie przeżyjemy nawet tygodnia.

Musiałymy zgodzić się na funkcjonowanie pod nowymi imionami, nazwiskami, z nowymi kartami ubezpieczenia. Naciskali nawet, żebym zmieniła imiona swoim dzieciom, ale się nie zgodziłam. Nie mogłam. JoAnn również tego nie zrobiła. W wystarczającym stopniu odarto nas z przeszłości.

Dostaję wiadomość, że Antonio czeka pod drzwiami. Nigdy nie puka, bo nie wolno mi nikomu otwierać.

– Wejdz. – Uchylam drzwi szerzej i przesuwam się, żeby mógł się zmieścić ze wszystkimi rzeczami, które niesie. Biorę od niego dwa kubki kawy ze Starbucksa i stawiam je na stole.

– Wszystko w porządku?

Otwieram usta, żeby wziąć głęboki oddech.

– Tak, wszystko w porządku.

Uśmiecham się, ale tylko z zewnątrz.

– Mam dobre wiadomości – mówi, kładąc na blacie kuchennym siatkę pełną słodyczy.

Przyciskam rękę do ust.

– O Boże...

Zobaczę się z mężem?

Troy dostanie krótszy wyrok?

Czekam, aż Antonio zajmie miejsce przy stole, i siadam po drugiej stronie.

– Podłączą ci bezpieczną linię i będziesz mogła kontaktować się z mamą, Marią i JoAnn.

Czuję lekkie ukłucie rozczarowania, ale potem zaczynam się cieszyć.

– Cudownie.

Tak dawno nie słyszałam ich głosów. Tak dawno nie rozmawiałam z kobietą, z którą mogę ponarzekać na ten cały pieprzony świat, bolesne miesiączki i tęsknotę za mężem.

– Wciąż czekamy na odpowiedź w sprawie apelacji.

Rozumiem.

– Antonio, jeszcze jedno... – Dmucham w spocone czoło. Głupio mi, że muszę poruszyć ten temat, ale nie mogę udawać, że wszystko jest super. Mam dwójkę małych dzieci i muszę zapewnić im to, czego potrzebują. – Nie chcę brać ciągle pieniędzy od rodziców – kontynuuję. – Czy nie mogę iść do pracy? Minęło wiele miesięcy. Wygląda na to, że to miejsce jest bezpieczne.

Upijam łyk kawy, by ukryć zmieszanie.

– Jest bezpiecznie, bo żyjesz według zasad – odpowiada. – Ale pomyślę o tym, co mogłabyś robić. Najlepiej w domu, nie chciałbym, żebyś tak szybko wyszła do ludzi. Z kim zostawisz chłopców?

Przygryzam wargę, myśląc o jakimś wyjściu. Jestem samotna. Nie mam nawet pół osoby do pomocy przy dzieciach. Ale potrzebuję pieniędzy.

– Z mamą?

– Mama nie może cię odwiedzić.

Prosiłam o spotkanie miliony razy, ale nikt nie chce się ugiąć. Twierdzą, że kartel na pewno obserwuje mój dom rodzinny i rodziców. A oni doprowadziliby ich do mnie.

– Obcięłam włosy, mam zmienione dane... Myślisz, że ci ludzie wciąż mnie szukają? – upewniam się, bo nic innego mi nie pozostało.

– Nie myślę tak. Ja to wiem.

Nie chce mi się wierzyć, że ci ludzie będą ścigać nas aż do śmierci. Czytałam o takich sprawach w internecie i wiem, że bardzo dużo ludzi podobnych do nas po kilku latach nie żyje już w takim strachu. Rozumiem, że mój mąż jest najważniejszym świadkiem w historii USA, ale chyba przyjdzie taki dzień, że rozwałą to całe Alarico i oni również skończą w więzieniu.

– Czy kiedyś... czy kiedyś to się zmieni? – pytam. – Będziemy mogli żyć odrobinę normalniej?

– Myślę, że dopóki Troya nie ma przy tobie, ryzyko jest większe. – Antonio posyła mi ciepłe, acz stanowcze spojrzenie. To przeczy wszystkiemu, co mówią inni.

– DEA twierdzi, że jest odwrotnie.

– Nie, DEA ma swoją wizję. Troy zna ten świat, wiedziałby, czego unikać, jak bezpiecznie się gdzieś przedostać, mógłby przewidzieć ich ruchy. – Z drugiego pokoju dobiega płacz chłopców. – O, urwisy wstały.

Świetnie.

– Zaraz przyjdę.

Wstaję i idę do pokoju, żeby wyciągnąć ich z łóżeczek. Na mój widok obaj zaczynają podskakiwać. Muszę wyciągnąć im szczebelki, powinni mieć trochę więcej swobody.

– Mama! Mama! Mama!

Timmy pierwszy wyciąga do mnie rączki. Stawiam ich na podłodze i czekam, aż sami dojdą do salonu, który pełni również funkcję mojej sypialni.

Antonio od razu kuca, żeby się z nimi przywitać. Chłopcy go lubią, ale myślę, że są też spragnieni ojcowskiej miłości. A dla mnie każdy mężczyzna obok nich jest jak sznur, który zapętle się na mojej szyi. Czuję, że się duszę, że dłużej nie wytrzymam. Moje dzieci muszą mieć kontakt ze swoim ojcem.

Po godzinie zabawy Antonio wchodzi do kuchni, gdzie gotuję zupę dla dzieci. Wyczuwam na sobie jego spojrzenie, więc odwracam się w jego stronę.

Mój wzrok pada na jego rękę.

– To dla ciebie. I nie przyjmuję odmowy.

Podaje mi plik banknotów, a ja robię krok w tył.

– Antonio, nie mogę. Nie mogę brać pieniędzy od adwokata swojego męża. Wystarczająco już nam pomogłeś.

Ciągle coś nam przynosi. Pieluchy, zabawki, słodczyce, ubrania. Od czasu do czasu kupuje nawet coś specjalnie dla mnie. Czuję się niezręcznie.

– Troy zawsze płacił mi większą stawkę i zawsze z góry – mówi, kładąc pieniądze na blat.

– Ale to nie znaczy, że jesteś mi coś winien.

– Zrobimy tak: pomożesz mi pisać pozwą, wiem, że nieźle piszesz.

Uśmiecha się, więc ja także. Wie, bo czyta moje listy do Troya.

– Ale nie mam doświadczenia z czymś takim...

– Zdobędziesz je u mnie. Będę płacił ci normalne wynagrodzenie. Wystarczy na godniejszy byt, ubrania dla dzieci, zabawki.

Przekonał mnie. Potrzebuję pracy i własnych pieniędzy. A lepszej oferty nie da mi obecnie nikt.

– Dziękuję, Antonio. – Przytulam go z wdzięcznością.

Pomaga mi, a przecież nie musi tego robić. Wiem, że zna Troya od zawsze i że możemy na niego liczyć, ale dawanie mi pieniędzy jest gorsze niż brak porannej kawy. Nie znoszę czuć się bezużyteczna i zależna od własnych rodziców, a co dopiero od obcego mężczyzny.

– Przyjadę za kilka dni, ale gdyby coś się stało, cokolwiek, masz do mnie zadzwonić – mówi na odchodnym.

Potakuję, ale zatrzymuję go jeszcze, unosząc palec wskazujący. Zupełnie jakbym była w szkole i prosiła o uwagę.

– Kiedy spotkam się z Troyem?

– Wyrok musi się uprawomocnić.

Mina mi rzednie. Ciągle słyszę to samo. Brak konkretnej daty naszego spotkania doprowadza mnie do obłędu.

– Czyli muszę nadal czekać.

Antonio robi dwa kroki w moją stronę, więc unoszę wzrok, by na niego spojrzeć. To bardzo przystojny facet, wysoki, mądry i na dodatek dobry. Często się zastanawiam, co myśli o tym wszystkim Troy? Nie ma nic przeciwko? Mam nadzieję, bo przecież nie powiem prawnikowi, żeby zjeżdżał.

– Wyciągnę go – zapewnia mnie. – Obiecuję.

Tyle że ja nie wierzę już w żadne obietnice. Złamano mi serce tak wiele razy, że to słowo straciło wartość.

– Masz dla mnie list?

Antonio się uśmiecha, bo wie, że na nic tak nie czekam. Jest moim posłańcem i zawsze z tego żartujemy.

– Tak.

Podaje mi kopertę, a ja od razu przytulam ją do piersi, czym go rozbawiam. W tym momencie czekam tylko na to, aż sobie pójdzie. Będę czytała ten list miliony razy, dopóki nie dostanę kolejnego.

– Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie ci się odwdzięczyć – mówię.

Antonio uśmiecha się szeroko i porusza brwiami.

Co?

– Chętnie przyjmę kolejną łapówkę w postaci ciasta.

Jezu, oddycham z taką ulgą, że o mało się nie przewracam.

– Załatwione.

– Trzymajcie się. – Zerka jeszcze w stronę bawiących się chłopców. –
A wy bądźcie grzeczni dla mamy.

Zamykam za nim drzwi i rzucam się na kanapę, żeby przeczytać list, póki chłopcy są zajęci nowymi zabawkami.

Trzy, dwa, jeden...

Oddycham z ulgą, gdy widzę początek.

Kochanie,

piszę ten list pełen nadziei, że może sędzia przychyli się do apelacji i skróci mi wyrok. Jeśli nie, nie poproszę Cię o to, żebyś nie czekała. Nie potrafię. Tylko Ty, Twoja miłość i nasi chłopcy trzymają mnie przy zdrowych zmysłach w tej beznadziei. Kurwa, jak ja za Tobą tęsknię, Maleńka.

Całymi dniami odtwarzam w myślach wszystkie nasze wspólne chwile, ale zawsze czuję niedosyt, że było ich tak mało. Że tak słabo się starałem. Że nie rozkochałem Cię w sobie wcześniej. Jak mogłem dać Ci kiedykolwiek kosza?

Parskam śmiechem, ocierając łzę. Chciałabym odpowiadać mu na bieżąco, ale niestety nie mogę. Często wracamy w listach do naszego pierwszego spotkania, żeby wyciągnąć od siebie wszystko, co wtedy czuliśmy. Robimy to po to, by się przekonać, kto pierwszy wpadł w sidła tej pokręconej miłości.

Ja uważam, że Troy. On jest pewien, że ja.

Więziennicze życie jest bardziej ohydne niż kuchnia mojej siostry, ale i tak za nią tęsknię. Dasz wiarę? Nigdy nie sądziłem, że będę tęsknił za tą smarkulą.

Czuję ból, gdy czytam te słowa. Przymykam oczy, żeby ochłonać. Wiem, że odchodzi od zmysłów, bo wychowywał Marię od dziecka. Myślę, że w jakimś sensie traktował ją jak córkę, a nie siostrę.

Choć i tak tęsknota za Tobą i dziećmi nie może się z niczym równać. Chciałbym móc teraz zabrać Cię na długi spacer i odpowiedzieć Ci na wszystkie pytania, które zadawałaś mi na

początku naszej znajomości.

Dlaczego taki jestem? Pamiętasz? Zapytałaś mnie kiedyś, dlaczego taki jestem. Dlaczego z nikim się nie związałem? Dlaczego nie traktowałem miłości poważnie? Dlaczego nie potrafiłem okazywać uczuć? Dlaczego nikomu nie ufałem? Dlaczego żyłem tak, jakbym dostał to wszystko na darmo?

Odpowiedzi na te pytania przychodzą do mnie powoli, w chwilach smutku, radości, we wspomnieniach i snach.

Moim ciałem wstrząsa szloch. Podkurczam nogi i opieram głowę o kolana. Chcę mu powiedzieć, że wiem, dlaczego był, jaki był. Odpowiedziałam sobie na to pytanie już dawno. Gdy tylko wyobraziłam go sobie jako małego niekochanego chłopca, który nikogo nie obchodził. Gdy zrozumiałam, że cierpiące dziecko nigdy nie będzie szczęśliwym dorosłym. Troy odpowiedziałby mi, że to ja wszystko odmieniłam, ale to nie jest do końca prawda. Ja tylko go pokochałam.

Unoszę szklisty wzrok i z jękiem chwytam powietrze. Boże, tak prosto było go pokochać. Dlaczego nikt nigdy tego nie zrobił? Stracił szansę na lepsze życie, bo zabrakło obok niego ludzi, których interesowałby jego los.

Ponieważ zabrakło mu miłości. Zawiedli go ci, którzy powinni go chronić. Zabili w nim wszystkie dobre uczucia, nim te zdążyły w nim rozkwitnąć. Nie ufał ludziom, kobietom ani miłości. Uciekł w coś, co dało mu poczucie kontroli, zapewniało szacunek i bezpieczeństwo.

Był, jaki był, ale *nigdy* nie było trudno go kochać.

Był, jaki był, a mimo to oddał mi wszystko.

Był, jaki *potrafił* być. Przecież to takie proste.

– Tata – mówi Toby, wskazując palcem na ramkę cyfrową.

Troy podarował mi ją razem z listem miłosnym na święta. Kilka razy dziennie wyświetla się inna fotografia. Większości nigdy wcześniej nie widziałam i nie mam pojęcia, kiedy je wszystkie zrobił.

Razem z Tobym patrzymy na zdjęcie naszej czwórki – leżymy na trawie, a chłopcy są pomiędzy nami. Akurat ten dzień i tę chwilę pamiętam dokładnie. Maria stała nad nami z aparatem i bardzo się starała rozśmieszyć chłopców. Udało się jej. To jedno z najpiękniejszych zdjęć w całej naszej kolekcji.

– Tak, to tata, skarbie.

Przytulam synka i płaczę. Rzadko pozwalam sobie na słabość przy dzieciach, ale czasami są takie chwile, kiedy chcę być zwykłym człowiekiem. Kobieta, która mówi: „tak, wszystko w porządku”, mimo że po jej twarzy spływają łzy.

ROZDZIAŁ 33

TROY

Wchodzę do pomieszczenia, w którym czeka już na mnie Antonio. Wita się ze mną uśmiechem, ale innym niż zazwyczaj. W głowie kotłują mi się myśli. Strażnik popycha mnie, żebym się ruszył, ale moje nogi nagle stają się ciężkie. Odeszła? Chce mi powiedzieć, że moja żona mnie zostawiła?

Siadam i przysuwam się krzesłem bliżej stolika.

– Zdejmijcie mojemu klientowi kajdanki – mówi Antonio.

Wyciągam ręce, żeby strażnik nie musiał mnie o to prosić. Żartuję, lubię ich wkurwiać, bo mam mnóstwo wolnego czasu, i to w zasadzie jedno z moich ulubionych zajęć.

– Mów, Antonio, bo dostaję pierdolca. – Nachylam się do prawnika. – Widziałeś się z moją żoną?

Antonio kładzie przede mną paczkę fajek i zapalniczkę. Wyciągam jednego papierosa i go odpalam, wyczekując odpowiedzi. Przecież widzę, że o czymś myśli, może nawet coś nie daje mu spokoju.

– Tak, spokojnie, wszystko jest w porządku.

Uśmiecham się i opieram o krzesło.

Co za kurewska ulga.

Ja pierdolę.

– Co z apelacją?

– Po kolei. Przyniosłem ci prawdziwą kawę. – Przysuwa kubek bliżej mnie.

– Dzięki.

– Twoja żona i dzieci są bezpieczni – mówi wreszcie. – Dalej mieszkają w tym samym miejscu, ale myślę, że za kilka miesięcy poszukam im czegoś większego.

Nawet nie chcę myśleć, że mogliby mieszkać w jakiejś klitce, ale nie mam na to wpływu. To ludzie z US Marshals decydują o tym, gdzie w danym momencie jest najbezpieczniej. Będą przenosić Marinę, Marię i JoAnn, za każdym razem, gdy uznają, że ktoś mógłby je rozpoznać.

– Dałeś jej pieniądze?

Wypuszczam z płuc chmurę dymu.

– Tak, ale nie chciała ich przyjąć. Znasz ją. Uznała, że zbyt dużo jej pomogłem.

Staram się zignorować kielkujące we mnie nasionko zazdrości.

– Ale dałeś, tak? – upewniam się.

Zanim oddałem się w ręce DEA, wysłałem mu na konto sporą kwotę, żeby zabezpieczyć żonę i dzieci na jakiś czas. Nie wiedziałem, czy kiedykolwiek wyjdę na wolność. Antonio wystawił mi fakturę za swoją usługę powiększoną o tę forszę, żeby mieć podkładkę, gdyby ktoś coś zwęszył. Obaj łamiemy prawo, ale nie mogłem pozwolić, żeby czegoś im zabrakło.

Antonio jednak stwierdził, że sumy, jakie chciałem przekazywać swojej żonie, będą zbyt podejrzane. Martwię się, że żyją biednie, a Marina jest na łasce skarbu państwa i swoich rodziców. Do tego myśli, że Antonio dzieli się z nią swoją forszą, bo ma takie dobre serce.

– Tak, przyjęła je, ale musiałem zaproponować jej pracę.

Gaszę papierosa, kręcąc głową.

– Moja żona nie może iść do pracy.

– Będzie pisała dla mnie pozwy – wyjaśnia, a ja marszczę brwi. – Może pracować z domu.

Świetnie. Nie ma mnie przy niej, przy dzieciach, a on odwiedza ją przynajmniej raz w tygodniu i bawi się w dobrego wujka. Daje jej forszę, pociesza ją, a teraz jeszcze zaproponował jej pracę. Jest wolny, poukładany na wszystkie możliwe sposoby i ma przy sobie cierpiącą kobietę. *Moją kobietę*. Gdyby próbował się do niej dobrać, nie mógłbym go nawet zajebać.

Wyciągam drugiego papierosa, żeby odgonić czarne myśli.

– Jak moi chłopcy? – Muszę zmienić temat, chociaż ten boli niewiele mniej.

– Rosną jak na drożdżach. – Antonio się uśmiecha. – Marina świetnie się nimi zajmuje. Kupiłem im zabawki, ubrania i słodycze. Wszystko idzie

zgodnie z planem. Możesz odetchnąć.

Nie potrafię odwzajemnić uśmiechu. To wszystko, co dla niej robi, może w którymś momencie przestać być bezinteresowne. Ufam Marinie, ale znam życie i sam byłem świadkiem różnych sytuacji. Większość kobiet odchodzi od swoich facetów, gdy tylko ci zostają zamknięci w tym kurwidołku.

– Kiedy będzie mogła porozmawiać z rodzicami?

– Tydzień temu podłączyli jej bezpieczną linię, pierwsze rozmowy ma już za sobą.

To jedno mnie cieszy. Może rozmowy z mamą, Marią i JoAnn pomogą jej jakoś przez to przejść.

– A jak reszta?

– Twoja siostra i JoAnn radzą sobie nie gorzej niż Marina. Muszę ci powiedzieć, że kobiety naprawdę są silne.

Mnie to nie dziwi. Zapewniliśmy im okoliczności, które musiały je zahartować. Nie było dnia, w którym nie czuliśmy strachu o siebie nawzajem. Teraz egzystują spokojnie, choć w pojedynkę i bez szans na normalność.

Ale czy kiedykolwiek było normalnie?

Owszem, moja żona, zanim mnie poznała, wiodła totalnie inne życie, wiem o tym. To ja je zniszczyłem. Zniszczyłem wszystko, o czym marzy każdy człowiek. A ona dalej pisze do mnie listy, które wyciskają ze mnie wszystkie emocje.

I łyzy.

Pałace kurewskie łyzy, które zbierałem w sobie przez lata.

– Chcę zobaczyć się z żoną, nie wytrzymam dłużej tej rozłąki – mówię, gdy tylko kończę wyobrażać sobie jej twarz, usta i słodkie pocałunki, którymi pieściła całe moje ciało.

– Dopiero gdy sędzia odrzuci apelację bądź przychyli się do niej. Wyrok musi się uprawomocnić.

Wciskam fajkę do popielniczki.

– Dlaczego traktują mnie na równi z innymi? Z ludźmi, którzy tak naprawdę gównem przeszkrobali albo nie przyznali się do błędów i jedyne, co zrobili, to obciążyli podatników, grzejąc tu dupę?

Chętnie bym wstał, żeby rozchodzić nerwy, ale nie mogę, bo strażnik miałby pretekst, żeby odprowadzić mnie do celi.

Jebany kurwidolek.

– Dostałeś już przywilej: możesz pisać i otrzymywać listy. Ludzie z US Marshals zostawiają je twojej żonie, chociaż zasady są inne. Każdy list po przeczytaniu musi trafić do nich. Nic nie powinno przy niej zostać.

Prycham.

– Antonio, nie jara mnie taki przywilej. Może na początku, ale teraz... sam rozumiesz. Pozwoliłem się im wypruć. Czuję się jak śmieć. Muszę zobaczyć Marinę i chłopców.

Widzę, że rozumie.

– Na pewno dostaniesz widzenia. O to nie musisz się martwić.

Wbijam w niego twarde spojrzenie.

– Chcę też widzenia intymne.

Jego jabłko Adama powoli opada, domyślam się, że jednocześnie z jego kutasem. Nie dostanie mojej żony. Nie wykorzysta jej. Jeśli będzie trzeba, wrócę na drogę przestępczą i pošlę kulkę prosto w jego serce.

– Załatwię to.

Nachylam się do niego.

– Masz z tym jakiś problem, Antonio?

Speszony, kręci głową.

Uśmiecham się. Naprawdę ma mnie za idiotę.

– Nie, dlaczego miałbym mieć?

– Może za bardzo zbliżyłeś się do mojej samotnej, smutnej i mającej swoje potrzeby żony?

Zaciskam zęby tak mocno, że aż słyszę chrzęst. W innej sytuacji właśnie bym go dusił i przemawiał mu do rozumu. Może i skończył chuj wie ile szkół, ale zapomniał, że dzieli nas również doświadczenie. On tylko wyciera innym dupę za forszę, którą ja obracałem.

– Uznam, że tego nie słyszałem – odpowiada urażony. Przez chwilę o czymś myśli, a potem nachyla się do mnie. – Troy, siedzisz tu dość długo, zostawiłeś po drugiej stronie jedyną rodzinę, jaką masz. Rozumiem, że męczy cię świadomość, że spędzam czas u Mariny, ale robię to przede wszystkim dla ciebie.

Wstaję. To wszystko, co mam mu do powiedzenia. Nie będzie misia na zgodę ani mydlenia mi oczu. Niech żyje ze świadomością, że go obserwuję.

Strażnik odprowadza mnie do celi. Jestem tak wkurwiony, że wyobrażam sobie, jak zarzucam skute rękę na jego szyję i ciągnę do tyłu, skręcając mu

kark.

– Resocjalizacja. – Parskam śmiechem.

– Coś mówiłeś? – Strażnik popycha mnie do przodu. – Ruszaj się, nie mam całego dnia.

Zwalniam.

– Ale ja mam.

– Rusz, kurwa, dupę!

Zatrzymuję się. Po drugiej stronie czeka już dwóch strażników. Otaczają mnie, jakby zapomnieli, że jestem skuty i nic nie mogę zrobić. Zaczynam śmiać się jeszcze głośniej.

– Wiesz, co mnie bawi? – Podchodzę do niego, najbliżej, jak się da. Chwyta za broń, ale jej nie wyciąga. – Chcesz wiedzieć?

– Gównu mnie to obchodzi.

– Wszyscy jesteście tacy ważni w tych swoich wdziankach, ale dam sobie uciąć swoje stęsknione jaja, że w innej sytuacji miałbyś już pełne gacie.

Wkurwia mnie moje położenie.

Po prostu.

Strażnik rozkuwa mi ręce i wrzuca mnie do celi.

– Udanego życia, Tracker. – Zamyka drzwi, śmiejąc się pod nosem.

Rzucam się na prycę i otwieram list od mojej żonki.

Kochanie,

mija dokładnie rok, odkąd widziałam Cię po raz ostatni. To najdłuższy rok, jaki dane mi było przeżyć. To rok, w którym wylałam więcej łez niż przez wszystkie poprzednie. To rok, który zniszczył moją wiarę, nadzieję i zaufanie. Ale też wzmocnił moją miłość do Ciebie. Niesamowite, że kocham Cię jeszcze bardziej, wiesz? Patrząc na naszych dorastających chłopców, wiem, że nigdy nie cofnęłabym czasu. Nigdy nie chciałabym zmienić biegu wydarzeń i zrezygnować z tej miłości.

Pewnie już wiesz, że kontaktuję się ze światem zewnętrznym. Można powiedzieć, że głos dziewczyn łagodzi trochę mój ból, ponieważ nie cierpię w pojedynkę. Być może to trochę egoistyczne i brutalne, ale czuję ulgę, że nie jestem w tym sama.

Twoja siostra radzi sobie świetnie, bardziej martwi się o mnie i chłopców niż o siebie. Jest również z Ciebie dumna, chociaż sama nigdy się do tego nie przyznała. Ja też jestem z Ciebie dumna i chcę, żebyś Ty również dostrzegł, że jesteś wartościowy. Będę pisała Ci to tak długo, aż wreszcie w to uwierzysz. Nie szukaj odpowiedzi na pytanie, dlaczego jesteś, jaki jesteś. Nie potrzebujesz jej. Jesteśmy, jacy jesteśmy. Koniec kropka. Jesteśmy tacy, jakich ukształtował nas los, nasze błędy i miłość – i to czyni nas wyjątkowymi.

Można więc powiedzieć, że wszystko, co nas spotkało, sprawiło, że się w sobie zakochaliśmy. Gdybyś miał inną przeszłość, nie byłbyś sobą. Możliwe, że nie poczułabym do Ciebie nic, gdybyś naprawiał mój samochód albo roznosił listy.

Uśmiecham się, analizując jej mądre słowa. Co chce mi przez to powiedzieć? Że gdybym nie przeszedł przez to, przez co przeszedłem, nie stałbym się *tym* Troyem? Oddycham ciężko. Tak, ale całkiem możliwe, że byłbym lepszy, byłbym dla niej odpowiedni. Wiem, że moja żona ze wszystkich sił chce mnie pocieszyć, i już prawie jej wierzę. Minie jednak długi czas, zanim uświadomię sobie, że kobieta taka jak ona pokochała mnie, bo jestem sobą.

Czytam dalej.

*Jesteś dokładnie taki, jaki powinieneś być.
Jesteś najlepszym, co mnie w życiu spotkało.
Kocham Cię,
Na zawsze Twoja, M.
PS Grace umarła. Peaky Blinders jest do bani.*

EPILOG

KILKA LAT PÓŹNIEJ

Biorę łopatę i odgarniam śnieg, który tej zimy uniemożliwił mi wizyty u mojego męża. Nie widziałam Troya od trzech miesięcy. Głównie dlatego, że musiałam znowu się przeprowadzić, a drogi są zamknięte przez rozszalałą zimę. To już dwunasty raz, kiedy wywracam moim dzieciom życie do góry nogami. Od nowa.

Ciągle żyję od nowa.

Nowa szkoła, koledzy, nauczyciele, sklepy, wścibskie sąsiadki i mamusie. Wszyscy są nami zaciekawieni i wiecznie proponują mi zapoznawczą kawę. Nie zawieram z nikim znajomości, ponieważ naraziłoby to nas na ryzyko.

Kiedy słyszę to słowo, krew mnie zalewa. Nie zawieram z nikim znajomości, bo mnie to nie obchodzi. Stałam się kobietą żyjącą po swojemu, zajęta wyłącznie swoimi dziećmi i odliczającą dni do spotkania z mężem.

Z wściekłością przerzucam śnieg na bok i wycieram rękawicą spoczone czoło. Przydałby się do tego facet, najlepiej mój mąż.

– Ale ciebie tu nie ma, Troy.

Patrzę w niebo, z którego prószy śnieg. Te święta będą tak samo beznadziejne jak poprzednie. I poprzednie. I każde, podczas których miejsce mojego męża przy stole jest puste. Od dwóch lat spędzam je w domu rodzinnym, choć wiem, że kiedy tylko się tam pojawiam, tato nie może zmrużyć oka.

Czy kiedyś będziemy wolnymi ludźmi?

Przez te wszystkie lata może ze dwa razy czułam się dziwnie w miejscu zamieszkania. Kręciło się podejrzone towarzystwo, ktoś wystawał pod

moimi oknami. W końcu tata stwierdził, że nie możemy *ryzykować* i muszę się przeprowadzić.

Troy również trzy razy zmieniał więzienie. Zawsze z tego samego powodu – ktoś z Alarico ładował w tym samym miejscu, co on. Raz nawet jeden z ludzi Camino wydzierał się na całe gardło, że mój mąż jest szczurem. Wtedy bałam się najbardziej. Każdej nocy budziłam się złana potem, świadoma, że gdyby ktokolwiek przekupił strażnika, mój mąż nie dożyłby przeniesienia.

Niestety wciąż nie widziałam się z dziewczynami, chociaż rozmawiamy ze sobą raz w tygodniu o różnych porach, nawet nad ranem. One są już spokojne, bo Cade i Travis dawno wyszli na wolność. Cieszę się ich szczęściem, ale jestem też zazdrosna. Są razem. Mają to za sobą. Mina ma pełną rodzinę. Ma tatę.

Ojciec moich dzieci nie zna nawet naszego adresu.

– Toby, złaż z tego drzewa! – krzyczę. – Natychmiast! Poślizgniesz się i spadniesz!

W tym roku odwiedziłam szpital trzy razy. Za każdym razem mój syn miał coś rozcięte i potrzebował szwów. Sama już nie wiem, czy powinnam cieszyć się z tego, że nigdy nie płacze, czy może szukać w tym problemu.

Dzieci są takie skomplikowane.

Uch.

Podbiega do mnie Timmy, z ustami ułożonymi w podkówkę.

– Mamusiu, Toby mnie uderzył.

Podejrzewam, że miało to miejsce dwa dni temu i było bez znaczenia, bo po prostu dobrze się bawili. Ale mój synek lubi sobie przypominać o krzywdzie, nawet jeśli rany zdążą się zagoić.

To na pewno ma po mnie. Chociaż nie, jego tata jest w tym lepszy.

– Nie płacz, skarbie. Posmaruję ci magiczną maścią. Chcesz?

Potakuje szybko.

Smaruję wazeliną do ust, którą noszę w kieszeni kurtki, nieistniejącą ranę, a potem dmucham mu w rączkę i całuję ją, żeby jak najszybciej się zagoiła.

Następnie odwracam się w stronę obsypanych śniegiem drzew i maszeruję pod jedno z nich, żeby mój drugi synek wiedział, jak bardzo jestem wściekła.

– Toby, złaż, bo będę bardzo, bardzo zła!

W zasadzie to już jestem, ale może nie zauważył. Chyba nie, skoro wspina się wyżej i ma mnie w nosie.

– Ja też będę zły, jak zejdziesz, mamo!

Obserwuję, jak z pełnym skupieniem i profesjonalizmem wspina się jeszcze wyżej. To dlatego chciał, żebym kupiła mu lepsze rękawice.

– Świetnie – mruczę pod nosem.

Dałam się wkręcić ośmiolatkowi. I to nie pierwszy raz.

– Świetnie!

– Nie przedrzeźniaj mnie, Toby! – Słyszę, że Timmy chichocze i celuje w niego palcem. – Timmy, to nie jest śmieszne!

Zamierzam ściągnąć go z tego drzewa siłą, ale cholera, to wcale nie jest takie proste! Potrzebuję drabiny. Nie ufam swoim umiejętnościom wspinaczkowym. Albo nie, nie mogę pokazać dziecku, że ma nade mną przewagę. Tym bardziej że właśnie patrzy na mnie z góry, śmiejąc się.

Udaje mi się chwycić gałęzi i zaczepić nogę. Jakoś podciągam się wyżej. W końcu siadam na gałęzi, ale nie na tej samej, co Toby, gdybym okazała się za ciężka.

Kurwa, nie ufam już nawet drzewom.

– Toby, dlaczego mi to robisz? – pytam ze smutkiem. – Sprawiasz, że się o ciebie boję.

– Nie bój się, mamo. – Celuje palcem przed siebie. – Spójrz, jaki widok.

Uśmiecham się rozczulona. I decyduję się jednak usiąść obok niego. Może z jego perspektywy świat wygląda jakoś inaczej? Faktycznie. Widok jest niesamowity, ale najbardziej wzrusza mnie to, że pokazał mi go mój ośmioletni synek. Jest cholernym urwisem, to fakt, ale ma w sobie również wielką wrażliwość.

Obserwuję jego profil, zapatrzone oczy i malutkie, lecz wyraźnie zarysowane usta. Wiem, że kiedyś obaj przyciągną urodą niejedną pannę, ale mam nadzieję, że żadnej nie złamią serca.

Dotykam jego rączki, żeby na mnie spojrzął, ale on wciąż patrzy w horyzont.

– Jesteś jak twój tata, skarbie.

Toby przesuwa wzrok na mnie, a ja przełykam ciężko ślinę, bo wiem, że znowu o to zapyta. Czasami nie chcę poruszać z dziećmi tematu Troya, bo nie potrafię znaleźć odpowiedzi na większość ich pytań.

– Kiedy go zobaczę?

Zaciskam mocniej jego paluszki i przysuwam się bliżej, uważając, żebyśmy nie spadli. Na dole Timmy lepi bałwana; jest tak skupiony, że aż żałuję, że nie mam przy sobie aparatu.

– Niedługo, kochanie, obiecuję. – Wyciągam z kieszeni gumę balonową. – Spójrz, co mam.

Oczy Toby'ego robią się większe i radośniejsze. Nie dlatego, że dostał gumę, tylko dlatego, że jest w niej tatuaż i będzie wyglądał jak jego tata.

– Zrobię, jak będziemy jechać do taty – oznajmia z pełną powagą.

– Dobrze, skarbie. – Całuję go w czółko.

Siedzimy tak jeszcze chwilę. Toby to typ chłopca, którego nie interesuje to, co ma pod nogami, tylko nad głową. Jego marzeniem jest zostać astronautą. Natomiast Timmy woli budować rzeczy z ziemi. Niesamowite, że choć identyczni, są zupełnie różni.

Po godzinie spędzonej na mrozie biorę się do gotowania obiadu. Rzadko jeżdżę po zakupy. Wszystko, czego potrzebuję, przywozi mi tata, przynajmniej raz w tygodniu. Dzisiaj ma dostarczyć mi zapasy na miesiąc, ponieważ zapowiadają jeszcze większe blokady na drogach.

Jest cholernie zimno, więc będę musiała szybciej napalić w kominku. Mieszkam w dość starej, choć przytulnej chacie na odludziu. To był mój pomysł. Dziwnie się czułam w dużym mieście, blisko sąsiadów. Chłopcy za dużo mówią. Bałam się, że ktoś mógłby być tak dobry w łączeniu kropek jak ja.

A tutaj... jest cicho. Nocami dość przerażająco. Ale potrzebowałam ucieczki. Zostało tak niewiele do dnia, w którym znowu będę szczęśliwa. Wtedy wspólnie podejmiemy decyzję, gdzie będziemy wychowywać chłopców. Wiem, że kiedy Troy wróci, wszystko będzie jak dawniej.

Będzie lepiej.

– Jestem głodny – mówi Toby.

– Ja też.

Obaj wparowali z podwórka, ignorując moje wcześniejsze prośby. Nie wiem już, w jakim języku mam do nich mówić. Może powinnam być bardziej stanowcza? Podnosić głos? Karać ich?

Nie. Nie potrafiłabym. Nie mają przy sobie ojca, nie mogę ich winić za to, że wchodzą mi na głowę.

Kucam, żeby wytrzeć podłogę z błota.

– Błagam, czy możecie chociaż raz mnie posłuchać? Zdejmujcie buty za drzwiami, bo roznosicie mi błoto.

– Posprzątam, mam, obiecujemy – mówi Timmy nad wyraz poważnie jak na ośmiolatka.

Muszę stłumić śmiech.

– Tak, obiecujemy, mam.

– Nie, nie posprząta, bo jeszcze nigdy się wam to nie zdarzyło.

Wybuchają śmiechem, więc nie mogę się powstrzymać i również to robię. Tata mówi, że to właśnie dlatego mnie nie słuchają. Pozwalam im się rozśmieszać, więc znaleźli sobie na mnie sposób.

O wilku mowa.

Do domu wchodzi mój tato, ubrany jak Eskimos. Nie lubi mrozów, poza tym ma problem z nerkami, więc ograniczyłam jego wizyty do jednej na dwa tygodnie.

– Dziadek! – Timmy biegnie do niego, więc mój tata od razu chwyta go na rękę.

To nasza mała rodzinna przylepa.

– Dziadek! Co masz dla nas?

– Na pewno pizzę!

– Hurra! Pizza!

Cały Toby. Zawsze mówi to, co myśli. I zawsze dostaje to, czego chce.

– Chryste Panie, przysięgam, że ich tego nie nauczyłam – mówię.

Tata nachyla się, żeby mnie przytulić.

– Cześć, córca. – Lustruje mnie wzrokiem. Schudłam. Wiem o tym. – Jadłaś coś?

– Uhm, tak, kanapkę.

Celuje palcem na drzwi za sobą.

– Przywiozłam wam zapasy od mamy.

Czyli cały bagażnik jedzenia, nowych ubrań, pościeli, zabawek i słodyczy. Mam swoje pieniądze, bo odłożyłam, kiedy pracowałam dla Antonio. Musiałam zrezygnować z jego pomocy, bo Troy popadał w coraz większe paranoje. W sumie mu się nie dziwię. Nie chciałabym, żeby odwiedzała go śliczna pani mecenas, gdy ja byłabym zamknięta w klatce.

– Co ja bym bez was zrobiła? – pytam, patrząc na tatę z wdzięcznością.

Nachyla się, żeby pocałować mnie w czubek głowy.

– Poradziłybyś sobie, skarbie.

Nie mówię, że nie, ale jednak. Pomogli mi w najcięższym czasie i nigdy nie wypomnieli, że marnują swoją starość na niańczenie dorosłej córki.

Powinni podróżować, a przynajmniej spędzać czas tylko we dwoje. Niemal od razu słyszę swoją mamę: „Nie życz mi źle, córeczko. Nie wytrzymałabym z twoim ojcem, gdyby nie miał zajęcia”.

– Pomogę ci wyciągnąć rzeczy z bagażnika, nie możesz dźwigać – mówię do taty.

Ale tata kręci głową.

– Później.

– Dziadku! – Timmy wbiega do kuchni. – Dziadku! Uciekaj!

– O nie! – Mój tata zakrywa twarz, udając strach. – Idzie Zombie Shark!

– Obronię cię, dziadku!

Podchodzę bliżej, żeby mógł mnie usłyszeć.

– Tato, czy masz może list od Troya?

– Jedziemy do taty?

Ze smutkiem głaszczę synka po głowie.

– Nie dzisiaj, Toby – mówi mój tata. – Ale niedługo go zobaczycie. Obiecuję.

– Jak niedługo? – dopytuje Timmy.

– Bardzo niedługo.

Tata nie patrzy na mnie, więc zaczynam się denerwować. Zawsze ma dla mnie list.

– Tato?

Macha ręką, żebym dała mu się pobawić z chłopcami.

– Później pogadamy, wnuki mnie wołają. Zabiorę ich do lasu, po drodze zjemy pizzę i wrócimy za jakieś dwie godziny.

Ale...

Zamyka za sobą drzwi, zostawiając mnie samą w zawieszaniu.

Wzruszam ramionami.

– Okej, poczekam. Czekałam już tyle lat, więc czy zaszkodzi mi jeszcze godzina, dwie? Osiemset?

Odkręcam kran, żeby umyć naczynia, obserwując przez okno, jak chłopcy biegną za dziadkiem. Uśmiecham się i oddycham z ulgą. Przez dwie godziny mogę przynajmniej posłuchać własnych myśli. Wyciskam płyn na gąbkę i czekam, aż woda będzie wystarczająco ciepła, by ogrzać moje skostniałe dłonie.

Ale nie mogę. Pękam. Zawsze, gdy zostaję sama, po prostu płaczę. I myślę, że tata o tym wie. Chłopcy nie dają mi w spokoju zjeść, wykąpać się, a w nocy lubią do mnie przychodzić i budzić mnie z byle powodu. Jestem wykończona byciem silną matką.

Kończę myć naczynia, ocieram rękawem policzek i idę do swojej sypialni. Tylko tu znajduję chwilę dla siebie. Dla swoich myśli. I tylko śpiąc, nie cierpię, dlatego jest to moje ulubione zajęcie.

Ściągam spodnie i wchodzę do łóżka, ustawiając alarm na za dwie godziny. Zamykam oczy i odtwarzam w pamięci wszystkie piękne chwile, które spędziłam ze swoim mężem.

Unoszę powieki, gdy słyszę skrzypienie podłogi. Wyteżam słuch. Cisza. Może się przesłyszałam. Cholera. Znowu skrzypienie. W ustach czuję suchość, zaczyna brakować mi powietrza.

Dlaczego nikt się nie odzywa? Tata wie, że mam lęki, i nigdy nie zaskakuje mnie w ten sposób. Nikt inny nie wie, gdzie mieszkamy. A chłopcy... oni nigdy nie są cicho.

Powoli siadam, ściągam z nóg kołdrę i stawiam stopy na podłodze. Bezszelestnie wyciągam spod poduszki klucz do schowka, w którym trzymam broń. Na palcach idę do skrytki, wyciągam pistolet i go przeładowuję.

Następnie podchodzę do okna i skanuję otoczenie domu, ale stoi przed nim tylko samochód mojego taty. Nie widzę żadnych obcych śladów. Zdaję sobie sprawę, że mogłam się przesłyszeć albo odwiedziły mnie myszy. W końcu mieszkam w dziczy.

Nie mogę jednak ryzykować. Wcelowuję broń prosto w drzwi, gdy słyszę kolejne skrzypnięcie. Oblizuję dolną wargę, a potem ją przygryzam. Przysięgam, że strzelę. Będę miała na koncie zabójstwo. Lepiej, żeby ten ktoś się rozmyślił.

Klamka opada.

– Mam broń! – wykrzykuję spanikowana. – Strzelę! Przysięgam!

Klamka się unosi. Mija kilka sekund.

– Nawet do swojego męża?

Co?

Kręcę głową. Ale... Nie. Przecież... Nie.

Kładę palec na spuście.

– Troy? To ty?

Wyteżam słuch.

– Otwieram, kochanie. – Śmieje się. – Chociaż inaczej wyobrażałem sobie tę chwilę.

Wstrzymuję oddech, gdy drzwi lekko się uchylają i widzę buty. Moje ciało zaczyna drżeć. Jak w zwolnionym tempie podnoszę wzrok z butów na nogi, krok, tułów, w końcu na twarz.

A potem z bólem zamykam oczy. Proszę, gdy zaraz je otworzę, niech to nie będzie sen.

Proszę.

Może zwariowałam? Przecież ludzki umysł potrafi płać takie figle. Może tęsknota sprawia, że słyszę i widzę coś, czego nie ma?

– Wyglądasz tak, jak cię zapamiętałem, tylko bardziej seksownie.

Lekko uchylam powieki. Uśmiecha się, podchodzi do mnie, ale ja ani drgnę. Obserwuję go, jakbym widziała go po raz pierwszy w życiu. Ostrożnie wyciąga z mojej ręki broń, zabezpiecza ją i odkłada na stolik. Nachyla się i obejmuje mnie w pasie. Rozchylam usta, gdy muska nosem moją twarz. Czuję na szyi jego oddech, a potem pocałunek. Obejmuje mnie ciaśniej, powodując, że mięśnie podbrzusza mi się kurczą. Oddycham szybko, chcę coś powiedzieć, ale nie mogę.

Jego dotyk na moim ciele jest taki realny, ale boję się go odwzajemnić, by nie rozpląnął się w powietrzu.

– Troy? – szepczę w jego usta.

Uśmiecha się, wkładając dłoń pod mój sweter i jednym ruchem rozpinając biustonosz.

– Tak?

Ściąga mi sweter przez głowę i zrzuca stanik na podłogę. A potem zniża usta do moich piersi, ściskając je w swoich mocnych dłoniach. Mam gęsią skórę, a moje nogi przypominają galaretkę. Dotykam jego twarzy, bo nie mogę się powstrzymać. Ponownie zamykam oczy. Boję się je otworzyć. Czuję, jak po policzkach spływają mi ciepłe łzy. Czuję go. Czuję jego oddech. Czuję, że się uśmiecha.

Nagle gwałtownie odwraca mnie do ściany i układa moje ręce nad głową. Czuję, jak ściąga mi majtki, które lądują na podłodze. Zostaję w samych obciachowych różowych skarpetach. Zaczyna mnie całować od nóg po pupę, przez kręgosłup, docierając do mojej szyi. Całuje mnie tak, jak robił

to w prawdziwym świecie, ale przecież potrafię też tylko sobie to wyobrazić.

Nie ufam sobie.

Miałam już takie sny. Budziłam się zrana potem. Krzycząc. Płacząc. W trakcie orgazmu.

– Kocham cię... – szepcze mi do ucha. – Tak bardzo za tobą tęskniłem.

Zaciskam powieki, gdy ponownie odwraca mnie do siebie. Jeśli to sen, nie chcę się obudzić. Przywołuję jego postać każdej nocy. Uprawiam z nim seks w marzeniach, odkąd go zabrali.

Rozplątuje moje włosy, przyciskając mnie do ściany, a ja zanurzam język w jego ustach, łapczywie próbując połączyć się z jego. Ciepło jego ciała mnie ogrzewa.

Żaden sen nie był tak realny.

Otwieram oczy.

– Nie wiem, czy jesteś prawdziwy – szepczę. – I nie obchodzi mnie to, dopóki czuję się tak dobrze.

Muskam jego twarz. Nie znika. Jest tutaj. Stoi przede mną w szarej bluzie i jeansach.

Uśmiecha się ciepło.

– Jestem, skarbie, jestem. To ja. To nie sen. – Przyciska czoło do mojego, dysząc ciężko. – Wróciłem.

W końcu rzucam mu się w ramiona i zaczynam go całować, jednocześnie zdejmując mu bluzę. Popycham go w stronę swojego osamotnionego łóżka. Jego niebieskie oczy płoną z pożądania. Oboje jesteśmy napaleni i czuć to w każdej części tego pokoju. Między udami czuję wilgoć. Nie wiem nawet, czy chcę tracić czas na grę wstępna.

Nie, nie chcę.

Patrzę, jak zatapia się w mojej pościeli. Ściąga białą koszulkę, rozpina pasek, a przez jego twarz przemyka uśmiech. Zostaje w samych bokserkach, które kupiłam mu przed ostatnim widzeniem.

– Chcę się kochać – mówię, żeby usłyszeć swój głos. Może to jednak nie jest sen?

W snach nigdy nie słyszę swojego głosu.

– Wypieprzę cię za wszystkie czasy, skarbie. – Wyciąga do mnie rękę. Na jego palcu lśni obrączka. – Chodź do mnie.

Policzki mi płoną. Czuję, jakbyśmy mieli zrobić to po raz pierwszy. Odwiedzałam go na widzeniach intymnych. Kochaliśmy się przez całą godzinę, ale teraz... to co innego. Ja nawet nie wiem, czy on jest prawdziwy, a jeśli tak, dlaczego pojawił się prawie dwa lata wcześniej?

Jednak nie potrafię go teraz o nic więcej pytać.

Przymyka oczy, gdy siadam na nim okrakiem. Jego mięśnie się napinają pod wpływem mojego dotyku. Wzrok ma wygłodniały, pełen pożądania i miłości. Palcem śledzę bliznę po usuniętym tatuażu. Niewiele z nich zostało, ale są też nowe. W więzieniu ktoś po kryjomu wytatuował mu mnie z dziećmi ze zdjęcia. Na piersi, blisko serca.

Unoszę się, żeby wpuścić go do środka, a gdy wreszcie mnie wypełnia, jęczę z rozkoszy. On z sykiem wypuszcza powietrze. W pokoju nagle brakuje tlenu. Chwyta mnie mocno za pupę i unosi w górę, a ja zaraz opadam na niego. Na czoło występują mu krople potu, ale nie zwalnia. Cieszy mnie to. Teraz chcę, żeby robił to mocno, szybko, żeby pomógł mi się zaspokoić.

Rozpala mnie żądza. Kocham się z nim jak nigdy wcześniej. Jestem spragniona. Widzę, jak Troy się uśmiecha, obserwując moją twarz, ale jestem zbyt skupiona na własnej przyjemności.

Nie mogę się opanować. Muszę dojść.

– Pięknie wyglądasz. Jesteś cudowna.

Czuję, jak w moim brzuchu wariują motyle. To niecodzienny komplement. Chcę, żeby było mu tak dobrze jak mnie. Chcę doprowadzić go do orgazmu. We mnie. Nie biorę tabletek, ale gównem mnie to teraz obchodzi.

– Grzeczna dziewczynka.

Nie chcę być grzeczna, nie teraz.

Nachylam się, żeby go pocałować. Boże, jego usta są tak miękkie. Mokre. Pełne. Idealne. Wślizguję w nie język, jęcząc. Jestem już tak blisko i wiem, że on też. To będzie najszybszy seks w całej naszej karierze.

Dyszy, gdy jego ruchy przyspieszają. Uderza we mnie raz po raz, coraz szybciej. W końcu ulatuje ze mnie całe napięcie, niepokój i smutek. Tak długo marzyłam o tej chwili, że chce mi się płakać.

Po wszystkim opadam na jego klatkę piersiową i uspokajam oddech, wtulając twarz w jego szyję. Jego ręce z czułością gładzą mnie po plecach, a usta pieczą moje ucho.

– Wciąż tu jesteś... – mruczę.

Czuję, że się uśmiecha. Unoszę głowę, by na niego spojrzeć.

– I nigdzie się nie wybieram, maleńka.

Muskam palcem jego ponętne usta, które zawsze wiedzą, jak doprowadzić mnie do rozkoszy. Z podniecenia od nowa skręca mnie w żołądku, ale zaraz przypominam sobie, że mój tata i chłopcy mogą nas przyłapać.

A może specjalnie zabrał ich do lasu, żebyśmy mogli... Nie. Muszę szybko wyrzucić tę myśl.

– Ale... jak? – pytam. – Zostały ci jeszcze prawie dwa lata.

– Wyszedłem na warunkowym za dobre sprawowanie – mówi mój mąż, dumnie naprężając klatę, a potem z czułością muska moją spoconą twarz. – I dlatego, że mam rodzinę.

Dokładnie, skarbie.

Ogarnia mnie szczęście. Tak długo nie czułam jego pełni, że aż boję się nim zachłysnąć.

– Przysięgnij, że mówisz poważnie.

Kładzie rękę na sercu.

– Przysięgam. Już się mnie nie pozbędziesz. – Tuli mnie mocno. – Wreszcie pomogę ci przy chłopcach. Wyrosli na fajne dzieciaki, ale słyszałem, że dają ci nieźle popalić.

Unoszę brew, z trudem przełykając ślinę.

– Nieźle? To przez nich wypadły mi włosy.

Troy uśmiecha się leniwie.

– Czyli nie mam co liczyć na córeczkę?

O rany...

– Jutro załatwię sobie tabletki albo implant. To był jednorazowy wybryk, bo byłam kurewsko napalona.

Do jutra to ja mogę zajść w ciążę. Przecież wiem, jak teraz będzie. Będziemy się kochać gdzie popadnie, jak para szczeniaków, którzy nie wiedzą, że dzieci nie biorą się z kapusty.

Troy ciągnie mnie za kosmyk i gryzie w brodę.

– Co to za słownictwo?

– Używam gorszego, gdy dzieci śpią. Wierz mi, tylko dlatego matki jakoś dożywają jutra. Klną jak szewc. W myślach, pod prysznicem, w łóżku. – Wstaję i wycieram się mokrą chusteczką między udami. – Oszaleć można.

– Zdążymy jeszcze raz się przywitać, chodź.

Troy wskazuje głową na swojego sztywnego członka, którego trzyma w ręku. Sporo mnie kosztuje, żeby się powstrzymać, ale inaczej planowałam nasz pierwszy seks po jego wyjściu na wolność.

Świece, kolacja, nastrojowa muzyka i śpiące dzieci.

– Wieczorem. Chcę, żebyś pragnął mnie tak samo jak przed chwilą.

Nachylam się, żeby dać mu całusa na pocieszenie.

– Ten głód jeszcze długo mi nie minie, skarbie. – Troy ciągnie mnie za rękę, przez co znowu ląduję na nim. – Mam ochotę przykleić cię do siebie, żebyś już nigdy nie wymknęła mi się z rąk. – Zamyka mnie w tak silnym uścisku, że ledwo mogę oddychać. – Tęskniłem za tobą jak diabli.

Pod powiekami czuję szczypanie. Chciałabym się rozpłakać, żeby ostatecznie oczyścić duszę z resztek tęsknoty i nigdy więcej nie dopuścić jej do siebie.

Kładę się obok niego i gładzę jego twarz. Zmienił się. Zmężniał. Zapušcił nawet dłuższe włosy i ma lekki zarost. Wszystko mi się w nim podoba. Ale schudł. Oboje schudliśmy. Muszę jak najszybciej to naprawić. Przyrzędzić mu wszystkie jego ulubione ciasta i obiady.

Znowu będę aktywną żoną. Jestem taka szczęśliwa.

– Udało nam się, Troy – szepczę.

W jego oczach tańczą iskierki. Wędruje palcem do mojego brzucha i zatacza na nim kółeczko.

– Naprawdę nie chciałabyś takiej małej słodkiej córeczki?

Mina mi rzednie.

Jest napalony. Ma wyraźne braki w ojcostwie. Ale nie wie, co mówi. Nie mam siły pakować się w następne dziecko. Czeka nas szkoła przetrwania z chłopcami. Pobędzie z nimi tydzień, to mu przejdzie.

Wstaję, ignorując jego pytanie.

– Musimy się ogarnąć, zanim wróci tata z chłopcami. Pokażę ci ich pokój, najważniejsze zabawki i rysunki, które dla ciebie zrobili.

Troy też wstaje i śmieje się pod nosem. Wiem, że gdy go odwiedzałam, wspominałam o kolejnym dziecku, ale mówiłam to pod wpływem silnych emocji. Chciałam go pocieszyć. Mocno przeżywał fakt, że nie uczestniczy w wychowaniu naszych synów. Mówili pierwsze słowa, stawiali pierwsze kroki. Bolało mnie to tak jak jego. A może nawet bardziej? Ale teraz nie chcę planować powiększania rodziny choćby z jednego względu – chłopcy zasługują na jego miłość w całości. Bez dzielenia ich na troje.

Ubieramy się, co jakiś czas zerkając na siebie z uśmiechem, który oznacza tylko jedno. Chcemy się kochać do białego rana i zapomnieć o całym świecie. Tyle że jesteśmy rodzicami i nie możemy sobie na to pozwolić. Ciągłe się zastanawiam, jak powiem to chłopcom. Na samą myśl mam ochotę skakać z radości.

Wchodzimy do ich pokoju. Ciągłe mają wspólny, ponieważ Timmy nie lubi spać sam. W zasadzie nie lubi też siedzieć sam, jeść sam ani sam oglądać telewizji. Był czas, że musiałam się z nim nawet kąpać.

– Przytulnie tu – mówi Troy, nieznacznie unosząc brew.

Och, wiem, co ma na myśli. Jest za słodko. Za dużo zabawek, kolorowy dywan, kolorowa pościel w misie, baldachimy w gwiazdki i inne pierdoły.

– Wiem, że widać tu tylko kobiecą ręką, ale jakby męskiej nie było, rozumiesz?

Śmieje się cicho.

– Rozumiem, kochanie.

Troy podchodzi do klocków, z których chłopcy ułożyli jakieś budowle, samochody, statki kosmiczne i zwierzęta. Widzę, że jest pod wrażeniem. Na biurkach stoją już małe choinki, które przytaczałam z lasu i udekorowałam światełkami.

Chce mi się płakać, gdy pomyślę o dniu, w którym odszedł, i o tej nieszczęsnej, obrzydliwie drogiej choince. Nigdy nie wiem na swoich drzewkach niczego prócz bombek, pierniczków i światełek.

– Spędzimy razem święta – mówi, uśmiechając się do mnie z miłością. – Twoja mama nie może się doczekać. Nawet mnie.

Podchodzę do niego. Stoimy, gapiąc się przez okno na obsypany śniegiem krajobraz.

– Kochają cię, przecież wiesz.

Opieram głowę o jego przedramię.

– Zawdzięczam im naprawdę dużo. Okazali mi wielkie serce i miłość. Nie mógłbym ich nie kochać. W celi miałem kumpla, który przez cały czas nadawał na swoją teściową. Nie mógł uwierzyć, że mam takie szczęście i moja gotuje dla mnie obiady, a teść przynosi mi fajki, książki i urodzinowe whisky.

Śmieję się i zerkam na niego.

– Czyli mój tata też się czegoś od ciebie nauczył?

Teraz Troy się śmieje. Cieszy mnie, że ma z moim tatą taką więź.

– Tak. Że łamanie zasad bywa ekscytujące.

Otwieram szufladę w biurku i wyciągam laurkę. Pokazuję ją mężowi.

– Tobi to narysował. Jakby co, to jesteś ty, a to ja. To serduszko i słońce.

A tu jest kosmos.

– Mój mały astronauta. A Timmy? Nic dla mnie nie narysował?

Celuję palcem na ścianę za szafą.

– Tam jest cała tablica dla ciebie. – Prowadzę go. – To jego nowa nauczycielka.

Troy wykrzywia usta.

– Straszna.

– Właśnie. – Zrywam ją z tablicy i przybliżam do twarzy. – Dziecko oddało ją idealnie na jednym obrazku. Biedny, nie lubi jej, bo zabrania mu siedzieć z bratem blisko siebie.

Troy opiera się o komodę.

– Kiedyś powinien być bardziej samodzielny. Muszę z nim o tym porozmawiać. Nie możesz ciągle obchodzić się z nim jak z jajkiem.

Czuję się urażona.

– Dużo przeszedł.

Podchodzi i całuje mnie w czubek głowy.

– Nie, bo chroniłaś go, jak tylko mogłaś. Ale prawdziwe życie dopiero się zaczyna. Musi być twardy.

Kurwa.

Chronię ich, odkąd tylko pamiętam. Chronię ich przed światem, złymi ludźmi, głupimi dziećmi, które im dokuczają, przed potworami w szafie, za szafą, w oknie, pod biurkiem i łóżkiem.

Jestem strażniczką ich snu, jedzenia, dobrego nastroju. Niby kiedy miałam uczynić ich twardszymi?

Wtedy, gdy ocierałam ich łzy, gdy wracali z więzienia? Czy wtedy, gdy w szkole ktoś rzucał w ich stronę, że mają wymyślonego ojca?

Ale nie mogę powiedzieć o tym Troyowi.

To złamałoby mu serce.

– Nie tak od razu, dobrze? Pozwól mu nacieszyć się tobą. Będzie jeszcze czas, żebyś wychował go po swojemu.

Pod moim nadzorem.

– Wiesz, że kocham ich obu najbardziej na świecie i wszystko, co robię, robię dla ich dobra. Ale życie jest przeklęte samo w sobie, więc żeby je

dobrze przeżyć, trzeba mieć grubą skórę.

Opieram ręce na biodrach.

– Wiem. Ale ma nas, naszą miłość i wsparcie. Zdąży się jeszcze poznać na ludziach, szczęściu i jego braku.

Widzę, że Troy nie chce dalej ciągnąć ze mną tego tematu, ale wiem też, że do niego wrócimy.

– Nie mogę się doczekać, aż wrócą do domu – mówi, wciąż rozglądając się po pokoju. – Mam dla nich prezenty.

Uśmiecham się, gdy widzę, jak bardzo jest szczęśliwy, i naprawdę usiłuję się nie rozplakać. Zostawiam to na moment, gdy chłopcy wpadną w jego ramiona.

Nagle Troy skupia wzrok na zabawce Toby'ego.

– Zachowałaś pampersa? – Bierze maskotkę ubraną w pampersa i robi zawadiacką minę. – Wiesz, zawsze możemy wrócić do zmieniania pieluch.

Oblizuję usta, przecierając czoło.

– Nie... Ten pampers jest dla mnie cenny.

Odkłada zabawkę na miejsce, ale robi to w tak ślamazarnym tempie, że aż krew się we mnie gotuje.

– Dlaczego nie zachowałaś dwóch? – Patrzy na mnie z ukosa. – Mamy dwoje dzieci. Dwa takie same pluszaki...

– Odłóż go na miejsce, Toby nie lubi, jak się dotyka jego zabawek.

Troy unosi brew.

– Mówiłaś, że Toby nie bawi się już pluszakami.

– Tak? Kiedy?

– Na widzeniu.

Na widzeniach mówiłam tyle bzdur, że naprawdę nie ma co się do nich przywiązywać. Jak to o córeczce na przykład.

– Nie bawi się nimi, ale nie lubi, kiedy ich dotykam.

– Skąd będzie wiedział, że ich dotykamy, skoro go tu nie ma?

– Jest bardzo... spostrzegawczy.

Ruszam w jego stronę, żeby przestał się wygłupiać i nie wpakował mnie na minę przed moim własnym ojcem.

– Spostrzegawczy, mówisz... – Wyciągam mu z ręki maskotkę, ale zaraz mi ją zabiera. – Zaczekaj. Może i zmieniłem swoje życie, ale pewne cechy ze mną zostały.

Ściąga pampersa, macając go, gdzie tylko się da i... Wyczuł. Wyczuł je. Wciska palec, robiąc w nim większą dziurę, po czym wyciąga zawartość.

– Marina, to są...

Tak. Diamenty.

Tak, popełniłam przestępstwo federalne.

Wyciągam pampersa z jego ręki i nakładam go z powrotem na pluszaka Toby'ego.

– Mówiłam, że jest dla mnie cenny.

Z uśmiechem całuję go w policzek i idę obwieścić dzieciom wspaniałą nowinę.

Ich tata wrócił do domu.

BONUS

NIE JESTEŚMY SAMI

*Czy jeśli powiem ci, że nic w życiu nie ma ceny,
to czy mi uwierzysz?*

*Czy gdybym pokazał ci swą duszę,
To czy potrafiłabyś ją uleczyć?*

*Jak bardzo można kogoś zranić, nie wykonując ruchu?
I czy miłość jest tak ślepa, że nie widzi problemu?*

*Krok za krokiem, powoli, oddychając płytko,
Patrzę na nią i wiem, że miłość to nie wszystko.
Bo jak można kochać kogoś, kto niewart tej miłości?
Pociągnąłem za spust, zostawiając jej w gratisie ból.*

*Oddała mi serce, by je latać latami.
Udało ci się kiedyś? Nie. To nie jesteśmy sami.
Problemem tego świata są zbyt wygłuszone ściany.*

*Lata mijały, a ja wciąż siedziałem w ciszy.
Deszcz strumieniem spływał mi po twarzy,
pokazując mi, że tylko człowiek może ranić.
Rany, rany. Okaleczeni ludzie.
Są tu, są tam i rodzą się codziennie.
Nie patrz wstecz, mówią, ale przyszłość nie istnieje.*

*Mam dla ciebie dobrą radę, z której nigdy nie korzystaj.
Nie ufaj nikomu, bo świat to nie jest bezpieczna przystań.*

Spis treści

LISTA UTWORÓW MUZYCZNYCH

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

EPILOG. KILKA LAT PÓŹNIEJ

BONUS. NIE JESTEŚMY SAMI